



JACEK

PIEKARA

SZUBIENICZNIK

FALSUM ET VERUM



Drugi tom bestsellerowej powieści Jacka Piekary „Szubienicznik”

Tropiciel złoczyńców gwałcicielem i mordercą?

Podstarości Jacek Zaremba, który przybył do stolnika Ligęzy, by rozwikłać sprawę sfałszowanych listów, został oskarżony o okrutne zbrodnie. Czy dowiedzie swej niewinności i tego, że również padł ofiarą intrygi? A może Zaremba to wilk w owczej skórze?

Kontynuacja „Szubienicznika” do ostatniej chwili trzyma czytelnika w napięciu. Stare tropy jeszcze bardziej się plączą, nowe fakty wychodzą na jaw. Kto jest kim w tej tajemniczej rozgrywce?

źródło opisu: <http://www.znak.com.pl/>

Jacek Piekara (ur. 19 maja 1965 w Krakowie) – polski pisarz fantastyki i dziennikarz czasopism o grach komputerowych ("Świat Gier Komputerowych", "Gambler", "Click!",

"GameRaking", pseudonim: Randall), a także redaktor naczelny czasopisma "Fantasy".

Studiował psychologię i prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Emigrował do Wielkiej Brytanii. Obecnie mieszka w Warszawie.

Debiutował w sierpniu 1983 opowiadaniem *Wszystkie twarze szatana* na łamach miesięcznika

"Fantastyka". Jego pierwszą powieścią był *Labirynt* (1987). Obecnie znany głównie z cyklu opowiadań o czarodzieju Arivaldzie z Wybrzeża oraz opowiadań o Mordimerze Madderdinie – inkwizytorze żyjącym w alternatywnym świecie, w którym Chrystus zszedł z krzyża i objął władzę nad ludzkością (*Sługa Boży, Młot na czarownice, Miecz aniołów, Łowcy Dusz, Płomień i krzyż, Ja, inkwizytor. Wieże do nieba* oraz *Ja, inkwizytor. Dotyk zła*).

Wspólnie z Damianem Kucharskim napisał tom opowiadań *Necrosis: Przebudzenie* – wydany w kwietniu 2005 r.

Współpracował przy tworzeniu scenariusza gry komputerowej *Księżę i Tchórz*, w której występuje Arivald – postać z jego opowiadań. Z czołówką polskich aktorów pracował jako reżyser dubbingów, prowadził również autorskie programy w radiu WAWA.

ROZDZIAŁ 1

Podsędek Gideon Rokicki

Gideon Rokicki był trupem. Niby jeszcze gadał, uśmiechał się, przestępował z nogi na nogę, ale tak naprawdę już nie żył, bowiem podstarości łączycki nie tylko miał szczerą ochotę go zamordować, ale wręcz podjął decyzję, iż za chwilę rozpląta Rokickiemu łeb.

Czymkolwiek i jakkolwiek, aby tylko zetrzeć uśmiezek z jego twarzy i aby jego krwią zmasać i zmyć wygłoszone przed chwilą potwarze, a nawet samo wspomnienie o nich. Przed popełnieniem owego dramatycznego czynu Jacka Zarembe powstrzymywała jedynie myśl, że zanim go dokona, musi się dowiedzieć, dlaczego stojący przed nim człowiek tak podle i fałszywie go oskarża. Rokicki zupełnie jednak nie przejmował się gniewem młodego szlachcica. Stał naprzeciwko niego z szerokim drwiącym uśmiechem i przyglądał mu się uważnie, zupełnie jakby pytał: „No i co, waćpanie, i co? Co teraz zrobisz? Co mi zrobisz?”. A przecież zaledwie chwila minęła od czasu, kiedy cyrkowiec każący nazywać się Saladynem rzucił na pana Jacka straszne oskarżenia. „Oto człowiek, który córkę moją pohańbił, ludzi moich zarżnął, a mnie zostawił zdychającego, bo myślał, że umarłem” – słowa te dźwięczały podstarościami w uszach, zwłaszcza że wypowiedziano je z tak wielką nienawiścią i z tak wielkim przekonaniem, jakby były najprawdziwszą z prawd, a przecież (co pan Jacek dobrze wiedział!) nie było w tych słowach nie tylko ziarna, ale nawet maleńkiego ziarenka prawdy. I może machnięto by ręką na pożałowania godne zajście, a cyrkowca pognano by precz, przedtem solidnie wybatożywszy, może z czasem wydarzenie to stałoby się jedynie tematem anegdoty, może Jacek Zaremba na wspomnienie owych chwil tylko parskałby zniecierpliwiony, ale na pewno nie zaślepiąłaby go owa straszna furia, kotłująca się teraz w jego umyśle i sercu. Może tak właśnie sprawy by się potoczyły i skończyły, gdyby nie fakt, że oskarżenie, które padło z ust komedianta, poparł podsędek lipnowski Gideon Rokicki, a więc nie byle szarak i hetka-pętka, lecz szlachcic bogaty oraz szanowany. „I dlatego też Rokicki z ręki mojej zaraz zginie”, postanowił Jacek Zaremba, a gotująca się w nim wściekłość powoli zamieniała się w lodowaty gniew. Gniew tym groźniejszy, że przepelniał człowieka

odważnego, pewnego siebie i wielce biegłego w sztuce szermierczej, a skrzywdzonego niesłusznym posądzeniem.

Tymczasem Saladyn, wyrzuciwszy z siebie oskarżenia, wzrok zwrócił ku niebu, ramiona uniósł wysoko nad głowę i zawołał:

– Boże w niebie miłościwy, Stwórco Wszechrzeczy! Ty widzisz moją krzywdę. Ześlij na głowę tego człowieka anioły zemsty i niech zadadzą mu taki ból, jaki ja sam musiałem wycierpieć.

Jan Barański, zarządca majątku Hieronima Ligęzy, szlachcic stary, lecz mimo starości krzepkiego rozumu, stał do tej pory jak – nie przymierzając – zbaraniały, bo to, co się wyprawiało, przechodziło wszelkie pojęcie. Wreszcie jednak ocknął się ze stuporu, w jaki wprowadziły go poparte przez Rokickiego oskarżenia Saladyna.

– Jasiek, Maciek, w dyby niecnotę i do komórki – wskazał palcem rozpaczającego cyrkowca. – A waść – odwrócił się w stronę podsędka lipnowskiego, a jego zazwyczaj pogodna twarz tym razem była ściągnięta gniewem – wytłumacz się ze swych słów.

– Nie przed waćpanem będę się tłumaczył – burknął Rokicki wyniośle i wydał usta.

– Jesteś tu gościem, więc jak gość się zachowuj – rzekł jeszcze ostrzej Barański – a jak zachować się nie umiesz bądź nie chcesz, to fora ze dwora.

Jacek Zaremba – mimo zdumienia i złości, jakie wzbudziły w nim fałszywe oskarżenia

– myślał trzeźwo i w mgnieniu oka pojął, że oto w Janie Barańskim znalazł właśnie zawziętego sprzymierzeńca. Nietrudno się było zresztą domyślić dlaczego. Wiele lat temu pan Jan zajechał na dwór nieznanego sobie przedtem stolnika Ligęzy, jak to bywało wśród szlachty niespodziewanie i bez zapowiedzi, i takim wykazał się obyciem, talentem oraz grzecznością, że został już na stałe i od lat zarządzał majątkami stolnika, będąc pierwszym po jaśnie panu, a kiedy Ligęzy nie było w domu, to nawet pierwszym po Bogu. Tymczasem od kilku miesięcy stolnik gościł na swym dworze Gideona Rokickiego, który także z wizytą zajechał zupełnym przypadkiem i jakoś nie mógł odjechać. Zresztą sam Ligęza nie chciał go puścić w dalszą drogę, gdyż podsędek lipnowski był najwyższej próby gawędziarzem, który przed oczami słuchaczy potrafił malować prawdziwie ruchome obrazy, a opowiadał tak żywo, z taką swadą i polotem, że słuchającym wydawało się, iż uczestniczą w opisywanych przez niego wydarzeniach, czy to były krwawe bitwy, czy płomienne romanse, czy

intrygi knute przez złych ludzi. Przy tym Rokicki znał wiele plotek i ploteczek, żarcików i anegdot, nie tylko z warszawskiego dworu, lecz również z Paryża i Wiednia, i owymi plotkami i anegdotami chętnie się dzielił.

Nic więc dziwnego, że Jan Barański podejrzliwie musiał obserwować takiego człowieka i w duchu zastanawiać się, czy przypadkiem Ligęza nie zechce Rokickiego zatrzymać dłużej, a może nawet, Boże broń!, powierzyć mu zarządzanie majątkiem? Pan Jan

był co prawda pewien swych umiejętności i swej uczciwości, ale czyż stolnik nie raz i nie dwa mówił: „Oj, Baranusiu, przyjacielu drogi, stary już jesteś, może byś wreszcie odpoczął

od obowiązków i poleniuchował? Zasłużyłeś sobie na to, tak jak i ja zasłużyłem, by już na wojny więcej nie chodzić, tylko weselić się domowym szczęściem”. Jednak pan Jan, słysząc te słowa, zawsze żarliwie protestował, bo też nie wyobrażał sobie życia bez obowiązków, bez ciągłego ruchu, gwaru, wydawania poleceń i podejmowania decyzji. A sama myśl o tym, iż ktoś inny mógłby go zastąpić, wywoływała w nim nie tylko gniew, ale i paniczny strach.

Jacek Zaremba pojął to wszystko w jednej chwili.

– Pokornie waćpanu dziękuję – rzekł uprzejmym tonem, życzliwie spoglądając na starego szlachcica – żeś wziął mnie w obronę przed tym podłym oskarżeniem. A skoro pan podsędek przed waćpanem nie chce się tłumaczyć – tu Zaremba obrócił lodowaty wzrok na Rokickiego – to sądzę, że mnie wytłumaczenia nie odmówi. Lecz jeśli mnie waćpan nie zadowolisz, wtedy przed moją janóweczką wyjaśnienia złożysz. – Podstarości, nie spuszczać wzroku z Rokickiego, położył dłoń na rękojeści szabli.

Krzysztof Komarnicki, podczaszycowicz brzeski, który do tej pory stał zupełnie oglupiały i tylko od początku tej konwersacji wzrokiem wodził, popatrując po kolei na każdego, kto się odezwał, teraz zaśmiał się głupkowato.

– Przed janóweczką wyjaśnienia złożysz – powtórzył.

Miecznikowic Paweł Broniewski, który wyszedł, by obejrzeć nadjeżdżających cyrkowców, a niespodziewanie trafił w sam środek tej zdumiewającej farsy lub tragedii, położył dłoń na ramieniu pana Krzysztofa i mocno je ścisnął. Wiedział bowiem, jak niebezpiecznie jest mieszać się do kłótni postronnych, zwłaszcza kiedy nie ma się nic do powiedzenia poza

bełkotem. Krzysztof Komarnicki jęknął z bólu, bo pan Paweł, mimo że wyglądał na pocziwego gołowasa, rękę miał zdumiewająco silną.

Jednak żaden z trzech dysputujących szlachciców nawet nie spojrzął w stronę Komarnickiego, bo po pierwsze był to człowiek, mimo wielkiego pochodzenia i wielkich koligacji, marnego majątku, marnego charakteru i jeszcze marniejszej reputacji, a po drugie mieli ważniejsze sprawy na głowie, niż przejmować się wtrętami pana Krzysztofa. Zresztą żaden z nich nie spojrzął również w stronę Saladyna, który – złapany przez Maćka i Jaśka –

ryczał niczym osioł prowadzony na rzeź, szarpał się i próbował uwolnić. Słudzy jednak mocno trzymali cyrkowca, ale że się zapierał i że był tłusty i ciężki, to częściowo go po ziemi wlekli, a częściowo nieśli w powietrzu.

– *Nobilis sum!* 1 – zawołał komediant rozpaczliwie, widząc, że jego krzyki na nic się nie zdają.

Nikt na to wyznanie nie zwrócił uwagi, gdyż trzej szlachcice stali naprzeciw siebie, a w zasadzie – ponieważ Jan Barański jakoś tak bezwiednie przesunął się w stronę podstarościgo – to Zaremba i Barański stali naprzeciwko Rokickiego i mierzyli podsędka wzrokiem, obaj ciekawi, co powie i jakie znajdzie wytłumaczenie dla swej bezczelności, i obaj z nadzieją, że wytłumaczenie będzie kiepskie: pan Jacek miał bowiem wielką ochotę Rokickiemu obciąć uszy, zaś pan Jan miał ochotę równie wielką, a może i większą, by zobaczyć, jak pan Jacek te uszy zgrabnie obcina.

– Chętnie wszystko waćpanom wytłumaczę – powiedział Rokicki skwapliwie i uprzejmie, a z wyrazu jego twarzy i tonu głosu można było poznać, iż zupełnie się nie przejmuje groźnymi minami stojących naprzeciw niego szlachciców – pamiętajcie jednak, że *caeca ira est* 2, więc odczekajcie chwilę i pozwólcie, że swe wyjaśnienia złożę w obecności naszego gospodarza. I niech on już *sapienter et iuste* 3 rozsądzi, co ma się ze mną stać. A ja jako grzeczny gość bez szemrania zastosuję się do jego decyzji i zapewniam was, że *timide* 4

przed konsekwencjami nie ucieknę.

Jan Barański przypatrywał się przez chwilę Rokickiemu uważnie i badawczo, jakby chciał powiedzieć: „wiem, że coś knujesz, bratku, i choć nie wiem jeszcze co dokładnie, to na pewno zaraz się dowiem”, potem jednak wzruszył ramionami i obrócił twarz w stronę pana Jacka.

– To waćpana, panie starosto, obrażono. Waćpan decyduj, czy natychmiast żądasz wyjaśnień i satysfakcji, czy zechcesz uprzejmie zaczekać, aż stolnik o wszystkim usłyszy i wyda werdykt.

Podstarości nie musiał długo się zastanawiać, gdyż decyzję podjął od razu, kiedy tylko usłyszał propozycję Rokickiego.

1 *Nobilis sum!* (łac.) – Jestem szlachcicem!

2 *Caeca ira est* (łac.) – gniew jest ślepy.

3 *Sapienter et iuste* (łac.) – mądrze i sprawiedliwie.

4 *Timide* (łac.) – tchórzliwie.

– Waćpan lubisz łacińskie sentencje i słowa – rzekł, patrząc prosto w oczy podsędka –

a ja odpowiem ci greckimi, pochodzącymi z Pisma Świętego: *Kaisara epiklesai, epi Kaisara poreuse* 5.

– *Facta canam, sed erunt, qui me finxisse loquantur* 6 – odparł Rokicki z szerokim, choć złośliwym uśmiechem, po czym czapkę zdarł z głowy i skłonił się głęboko, teatralnie i szyderczo. – Ruszajmy więc, waćpanowie.

Jacek Zaremba aż pobladł, słysząc te słowa, w których nie było skruchy, które tak naprawdę stanowiły nie dosłowne, ale jednak!, powtórzenie fałszywego oskarżenia. Nic jednak nie powiedział, jedynie obrócił się na pięcie i ruszył w stronę dworu.

Stolnik zdążył się już obudzić, lecz w stroju był niedbałym, bo w samym tylko rozchełstany kontuszu zarzuconym na koszulę. Wyszedł jednak przed dwór, bo od służących usłyszał, że dzieje się coś niedobrego, więc chciał sprawdzić jak bardzo niedobrego i jakiej ingerencji owo niedobre będzie wymagać, by je ku dobremu wykręcić. Po wyrazie twarzy Ligęzy można było poznać, że jest zły. Po pierwsze: nie pozwolono mu się wyspać, a że noce, dzięki figlom z kochanką, miał ciężkie, to lubił pospać w ciągu dnia. Po drugie: serdecznie nie znosił, kiedy jego goście darli koty między sobą, a tu już mu doniesiono, że podstarości i podsędek będą się bić. Rozchmurzył się nieco, kiedy zobaczył pana Jacka spieszenie idącego w jego stronę, a kilkadziesiąt kroków za nim nie przesadzającego z pośpiechem pana Gideona. Widząc ich obu, stolnik zrozumiał, że nie doszło jeszcze do najgorszego, czyli do bitki, i domyślił się, że idą, by jego, jako gospodarza, wziąć na arbitra. I rozchmurzył się, bo przecież wiedział, że

dobry arbiter potrafi tak zręcznie pogodzić nawet wodę z ogniem, że cała para ujdzie w niebo, i że dopóki się rozmawia, dopóty nie wylewa się krwi. Hieronim Ligeza nie był, Boże broń, arianinem, który chlubiłby się noszeniem przy pasie drewnianej szabli, a wręcz przeciwnie – w czasach swej młodości był to odważny żołnierz i wytrawny dowódca, podczas szwedzkiej nawały dowodzący całym pułkiem. Jednak na starość pan Hieronim wolał wylewać wino niżli krew, i to też nie na ziemię, ale do gardzieli. I chciał, by podobnie postępowali jego goście i by szanowali mir stolnikowego domu, nie wszczynali zwad, kłótni czy bójek, nie mówiąc już o okaleczaniu czy, Boże uchowaj!, zabijaniu.

5 *Kaisara epikeklesai, epi Kaisara poreuse* (gr.) – odwołałeś się do Cezara, do Cezara się udasz.

6 *Facta canam, sed erunt, qui me finxisse loquantur* (łac.) – będę opiewać fakty, lecz znajdą się tacy, którzy mogą mówić, że [je] zmyśliłem

– Cóż to się dzieje, panie Jacku kochany? – zagadnął jowialnie. – Minę masz taką, panie podstarości, jakbyś na wojnę się wybierał...

– Na wojnę pewnie nie, ale kapuścianego łba może trzeba będzie naszatkować – rzekł

pan Jacek na tyle głośno, by być pewnym, iż Rokicki usłyszy jego słowa.

Ligeza machnął ręką.

– Głupstwa – prychnął – jakżeście się pokłócili, tak się pogodzicie.

– Waszmość pan dobrodziej sam wysłuchasz tej historii i sam zdecydujesz – odparł

Zaremba.

Pan Hieronim zaniepokoił się, słysząc jego głos. Bo był to głos nie zapalczywy złością, ale chłodny nienawiścią. Był to głos człowieka, którego gniew przekroczył granice, poza którymi w żyłach zamiast ognia zaczyna płynąć czysty lód. Tacy ludzie zabijają bliźnich bez wahania i bez żalu.

Wreszcie do schodów prowadzących do dworu doczłapał Rokicki z zasepionym Barańskim u boku. Pan Jan sprawiał wrażenie, jakby był bez mała strażnikiem prowadzącym więźnia. Jeszcze dalej szedł Paweł Broniewski, który nachylony nad Krzysztofem Komarnickim coś mu z poważnym wyrazem twarzy perorował na ucho.

– Cóżżeś waść znowu nabroił? – stolnik zmarszczył brwi, spoglądając na Rokickiego.

Jednak głosowi nie nadał nadto surowego tonu, gdyż rolą arbitra jest najpierw wysłuchać, a potem osądzić i wielki błąd popełniają ci, którzy jeszcze przed rozpoczęciem śledztwa wiedzą, kto jest winny, a kto niewinny, kto jest ofiarą, a kto gwałcicielem prawa.

Stolnik znał takich arbitrów, którzy jednej tylko stronie sprzyjali i czasem nawet ze swą amicyją wcale się nie kryli. Takie arbitrowanie Ligęza miał za drwiny z prawa oraz obyczajów i nigdy nie pozwoliłby sobie na uczynienie podobnego despektu nie tyle sprawiedliwości, ile własnym przekonaniom, a uważał, iż wyrok nie może zależeć od sympatii czy uprzedzeń sędziego.

– Pan Rokicki oskarżył pana starostę o wielokrotne morderstwo i gwałt – ponuro wyjaśnił Jan Barański.

Stolnik zamrugał gwałtownie i otworzył usta. Gdyby sytuacja była inna, Jacek Zaremba pewnie by się uśmiechnął, widząc niezwykle zaskoczenie gospodarza i tę reakcję.

Pan Hieronim spodziewał się pewnie, że między szlachcicami doszło do utarczki przez niezręczne słowa, jakiś złośliwy przytyk, nie najwyższych lotów żarcik, coś, co wzięto za szyderstwo lub pogardliwe traktowanie. Bo tak to już nie tylko w Rzeczpospolitej, ale i na całym świecie bywało, że szlachta miała krótką cierpliwość, lecz za to szybką rękę. A i tak rzadko zabijano tylko za to, że powóz jednego szlachcica wyprzedził kolaskę drugiego, czy za

to że kogoś jedynie przez nieuwagę, a nie ze złej woli potracono w biegu. A w Hiszpanii czy we Francji takie sprawy nie były niczym dziwnym, zwłaszcza jeśli chodziło o oficerów gwardii walońskiej lub muszkietierów królewskich, którzy mieli się za lepszych od całej reszty świata.

Ligęza obrócił ciężkie spojrzenie na Rokickiego.

– To prawda, proszę waszmości? Dobrze słyszałem?

Podsędek lipnowski uprzejmie skłonił głowę.

– Wszystko wytłumaczę, ale może wejdziemy do środka, gdzie w miłym chłodzie dobrodziej stolnik *debita iustitiae* 7 spełni ku powszechnemu zadowoleniu – z tymi słowami pan Gideon skłonił się przed gospodarzem – bo tutaj to taka panuje spiekota, że rozum człowiekowi w

głowie się gotuje... A poza tym po co przed służbą mamy odstawiać *theatrum*⁸ i powszechnie budzić *scandalum*⁹?

– Asan przed służbą oskarżałeś, to i przed służbą się tłumacz! – warknął Barański.

Stolnik zdziwił się, że zawsze uprzejmy pan Jan tym razem podjął decyzję za niego.

Ale że z decyzją tą się zgadzał, skinął głową.

– Dobrze powiedziane. Tyś był, panie Janie kochany, bezstronnym obserwatorem zdarzenia, więc zdaj mi z niego relację, jak ci rozum i uczciwość nakazują – potem potoczył

wokół wzrokiem i oparł spojrzenie na młodym miecznikowicu – a pana Pawła poproszę, by dodał coś, jeśli tylko coś do dodania będzie.

– Służę pokornie waszmość panu dobrodziejowi, choć pewien jestem, że nie będzie potrzeby, bym dodawał coś do opowieści pana Jana – uprzejmie odparł Broniewski.

Barański odetchnął głęboko, chrząknął, odplunął, przez chwilę się zastanawiał, po czym krótko, zwięźle i zgodnie z faktami opowiedział, co zaszło przy spotkaniu z Saladynem i jego cyrkowcami. Kiedy skończył, pan Hieronim znowu spojrzał w stronę podsędka, a jego spojrzenie było jeszcze cięższe niż poprzednio.

– Mów waść! – rozkazał krótko.

Gideon Rokicki obrócił się w stronę Jacka Zaremby.

7 *Debita iustitiae* (łac.) – obowiązki sprawiedliwości.

8 *Theatrum* (łac.) – teatr.

9 *Scandalum* (łac.) – zgorszenie.

– *Uno verbo* 10 waćpan zaprzeczasz, że poznałeś tego człowieka, każącego się nazywać egipskim księciem Saladynem?

Podstarości nie raczył odpowiedzieć na to pytanie, przyglądał się obojętnym wzrokiem do połowy rozwartym drzwiom dworu.

– Odpowiedz, panie Jacku kochany, z łaski swojej – delikatnym tonem poprosił

Ligęza.

– Zaprzeczam.

– Waćpan nie pohańbiłeś jego córki, dziewczeczki słodkiej i niewinnej, nie zabiłeś jego ludzi, a jego samego okrutnie nie poraniłeś, co wszystko

wydarzyło się na trakcie prowadzącym z Leszna lat temu bez mała piętnaście? – dopytywał Rokicki.

Podstarości obrócił na niego wzrok, bo oczywiście spostrzegł od razu, że podsędek podał fakty, o których wcześniej nie słyszano.

– To spiszek, stolniku dobrodzieju – zwrócił się do Ligęzy. – Nie wiem, co ten szlachcic ma do mnie, ale to już nieważne, bo dzisiaj tak czy inaczej satysfakcji mi udzieli.

– Wać lepiej od razu powiedz, gdzie sobie życzysz, by cię pochowano – prychnął

Barański, patrząc na pana Gideona, bowiem znał biegłość podstarościęgo w sztuce szermierczej i wiedział, że na jednej dłoni można by w całej Rzeczypospolitej porachować takich, którzy by Zarembie w tej sztuce dorównywali.

– Waćpan usłyszałeś odpowiedzi na swe pytania, które, wykazując się wielką cierpliwością, postanowiliśmy pozwolić ci zadać, chociaż już w samej ich istocie tkwiła zniewaga – rzekł ponuro Hieronim Ligęza – teraz się wytłumacz z rzuconych oskarżeń, a pan podstarości sam zdecyduje, czy mu twoje wyjaśnienia wystarczają, by nie zażądać satysfakcji...

Jacek Zaremba jedynie pogardliwie ruszył ramionami, jakby chciał dać znać, że nie istnieją takie wyjaśnienia, które mogłyby go przekonać, by Rokickiemu puścił zniewagę płazem.

Podsędek lipnowski odchrząknął, uśmiechnął się szeroko i życzliwie, po czym zaczął:

– Waćpanowie dobrodzieje, jasnie oświecony nasz gospodarzu, wielmożny panie starosto, zacny panie Janie, panie Pawle i panie Krzysztofie, *in promptu et libenter* 11 złożę przed wami wyjaśnienia, które, jak mniemam i *spero forte* 12, uznacie za wystarczające i które 10 *Uno verbo* (łac.) – jednym słowem.

11 *In promptu et libenter* (łac.) – natychmiast i chętnie.

12 *Spero forte* (łac.) – mam nadzieję.

waszej przyjaźni i życzliwości mi nie odbiorą, gdyż przecież dobrze wiem, że *nullum potentius satellitium quam amici fideles* 13, czego przy waszmościach *remis velisque* 14 uczyć się pragnę, zarówno teraz, jak *in futuro* 15...

Stolnik słuchał tej, zważywszy na okoliczności, dziwacznej tyrady ze ściągniętymi brwiami, natomiast Jacek Zaremba znowu przyglądał się drzwiom dworu i po wyrazie jego twarzy nie poznałbyś, czy słyszy słowa

Rokickiego. Tylko Jan Barański dał upust swym uczuciom, gdyż przy słowie „przyjaźni” splunął po raz pierwszy, a przy słowie „życzliwości”

po raz drugi. Plwocina jego nie padła co prawda na buty pana Gideona, ale znalazła się na ziemi na tyle blisko nich, że śmiało można to było uznać za obrazę. I nie za takie zniewagi szlachta potrafiła rwać się do szabli. Podsędek jednak niczym nie dał znać po sobie urazy i spokojnie kontynuował przemówienie.

– Jak wspominałem już kiedyś waszmościom, miałem niekłamany zaszczyt gościć na dworze króla jegomości, na którym to dworze, z czego dumni być możemy, *arte et marte*¹⁶ na równi się włada. A *fortiori*¹⁷ byłem kontent z owego zaproszenia, gdyż właśnie wtedy w Warszawie gościła również trupa francuskich aktorów, specjalnie przybyła na zaproszenie królowej Marii, a w ojczyźnie swej, jak powiadano, wielce sławna...

– A co waść mi tu bredzisz o francuskich komediantach!?! – poczerwieniał Hieronim Ligęza. – Jak mi Bóg miły, waćpanie, nie nadużywaj naszej cierpliwości!

– Jaśnie stolniku dobrodzieju, błagam o wybaczenie – rzekł Rokicki wielce pokornie –

ale muszę moją opowieść tak właśnie zacząć, by dzięki owemu początkowi, który waści się nie podoba, dotrzeć do finału, tłumaczącego me postępowanie, z nadzieją że finałem tym wywołam waćpana aprobatę zamiast dezaprobaty...

– Boże mój, gadaj już waćpan, skoro masz gadać... – Stolnik machnął ręką, lecz twarz miał nadal zachmurzoną.

– Otóż pewnego razu do Warszawy, na dwór miłościwie nam panującego króla Jana i żony jego królowej Marii Kazimierzy ze starożytnego rodu d'Arquien...

– Jezus Maria, zamorduję tego szlachcica! – warknął Ligęza.

Gideon Rokicki zamilkł i rozłożył ramiona.

13 *Nullum potentius satellitium quam amici fideles* (łac.) – nie ma straży potężniejszej niżli wierni przyjaciele.

14 *Remis velisque* (łac.) – co tchu [dosłownie: wiosłami i żaglami].

15 *In futuro* (łac.) – w przyszłości.

16 *Arte et marte* (łac.) – sztuką i orężem.

17 *A fortiori* (łac.) – szczególnie.

– Waszmość panie stolniku, dobrodzieju mój najmilszy, przecież wszystko próbuję wyjaśnić *ab ovo usque ad mala*¹⁸, jak obiecałem...

– Waść nie musisz mi tłumaczyć, kto jest moim królem ani jak brzmi rodowe nazwisko królowej – rzekł pan Hieronim głosem pełnym gniewu. – Przechodź do rzeczy, bo klnę się na Boga, że rychło skończy się moja cierpliwość...

– Już mówię, proszę waszmości, a skoro *in medias res*¹⁹ wolisz dotrzeć z niecierpliwym pośpiechem, a nie ze stateczną rozważą, to *ex oboedientia*²⁰ będę pospieszał –

odparł Rokicki urażonym tonem.

Ligęza tylko sapnął, lecz nic już nie powiedział, Zaremba natomiast sprawiał

wrażenie, jakby w ogóle nie słuchał i nie słyszał słów podsędką.

– Na warszawski dwór zjechała francuska trupa aktorska wystawiająca słynne przedstawienia autorów sławionych na dworze króla Ludwika. A były to, jeśli dobrze pomnę

– Rokicki wzniosł oczy, jakby chciał w chmurach przeczytać tytuły sztuk – Cyd boskiego Piotra Corneille’a, Fedra nieśmiertelnego Jana Baptysty Racine’a, przy której królowa Maria szlochała jak dziecko, a samemu królowi łzy błyszczały w oczach, oraz Mieszczanin szlachcicem najzabawniejszego w świecie Moliera, w czasie którego to przedstawienia sala huczała nieustannym śmiechem, co *ad oculos*²¹ widziałem... Ach, tak piękne to były czasy i tak cudne przedstawienia, że chciałoby się rzec za Hipokratesem: *vita brevis, ars longa*²² –

rozmarzył się podsędek lipnowski.

Potem zerknął na pociemniałą niczym gradowa chmura twarz stolnika i dodał szybko:

– Już zmierzam ku meritum, panie stolniku dobrodzieju, już zmierzam... Musiałem jeno powiedzieć, iż znakomicie przyjęto tych aktorów i talent ich powszechnie oraz publicznie chwalono na wszelkie sposoby, a że *bis repetita placent*²³, to nie raz i nie dwa mieli okazję tym talentem się pochwalić. Powiadam waćpanom, że musiałem miłość do sztuki *in lacte matris praebibere*²⁴, gdyż inaczej aż tak dobrze bym wszystkiego nie zapamiętał...

¹⁸ *Ab ovo usque ad mala* (łac.) – od początku do końca [dosłownie: od jajka do jabłek].

19 *In medias res* (łac.) – do sedna.

20 *Ex oboedientia* (łac.) – przez posłuszeństwo.

21 *Ad oculos* (łac.) – naocznie.

22 *Vita brevis, ars longa* (łac.) – życie krótkie, sztuka długotrwała.

23 *Bis repetita placent* (łac.) – rzeczy powtórzone [dwa razy] podobają się.

24 *In lacte matris praebibere* (łac.) – z mlekiem matki wyssać.

– Mości Rokicki, muszę...

– Już, już, stolniku dobrodzieju! – zawołał żałośnie pan Gideon, nie czekając, aż Ligęza zakończy zdanie słowami „cię ostrzec”. – Opowiadam dalej i nadmienię tylko, że francuscy komedianci wielkie fawory zdobyli sobie u miłościwych państwa, którzy wiedząc, że *laus alit artes*²⁵, wychwalali aktorów często...

– Pewnie nie na samych słowach się kończyło – mruknął Ligęza.

– *De manu ad manum*²⁶ wiele tam złota przepłynęło – zgodził się Rokicki – bo wszak nasz miłościwy pan *de minimis non curat*²⁷, zwłaszcza kiedy jest w dobrym humorze.

– No dobrze, proszę waszmości – pan Hieronim znowu zjeżył brwi – opowiadaj dalej i jak mi Bóg miły mam nadzieję, że twoja opowieść nas zadowoli.

Tylko głupiec by nie zrozumiał ostrzeżenia brzmiącego w słowach stolnika i Gideon Rokicki na pewno również to ostrzeżenie dobrze pojął, chociaż nie sprawiał wrażenia przestraszonego.

– Gdyby nie szczególny afekt, jakim komediantów darzyli jaśnie państwo –

kontynuował podsędek – to komedianci owi nie pozwoliliby sobie na to, na co sobie później pozwolili. A rzecz to była, wierzcie mi waćpanowie, niezwykle śmiała i niejednego przelękłaby sama myśl, by podobny eksperyment przeprowadzić na królewskim dworze, a co dopiero samo owego *horrendum*²⁸ przeprowadzenie.

– O czymże właściwie waćpan mówisz? – panu Hieronimowi złość na pewno jeszcze nie przeszła, ale tajemnicze słowa Rokickiego chyba go zainteresowały, gdyż głosu nie miał

już tak gniewnego jak poprzednio.

– Mówię o tym, stolniku dobrodzieju, że aktorzy, ugadawszy się wpierw z królem i królową, postanowili zażartować sobie z reszty widzów. Doszło do tego w czasie mniejszego przedstawienia, przeznaczonego tylko

dla dworzan, na którym to spektaklu ja sam co prawda nie byłem, gdyż do aż takiej konfidencji nie byłem wówczas dopuszczony, by miłościwych 25 *Laus alit artes* (łac.) – pochwała karmi sztukę.

26 *De manu ad manum* (łac.) – z ręki do ręki.

27 *De minimis non curat* (łac.) – o drobiazgi się nie troszczy.

28 *Horrendum* (łac.) – rzecz straszna.

państwa *in propria persona*²⁹ widywać, ale wiele i dobrze o owym wydarzeniu od innych później słyszałem.

Tym razem Ligęza chyba chwycił haczyk, bo aż nachylił się w stronę podsędka.

– Mówże waćpan, mów.

– Oto komedianci wystawili Andromachę wedle Eurypidesa, gdzie, jak waszmościowie na pewno pamiętacie, podła królowa Hermiona każe zamordować syna swej rywalki. I kiedy na scenie do tego doszło, król Jan jak nie wybuchnie: „To spisek! To podła namowa, by zabić mojego Fanfanika!”.

– Nie mów waszmość! Tak sam król krzyknął?

– Ano właśnie! I już każe wezwać straż, a żołnierze wchodzą i lamentujących aktorów biorą w kajdany...

– Mój Boże...

– *Nil nisi verum*³⁰ nie mówię! – Rokicki palnął się otwartą dłonią w pierś. – A królowa, płacząc, woła: „Weźcie wszystkich na męki! Niech wyjawiają, kto ich namówił, kto za tym stoi!”.

– Nie może być!

– Ale było, stolniku dobrodzieju. *Ipssisima verba*³¹ przytaczam, żebym trupem padł na miejscu, jak stoję.

Pan Hieronim aż głową pokręcił w zadziwieniu.

– Goście zaproszeni przez miłościwych państwa zdębieli i nie mieli pojęcia, co począć. Widzieli, iż królem straszny gniew targa, a każdy wie, że nasz władca w gniewie potrafi się srożyć niezmiernie, choć zwykle owo srożenie nie przekracza granicy gróźb, gdyż miłościwy pan słusznie uważa, że *iuris vincula*³² wiążą go tak samo jak i jego poddanych...

– Szczera prawda – poważnie przytaknął Ligęza. – Słyszałem, że co najwyżej, jak ktoś trafi na zły humor królewski, to na odwachu może wylądować na dobę albo dwie. Ale potem za to wychodzi z sutą nagrodą,

kiedy król jegomość już się rozchmurzy, złość mu przejdzie i uzna, że niewinnego kazał ukarać.

– Tak właśnie jest, bo pan nasz miłościwy wielkie ma serce – powiedział z uczuciem w głosie Rokicki.

29 *In propria persona* (łac.) – we własnej osobie.

30 *Nil nisi verum* (łac.) – nic poza prawdą.

31 *Ipssisima verba* (łac.) – [jej] własne słowa.

32 *Iuris vincula* (łac.) – więzy prawa.

– Ale wracajże waszmość do tego przedstawienia. Co tam się dalej działo?

– Król wzywa strażę, królowa niemal mdleje z alteracji, aktorzy lamentują i wzywają pomocy, kiedy, *mirabile dictu*³³, strażnicy nakładają im kajdany... No mówię waszmościom: cuda się dzieją! Aż i wreszcie goście się ocknęli i *consociatim*³⁴ nuże biec do króla jegomości z błaganiami, by krzywdy komediantom nie czynił, że nic złego nie chcieli zrobić, że żaden to spisek ani plan zgładzenia królewicza Jakuba, bo przecież wszyscy wiedzą, jak miłościwy pan kocha swego następcę.

– I my szczerze kochamy królewicza Jakuba, w którym przyszłego króla chcielibyśmy widzieć, Boże, daj długie życie miłościwemu panu – przyznał stolnik.

– Pan chorąży Lubomirski aż przykląkł przy królewskich kolanach, wstawiając się za aktorami, i wołał, iż *nil est facilus factum quam iniuria*³⁵, z czym przecież bezsprzecznie wypada się zgodzić. – Pan Gideon mocno zaakcentował łacińskie słowa i jeszcze wzrokiem potoczył po obecnych, by poznano, że opowiada tę historię również po to, aby względem niego samego nie czyniono pochopnych ocen. – Dwórki królowej Marii zaczęły zanosić gorące błaganie do swej pani, a jedna to nawet omdlała z wielkiego pomieszania...

Pan Hieronim uśmiechnął się i podkręcił wąsa.

– Nie ma to, jak ratować mdlejące panny z fraucymeru – powiedział – już ja coś o tym wiem...

– Aż wreszcie na królewski znak strażnicy wypuszczają aktorów. Jak ci komedianci nie zaczną się publiczności nisko kłaniać z uśmiechami na twarzach, jak król jegomość nie ryknie śmiechem już *sine ira*³⁶, a z twarzą roz pogodzoną, jak królowa mu nie zawtóruje... –

Rokicki zaklaskał głośno – Jak goście znowu nie zdębieją, bo nie wiedzą, co się dzieje, o co chodzi, czy król gniewny, czy rozbawiony, czy prosić za komediantami, czy już nie trzeba im żadnej pomocy...

Stolnik się roześmiał.

– A to królestwo nasi krotochwilę wszystkim zgotowali!

33 *Mirabile dictu* (łac.) – dziw powiedzieć.

34 *Consociatim* (łac.) – wspólnie.

35 *Nihil est facilius factum quam iniuria* (łac.) – nic łatwiejszego, niż wyrządzić krzywdę.

36 *Sine ira* (łac.) – bez gniewu.

– *Sine dubio*³⁷, panie stolniku dobrodzieju! Wszystko poprowadzono podług francuskiej mody, która zawodowym aktorom każe wejść w znowę z częścią publiczności, by spłatać figla tej drugiej części, która o znowie nie ma nijakiego pojęcia.

– A niechże waści! Przednia historia!

– Też tak zawsze sądziłem i dlatego pozwoliłem sobie wynająć owego Saladyna, roli go wyuczyć, którą zagrał zresztą z wielkim poświęceniem oraz powodzeniem, i w tenże sposób ów francuski obyczaj na nasz przenieść grunt, wychodząc z założenia, że *bonus iocus laetificat cor hominis*³⁸. Zważywszy na waszmościów reakcję – głos podsędka nabrał żalostnego tonu – chyba nie za bardzo mi się powiodło.

Ligęza ze zdumieniem spojrzął na pana Jacka, bo dopiero teraz chyba pojął, co tak naprawdę chciał im swą opowieścią przekazać Gideon Rokicki. Zaremba tylko skrzywił się i wzruszył lekko ramionami. Tymczasem skruszony podsędek kontynuował przemowę.

– Obu waszmość panów, a przede wszystkim skrzywdzonego przeze mnie pana starostę, za żart mój, przyznam to bez bicia: nieudany, niezwykle serdecznie przepraszam i pokornie błagam o rozgrzeszenie oraz wybaczenie, *quod sperandum existimo*³⁹. Solennie zapewniam waszmościów, że w każdej mierze gotowym zadane wam krzywdy zadośćuczynić, choć wierzcie mi, waćpanowie, że nie zła wola mną kierowała, ale płochość i pamięć o figlu, który uważałem za przedni, jednak jak widać, wcale przedni w mym wydaniu się nie okazał – pan Gideon opuścił głowę. – Zapomniałem widać, że *quod licet Iovi, non licet bovi* ⁴⁰, bo i któż ja jestem, aby figiel króla ośmielić się powtarzać? – dodał płaczkliwie.

– Niech diabli waści wezmą z takimi figlami – burknął Jan Barański.

Gideon Rokicki nie zwrócił uwagi na słowa starego szlachcica, gdyż oczekiwał, co zupełnie zrozumiałe, wyroku z ust Jacka Zaremby jako człowieka żartem ukrzywdzonego i rozsierzonego oraz Hieronima Ligęzy jako gospodarza, pod którego dachem doszło do tak niefortunnego incydentu.

– Zważcie waszmościowie, że skoro *iniuria ex affectu consistit* 41, to i może moja wina mniejsza jest, niż sądzicie – powiedział jeszcze pokorniej i przygaszonym głosem.

37 *Sine dubio* (łac.) – bez wątpienia.

38 *Bonus iocus laetificat cor hominis* (łac.) – dobry żart rozwesela człowiecze serce.

39 *Quod sperandum existimo* (łac.) – na co, jak tuszę, można mieć nadzieję.

40 *Quod licet Iovi, non licet bovi* (łac.) – co wolno Jowiszowi, nie uchodzi wołowi.

41 *Iniuria ex affectu consistit* (łac.) – zniewaga zależy od zamiaru.

Stolnik nie zdążył się odezwać, pan Jacek jako pierwszy zwrócił się do Rokickiego.

– Waszmość zdradziłeś mi wcześniej, że wiesz, iż za młodych lat za komediantami uciekłem z ojcowego domu...

– Z ust wielmożnego stolnika to słyszałem – przyznał pan Gideon.

– Rozumiem więc, czemu waszmość właśnie mnie taką krotoczwilę wypłatałeś.

Rozumiem też więcej – zbliżył się do podsędka na odległość kroku – a mianowicie, że nadmierna moja powaga, którą nieraz krytykowałeś, kazała ci zakpić ze mnie...

– Ależ panie starosto kochany...

– Zamilcz waść – rozkazał pan Jacek – boś ty już się nagadał za wszystkich i za wszystkie czasy. – Chwilę patrzył Rokickiemu prosto w oczy. – Na szablę cię nie wyzwę, bo despekt byłby to i dla mnie, i dla mej janówki, ale wiem, co z tobą każę uczynić – dał znak dłonią.

W tejże chwili potężny Moskwiczanie, sługa pana Jacka, chwycił Rokickiego za ramiona i uwięził go w mocarnym uścisku. I równie dobrze mała mróweczka mogłaby się próbować wyrwać spod zgniatającego ją

obcasa, co chuderlawy pan Gideon uciec z objęć Iwajła. Podstęp lipnowski mógł tylko sobie w brodę pluć, że nie zauważył, jak ten człowiek zbliża się za jego plecami. Ale nawet gdyby zauważył, to czy cokolwiek by to mogło zmienić?

– Oto każę waści obwiesić w lesie – oznajmił zimno Zaremba – niech tam już twoje truchło krucy obeżrą, póki nie zgnije.

– Panie Jacku, na Boga! – zakrzyknął stolnik. – Tak się nie godzi!

Podstarości obrócił się w stronę gospodarza i spojrzał na niego. Ligęza chwilę stał jak skamieniały, potem powoli, jakby z trudem, skinął głową.

– Twoja wola, panie Zarembo – rzekł wreszcie. – Poczynaj sobie, jak chcesz, z tym człowiekiem, bo to ciebie ukrzywdził, ale ja z krwi jego ręce umywam.

Skierował wzrok na panów Pawła i Krzysztofa.

– Waszmościowie, proszę za mną – rozkazał tonem, nieznoszącym sprzeciwu.

Potem odwrócił się plecami, głową mocno potrząsnął, jakby chciał coś odpędzić od siebie albo coś z czupryny strząsnąć, usta zakrył dłonią, jakby nie chciał, by inne jeszcze słowa z nich padły, zczekał na Broniewskiego i Komarnickiego, po czym, popychając obu szlachciców przed sobą, po schodach wszedł i zniknął za drzwiami dworu, ścigany rozpaczliwym wołaniem Rokickiego.

– Na Boga, panie stolniku, toż jestem waćpana gościem!

– Panie podstarości, wszak to, za pozwoleniem, *crimen*⁴², co waszmość pan zamierzasz – rzekł z wahaniem Jan Barański, który, chociaż niechętny Rokickiemu, jednak nie dawał się ponieść złości.

– Co waść w takim razie proponujesz? – Zaremba obrócił spojrzenie na stolnikowego sługę.

– Na zбитy łeb wyrzucić niecnotę, a przedtem solidnie wygarbować mu skórę.

– Może i racja – podstarości szybko przetarł twarz dłonią i potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić złe myśli, które się w niej urodziły. – Każ mu wypłacić, panie Janie kochany, pięćdziesiąt batów i niech zmyka. Tylko na kobierczyku, bo to w końcu, jakkolwiek by patrzeć, szlachcic.

– Ja waści zabraniam! – wybuchnął Rokicki, a twarz miał czerwoną niczym płat świeżego mięsa. – Na szable mi stawaj! Stawaj waćpanie, jeśliś nie tchórz!

Pan Jacek zaśmiał się tylko śmiechem krótkim, oschłym i nieprzyjemnym.

– Asan na taki honor w żadnym razie sobie nie zasłużyłeś – skwitował bezlitośnie.

– Stój waszmość, na rany boskie! – krzyknął podsędek lipnowski, lecz tym razem bez gniewu lub złości, a jedynie z ogromną mocą, jakby bez mała wziął przykład z proroka Mojżesza uderzającego laską w skałę i wołającego „Rozkazuję ci: pływ!”.

– No, co tam, asanie? Jakież teraz argumenta znajdziesz, by cię dzisiaj nie bito?

Groźby już były, więc może czas na prośby? – Zaremba uśmiechnął się złośliwie.

– Ażeby waszmości cholera z dżumą wzięły i razem z trądem zżarły! – warknął

Rokicki. – Nim waćpan posuniesz się za daleko, to wiedz, że mam informacje o wypadkach, o których musi dowiedzieć się pan stolnik...

Jacek Zaremba machnął ręką.

– Ech, tam – rzucił lekceważąco – sądziłem, że waszmość wymyślisz coś lepszego.

Miałeś kilka tygodni, by z panem Ligęzą pogadać, jeśli się rozmówić naprawdę chciałeś. A poza tym: jak dostaniesz baty, to przecież w rozmowie ci to nie przeszkodzi, bo języka wyrywać ci, Boże broń, nie zamierzam...

Barański prychnął śmiechem.

– ... gdyż bardzo nie po chrześcijańsku by to było, choć niektórzy powiedzieliby: sprawiedliwie, bo skoro mową zawiniłeś, to pozbawienie cię zdolności do niej mogłoby zostać uznane za wystarczającą kompensację obrazy – dokończył podstarość. – No dobrze, zabieraj go, Iwajło, i przywiąż do żurawia. A potem wypłać panu podsędkowi, co się należy, i 42 *Crimen* (łac.) – zbrodnia.

będziemy mogli pójść na kolację, zapominając o tym paskudnym zdarzeniu. – Ziewnął

ostentacyjnie, jakby chciał dać znać, że już teraz i w tej chwili gotów jest zapomnieć o przykrej i nużącej sprawie wywołanej niesłusznymi oskarżeniami pana Gideona.

– Waszmość, panie starosto, srogo tej decyzji pożałujesz – rzekł Rokicki, tym razem głosem zimnym i zduszonym, a krew powoli odpłynęła

z jego twarzy.

Jacek Zaremba skrzyżował spojrzenia z podsędkiem, długą chwilę mierzyli się wzrokiem niczym dwa groźne psy, niepewne, czy będą się bić, czy też spokojnie odejdą, i niepewne również, który z nich owo odejście uzna za zwycięstwo, a który za klęskę. A potem podstarość uśmiechnął się szeroko i klasnął z impetem.

– Mam waszmości! – krzyknął wesoło. – I co? Panie Gideonie? Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! Waszmość sądzisz, że jedynie ty jesteś zdolny do żartów, krotochwil i kpinek?

Rokicki otworzył szeroko oczy i bezdźwięcznie poruszył ustami.

– Puśćże, Iwajło, pana podsędka – rozkazał Zaremba, a sługa zgodnie z jego wolą rozluźnił uścisk i odstąpił o krok.

Podsędek otrząsnął się i niepewny, co się właściwie dzieje, zaczął ostentacyjnie rozmasowywać sobie ramiona, wyraźnie po to, by zyskać na czasie i zorientować się, co powinien uczynić.

– Srogi ten waści pachół – powiedział, popatrując spode łba na podstarościego – i silny na podobieństwo niedźwiedzia. Ramiona, proszę waszmości, to ma on jak ze stali.

– Mam nadzieję, że i mnie, i jemu wybaczysz tę krotochwilę, którą żeśmy ci zgotowali

– Jacek Zaremba spoglądał na chudego szlachcica z życzliwym uśmiechem – bo przecież nie ze złej woli to theatrum ci przyszykowałem, ale by dać ci poznać, co czuje widz tak nagle, wbrew woli i bez wiedzy, wciągnięty w sam środek przedstawienia.

Rokicki milczał długą chwilę. Wreszcie uderzył z rozmachem dłońmi w uda, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Mój Boże, panie starosto, panie Zarembo, panie Jacku, że tak ośmielę się powiedzieć

– zdumiony kręcił głową – a to żeś mnie waszmość zwiódl, zamotał i ocyganił, jak chyba nikt przedtem w świecie. Uuuuuch – otrząsnął się z impetem. – Święcie, proszę waćpana, we wszystko uwierzyłem, nawet nie myśląc, że waszmość pan zwracasz mi dług tą samą monetą, którą wcześniej ode mnie otrzymałeś. Mój Boże, mój Boże, tylko to mnie tłumaczy, że *desipere est ius gentium*⁴³, nic więcej...

43 *Desipere est ius gentium* (łac.) – głupota to cecha rodzaju ludzkiego.

– Prawda, że zdolny aktor z tego mojego pana Jacka? – Na schodach pojawił się pan Hieronim.

– Waszmość... waszmość poznałeś, że to zaledwie krotochwila, a nie gniewem dyktowana pomsta? – zdumiał się Rokicki.

– Nie, proszę waszmości, aż tak przenikliwy nie byłem – przyznał stolnik. – Jednak kiedy pan Jacek obrócił się w moją stronę, zaraz po tym, jak przeciw wieszaniu waćpana zaprotestowałem – Ligęza uśmiechnął się na wspomnienie tego, iż dał się złapać w pułpkę przyszykowaną przez podstarościego – i tak usilnie zaczął do mnie mrugać, zrozumiałem, że tak naprawdę wcale nie życzy sobie waćpana obwiesić. No i zdecydowałem się dalszy bieg rzeczy pozostawić w jego rękach, wierząc, iż mojego zaufania nie zawiedzie i żartu nie przeciągnie za linię, za którą mógłby dowcip ów stać się zniewagą – kończąc zdanie, pan Hieronim poważny i surowy wzrok zawiesił na podsędku, by dać mu do zrozumienia, że uważa, iż sam Rokicki znacznie się do owej linii zbliżył, by nie powiedzieć, że ją przekroczył.

Pan Gideon westchnął ciężko i oczy spuścił. Po chwili jednak głowę podniósł i patrząc na Jacka Zarembe, powiedział:

– Panie starosto, rzeknę uczciwie: gdybyś waszmość nie należał do najznamienitszego i najgodniejszego narodu szlacheckiego, a miał nieszczęście zawodowo zajmować się komedianctwem, to do najpierwszych aktorów świata by cię liczono i *quantum vis*⁴⁴ byś widzów potrafił zmylić. A książęta, co tam książęta: królowie!, talent twój by podziwiali i za twe występy gotowi byliby płacić najczystszy złotem. I powiem waszmość panu jeszcze jedno: przecież wiem, iż *admoneri bonus gaudet*⁴⁵, więc skoro za dobrego uważam się człowieka, to nauczkę, którą mi dałeś *in conspectu omnium*⁴⁶ waszmość panów, z pokornym sercem przyjmuję...

– A ja pokornie dziękuję waszmości za uprzejme słowa – zadowolony pan Jacek uśmiechnął się do podsędka życzliwie, niczym do zacnego przyjaciela, chociaż dobrze wiedział, co sądzić o szczerości Rokickiego i o jego komplementach.

– Jak dzieci waszmościowie jesteście, to wam tylko powiem! Jak dzieci! – warknął

Jan Barański.

44 *Quantum vis* (łac.) – ilu chcesz.

45 *Admoneri bonus gaudet* (łac.) – człek dobry raduje się z napomnień.

46 *In conspectu omnium* (łac.) – w przytomności wszystkich.

Stary szlachcic najwyraźniej był bardzo niezadowolony, a pochmurny niczym burzowe niebo. Milczał do tej pory, gdyż po wyznaniu pana Jacka język uwiązał mu w gardle, ale wreszcie uznał, że musi coś powiedzieć.

– Pokornie dziękuję waszmości, żeś za moim życiem tak uprzejmie się wstawił, i bądź

pewien, że waszmościową życzliwość dobrze sobie zapamiętam – ciepłym tonem odezwał się podsędek.

Jacek Zaremba był jednak przekonany, że pomimo serdeczności w głosie Rokicki wcale nie o odwdzięczeniu się zamyśla, a jeśli tak, to nie o takim, jakie wymarzyłby sobie Jan Barański. Bo przecież nietrudno było spamiętać, iż to właśnie pan Jan zaproponował, by pana Gideona obić batami i wyrzucić na zbity pysk z dworu stolnika.

Zarządca poczerwieniał, gdyż jako człek zacny i uczciwy zapewne wziął słowa podsędka za dobrą monetę, jednak wiedział, że te serdeczne podziękowania nie do końca mu się należą, zważywszy na fakt, iż Rokickiego serdecznie nie cierpiał, a broniąc jego życia, bronił raczej godności stanu szlacheckiego. Bronił również samego pana Jacka, by ten nie splamił honoru czynem niegodnym uczciwego szlachcica.

– A dajcież wy mi wszyscy spokój! – rzekł gniewnie, obrócił się na pięcie i szybkim krokiem odszedł w stronę stajni.

– Ech, Baranuś mój, Baranuś – powiedział z czułością Ligęza, odprowadzając wzrokiem starego sługę – zacny to człek do samych kości, powiadam waszmościom, ale przyznać muszę, że życie traktuje z niezwykłą powagą i gdyby któryś z was, waćpanowie, to jemu podobny figiel wypłatał, wierzcie mi, iż nie skończyłoby się tak wesoło.

– Zapewniam waszmość pana stolnika dobrodzieja, że my z panem Zarembą jesteśmy pokrewnymi duszami – rzekł poważnym tonem Rokicki. – My jesteśmy niczym dwa ziarenka maku dobrane w korcu. Niczym Kastor i Polluks, a może lepiej powiedzieć: niczym Fobos i Dejmos... – mocno zaakcentował dwa ostatnie słowa oznaczające dwóch okrutnych bogów, którzy na polach bitew towarzyszyli Aresowi.

Pan Jacek spojrział zdumiony w stronę podsędka, ale zaraz wzrok odwrócił, by tego zdumienia nie dać po sobie znać. Jednak w słowach pana Gideona traktujących o pokrewieństwie dusz zabrzmiała tak nieoczekiwana powaga, iż Zaremba szczerze się zdziwił

tym wyznaniem, zwłaszcza że nie sądził, by sytuacja uprawniała Rokickiego do wygłoszenia takich właśnie słów.

– Dobrze, dobrze, proszę waszmości... Pożartowaliśmy, pośmieliśmy się, wszystko dobrze się skończyło i będzie co opowiadać innym gościom – rzekł zadowolony Ligęza. –

Obaj waszmościowie, co z zadowoleniem stwierdzam, nie daliście się ponieść gniewnemu

impetowi, chociaż wasze żarty były niczym iskra przy prochowni, i życzę sobie oraz nalegam, byście na przyszłość z podobnie niebezpiecznymi krotoczwilami skończyli.

Stolnik najpierw ciężkie spojrzenie oparł na panu Gideonie, potem równie surowo popatrzył na pana Jacka.

– Waszmościowie zrozumieli?

– Tak jest, panie stolniku dobrodzieju! Waszmość tak *expressis verbis*⁴⁷ zdanie swe wyraziłeś, że jeno głupi by nie pojął – odparł natychmiast i z zapalem Rokicki.

– Oczywiście, panie stolniku, stanie się wedle życzenia waszmości – rzekł w tej samej chwili Jacek Zaremba.

– To dobrze, waćpanowie, to dobrze – pokiwał głową pan Hieronim.

Potem spojrział w stronę zachodzącego słońca, które wisiało jeszcze na niebie w całej swej ciemnoczerwonej okazałości, przypominając dojrzały środek arbuza, który najpierw przeturlał się po niebie, barwiąc je purpurowym sokiem, by potem toczyć się już wielce leniwym ruchem w stronę linii widnokręgu. Obaj szlachcice podążyli za wzrokiem stolnika.

– Taki zachód słońca to zła wróżba *omnibus*⁴⁸, którzy na niego patrzą – wzdrygnął się Rokicki. – Krew na niebie *pro certo*⁴⁹ zamieni się w krew na ziemi. Tak mówią...

– Krew, krew – powtórzył Ligęza z wyraźnym niezadowoleniem. – Waszmość krew na niebie dostrzegasz, a ja tylko chmury opromienione czerwonym blaskiem, nic innego.

– A ja za to widzę rozciętego arbuza – rzekł wesoło pan Jacek.

– Lepsze to niż krew – burknął Ligęza, spojrzął na Rokickiego i pokręcił głową z wyraźną przyganą, a skruszony podsędek opuścił głowę, mamrocząc coś w rodzaju: „A co ja jestem winny? Widzę, co widzę, nic innego...”. – Chodźmy wreszcie, waszmościowie, bo w brzuchu mi burczy, jakbym tydzień głodował o chlebie i wodzie.

– Oj, i tak bywało – westchnął podsędek.

– Naprawdę? – zerknął na niego stolnik. – A gdzież to waszmość podobnych katuszy doświadczył?

– Jeszcze waszmość panom na pewno zdąży o tym opowiedzieć, jeśli tylko zechcecie posłuchać.

– Zawsze chętnie wysłuchamy waścinych opowieści – powiedział łaskawie pan Hieronim – a ja ufam również, że waćpan nikogo nimi nie urazisz.

47 *Expressis verbis* (łac.) – wprost, jasno.

48 *Omnibus* (łac.) – dla wszystkich.

49 *Pro certo* (łac.) – na pewno.

– Panie stolniku najczcigodniejszy, uroczyście przysięgam, że od tej pory nie znajdziesz grzeczniejszego gawędziarza ode mnie.

– Mam nadzieję, panie Gideonie, mam nadzieję – odparł poważnie Ligęza – bo coś mi się widzi, że z waści taki człowiek, którego czasem wielka bierze ochota, by na sejmiku wilków pogadać o zaletach sztuki kuśnierskiej. Czyż nie jest właśnie tak, jak mówię?

Rokicki skłonił się nisko.

– Przysięgam, że Atena mogłaby u waszmości nauki pobierać. – Wyprostował się i spojrzął na Ligęzę ze skruszonym obliczem. – Przyznam bez oporów, iż czasem język mam szybszy niż pomyślunek i choć *tacendum est*⁵⁰, gadam niepotrzebnie, ale wierzcie mi, waćpanowie, że nie ze złej woli czasem czynię, jak czynię, lecz z nagannej, choć w swej istocie *procul dubio*⁵¹ niewinnej, pochopności... – podsędek westchnął żałośnie, tak jakby obecnych chciał przekonać, że owa pochopność jest dla niego ciężarem zarówno trudnym do uniesienia, jak i całkowicie niemożliwym do porzucenia.

– A może z tej samej ciekawości, która każe dziecku wyciągać patyk ze spodu ułożonego stosu i oglądać, co się wtedy stanie? – żartobliwie zapytał stolnik.

„O nie, panie Hieronimie – pomyślał Jacek Zaremba – tak sprawy wcale się nie mają.

Rokicki może jest człowiekiem ciekawskim, może jest człowiekiem złośliwym, może jest człowiekiem fałszywym, ale nie wydaje mi się, by był pochopny i by podejmował decyzje bez solidnego ich przemyślenia. I dlatego właśnie jest dużo bardziej niebezpieczny, niż waszmość sądzisz”. Na głos pan Jacek nic jednak nie powiedział, a wręcz przeciwnie – po przyjacielsku dłoń podał Rokickiemu, by w ten sposób zapewnić i jego samego, i obserwującego swych gości stolnika, że żadnej już nie czuje urazy i że wszystko może być między nim a panem Gideonem tak, jak było dotychczas. I mógł się założyć, że Rokicki w szczerą jego intencję wierzył w tym samym stopniu co on w szczerą intencję Rokickiego.

*

Wszyscy zasiedli do kolacji w nieoczekiwanie pogodnym nastroju, bo też pan Jacek, który mógł się przecież czuć zarówno obrażony, jak i skrzywdzony, wcale wokół nie obnosił

ponurej miny. Rzeczywiście – co łatwo można było spostrzec – do Rokickiego nie odzywał

się jako pierwszy, ale z innymi chętnie gadał. A jak pan Gideon coś mówił, to podstarość nie 50 *Tacendum est* (łac.) – należy milczeć.

51 *Procul dubio* (łac.) – bez cienia wątpliwości.

odwracał wzroku, nie prychał, nie parskał, nie wydymał ust, czyli nie robił żadnej z tych komedii, które robić może człowiek, by towarzyszowi okazać despekt i lekceważenie.

Zapewne mimo udzielonego mu oficjalnie wybaczenia Gideon Rokicki nie czuł się zbyt dobrze i pewnie, gdyż jeszcze przed północą poprosił, by pozwolono mu udać się na spoczynek, na co gospodarz wyraził niechętną zgodę.

– Ech, wy młodzi – rzekł z przyganą w głosie Ligęza – za moich czasów piło się od rana do wieczora, przed północą człowiek przysnął na chwilę przy stole, potem obudził się, napił żuru, zjadł surowych jajek, a że był już wtedy rześki niczym powietrze o zimowym świecie, to znowu pił aż do wieczora. A ile się jadło! Nie to, co wy tutaj – stolnik potoczył

wzrokiem po zastawionym potrawami stole – ledwo co dzióbniecie jak, nie przymierzając, wróbelki.

– Jezus Maria – szepnął Paweł Broniewski, ściskając dłoń pana Jacka – jakby wróbelki jadły tyle, co ja w stolnikowej gościnie, to by pełzały po ziemi, nie tylko nie marząc, by wzbić się pod niebo, ale nawet nie mogąc trzepotać się stopę nad ziemią jak kury.

– A teraz? – kontynuował stolnik z gniewnie zmarszczonymi brwiami – W łózkach byście się wylegiwali, na materacach i piernatach, kołdrami nakrywali, do poduch przytulali, zamiast dzielnie weselić się przy stole.

– Ochota jest, wielmożny panie stolniku, bo jakżeby mogło jej nie być, kiedy kto jest w twojej gościnie? Lecz co zrobić, kiedy duch co prawda mocarny, lecz ciało bardziej niż mdłe? – wyjaśnił skruszony Rokicki. – *Usque ad finem*⁵² bym z waszmościami biesiadował, ale chyba zbyt prędko przyszedłby dla mnie ten koniec i *carnem meam infirmam*⁵³ do grobu byście chowali – dodał jeszcze i dla wzmocnienia swych tez chlipnął.

– No właśnie, no właśnie... Idźże już waszmość, skoro nalegasz. – Zrezygnowany Ligęza machnął ręką, po czym spojrzał na trzech pozostałych biesiadników. – Jeszcze któryś z waszmościów zamierza mnie opuścić?

– Boże broń – odparł Broniewski słabym głosem.

– Boże broń – powtórzył Zaremba głosem znacznie mocniejszym niż miecznikowic.

– Boże... – westchnął Komarnicki, a potem zakołysał głową nad stojącym na stole kielichem niczym żmija szykująca się do uderzenia, jednak głowa ta powoli mu opadła, a pan Krzysztof przytulił się do plamy na obrusie i zachrapał.

⁵² *Usque ad finem* (łac.) – aż do końca.

⁵³ *Carnem meam infirmam* (łac.) – ciało moje słabe.

– *Boh trojcu lubit!*⁵⁴ – zawołał stolnik, nie przejmując się kondycją Komarnickiego.

Wzniesli jeszcze trzy toasty: pan Hieronim z zapałem, pan Jacek ze stateczną powagą, natomiast pan Paweł wyraźnie starając się przewyciężyć słabość. Zaraz po trzecim do komnaty wpadł wyraźnie zalterowany Baranuś. Podeszedł do stołu, przybliżył usta do ucha stolnika i zaczął mu coś szeptać.

– Furda! – krzyknął Ligęza i chciał się odsunąć, ale zarządca nie tylko odsunąć mu się nie pozwolił, lecz jeszcze mocno przytrzymał gospodarza

za ramię i znowu coś szeptał, coraz bardziej poczerwieniały na twarzy i coraz bardziej zdenerwowany. – Bardzo się piekli? –

spytał na tyle głośno, że Jacek Zaremba wyraźnie usłyszał te słowa.

Potem znowu stolnik słuchał Baranusia, wreszcie kiedy stary sługa odsunął się od jego ucha, potarł czoło dłonią i westchnął ciężko.

– Muszę waćpanów pokornie prosić o wybaczenie – oznajmił z powagą – lecz sprawy gospodarskie pilnie mnie wzywają i z tegoż właśnie powodu towarzystwo wasze z wielką niechęcią i wierzcie mi, że kierowany najwyższą jeno koniecznością, muszę opuścić.

– Nie turbuj się nami, stolniku dobrodzieju! – zakrzyknął Paweł Broniewski.

Pan Hieronim odsunął krzesło i wstał, podpierając się na blacie stołu. Obok stał czujny Jan Barański, najwyraźniej gotów, by wspomóc swego pana w potrzebie, gdyby ten zechciał

oprzeć się na którymś silnym ramieniu. Zaremba oraz Broniewski natychmiast zerwali się ze swych miejsc, po czym stojąc, odczekali, aż idący posuwistym krokiem stolnik opuści komnatę. Zaraz potem pan Paweł opadł na krzesło i spojrział na Jacka Zarembę żalonym wzrokiem.

– Waszmość panie dobrodzieju, panie starosto drogi, czy waćpan mi wybaczysz, jeśli udam się na spoczynek? – spytał.

– O toż samo chciałem waćpana właśnie zapytać – odparł uprzejmie podstarość –

gdyż choć pan stolnik jest starszy niż my dwaj razem, to biesiadna siła zamiast maleć w nim proporcjonalnie do wieku, to proporcjonalnie do wieku chyba w nim rośnie.

– Tak, tak, panie starosto dobrodzieju. Masz waszeć całkowitą i niezbitą słuszność. A ja przecież, jak waćpanowi wspominałem, kochałem się raczej w księgach niż w biesiadach, toteż dłużej przy lekturze potrafię wytrzymać niż przy trunkach.

– Waszmość nie masz sobie czego wyrzucać, bo w gościnie u stolnika nie takie chwaty jak waćpan podstolimi zostawiali – uśmiechnął się Zaremba. – Wierz mi, panie Pawle, że jak tu czasem i pięćdziesiąt osób się bawiło, i muzykanci grali, i wino lało się 54 *Boh trojcu lubit!* (ukr.) – Bóg kocha trójce!

strumieniami, to najczęściej rano jedynie pan stolnik miał siłę i pić, i jeść, i tańcować, i jeszcze potem do dziewczki wracał, jeno że za czasów mojej ostatniej wizyty to nie ta Ewka była, co i waćpan, i ja mieliśmy ją

okazję podziwiać w niemal rajskiej krasie, ale inna jakaś niewiastka. Zresztą, jeśli dobrze pamiętam, też wcale grzeczna...

Pan Paweł wstał z ostrożnością, z jaką zawsze podnosi się z miejsca człowiek niezbyt pewien siły swego ciała i niemający do końca zaufania do własnej zręczności, a pan Jacek, widząc tę ostrożność, kiwnął na służącego.

– Odprowadź jaśnie pana do pokoju – rozkazał.

– Dziękuję waszmości i życzę dobrej nocy – rzekł Paweł Broniewski, bardzo wyraźnie artykułując każde słowo.

– I ja życzę dobrej nocy waćpanu – podstarości skłonił grzecznie głowę.

Młodzieniec odwrócił się jeszcze w progu.

– Mam nadzieję, panie starosto, że nie urażiliśmy stolnika dobrodzieja, nie proponując mu pomocy przy owych gospodarskich obowiązkach, do których pan Barański go wywołał...

Sługa podtrzymujący miecznikowica tak ryknął śmiechem, że aż zatoczył się na ścianę, niemal pociągając Broniewskiego za sobą.

– A cóż to, u licha? – bardziej się zdumiał, niż zezłościł Broniewski.

– Jasiek! No! – Zaremba pogroził służącemu palcem. – Wybacz mu waszmość –

zwrócił się do pana Pawła – widać na pierwszy rzut oka, że to bydlę nierozumne, płakać czy śmiać się gotowe zarówno z powodem, jak i zupełnie bez niego.

Broniewski uważnym wzrokiem zlustrował sługę, który stał z opuszczoną głową, starając się powstrzymać śmiech.

– No tak – rzekł – masz waćpan rację. Bydlę nierozumne.

Pan Paweł opuścił jadalnię z pomocą Jaśka, a Jacek Zaremba został w komnacie sam, jeśli nie liczyć drugiego służącego, który przykucnął w kącie i drzemał z przechyloną głową.

Podstarości postanowił go nie budzić i wyszedł na korytarz, a potem skierował się do głównego wyjścia z dworu. Mimo że był środek nocy, powietrze wcale nie orzeźwiało –

zdawało się stać w miejscu, nie czuć było nawet najśłabszego tchnienia wietrzyku. Pan Jacek odetchnął głęboko, ale ten oddech nie przyniósł mu ulgi. Oparł się o ścianę i otarł pot z czoła.

– Duchota, panie starosto – Jan Barański pojawił się obok tak cicho, że Zaremba dostrzegł jego obecność dopiero wtedy, kiedy zarządca się odezwał.

– Duchota, panie Janie – zgodził się zbolalym głosem. – Ile to już dni... Nie idzie wytrzymać...

– Może kazać napełnić waści wannę zimną wodą? – zapytał troskliwie Barański.

– Panie Janie kochany, nic mi nie pomaga – odparł podstarośći jeszcze bardziej żałośnie niż poprzednio. – A może lepiej powiedzieć: pomaga zaledwie na chwilę, lecz za to potem cierpienie jest tym sroższe, im ulga była przyjemniejsza. Chyba więc lepiej się męczyć.

Daj Boże, a ta pogoda kiedyś się odmieni – podniósł wzrok na granatowe niebo, na którym gwiazdy lśniły tak mocno, jakby były tysiącami latarni pokazującymi kierunek statkom na morzu.

– Ano, daj Boże, panie starosto – pokiwał głową Barański – bo jeszcze trochę tej suszy, a wszystko nam zmarnieje. Pan Hieronim już na mszę dawał kilka razy w intencji deszczu.

Jacek Zaremba oczywiście nie pytał, jakie obowiązki wypędziły stolnika z uczty, gdyż po reakcji stolnika domyślał się, że to chłopska miłośnica Ligęzy urządziła raban, że jej kochanek nie wraca na noc, kiedy ona tak bardzo pragnie jego powrotu. Zresztą nawet gdyby podstarośći nie wiedział, co jest na rzeczy, to przecież pytać o to Baranusia byłoby bardzo niepolitycznie i tylko niepotrzebnie wpędziłby starego sługę w konfuzję. Rzecz jasna pan Jacek był świadom zabawnej strony sytuacji, w której chłopka ciosa kołki na głowie jaśnie panu, a ten pokornie ulega jej kaprysom. Ale owa Ewka naprawdę była wyjątkowo powabna i aż dziwne, że w chłopskiej rodzinie mogła przyjść na świat dziewczyna, dla której wdzięków Akteon porzuciłby bez wahania i bez żalu Dianę, co zresztą wyszłoby mu pewnie tylko na dobre. „Może na jej matkę zapatrzył się jaki szlachcic – pomyślał Zaremba – bo ta dziewczka i anioła, i diabła ma w sobie, a taka koniunkcja prostym naturom nie może być znana”.

– ... to wtedy przypomniało mi się coś, panie starosto. – Pan Jacek dopiero teraz zorientował się, że Jan Barański od dłuższej chwili coś do niego mówi. – Kto wie, może ważne, może nieważne, waszmość sam ocenisz...

– Panie Janie drogi, wybacz mi, uprzejmie proszę, ale myśli mi gdzieś uciekły i nie słyszałem słów waszeci, za co serdecznie cię przepraszam. Sam jednak pojmujesz, że po uczcie u stolnika dobrodzieja żaden z moich zmysłów nie działał tak, jak działać powinien.

Baranuś zaśmiał się i poklepał podstarośćiego po ramieniu.

– Chętnie powtórzę, panie Jacku, bo jeśli piłeś równo ze stolnikiem, to aż dziw i podziw, że jeszcze stoisz na własnych nogach.

– Z trudem – odpowiedział podstarość.

– Otóż mówiłem, że kiedy słyszałem owe niecne oskarżenia, które ten parszywy komediant wykrzykiwał pod waszmości adresem, a potem kiedy słuchołem, co mówi ów, tfu, tfu, Rokicki, wtedy właśnie coś mi zaczęło chodzić po głowie... jakbym taką właśnie historię już gdzieś słyszał...

Jacek Zaremba otrzeźwiał w jednej chwili.

– Jak to, panie Janie?

Barański podrapał się po nosie.

– Sam nie wiem, co o tym sądzić, panie starosto, ale jestem pewien, że dokładnie –

spojrzał uważnie na Zarembę – dokładnie, powtarzam, taka historia wydarzyła się u nas w Wielkopolsce.

– To, co opowiadał ten Saladyn?

– Tak jest, proszę waszmości. Ktoś zaszlachtował cyrkowców, posiekał ich, jak to mówią, na talarki. A dziewczkę zgwałcono i zabito i to naprawdę była córka właściciela trupy.

Z tym że sam właściciel na pewno nie ocalał, jak opowiadał ten oszust, tylko zginął, tak samo jak inni zginęli. Nie wiem, czy ta informacja przyda się na co waszmości... – zarządca wzruszył ramionami.

– Panie Janie, wierz mi, że niezmiernie się przyda – zapewnił go żarliwie Jacek Zaremba.

Co prawda nie był jeszcze pewien, czy naprawdę oznacza to coś ważnego, czy też nie oznacza nic ważnego, ale Barańskiego lepiej było docenić, niż nie docenić. Stary szlachcic rozpromienił się, słysząc słowa podstarościego.

– Cieszę się, że mogłem waszmości pomóc – rzekł życzliwie.

– Panie Janie, czy pamiętasz waszmość coś więcej? Skąd byli ci ludzie? Jak się nazywali? Czy złapano morderców?

– Panie starosto, gdzieżbym pamiętał! – machnął ręką Barański. – Jednym uchem wleciało, drugim wyleciało, jak mówią. I gdyby nie dzisiaj usłyszana opowieść, to pewnie w życiu bym sobie nie przypomniał, że o podobnej zbrodni już kiedyś była mowa.

– Oczywiście, panie Janie, oczywiście. Jeszcze raz serdecznie waszmości dziękuję.

Potem pogawędzili jeszcze chwilę o sposobach na przywołanie deszczu i Jacek Zaremba opowiedział Baranusiowi historię rzymskiego legionu, który umierał z pragnienia na marokańskiej pustyni, póki jego dowódca nie znalazł sposobu, by ściągnąć nad obozowisko rześistą ulewę.

– Myślisz waść, że moglibyśmy zastosować podobną metodę? – zarządca spojrział z nadzieją na pana Jacka.

– A czy nie byłoby to wbrew naszej świętej wierze? – skrzywił się Zaremba, który opowiadając antyczną historię, jakoś zupełnie nie pomyślał, iż Jan Barański może wpaść na pomysł wykorzystania jej, nie dość że w czasach współczesnych, to jeszcze w chrześcijańskim kraju.

– Wzięłoby się księdza, żeby się pomodlił, jak trzeba, a reszta byłaby już jak w opowiadaniu waszmości. – Baranuś podniósł palec znaczącym gestem. – Ot, widzisz waszmość, jak to jest. Ja, dziękować Bogu, przydałem się tobie, a ty, dziękować Bogu, przydałeś się mnie. – Potem stary zarządca skinął głową i rzekł: – Dobrej nocy, panie Jacku.

Da Bóg, a niedługo znowu będziemy mieli czym oddychać.

Podstarości poczekał, aż Barański zniknie za drzwiami, po czym westchnął ciężko.

– A było trzymać język na wodzy – mruknął do siebie. – Ale nabroilem. Wybacz mi, panie Jezu...

*

Następnego dnia Hieronim Ligęza wstał późno, bo dopiero kilka chwil po tym, jak słońce minęło najwyższy punkt na nieboskłonie. Z Zarembą spotkali się na dziedzińcu. Pan Jacek siedział na krześle przy studni, a Iwajło co chwila wyciągał nowe wiadro wody i wylewał je na głowę i gołe plecy podstarościęgo. Za każdym razem Zaremba najpierw wzdrygał się z zimna, a potem jego twarz rozjaśniał błogi uśmiech, który trwał aż do kolejnej ulewy.

– Dobrze, panie Jacku kochany, że moja studnia nigdy nie traci wody, bo jak nic, całą byś mi wypaskudził – rzekł stolnik, podchodząc bliżej.

Podstarości zerwał się na równe nogi.

– Rad jestem, że widzę w dobrym zdrowiu waszmość dobrodzieja! – zawołał.

– A niby czemu miałbyś mnie w takiej kondycji nie oglądać? – wzruszył ramionami Ligęza. – Potem przyjrzał się panu Jackowi, z którego

włosów woda ściekała strużkami. – Nie lepiej wejść do wanny, panie Zarembo kochany? Albo idźże wykąpać się w stawie, zaraz zrobi ci się lepiej!

Podstarości uśmiechnął się smutno.

– W stawie, proszę waszmości, to wodę masz taką, że mógłbyś kaszę w niej gotować.

Ligęza pokręcił głową.

– I kto by pomyślał, że u waszmości, niezrównanego żołnierza, można znaleźć taką piętę Achillesową?

– A czy jest na świecie człowiek pozbawiony słabości? – Zaremba zapytał

filozoficznie.

– Dość, panie Jacku, gadania o słabościach. Doprowadź się waszeć do porządku i odwiedź mnie w gabinecie, bo mam z tobą do pogadania.

– Z miłą chęcią, bo i ja chciałem z waćpanem zamienić słówko na osobności.

– A to tym lepiej.

Pan Hieronim obrzucił jeszcze uważnym spojrzeniem nagie ciało podstarościęgo.

– Waszmość pamiątki po kilku bitwach masz na skórze wyrysowane, co?

Zaremba uśmiechnął się.

– Tej najgorszej rany, na głowie, to już nie widać, bo całkiem włosami zarosła. Ale masz waćpan rację, że pamiątki są. Może nawet nie po bitwach, ale po bitewkach i zwadach.

Tu – puknął się w pierś – pan Sieniawski mnie ciął, zanim go pochwyliłem i przed sąd oddałem. Dobrą miał szablę, damascenkę. Mało mi kości nie przerąbał. Tutaj z kolei –

dotknął ramienia – pan Hołota, znany warchoł i zabijaka, z króćicy mnie postrzelił, zanim przed Sąd Ostateczny go nie posłałem. A znowuż tutaj – tym razem pan Jacek wskazał

palcem szeroką białą bliznę idącą od karku po łopatkę – wyobraź sobie waszmość, we śnie wrogowie mnie dopadli, ale z łaski Bożej zdołałem głowę odchylić i nie gardło mi poderżnęli, a jeno zranili mnie w szyję i plecy. – Podstarości westchnął i wzruszył ramionami. – Co zrobić? Życie... I tak sędzę, że więcej miałem szczęścia niż drudzy. Przynajmniej uszu, nosa albo palców nie straciłem. Choć kawałek mięsa też losowi, niczym

Shylockowi, oddałem. O, tu, patrz waćpan – Zaremba odwrócił nogę – kawał łydki mi wyrwało.

– Owa! – stolnik przyjrzał się wielkiej dziurze w panajackowej nodze.
– To wygląda, jakby waści jakiś wściekły brytan wygryzł ciało. Dobrze, że mięśni nie uszkodził, bobyś jak nic kulał.

– I ja tak sędzę – podstarości skinął poważnie głową.

– A w jakiż sposób waszmość...

Ligęza nie zdążył dokończyć pytania, gdyż ciężkim truchtem przybiegł do niego jeden ze służących.

– Jaśnie panie, jaśnie panie... – wydyszał. – Bajka zaraz będzie się żrebić i pan Barański kazał jaśnie pana wołać!

Bajka była ulubioną klaczą stolnika, który dbał o nią niczym o źrenicę we własnym oku, więc pan Jacek wcale się nie zdziwił, że Ligęza w jednej chwili nie tylko zapomniał, o czym z przyjacielem gadał, ale zapomniał również, że w ogóle z nim gadał. Pan Hieronim obrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę stajni. Może to i dobrze, iż gospodarz oszedł

w tej właśnie chwili, bo dzięki temu Zaremba uniknął odpowiedzi na niemal już postawione pytanie. A odpowiedź byłaby niezwykle trudna, gdyż podstarości sam nie wiedział, w jaki sposób ową straszną ranę mu zadano. Wyjaśnienie tej tajemnicy tkwiło gdzieś w nieprzejrzystych, zmaconych wojenną kontuzją, głębiach panajackowej pamięci.

Kiedy Ligęza oszedł, podstarości zebrał się, odział z pomocą sługi i bez zwłoki ruszył do stolnikowego gabinetu, sądząc, że zjawi się tam wcześniej od gospodarza. Jednak gdy wszedł do pokoju, pan Hieronim siedział w fotelu i czytał jakąś książkę. Gestem zaprosił

pana Jacka, by ten usiadł na fotelu obok niego i odłożył tom na blat.

– *Lyricorum libri*55 – wyjaśnił, wskazując książkę. – Waszmość miałeś przyjemność poznać dzieła naszego przesławnego Horatiusa Sarmaticusa?

– Nie przypominam sobie, stolniku dobrodzieju. – Zaremba zmrużył oczy.

– Warto, panie Jacku, warto. – rzekł stolnik. – Maciej Kazimierz Sarbiewski pierwszy to był i najznamienitszy w początkach naszego wieku poeta chrześcijańskiego świata. A że pisał po łacinie, to w całej Europie znano i kochano jego dzieła. – Ligęza westchnął smutno i pokręcił głową – Niewiele miał ponad czterdzieści lat, kiedy Bóg zabrał go do swej

światłości. – Stolnik przeżegnał się i rzekł: – Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie.

Podstarości poszedł za jego przykładem i również się przeżegnał.

– Takie to życie: jesteś, żyjesz, kochasz, weselisz się, a tu pssst... – pan Hieronim nacisnął opuszkę kciuka palcem wskazującym, jakby gasił między nimi knot świecy – i już cię nie ma...

– Wola boska.

– Ano, wola boska, panie Jacku... – przyznał ponuro stolnik. – Żrebak mojej Bajki urodził się martwy – dodał po chwili. To wytłumaczyło zarówno posępność jego wcześniejszych słów, jak i szybki powrót do dworu. Ligęza siedział jeszcze chwilę w zamyśleniu, wreszcie otrząsnął się, przetarł czoło dłonią i spojrzął na swego gościa.

– Nie o poezji i nie o smutnym losie żywych stworzeń z waszmością chciałem pogawędzić, lecz powiedzieć ci, że jestem z ciebie bardzo, ale to bardzo zadowolony, panie Jacku kochany – rzekł serdecznie i położył podstarościemu dłoń na ramieniu. – Waszmość wybrnąłeś zręcznie z bardzo niezręcznej sytuacji, co zawsze godne jest podziwu i zapamiętania. A przy tym udało ci się uniknąć rozlewu krwi pod moim dachem, za co wielce ci jestem wdzięczny, i powściągliwości twojej, wierz mi, będę od tej pory najpierwszym admiratorem.

– Pokornie waszmość panu dziękuję, panie stolniku dobrodzieju.

– Nie ma za co, panie Jacku, nie ma za co. Wiesz dobrze, że nie fałszywa uprzejmość przeze mnie przemawia, lecz szczerzy podziw dla bystrości twego umysłu, która pozwoliła ci tak zręcznie odpowiedzieć i zniewagę obrócić w żart – stolnik uśmiechnął się – a przy tym, 55 *Lyricorum libri* (łac.) – „Liryki”.

nie ma co ukrywać, na panu podsędku srogi wzięłeś rewanz i krzywdę chyba sobie powetowałeś. Hm? Co?

Podstarości skinął głową.

– Jeżeli waszmość pan dobrodziej chcesz wiedzieć, czy przypadkiem dalej pomsty nie będę szukał, to odpowiedź brzmi: nie, ani mi to w głowie. Słowem ręczę, panie stolniku.

– To dobrze, to dobrze. Ale powiem ci jeszcze, panie Jacku kochany, że waszmość masz nerwy mocne jak postronki i jednocześnie serce miękkie niczym wosk. – Stolnik spojrzął na Zarembę serdecznie i z podziwem. – Nie spodziewałem się, proszę waści, że Rokickiemu darujesz podobnie parszywy żart, jeśli to, co uczynił, w ogóle można nazywać żartem...

– Może komu innemu bym nie darował... – powiedział w zamyśleniu Jacek Zaremba.

– Może w innych okolicznościach i jemu bym nie darował... Ja tylko wiem jedno, stolniku dobrodzieju, wiem, że stare powiedzenie mówi: przyjaciół miej blisko siebie, zaś wrogów jeszcze bliżej.

Ligęza milczał przez chwilę.

– A więc tak się sprawy mają – rzekł wreszcie.

– Właśnie tak – potwierdził podstarość. – Bo widzisz waszmość, ja wiem, że coś ten pan Rokicki knuje, i z dwojga złego wolę mieć go na oku, niż żeby knuł z oddali. Tylko szkopuł w tym, proszę waćpana, iż mam wrażenie, że podsędek wiedział, że winę mu wybaczę.

– Jakżeż to?

– Pewien jestem, że odgadł, w jakim kierunku pójdą moje myśli...

– Panie Jacku kochany, waść sobie cuda jakieś dopowiadasz...

– Może tak, może nie. Zobaczymy, panie stolniku, zobaczymy. Na razie serdecznie proszę, byś cyrkowca mi oddał, a ja każę go wybadać. Choć nie przypuszczam, by człowiek ten cokolwiek wiedział...

– Doniesiono mi, że wołał, iż jest szlachcicem, kiedy go łapano. Prawda to?

– Tak jest, panie stolniku.

– Sprawdź więc, czy nie kłamał. Jeśli ten przebieraniec naprawdę jest szlachcicem, to bądź, z łaski swojej, łagodniejszy w trakcie badania, biorąc pod uwagę, że jednak co krew, to krew.

Zaremba skinął głową na znak, że do prośby gospodarza się zastosuje. Sam zresztą był

ciekaw, czy komediant naprawdę pochodzi ze szlacheckiego rodu, czy też zmyślił to sobie, by ostudzić gniew panów braci. Nie było wcale niemożliwe, by szlachcic został komediantem, a

podstarośći dobrze wiedział z doświadczenia, że różnie się plotły losy szlachetnie urodzonych. Bo szlachcicem był zarówno właściciel miast oraz kluczy wiosek – człowiek, który mógł mieć stałą prywatną armię złożoną z kilkuset zawodowych żołnierzy, albo nawet kilku tysięcy, który korzystał z pracy dziesiątków tysięcy poddanych – jak i szlachcicem był

niepiśmienny mazowiecki hreczkosiej, który szablinę nosił na postronku, a pług sam ciągnął, bo nie stać go było nawet na roboczego konia lub wołu. I równie dobrze szlachcicem był

szarak nieposiadający nawet spłachetka ziemi, najchętniej czepiający się klamki u drzwi dworu jakiegoś majątniejszego pana brata. Jedyńm majątkiem takiego golca była stara szabla u boku, która pozwalała mu czuć dumę z przynależności do klasy panów, a nie do klasy chamów. Synowie tej ubogiej szlachty, ludzi, którzy nie tylko nie opływali w dostatki, lecz musieli uważać, by nie zdechnąć z głodu, często uciekali z domu – wybierali służbę u bogatego szlachcica, próbowali wojskowego życia, a zdarzali się i tacy, co przyłączali się do band oszustów czy rabusiów. Kto wie, może Saladyn był takim właśnie szarakiem, który nosząc kostium komedianta, już zdążył zapomnieć o swoim szlachectwie, a przypomniał sobie o nim dopiero w chwili prawdziwego strachu?

– Iwajło potrafi przemówić ludziom do rozumu – skrzywił usta podstarośći – ale i ja mam nadzieję, że tego cyrkowca nie trzeba będzie zanadto uszkodzić, by prawdę z niego wycisnąć.

– Ano nie wygląda na takiego, co by chciał stawiać opór – zgodził się Ligęza – a kiedy zobaczy twojego Moskwiczana i bat w jego rękę, jak nic śpiewać będzie piękniej niż słowiki pod wieczór – stolnik roześmiał się gardłowo.

Jacek Zaremba nie lubił znęcać się nad ludźmi, lecz rozumiał, że czasami jedynie zadanie wielkiego bólu jest sposobem na to, by zatwardziały kłamacz wyznał prawdę, a zacięty milczek zaczął mówić. Jednak nawet kładąc męczyć oskarżonych, by wydobyć z nich zeznania, podstarośći odczuwał litość. A satysfakcję czuł jedynie wtedy, kiedy tortury doprowadziły do rozwiązania kryminalnej zagadki i kiedy dzięki nim sprawa została wyjaśniona, a sprawcy ukarani.

– Nie sądzę, by cyrkowiec wiedział cokolwiek ponadto, co przedstawił nam Rokicki –

powiedział – gdyż rzeczywiście uważam, że został kupiony i wystrychnięty na dudka.

Podejrzewam, że Rokicki zapewnił go, iż weźmie udział w przednim żarcie i wszyscy serdecznie się uśmieją. Ale spróbować trzeba.

– A co uczynimy z samym Rokickim?

– Waszmość pan dobrodziej nie traktuj go tak samo łaskawie, jak traktowałeś do tej pory, gdyż wyglądałoby to podejrzenie. Owszem, okaż mu czasem niezadowolenie lub rozdrażnienie, tak jakbyś je okazał, wiedząc, że to, co zrobił, jest jedynie nagannym żartem.

Ligęza poważnie skinął głową.

– Widzę, że ufasz moim zdolnościom aktorskim, panie Jacku, i mam nadzieję, że cię nie zawiodę w tej mierze. Chociaż może tu i wielkiego aktorstwa wcale nie będzie trzeba, bo istotnie serdecznie mnie ten pan podsędek zezłościł. Ale powiedz mi jeszcze: skoro spisek z cyrkowcem jest czymś więcej niż zaledwie zuchwałą krotochwilą, to czym jest w swej istocie?

Jacek Zaremba rozłożył dłonie i pokręcił głową.

– Bóg mi świadkiem, panie stolniku dobrodzieju, że nie mam pojęcia, jaką grą zabawia się Rokicki. Jego tłumaczenia może są i logiczne, a jednocześnie tak głupie, że aż prawdopodobne...

– Waszmość o opisywanym przez niego przedstawieniu na dworze królewskim nigdy nie słyszałeś? – przerwał mu Ligęza.

– Nie, panie stolniku, ale w tym nie ma nic podejrzanego, bo przecież nie musiałem o tym zdarzeniu słyszeć, zwłaszcza że w Warszawie byłem ostatnio... – pan Jacek zawiesił głos

– ho, ho, kilka lat temu, i to też jedynie przejazdem. Poza tym przedstawienie, o którym opowiadał Rokicki, mogło się nigdy nie odbyć, ale mógł on historię powtórzyć w dobrej wierze, sądząc, iż rzeczywiście się wydarzyła.

– Tak. To prawda.

– Muszę jednak waści wyznać, że nos mi mówi, iż Rokicki tym fałszywym oskarżeniem chciał coś osiągnąć. I mam też wrażenie, że osiągnięcie tego czegoś mu się nie udało. Ale co by to mogło być?

– Chciał cię rozgniewać? – poddał stolnik. – W jakimż jednak celu?

Zaremba tylko rozłożył bezradnie ręce.

– Trudna sprawa – stwierdził pan Hieronim współczująco.

– I czemu powiedział, że łączy nas pokrewieństwo dusz? Przecież na całym świecie można by szukać ludzi tak różnych jak on i ja i nie znaleźć...

– Pewnie z uprzejmości – uśmiechnął się stolnik dobrodusznie i wyrozumiale. – Nie wiesz, jak to jest, panie Jacku kochany? Pokornie ścielę się do nóżek waszmości dobrodzieja mojego. – Ligęza tak udatnie naśladował teatralnie uniżony i pokorny głos, że aż podstarości roześmiał się, choć wcale nie było mu do śmiechu.

– To prawda, że szlachta nasza w uprzejmości obyczajów nie ma sobie równych na szerokim świecie – stwierdził.

– Chociaż nie przeszkadza to panom braciom zapewniać się wzajem o miłości i polecać pokorne usługi, a zaraz potem wyjść z szablą na

dziedziniec albo, co gorzej, obuszkiem w łeb zajechać tak przed chwilą wielce miłowanego towarzysza.

– Krew, co w żyłach naszej szlachty płynie, nie woda – potwierdził Jacek Zaremba, nie wiadomo, czy z przyganą, czy z pochwałą – a jeśli jeszcze z winem ją pomieszać, to iście wybuchową tworzy mieszanę.

– Oj, tak, tak. I ja pamiętam takie biesiady i weseliska, na których krew równo z winem się lała. Ech, beztróskie czasy młodości! – stolnik zadumał się na chwilę. – Choć powiem ci, panie Jacku, że głupi też wtedy był człowiek. Bo i ja, co z pokorą dzisiaj przyznaję, nie zawsze przykładem stateczności świeciłem i krew niewinnych również na moich jest rękach – ostatnie słowa zabrzmiały ponuro. Ligeza zapatrzył się w niebo za oknem, jakby chciał we wścickłym błękanie odnaleźć pamięć o chwilach, kiedy szabla była szybsza od rozumu, miłosierdzie nie przeważało nad gniewem, a wyrzuty sumienia nie mąciły radości z posłania przeciwnika do piachu.

Podstarości zmilczał, gdyż szczerze mówiąc, nie wiedział, co odpowiedzieć. Jemu też przecież zdarzało się zabić człowieka, ale zwykle w słusznej sprawie, a najczęściej we własnej obronie i służąc prawom Rzeczpospolitej. Nie zawracał sobie tym głowy, gdyż wychodził z założenia, że jeśli on by nie zabił, to jego by zabito, więc korzystniej dla niego, że stało się tak, jak się stało. Bo lepiej stać nad czyimś grobem, niż samemu w grobie leżeć –

choćby dlatego, że człowiek żywy może jeszcze zdać rachunek sumienia i Boga lub bliźnich prosić o wybaczenie grzechów, a martwy musi kontentować się tym, co już zdziałał, gdyż nic więcej uczynić już nie może.

– Tak, panie Jacku, tak to jest – głos gospodarza wyrwał Zarembę z zamyślenia – że musimy, proszę waszmości, hamować gniewne instynkty, które w każdym przecież człowieku buzują niczym para w zakrytym rondlu. Kiedyś tego nie potrafiłem, teraz sądzę, że już potrafię.

– Młodość musi się wyszumieć – odrzekł podstarości.

– Ba, wszyscy tak mówią... Jeno z mojego szumu zbyt wiele nieszczęść się zrodziło, na które teraz jako stary człowiek i zacny, mam taką nadzieję, obywatel, patrzę więcej niż krytycznym okiem. Tak, panie Jacku, tak było, nie ma co ukrywać – kontynuował smutno –

że kilka razy mogłem szablę u boku przytrzymać bez despektu na honorze, a nie

przytrzymałem. I teraz może twarze ludzi, których zabiłem lub okaleczyłem, nie stawałyby mi przed oczami...

Jacek Zaremba opuścił oczy i wbił je w czubki własnych butów, bo coraz bardziej było mu nieswojo, że słucha wyznań starego szlachcica i zastanawiał się, czy sam Ligęza swej szczerości nie będzie niedługo żałować lub się wstydzić. Stolnik spojrział na młodszego towarzysza, chyba zrozumiał jego konfuzję, bo twarz nieco rozpogodził i poklepał Zarembę po ramieniu.

– Zapewniam waści, że na starość też coraz częściej będziesz rachował sumienie, i życzę ci z całego serca, panie Jacku kochany, byś prostsze niż ja miał te rachunki.

– Waćpan dobrodziej swego życia nie musisz się wstydzić – powiedział Zaremba zdecydowanie i ze szczerym przekonaniem. – Nie znam, nikogo, kto w podobnym stopniu co waćpan byłby otoczony czcią i szacunkiem sąsiedzkiem. Szacunkiem, który, co przecież ważne, nie wynika z tego, ile masz wojennej straży na zawołanie, a z tego, żeś zbrojny mądrością oraz prawością jedynie dawnym Rzymianom znaną.

Ligęza zupełnie się rozpogodził.

– Aj, kadzisz mi, panie Jacku, straszliwie – rzucił całkiem już wesołym tonem. –

Żebyś cię nie znał i twej szczerości, pomyślałbym, że otumanić mnie chcesz tym kadzidlanym dymem...

– Słowo szlacheckie, że co w sercu, to na języku – podstarości, zadowolony, że stolnikowi minął ponury nastrój, przyłożył dłoń do serca i skłonił głowę.

– Wiem, wiem, żeś właśnie taki. I takich ludzi nam trzeba, co szczerości się nie lękają...

– Choćby czasem nie była ona miła czyjemuś uchu? – spytał pan Jacek, przymrużając oczy.

– Zwłaszcza takich – poważnie odparł pan Hieronim – a najbardziej takich, którzy wiedzą, kiedy i jak ową niemiłą prawdę głośno powiedzieć.

Podstarości kiwnął głową, gdyż zgadzał się z podobnym mniemaniem i sam uważał, iż trzeba wiedzieć, kiedy, co, komu i w jakich okolicznościach rzec, by największy osiągnąć profit. Bo doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wbrew stwierdzeniom głupców prawda nigdy sama się nie obroni, lecz potrzebuje pełnych mądrości i zapału rycerzy, którzy o jej bezpieczeństwo potrafią zadbać.

– Tak, panie Jacku, tak... Ale powiedz mi, czemuż my rozmawiamy o uprzejmości obyczajów i szczerości?

– Waszmość pan raczyłeś zauważyć, iż opinia Rokickiego, jakoby jestem, niby ja z nim pokrewną duszą – te słowa Zaremba wypowiedział z wyraźnym niesmakiem – wynikały jedynie z grzeczności i nie należy w nich szukać głębszego znaczenia.

– Ach, tak! No więc tak. Tak właśnie sędzę.

– Może i waszmość masz rację – odparł pan Jacek, gdyż sam się poważnie zastanawiał, czy jego podejrzenia nie idą zbyt daleko – nie chciałbym być takim, co aluzję bądź przytyk słyszy w każdym zdaniu, a szum drzew bierze za naszeptywanie się wrogów za jego plecami. Ale czemu, na Boga, ten pan Rokicki odwołał się do Trwogi i Grozy? Czemu wybrał sobie właśnie Fobosa oraz Dejmosa jako przykład naszego niby to braterstwa?

– Takżę Kastora i Polluksa – zaoponował stolnik.

– Kastor i Polluks zgodzę się, bo to retoryczna formuła znana od wieków, jeśli o czyjejs mówimy zażyłości, tak jak przykładu Kaina i Abła użyjemy, kiedy mowa o braterskiej zdradzie – odparł Zaremba – ale Fobos i Dejmos? Słyszałeś kiedyś waszmość, by ktoś się do tych bóstwek czy herosów odwoływał lub z nimi porównywał?

Ligęza zmarszczył brwi i milczał dłuższą chwilę.

– Nie, proszę waści, nie przypominam sobie, ale też pan Gideon nie jest zwyczajną postacią, jak waszmość zauważyłeś, więc i zwyczajnych zachowań po nim nie oczekujemy.

– Pewnie i tak – odetchnął podstarość – będę miał na niego oko i baczenie, ale muszę sam się strzec przed nadmierną podejrzliwością, gdyż ta jedynie obraz zaciemni, miast go rozjaśnić.

– Ty już wiesz najlepiej, panie Jacku kochany.

– Ba! Chciałbym! A tak naprawdę ciemnym jak tabaka w rogu, panie Hieronimie.

Przyznaję to bez bicia i na razie również bez wstydu.

Stolnik poklepał po ramieniu młodszego towarzysza.

– Dasz radę, tak jak zawsze dawałeś. Wspomnij swe sukcesy, wspomnij sprawę zabójstw na dworze wojewody Opalińskiego, dzięki której wyjaśnieniu w całej Wielkopolsce zaczęło być o tobie głośno. Wspomnij to wszystko, a od razu poczujesz się raźniej i uwierzysz, że masz siłę i rozum, by rozwikłać również te tajemnice, które poznałeś, będąc u mnie w gościnie.

Podstarości pochylił się do ręki Ligęzy i ucałował ją.

– Waszmość pan dobrodziej zawsze potrafiłeś natchnąć mnie otuchą – rzekł

serdecznie, rozrzewniony.

– No, no, panie Jacku kochany, nie trzeba. – Stolnik przytulił go do szerokiej piersi i serdecznie uściskał. – Chodźże, mój drogi towarzyszu, musimy coś zjeść, bo przecież nie

zdążyłem dzisiaj jeszcze nic przekąsić, więc w brzuchu mi huczy niczym, nie przymierzając, we młynie.

– Za pozwoleniem waszmości wołałbym wpierw przesłuchać tego Saladyna, skoro waćpan dobrodziej tak uprzejmie mi na owo przesłuchanie pozwoliłeś.

– Cóż, zgoda. Załatw sprawę raz-dwa i przyłącz się do nas.

– Tak właśnie się stanie.

*

– *Nobilis sum*⁵⁶ – powtórzył Saladyn słowa wykrzyczane wcześniej na dziedzińcu, kiedy tylko zobaczył pana Jacka wchodzącego do komórki, w której został zamknięty. –

Nobilis sum! – zawołał z rozpaczą, kiedy zobaczył, że za Zarembą wchodzi do środka potężnie zbudowany, ponury Moskwiczanie z batogiem okręconym wokół dłoni.

– Szlachectwo ci nie pomoże – stwierdził zimno podstarości – choć dla zadośćuczynienia formalnościom powiedz ktoś zacz, skoro nie egipski książę.

– Jestem Tomasz Markiewicz, herbu Ślepowron, szlachcic ziemi ruskiej – odparł

szybko uwięziony cyrkowiec. – Dawno temu bieda wyгнаła mnie z domu rodzinnego i po wielu perypetiach zostałem w końcu właścicielem cyrkowej trupy.

– Coś mała ta twoja trupa – zauważył podstarości. – Gdzieżes podział żonglera i siłacza?

– Za żonglera robi chłopak, którego waszmość pan widziałeś – skwapliwie odpowiedział Markiewicz, a jego spojrzenie cały czas biegło od twarzy podstarości do bizuna w Iwajłowej garści. – Siłacz umarł nam dwa tygodnie temu i tak jeździmy też i szukamy kogo, by go zastąpił...

– Masz jakieś dokumenty?

– Oczywiście, jaśnie wielmożny panie, mam, jakżeby inaczej. Schowane w wozie, pokażę, jeśli tylko zechcecie. Bogu przysięgam, że nie kłamię. *Nobilis sum!*

– Przestań to, panie bracie, powtarzać w kółko, bo za pierwszym razem wystarczająco dobrze usłyszałem, co gadasz – rzekł nieco już zniecierpliwiony Jacek Zaremba, a słowa

„panie bracie” wypowiedział z wyraźną ironią.

– Tak jest, proszę waszmości, tak jest...

– Czemuś mnie oskarżył, skoro nigdy nawet na oczy cię nie widziałem?

56 Nobilis sum (łac.) – jestem szlachcicem.

– Jaśnie oświecony panie, zlituj się, ale to miał być dowcip, który pan Gideon Rokicki, tak mi się przynajmniej przedstawiał, pragnął ci wypłatać. Powiedział, że od wielu lat jesteście przyjaciółmi i że nawzajem robicie sobie różne psikusy, a który z was najcudaczniejszy żart wymyśli, ten nagrodę bierze od drugiego. A że waszmość pan wygrałeś przedtem trzy razy, to pan Rokicki pałał wielką żądzą odwetu. Zmiłujże się nade mną, panie bracie kochany, ale czystym złotem mi zapłacił – głos cyrkowca wyraźnie zadrżał, widać posępna figura nieruchomo stojącego w progu Moskwiczana robiła na nim wrażenie. – Jak Boga kocham, nie sądziłem, że będą z tego jakieś kłopoty.

– Oskarżyłeś szlachcica o morderstwo i gwałt i sądziłeś, że nie będziesz miał

kłopotów? – spytał zimno Zaremba, topiąc spojrzenie w oczach komedianta.

Ten zaraz uciekł wzrokiem i opuścił głowę.

– Głupi byłem, głupi, głupi! Ale dobrze mi zapłacił, złoto mnie oślepiło. A może czary jakie?

Pan Jacek prychnął z niezadowoleniem.

– No, no, ty mi tu na czary winy nie zwalaj. Zresztą coś mi się widzi, że kłamiesz i że z Rokickim więcej cię łączy, niż chciałbyś powiedzieć. Ale nie bój się, bratku, powiesz wszystko, tak czy inaczej! Już Iwajło znajdzie sposób, by ci język rozsznurować.

– Jezus Maria, mówię prawdę! Błagam, jaśnie panie, nie każcie mnie dręczyć! Stary jestem i chory, nie wytrzymam bicia!

– Wielu jest komediantów na świecie, będzie jednego mniej, to nikt nawet nie zauważy.

Jacek Zaremba usiadł na beczce i oparł się wygodnie o ścianę.

– Ja tu się poprzyglądam, jak Iwajło robi siekany kotlet z twoich pleców, a potem pomyślimy, co nam wypada czynić dalej... – Tomasz Markiewicz zaryczał głośno i rozpaczliwie niczym świniak kopnięty w słabiznę. – ... wiedz bowiem, łajdaku –

kontynuował Zaremba – że masz do czynienia z podstarościm łączyckim, który nie od takich jak ty mękami wszystko, co chciał, wydobywał. A jak bat nie pomoże, to i żelaza można rozgrzać...

Cyrkowiec krzyczał jeszcze, zaklinał się na wszystkie świętości, prosił, błagał i nawet obiecywał złote góry, jeśli tylko zostanie wypuszczony, lecz Jacek Zaremba na jego lamentsy nie zwracał już uwagi, tylko usadowił się wygodniej niż poprzednio i czekał, aż Iwajło zajmie się tym, czym zająć się było trzeba.

*

Na całym szerokim świecie próżno byłoby szukać bardziej gościnnej nacji niż szlachecki naród. Z podziwem pisali o tym goście z bliskich lub dalekich od Rzeczypospolitej krajów, którzy nadziwić się nie mogli, iż przyjmowani są przez obcych ludzi niczym najserdeczniejsi przyjaciele i nie tylko goszczeni długimi dniami lub nawet tygodniami czy miesiącami, lecz również obdarowywani na drogę kosztownymi pamiątkami. Szlachta z pogardą lub co najmniej z lekceważeniem traktowała takich panów braci, którzy mieli węża w kieszeni i niechętnie wpuszczali gości do swojego domu. A wielcy posesjonaci, nawet magnaci i książęta krwi, uwielbiani byli przez naród szlachecki tylko wtedy, jeśli o swym pochodzeniu potrafili zapomnieć i zbratać się ze zwykłą szlachtą. Wspólnie z panami braćmi popić, wspólnie pośpiewać, razem wyjechać na polowanie czy choćby na konną przejażdżkę i nie zwracać uwagi na ogromną różnicę w majątku oraz rodzinnych koligacjach. Dlatego też na wielu dworach magnackich zabawy, przyjęcia oraz uczyły trwały cały Boży rok i tylko goście się w tym czasie zmieniali – nierzadko i samemu gospodarzowi zdarzało się opuścić swoje dobra, zostawiając weselących się kompanów, którzy przy dobrych napitkach byli skłonni czekać na niego nawet i kilka miesięcy.

Hieronim Ligęza nie był może magnatem na miarę Radziwiłłów, Opalińskich, Sapiehów, Potockich czy Paców, ale cieszył się wystarczającym majątkiem, a przy tym w okolicy znano go i szanowano, jego dom więc pozostawał otwarty dla miłych gości. I to nie tylko dla przyjaciół, znajomych i sąsiadów, ale nawet dla szlachciców jedynie bawiących w okolicy przejazdem, którzy pragnęli złożyć stolnikowi wyrazy uszanowania, i nieraz tak się składało, że mijało nawet kilka tygodni, zanim z powrotem wybrali się do domu.

Teraz – z uwagi na tajemnicze listy i przybycie gości, z których każdy miał do opowiedzenia historię tyleż tragiczną, co tajemniczą – stolnik postanowił odmienić obyczaje i zapowiedział w okolicy, iż przez kilka następnych tygodni nikogo nie może przyjmować pod swoim dachem, gdyż cały jego czas pochłaniają ważne zobowiązania. I doprawdy wielkim mirem musiał się pan Hieronim cieszyć w okolicy, gdyż sąsiedzi przyjęli owe wyjaśnienia i rozważnie oraz uprzejmie nie próbowali się naprzykrzać wizytami.

Pan Jacek pamiętał dwór Ligęzy sprzed kilku lat, a wtedy dwór ten tętnił życiem. U

stolnika bawiła okoliczna szlachta z rodzinami, a prócz żon i niedorostków, było tam również kilka wielkiej urody panien, które na Zarembę zerkały nawet więcej niż z przychylnością i które, jak to stolnik powiedział, „tak rzesami wachlowały, że z tego wachlowania wiatr powstawał na cały dom”. Na biesiadach przygrywali muzykanci, tańczono, namiętnie grano w karty, żartowano, opowiadano anegdoty, zabawiano się kalamburami i rozmaitymi zagadkami, czytano wiersze i powiastki ... Jeśli jakieś białogłowy chwalono za talenta godne

Melpomeny, to nie zapominały one tychże talentów z ochotą prezentować. A teraz co? Któż mieszkał we dworze stolnika? Wiecznie pijany, nękany wyrzutami sumienia Krzysztof Komarnicki, który wielki rodzinny majątek całkowicie przetracił, a ojca i brata do zguby przywiódł. Paweł Broniewski, młodzieniec zacny, lecz srodze dotknięty rodzinną tragedią: ojca, majątek i dobre imię stracił za przyczyną złej woli niegodziwca, który kosztem jego rodu postanowił się zabawić i skorzystać na łatwowierności ojca pana Pawła. W majątku Ligęzy bawił jeszcze pułkownik Sperling – bladolicy najemnik od lat szukający wroga, który zmasakrował jego żołnierzy, a jego samego pognębił i upokorzył. Był to człowiek oschły i niebezpieczny, który na dwór stolnika przybył z liczną

zbrojną strażą, jakby na zajazd się wybierał, a nie w gości. Zresztą Sperling dwa dni wcześniej wyjechał gdzieś samowtór, tylko z rękodajnym, prosząc pana Hieronima, by raczył jego ludzi przez kilka dni przechować, na co Ligęza przystał z maskowaną niechęcią (bo zawsze to kłopot: mieć w domu obcych służących, pozbawionych swego pana). Gideon Rokicki był gościem stolnika od kilku tygodni, zjawił się we dworze przypadkiem i jakoś tak się sprawy ułożyły, że nie mógł

odjechać, tym bardziej że Ligęza szczerze go przed odjazdem powstrzymywał. W panu Jacku ten dziwny człowiek od samego początku budził nieufność zmieszaną z niechęcią, a teraz, co wydawało się oczywiste ze względu na niedawne zdarzenia, uczucia podstarościego przybrały na sile. Tacy to ludzie bawili u Hieronima Ligęzy i trudno było się spodziewać, by w jego domu panowała radość, skoro i goście nie byli szczególnie weseli, i zamiary, dla których ich wezwano, jawiły się, jeśli nie w złowrogim świetle, to przynajmniej spowite sekretnym mrokiem.

Smutno więc wyglądało dworzyszczce pana Hieronima i chociaż w obejściu kręciło się sporo służby, to jednak w porównaniu z tym, co podstarości pamiętał, majętność sprawiała wrażenie opustoszałej. Cóż, była oczywiście jeszcze piękna Hanna, która w oczach pana Jacka dodawała blasku nie tylko domostwu, ale całej w ogóle jego ekspedycji, jednak dziewczyna niestety nie była panią swego czasu i jeśli wyrwała godzinę na spotkanie z Zarembą, to i tak było dobrze. Hanki pilnowała bowiem surowa ochmistrzyni Ligęzy, której zadaniem było nie tyle chronienie dziewczęcia przed pokusami, ile przygotowanie jej do roli pani gospodarstwa. Bo skoro stolnik zamierzał Hankę dobrze wydać za mąż, to musiała ona wiedzieć, w jaki sposób powinna zachowywać się szlachcianka chcąca rządzić zręcznie i twardą ręką zarówno domem, jak i służbą. Tak to już bowiem w Rzeczypospolitej bywało, że niewiasty nie były jedynie ozdobami dworu, jakimiś mimozami bezwolnie kołyszącymi się na wietrze, lecz kierowały, rządziły i decydowały – często mając w sprawach znacznej wagi dużo więcej do powiedzenia niż mężowie. Zrozumiały więc, że dziewczyna poddawana tak

intensywnej edukacji niewiele mogła znaleźć czasu na schadzki z panem Jackiem, a i sam podstarości nie dążył do tych spotkań aż tak znowu chętnie, bo po pierwsze obawiał się, czy nadmierna zażyłość z Hanką nie popsuje aby jego stosunków z Ligęzą, a po drugie piekielny upał odbierał

mu chęć na cokolwiek, nawet na to, co w innych okolicznościach zdawałoby mu się całkiem intrygujące i ciekawe.

Zaremba wracał do dworu po rozmówieniu się z Saladynem, a komediant znowu poszedł na postronek w komórcę, bo chociaż po człowieku w tak opłakanej kondycji nie należało się spodziewać, by wykrzesał z siebie siły na ucieczkę, to pan Jacek wołał dmuchać na zimne. Kiedy znalazł się w jadalni, zastał tam już Ligęzę i jego gości, stół znowu zastawiono tak gęsto potrawami i napitkami, że ciężko byłoby znaleźć na obrusie wolne miejsce, by choćby dłoń położyć.

– A chodźże do nas, panie Jacku kochany, chodź! – zawołał stolnik, kiedy tylko ujrzał

podstarościego w progę. – Już tu dobrą godzinę, jak nie lepiej, jemy i pijemy bez ciebie, więc musisz nadgonić stracony czas.

– Sługa stolnika dobrodzieja – rzekł grzecznie Zaremba i zajął miejsce na krześle, które po prawicy stolnika wolne na niego czekało.

– Waszmość musisz koniecznie popróbować owego znakomitego zajączka –

powiedział uprzejmie Paweł Broniewski – bo przyznam waści, jak to już obecnym waćpanom dobrodziejom wcześniej mówiłem, że dawno tak smacznej pieczeni nie kosztowałem. Palce lizać!

Pan Jacek podziękował za radę i obiecał się do niej zastosować, a jak obiecał, tak od razu uczynił, sięgając w stronę półmiska.

– A ja się sprzeciwiam! – zawołał kapryśnym tonem Rokicki. – Bo choć najczęściej, *sicut meus est mos*⁵⁷, zgadzam się ze wszystkimi, to tym razem powiedzieć muszę, że nad owego całkiem zręcznie, przyznam to bez oporu, przyrządzonego zająca, *personaliter*⁵⁸

przedkładałam owe perliczki, które leżą na półmisku po waści lewej ręce i które już tylko dwie zostały, bo resztę żeśmy z wielkim apetytem zdążyli spałaszować – podsędek się roześmiał.

– Też jadłem te ptaszki i przyznam, że coś w tym jest, co twierdzi pan Gideon –

zgodził się miecznikowic.

– Nie „coś”, bynajmniej nie „coś” – burknął Rokicki – ale ekstraordynaryjna soczystość i kruchość tego mięsa, tak niełatwego do umiejętnego upieczenia, gdyż jedynie *57 Sicut meus est mos* (łac.) – jak to jest w moim zwyczaju.

⁵⁸ *Personaliter* (łac.) – osobiście.

niewielu kucharzy potrafi znaleźć *aurea mediocritas*⁵⁹ pomiędzy tym, by perliczki nie wysuszyć, a tym, by nie zatopić jej w tłuszczu. Ja z waszmościami o cały majątek się założeń –

podstępnie rozejrzał się wokół z pewną siebie miną – że te ptaszki nie tylko naszpikowano słoninką i boczkiem, by nadać im soczystej jędrności, lecz i głowę dam, że przedtem całą noc moczyły się w solance.

– Poza kucharzem stolnika dobrodzieja nikt by tego zakładu nie mógł rozstrzygnąć –

zauważył Broniewski. – A ja przyznam się waszmościom dobrodziejom, że na sztuce kulinarnej znam się jedynie tyle, że wiem, jaki smak czuję w ustach, a poza tym niewiele więcej mogę powiedzieć.

– Mnie, bym zdolności stolnikowego kucharza uznał za niedościgłe, starczy, że przy stolnikowym zasiadam stole, a samo wtedy *opus opificem probat*⁶⁰ bez żadnej wątpliwości i tego jestem pewien, że w tym wypadku *ventrem nimis replere non nocet*⁶¹. I powiem waćpanom również, że skoro *cornu copiae*⁶² tak szcudrobliwie przed nami postawiono, to ja korzystać z niego zamierzam!

I już pan Gideon, by – broń Boże – nikt z obecnych nie mógł mu zarzucić rozdźwięku pomiędzy tym, co mówi, a tym co, czyni, pochwyił w obie dłonie widelce, nadzwyczaj zręcznie nabił jedną perliczkę na jeden widelec, drugą zaś na drugi, po czym pierwszego ptaka bardzo delikatnie upuścił na talerz pana Jacka, a drugiego ułożył na swoim.

– Dziękuję waszmości – rzekł Zaremba, po czym zwrócił się w stronę Krzysztofa Komarnickiego, który kołysał w dłoni pełnym kielichem i bezmyślnie obserwował, jak trunek przetacza się od brzegu do brzegu niczym łagodna fala na jeziorze, i zagadnął: – A asan co byś mi polecił?

Podczaszycowiczowi brzeskiemu zajęło chwilę, zanim zauważył i zrozumiał, że pan Jacek zwraca się właśnie do niego. Odstawił kielich niemal z przestachem i tak gwałtownie, że krople wina zbryzgały obrus niczym krew z nakłutej pijawki.

– Co takiego? Co takiego? – zapytał niespokojnie.

– Pytałem waćpana, co ci najbardziej smakuje? – powtórzył życzliwie podstarość.

– Co mi najbardziej... co mi najbardziej... – Komarnicki w panice rozejrzał się po stole – wszystko, proszę waszmości, wszystko! U stolnika dobrodzieja naszego wszystko 59 *Aurea mediocritas* (łac.) – złoty środek.

60 *Opus opificem probat* (łac.) – dzieło dowodzi [umiejętności] twórcy.

61 *Ventrem nimis replere non nocet* (łac.) – nie szkodzi zanadto napelnić żołądek.

62 *Cornu copiae* (łac.) – róg obfitości.

wygląda i smakuje niczym na ucztach rzymskich cesarów – pan Krzysztof przypochlebczo skłonił głowę, spoglądając w stronę Ligęzy.

Zaremba westchnął jedynie, ale stolnik nastroszył brwi.

– Gdybyś asan gościł przy stole rzymskiego cesarza, tobyś zapewne dostał pasztet ze słowiczych języków, pieczeń z hipopotama i nóżki flaminga, a do popicia perły rozpuszczone w winie. Tymczasem ze mnie żaden rzymski cesarz, jeno prosty polski szlachcic, dla którego smak jest najważniejszy, a nie cudaczność. I tak mi dopomóż Bóg.

Komarnicki wyraźnie się zmieszał i przestraszył.

– Stolniku dobrodzieju najdroższy, toż ja w dobrej wierze...

Ligęza machnął ręką.

– Nie turbuj się asan – rzekł zdecydowanie łagodniej, a potem odwrócił głowę w stronę Zaremby.

– Jakże tam się sprawy mają, panie Jacku? – zapytał niby lekkim tonem, lecz spojrzał

uważnie w stronę przyjaciela.

– Całkiem dobrze, panie stolniku.

– Skoro dobrze, to dobrze – pan Hieronim skinął głową. – No, jedz waść, jedz, boś pewnie głodny jak wilk.

– Pokornie waćpanowi dziękuję – odparł podstarość i nie trzeba go było dłużej namawiać, bo naprawdę zarówno aromat potraw, jak i ich wygląd obudziły w nim apetyt.

Poza tym kiedy widział innych gości zajadających, kosztujących, pałaszujących, smakujących, próbujących i delektujących się, kiedy usłyszał, jak mlaszczą, cmokają i chlipią, i to nie z zadowoleniem, ale w smakowej wręcz ekstazie wywołanej zdolnościami stolnikowych kucharzy, to poczuł, że ślina napływa mu do ust.

U stolnika Ligęzy karmiono nie tylko obficie, lecz i – jak pan Hieronim miał nadzieję

– smacznie, co nie było w Rzeczpospolitej regułą (Jacek Zaremba dobrze o tym wiedział), lecz chwalebny wyjątkiem. Bowiem wielu panów braci i wielu posesjonatów, ba, wielu nawet możnych magnatów czasami

nadzwyczaj nieszczęśliwie dobierało sobie kucharzy, kuchcików i podkuchennych, którzy nie dość, że cały dzień pili, to potem pijani przygotowywali potrawy. I z tegoż powodu dania często były przypalone albo zimne, rozmiękle niczym przybrzeżne błoto albo twarde niczym podeszwa żołnierskiego buta. Jeśli ich nie przepieprzono, to przesolono. Gdy powstrzymano się z szafowaniem pieprzem i solą, to tak zasypano szafranem, że każda potrawa wyglądała kubek w kubek jak inna, bo każda była żółtego koloru. I w dodatku smakowały one niemal tak samo, gdyż każda tak była pikantna, że język kołowaciał. Na szczęście naczelnym kucharzem pana Hieronima był nie tylko

mistrzem w swym fachu, lecz również prawdziwym abstynentem, który jak do śniadania wypił kubek gorzałki, to potem przez cały dzień nie tykał już trunków, oprócz co najwyżej kilku flaszeczek piwa między posiłkami. Dzięki temu potrafił nie tylko skomponować właściwy smak potraw, ale również przypilnować kuchenną służbę, by zajmowała się pracą, a nie wyprawianiem brewerii.

Podstarości wiedział doskonale, jakim skarbem wśród służby jest człowiek niemający zamiłowania do mocnych napitków, gdyż napatrzył się na dwory i dworki, a nawet pałace, w których jeśli kto pracował, to co najwyżej w przerwie pomiędzy jedną a drugą popijawą.

Wielu mawiało, że jeśli kto w Rzeczypospolitej nie pije, to jedynie ludzie śmiertelnie chorzy albo dzieci. Pan Jacek nie miał nic przeciwko uciechom kielicha i lubił kiedy czasem z czupryny mu się zadymiło, ale wiedział również, że w ferworze hulanki najłatwiej o popełnienie błędu, który może się skończyć nieszczęściem. Łatwo też zamienić się z człowieka w bezrozumne zwierzę, które pełźnie na czworakach i bełkocze, a podstarościemu łęczyckiemu taka zamiana i utrata kontroli nad własnymi umysłem i ciałem wydawała się nie tylko niezwykle kłopotliwa, ale również godna pożałowania.

– Znamienity ten waćpanowy kucharz, trzeba przyznać – pochwalił Zaremba niewyraźnie, bo z pełnymi ustami.

– Jak mi, nie daj Bóg, zemrze, gdzie ja drugiego takiego znajdę? Powiadam waćpanom: już i pan kasztelan sieradzki słał do mnie posłów, żebym mu tego mojego Zygmunia oddał, i to samo wojewoda kaliski...

– Pan Rafał Leszczyński? – zainteresował się Jacek Zaremba.

– Znasz jaśnie oświeconego wojewodę, prawda, panie Jacku kochany? No właśnie on, nikt inny. Bardzo się na mnie pogniewał, kiedy mu

odmówił – Ligęza westchnął – ale ja każdemu odmówię, no może z wyjątkiem króla jegomości – zastrzegł od razu. – Jaśnie pan ma jednak swoich kucharzy, to mojego, chudopacholskiego, pewnie nie potrzebuje...

– Ano o takiego kucharza to i ja bym się pięknie przymówił – rzekł Rokicki – powiem waści, że nawet chętniej niż o dzianeta z uprzężą.

Ligęza roześmiał się.

– Oj, wielu było takich, co się przymawiali i sądzili, że jak kunszt kulinarny mojego Zygmunta pochwalą, to od razu zapytam, czy by go nie chcieli do siebie zabrać...

Niedoczekanie!

– My, naród szlachecki, serca mamy czułe, a kieszenie szerokie – powiedział

podstępnie, nie wiadomo, z pochwałą czy z przyganą – wystarczy, że ktoś nasze sprzęty, psa,

konika czy służącego pochwali, a już skłonniśmy mu nieba przychylić i nie bacząc, że *blanditia pessimum venenum*⁶³, chwaloną rzecz na własność oddać.

Paweł Broniewski gwałtownie pokiwał głową.

– I ja podobnych ludzi dobrze poznałem – przyznał niechętnym tonem – bo na dwór ojca mojego dobrodzieja wielu takich trafiało, co chcieli się przymówić, jeśli nie o konia czy psa, to chociaż o srebrny kubek. – Potem miecznikowic uśmiechnął się. – Ale przy maceczce mojej, świeć Panie nad jej duszą, to żaden nie był taki odważny, bo maceczka moja, świeć Panie nad jej duszą, nie tylko szablę miała ostrą, język również. I niejednemu takiemu gościowi przymawiania poszły w pięty, kiedy miał nieszczęście wspomnieć coś tak, że maceczka moja, świeć Panie nad jej duszą, usłyszała.

Krzysztof Komarnicki podniósł zmętniały wzrok.

– A ojciec mój mawiał, tandem tedy, mosterdzieju, że tylko kiep daje co ludziom w podarunku. Bo człek mądry daje, zgodnie z rzymskim powiedzeniem, tylko po to, by samemu w zamian wziąć. I ojciec mój dodawał jeszcze, że wziąć trzeba dużo więcej, niż się dało, bo inaczej będą cię, tandem tedy, mosterdzieju, mieli za ostatniego kpa i niedołągę.

– A to w sąsiedztwie musieli waszmości ojca wielce kochać – zadrwił pan Jacek.

– Kochać, nie kochali, ale bali się jak samego diabła – odparł Komarnicki bez śladu urazy w głosie – bo ojciec mój, tandem tedy, mosterdzieju, potrafił szermować i szablą, i paragrafami. – Pan Krzysztof

niepewną dłonią podniósł kielich. – Zdrowie, waćpanowie, ojca mojego, podczaszyca brzeskiego! – zawołał.

– Przecież asana ojciec nie żyje! – gniewnie zaprotestował Ligeza.

Krzysztof Komarnicki zakołysał się na krześle i przymrużył oczy, jakby coś usiłował

zrozumieć albo coś sobie przypomnieć. Bezgłośnie poruszył ustami.

– Nie żyje – powtórzył wreszcie cicho i odstawił kielich. – Taaak, nie żyje.

Rzeczywiście: nie żyje. Mówiłem waszmościom, tandem tedy, mosterdzieju, czyż nie?

Jaworski go usiekł. Tak właśnie mówiłem – podczaszycowicz pokiwał smętnie głową, po czym utkwił spojrzenie w rozbabranym daniu na talerzu.

Przez chwilę wszyscy milczeli, wpatrując się w pijanego szlachcica, który chwiał się, zupełnie jakby siedział w szalupie kołyszącej się na falach.

– Nie ma co, coraz szybciej nam ten pan Komarnicki odpływa do własnego świata –

stwierdził Zaremba.

63 *Blanditia pessimum venenum* (łac.) – najgorsza trucizna pochlebstwa.

– A niech odpływa. – Ligeza odwrócił wzrok od podczaszycowicza. – O czym myśmy, waściowie, gadali?

– O waćpanowym niezrównanym kucharzu, o którego nawet magnaci się przymawiają

– poddał usłudze Gideon Rokicki.

– Właśnie. Tak było. Czasem podobnym prośbom trzeba odmawiać, niezależnie od tego, czy się jest wielkim panem czy takim jak ja byle chudopachołkiem...

– O, proszę waszmości!

– Cicho, panie Rokicki, cicho – stolnik pogroził podsędkowi palcem na poły surowo, na poły żartobliwie.

– Ba, szkopał w tym, że kto odmawia, tego za niegrzecznego mają albo, co gorsza, za skąpego – westchnął Paweł Broniewski.

– Waścinej matce jednak podobna surowość uchodziła, jak powiedziałaś nam wcześniej.

– Mateczce, świeć Panie nad jej duszą, rzeczywiście jakoś uchodziła – przyznał

miecznikowic.

– A co, ja miałbym żonę oddać, wystarczy, że ktoś się przymówi, albo córkę? –

zmarszczył brwi Ligęza.

– Ja tam żonę i córkę bym oddał – rzucił wesoło Rokicki.

– A to niby czemu?

– Bo ani jednej, ani drugiej nie mam, a *nihil habenti nihil deest*⁶⁴ – zaśmiał się podsędek. – Mówiłem waszmościom że w stanie wdowieńskim nieszczęsny żywot pędzę, a i potomstwem żadna z połowic mnie nie obdarowała. Choć kto wie? Jeśli kiedyś zmienię modus *procedendi*⁶⁵ z białogłowami, to może i nową żonę wezmę, i synów jeszcze się doczekam. A wtedy życzylibym sobie – żartobliwy ton Rokickiego nabrał nagle powagi – by zawsze z zacnych obywateli takich jak waszmość dobrodziej – tu podsędek wstał z miejsca i skłonił się przed stolnikiem – brali światły przykład.

– Dziękuję waszmości – Ligęza uniósł kielich. – Jak już się o tego potomka waćpan postarasz, a ja w tej dalekiej przyszłości jeszcze żyć będę, to chętnie waści za kuma posłużę.

– Trzymam waćpana za słowo!

⁶⁴ *Nihil habenti nihil deest* (łac.) – temu, kto niczego nie ma, nic nie brak.

⁶⁵ *Modus procedendi* (łac.) – sposób postępowania.

– A swoją drogą... co racja, to racja, panie stolniku – rzekł zamyślony Jacek Zaremba

– bo sędzę, że rzecz w tym, by z serca dawać podarki, nie z musu wywołanego złym czy dobrym, bo różnie o tym mówią, obyczajem.

– Święta racja: z serca. Waćpana zdrowie, panie Zarembo kochany, bo waszmość pięknie naszą dyskusję skwitowałeś! – Stolnik uniósł kielich, przepijając w stronę podstarościego.

Kiedy już kielichy wychylili, Ligęza otarł wąsiska, sapnął i powiedział:

– O, widzicie waćpanowie, przypomniała mi się pewna historia, która do dyskusji naszej pewnie przypasuje jak ulał, i jeśli zechcecie posłuchać, chętnie wam ją opowiem.

– Z najwyższą rozkoszą! – zakrzyknął od razu Gideon Rokicki i tak się zagapił w twarz stolnika, jakby chciał wzrokiem łapać wszystkie słowa

wychodzącego z jego ust, by, Boże broń!, żadnego nie przepuścić.

Pan Jacek po raz kolejny poczuł niechęć do tego człowieka, który co i raz przybierał

manierę tak służalczo uprzejmą. Poza tym podstarość miał wrażenie, że owa nadskakująca grzeczność wcale nie wynika z charakteru podsędka lipnowskiego, a jest jedynie rolą albo raczej maską skrywającą prawdziwe oblicze tego człowieka.

– Imaginujcie sobie, waćpanowie, że kiedyś miałem okazję bawić w gościnie u wielmożnego chorążego przemyskiego pana Stefana Bala... – zaczął stolnik.

– O, znamy to nazwisko, znamy – pospiesznie wtrącił Rokicki – możny pan w samej rzeczy.

– Ten sam właśnie – zgodził się Ligęza. – Człowiek to był nie tylko niezmiernie bogaty, ale i niespotykane mężny, nie wiem, czy waćpanowie wiecie, iż król powierzył jego rodzinie obowiązek strzeżenia granic przed bandami rozbójników przychodzących z Węgier, z czego pan chorąży pilnie się wywiązywał, wielki przy okazji zbierając majątek...

Jacek Zaremba pokiwał głową z uznaniem, gdyż również uważał, że najlepiej, kiedy służbę królowi oraz obywatelom łączy się z zadbaniem o własny szczęśny los.

– Powiadam waszmościom: biedne jest to ruskie województwo – pokręcił głową podsędek – przez Bieszczady taka masa przechodzi do Rzeczypospolitej różnego sortu łotrów, bandytów, rabusiów, podpalaczy i morderców, że aż serce się kraje, gdy człowiek pomyśli, ile szkód *ius caducum*⁶⁶ narobią. A ile dobra nagrabiają... – pan Gideon westchnął ciężko.

– Ale za to szlachta w województwie ruskim jest bitna i twarda – zauważył Ligęza – I choć nie zgodzę się z tymi, co złośliwie twierdzą, że jeden Rusin za trzech stanie *ius caducum* (łac.) – prawem kaduka.

Wielkopolan, to jednak przyznać trzeba, że naród nasz szlachecki w tamtych stronach mieszkający z prawdziwie wytrzymałej jest ulepiony gliny.

– Święte słowa, panie stolniku dobrodzieju – Paweł Broniewski zgodził się ze zdaniem gospodarza. – A co powiedzieć o tych, co na rubieżach Rzeczypospolitej mieszkają w województwie kijowskim czy podolskim?

– A ci, co żyli, hen pod Smoleńskiem lub Kijowem? – dopowiedział Rokicki.

– Smoleńsk, Kijów... – powtórzył zaszępioty stolnik – aż żał myśleć, że nigdy już te miasta nie będą nasze, że nigdy na łono Rzeczypospolitej nie powrócą.

– Ależ, panie stolniku, jak Moskwićzanie zabrali nam Kijów i Smoleńsk, tak my im z powrotem je odbierzemy! – zawołał Zaremba.

– Mówią, że traktat ma zostać z Moskwą zawarty – rzekł ponuro pan Hieronim, na którym zapał podstarościego najmniejszego nie wywarł wrażenia – i że Rzeczpospolita w traktacie tym zrezygnuje ze Smoleńska, Kijowa, Siewierza, że cały lewy brzeg Dniepru oddamy carowi. A wieǳcie, waćpanowie – stolnik podniósł głos – że jak Moskwićzaninowi raz ustąpicie chociaż na krok, to zwiertzy on waszą słabość tak samo, jak mucha potrafi zwiertzyć gnijące mięso. I już nie popuści. Życzliwość uzna za słabość, a chęć do negocjacji za poddanie. Powiadam wam, waszmościowie, że z Moskwą jedna tylko rada...

– Bić kurwisynów! – krzyknął pan Jacek, wałąc podstawą kielicha w stół.

– Bić kurwisynów – zgodził się Paweł Broniewski.

– Bić kurwisynów – bezmyślnie powtórzył wybudzony ze stuporu Komarnicki.

– Jeno *leonem larva terrere*⁶⁷ można jedynie do czasu – zauważył pan Gideon. – A powiedzcie waściowie, w jakiż to sposób mamy bić Moskwićzan, kiedy car nawet dwieście tysięcy wojska potrafi bez trudu zebrać, a Rzeczpospolita przed wiedeńską odsieczą wystawiła raptem trzyǳieści tysięcy zbrojnych? – cicho spytał.

– Co na liczącą trzysta tysięcy żołnierza turecką armię jednak starczyło! – nie zgodził się Ligęza.

– Iii tam, trzysta tysięcy – skrzywił się podsędek – chyba że ze służbą i ciurami, bo samych żołnierzy było co najwyżej sto pięćǳiesiąt tysięcy.

– Nigdy w historii Turcy nie wystawili większej armii. To wszyscy wieǳą – wtrącił pan Paweł.

– Z tym akurat chętnie się zgodzę – przyznał Rokicki – jednak z tym, że Rzeczpospolita odzyska jeszcze kiedyś Kijów i Smoleńsk, zgodzić się już nie mogę. Bo w 67 *Leonem larva terrere* (łac.) – lwa maską straszyć.

moskiewskim carstwie wszelkie sprawy idą *de facto*⁶⁸ ku lepszemu, a w ojczyźnie naszej, niestety, całkiem rzeczy się mają odwrotnie.

Jacek Zaremba chciał coś powiedzieć i już nawet usta otworzył, a znając panajackowe przekonania, pewnie to coś by podsędkowi poszło w pięty, ale jednak zmilczał. Po wczorajszej scysji z Rokickim nie zamierzał wchodzić z tym człowiekiem w żadne dysputy.

Tylko więc gębę zapchał sandaczem w galarecie, świeżutkim zresztą, pachnącym i soczystym, aby przypadkiem się nie odezwać i nie wywołać tym odezwaniem kolejnego responsu pana Gideona.

– Wszystko to habsburska intryga – stwierdził stolnik – by i nas, i Moskwę przeciw Turcji popchnąć i byśmy habsburskie interesa własną krwią opłacili.

– Turcy to przeciwnicy chrześcijaństwa i całego rodzaju ludzkiego – zaoponował

Jacek Zaremba.

– Arcykatolickiemu królowi Francji jakoś to jednak nie przeszkadza, co, panie Jacku?

– Ligęza zgromił podstarościego wzrokiem. – Od lat jest najwierniejszym stronnikiem i sojusznikiem Turków. I pomimo że ma się za dobrego katolika, to wśród pogan znalazł sobie największych przyjaciół.

– Waszmość, jak widzę, do francuskiego należysz stronnictwa – zauważył Rokicki.

Tym razem pan Hieronim obrócił wzrok na podsędkę, a było to spojrzenie jeszcze surowsze niż to, którym przed chwilą starał się zawstydzić Zarembę.

– Ja jestem Polak i należę, należałem i należeć będę do polskiego tylko stronnictwa –

rzekł twardo. – Powiem też waszmości, że nawet z diabłem gotowym pójść pod rękę, byle taki spacer obrócił się na korzyść Rzeczpospolitej.

Zaremba tylko westchnął, a Gideon Rokicki uśmiechnął się uprzejmie.

– Och, chwalebna jest tak gorąca miłość ojczyzny – powiedział z podziwem – bo kiedy słucham waćpana, to jakbym słuchał najczcigodniejszych ojców narodu rzymskiego. A przecież zdawać by się mogło, że w trudnej sztuce miłości ojczyzny prześcignąć nikt nie potrafi Katona, Marka Aureliusza, Cyncynata czy Mucjusza Scewoli, czemu waszmość każdym swym słowem kłam zadajesz.

Zadowolony Ligeza skinął mu głową w podzięcie za uprzejme słowa, a pan Jacek zastanawiał się, czy stolnik naprawdę wierzy czołobitnym opiniom pana podsędka, czy też dziękuje mu powodowany zaledwie zdawkową grzecznością, wynikającą zarówno ze świętego obowiązku gospodarskiego, jak i z obowiązku osoby, którą tak gorąco pochwalono.

68 *De facto* (łac.) – w istocie.

– Na Prusy powinniśmy pójść, nie na Wiedeń – wtrącił niespodziewanie dla wszystkich Paweł Broniewski. – Ja spod pruskiej pochodzę granicy, jak waćpanowie wiecie, i zapewniam was, że jeszcze z elektorem niejedyn będziemy mieć kłopot...

– Wystarczająco wiele mieliśmy ich już do tej pory – zauważył podstarość.

– ... Wtedy, kiedy Habsburgowie nie mogli elektorowi pomagać, bo turecki miecz nad nimi wisiał, trzeba było Prusy najechać i dla Rzeczypospolitej te utracone przed laty ziemie odzyskać – dokończył pan Paweł.

– Nie nasza to głowa, skoro król tak, a nie inaczej postanowił – odparł Zaremba, wzruszając ramionami. – Powiem waszmościom, że ja tego bić będę, kogo władca mój bić każe. A czemu, kiedy i co dalej, niech się już w Warszawie martwią.

– To prawda, że król wie więcej i ma wielu mądrych doradców – przyznał Broniewski, ale w jego głosie zabrzmiał smutek – jednak na mój rozum, to żal. Ale tak jak pan Zaremba mówi: nie nasza głowa...

– Waćpanowie kochani, nie o polityce mieliśmy przecież rozprawiać, a słuchać o tym, co na nasz drogi gospodarz zamierzał nam opowiedzieć – zawołał Gideon Rokicki. – Panie Hieronimie kochany, mów waść, co się tam wydarzyło u chorążego Bala w gościnie, bo mnie zaraz ciekawość do kości zeżre, jeśli waszmość pan nie wrócisz do opowieści!

– Tak jest, czekamy, czekamy, stolniku dobrodzieju – dopowiedział grzecznie Paweł

Broniewski.

– Ano dobrze – skinął głową Ligeza – rzecz się miała tak, że pana Bala odwiedziłem w Balogrodzie, warowni, którą dziad chorążego wznosił na tych dzikich terenach, by z niej panować nad całą okolicą. Uczty, które pan chorąży wyprawiał w Balogrodzie, przeszły, powiadam wam, waszmość panowie, do legendy i wierzcie mi, że nie było wśród szlachty

przemyskiego województwa człowieka, który na owe uczyty nie chciałby być zapraszany. A kogo z jakichś powodów, czy przez zaniedbanie, czy celowo, pominięto, ten pilnie się starał, by następnym razem podobna przykrość mu się nie zdarzyła.

Podstarości pokiwał głową z porozumiewawczym uśmiechem, gdyż dobrze znał

owczy pęd kierujący większością ludzi i każący im ślepo, bez wahania i bezmyślnie postępować według mody wprowadzanej przez znaczniejszych czy majątniejszych. Skoro więc uczyty u chorążego Bala cieszyły się powodzeniem okolicznej szlachty, to można było spokojnie uwierzyć, iż ludzie na nie niezaproszeni daliby się pokroić na plasterki, by zaproszonymi zostać.

– Pan Bal poza zamkiem przez swego dziada, jak już wspominałem, zbudowanym, posiadał piękny klucz wiosek, jeśli dobrze pomnę, ze trzydzieści ich było...

– Prawdziwie zacny majątek – stwierdził z uznaniem Paweł Broniewski.

– Nie taki, jaki by był u nas w Wielkopolsce – powiedział stolnik tonem wyższości –

bo przecież nie można tych dzikich wioścżyn ruskiego województwa porównywać z naszymi pięknymi i ludnymi majątkami, gdzie mieszka lud od pokoleń do tej właśnie, a nie innej ziemi przywiązany, a przy tym gospodarny i robotny.

– Z tym się chętnie zgodzę, że Wielkopolan nikt w pracowitości nie prześcignie, choćby bardzo się starał – powiedział podstarości, który przecież sam i był, i czuł się Wielkopolaninem, gdyż cały ród Zarembów brał początek w województwie sieradzkim, skąd jego członkowie rozprzestrzenili się zarówno na Wielkopolskę, stając się tam jednym z najznamienitszych rodów, jak i na całą Rzeczpospolitą.

– Ale wracając do pana Bala: tak jak mówiłem, był to człowiek mężny i majątny, a przy tym, rzecz godna pochwały i najwyższego szacunku, niezwykle hojny. I to nie hojnością magnata, który podarunkami pragnie zjednać sobie stronników, ale hojnością człowieka zacnego, który w dawaniu szczęścia uboższym od siebie własne widzi szczęście oraz zadowolenie.

Pan Jacek nieznacznie uśmiechnął się pod wąsem, gdyż oczywiście wierzył Ligęzie, że chorąży przemyski miał złote serce i hojną rękę, ale

wiedział też, że im człowiek jest znamienitszy, tym więcej go kosztuje utrzymanie owej znamienitości w oczach panów braci.

A organizowanie wystawnych uczt oraz drogie podarunki świetnie takowy szacunek współobywateli podtrzymywały.

– Jakoś tak się zdarzyło, że chorąży przemyski mnie polubił, a ja polubiłem jego... –

głos stolnika ocieplił się. – Raz on mnie uratował życie, własną szablą zasłaniając przed węgierskim zbójnikiem, a raz ja jego ocaliłem, kiedy wypiwszy zbyt wiele, wpadł głową do beczki z winem i dopiero za pas go z tej przykrej kąpieli wyciągnąłem, bo inaczej jak nic by się utopił.

– Uch, dla wielkiego pana podobna śmierć to nic przyjemnego – skrzywił się Rokicki.

– Taka śmierć nikomu nie przystoi – poprawił go Ligęza i wzruszył ramionami. – Ba, śmierć, jakakolwiek by ona była, to nic przyjemnego – dodał po chwili, zasępiony.

– Panie stolniku dobrodzieju, ale zawsze to lepiej zginąć na polu bitwy, niż po pijanemu utopić się w winie – szybko wtrącił podstarość, by nie pozwolić panu Hieronimowi na rozmyślenia na temat nieuchronności śmierci, do czego stolnik ostatnio miał inklinacje. –

Nie mam słuszności?

Ligęza machnął ręką.

– Pewnie, że masz, panie Jacku kochany. W każdym razie chciałem rzec, że z panem chorążym bawiliśmy się przednio i sam ciągle powtarzałem, iż miłuje mnie niczym brata, a ja najzupełniej szczerze podobną uprzejmością mu odpowiadałem. Dlatego wielce bolałem nad tym, że jego gościnę nie tylko musiałem opuścić szybciej, niż zamierzałem, ale i nad tym, że nieprędko do Balogrodu powrócę, lub nawet nigdy – stolnik westchnął z wyraźnym smutkiem.

– Wielcem ciekaw, cóż takiego się wydarzyło? – zapytał zaintrygowany Zaremba. –

Oczywiście, jeśli waszmość możesz o tym opowiadać.

– Rzecz jasna, panie Jacku, że mogę, bo dlatego przecież opowiadać zacząłem, by podzielić się z wami owym wspomnieniem.

Pan Hieronim, ponieważ od gadania zaschło mu już w gębie, przechylił kielich do ust i nie prędzej go od warg oderwał, aż cały, do samiutkiego dna, opróżnił. Potem zczekał, aż sługa napelni naczynie i znów łyknął wina, lecz tym razem ukontentował się niewielką jego ilością,

pijąc pewnie bardziej dlatego, by mieć czas na zebranie myśli, niż by ugasić pragnienie.

– Pan chorąży był człowiekiem, który co miał w sercu, to i na języku oraz w uczynkach. Jak kogoś kochał, to gorąco i szczerze, a jak nienawidził, to z prawdziwą pasją...

– Wiele biedy z takich natur się bierze – Rokicki uniósł wskazujący palec, jakby chciał

wszystkich obecnych przestrzec przed ludźmi o podobnym charakterze.

– A waszmość mianowicie co chcesz przez to powiedzieć? – Ligęza obrócił wzrok na podsędką, zły nawet nie dlatego, że mu przerwano, lecz dlatego, iż podano w wątpliwość, choć nie wprost, zalety chorążego Bala.

– Ano tyle tylko, stolniku dobrodzieju, że ludzie podobnej konstrukcji, o jakiej waszmość wspomniałeś, choć mówią i czynią *audaciter et sincere*⁶⁹, to jednocześnie niezwykle łatwo popadają w pasję i są zdolni do postępów, których potem *pectore ab imo per dies noctesque*⁷⁰ bardzo żałują, a nawet do takich, z których muszą się spowiadać i o rozgrzeszenie prosić, jeśli nie chcą przed Sądem Bożym stanąć z ciężarem buntu przeciw piątemu przykazaniu.

Pan Hieronim powoli i z namysłem skinął głową, cały czas bacznie spoglądając na Rokickiego, który odpowiadał mu niewinnym wzrokiem.

69 *Audaciter et sincere* (łac.) – odważnie i szczerze.

70 *Pectore ab imo per dies noctesque* (łac.) – z głębi serca dniami i nocami.

– Jest coś w tym, co waszmość mówisz – rzekł wreszcie – na szczęście o panu chorążym nikt by nie mógł powiedzieć, że srożył się nadmiernie, choć dla zbójów rękę miał

wyjatkową ciężką, to trzeba przyznać.

– I słusznie – Jacek Zaremba zdecydowanie poparł poczynania Stefana Bala. – Jeśli złodziejom, rabusiom czy innym przestępcom pofolgujesz, to raz-dwa na głowę ci wleżą.

Takie natury jedynie język bata rozumieją.

– Cóż, pan chorąży złapanych złoczyńców od razu kazał wieszać – wzruszył

ramionami Ligęza – co miało dobre strony, bo nie psocili już więcej.

Paweł Broniewski uśmiechnął się z aprobatą i nawet Krzysztof Komarnicki uniósł

zwieszoną nad talerzem głowę i zachichotał.

– Ja jednak, waszmościowie, z chorążym miałem wielki kłopot, gdyż pan Stefan tak mnie polubił, tak chciał przyhołubić i przyjaźń swą za wszelką cenę okazać, że ciągle musiałem jakieś dary od niego przyjmować – stolnik westchnął ciężko.

– Wielu wcale by się z tego powodu nie smuciło – roześmiał się pan Gideon.

– Może i wielu – stolnik zgromił wzrokiem podsędka – ale Ligęzowie to Ligęzowie, a nie jedni z wielu!

– Wybacz waszmość, *verbum nobile*⁷¹, że nigdy bym się nie ośmielił waćpana dobrodzieja urazić – wymamrotał skonfundowany Rokicki, który nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji na swoją dość niewinną uwagę.

Stolnik sapnął jeszcze gniewnie dwa razy, aż wreszcie odwrócił wzrok od podsędka, co ten przyjął z wyraźną ulgą.

– Jakże mogłem z lekkim sercem przyjmować podarki od pana Stefana, skoro sam podobną uprzejmością nie mogłem mu odpłacić? Przecież byłem w podróży i tyle miałem rzeczy, co przy sobie i trzech pachółkach. – Ligęza pokręcił głową. – Niefortunna sytuacja, mówię waszmościom. Aż wreszcie miałem nieszczęście pochwalić konika, który do pana Stefana właśnie przybył z węgierskiej hodowli. Przysięgam waszmościom, że uczyniłem to, zanim zdążyłem pomyśleć, bo klacz ta była tak nadzwyczajnej urody, że nikt nie mógł na nią spojrzeć i nie wydać z siebie okrzyku zachwyty.

– A jakież to był konik? – natychmiast spytał zaciekawiony Rokicki.

Pozostali goście również się ożywili, kiedy tylko usłyszeli o rumaku, który tak niezwykle wywarł na wszystkich wrażenie. Jacek Zaremba był pewien, że nie ożywiliby się tak nawet, gdyby usłyszeli o przybyciu na dwór Bala jakiejś pięknej mołdawskiej księżniczki.

⁷¹ *Verbum nobile* (łac.) – słowo szlachcica.

– Arab czystej krwi – odparł stolnik z dumą w głosie.

– Miałem kiedyś araba – rzekł podsędek, uśmiechając się do własnych wspomnień –

ogier to był tak dzielny, że *pro certo*⁷² do piekła by mnie zawiózł i z powrotem.

– Mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, też na arabce jeździła – powiedział

niemal równocześnie Broniewski. – Jak dziś pamiętam, że dwieście złotych nas ten konik kosztował, ale powiem waćpanom dobrodziejom, że każdego grosza był wart i jeszcze wiele nad to.

Jacek Zaremba z uśmiechem przyglądał się nagle złagodniałym obliczom współbiesiadników, którzy tak pięknie rozmarzyli się, wspominając rasowe wierzchowce.

Polska szlachta bowiem z konną jazdą i z władaniem orężem tak świetnie sobie radziła, że aż dziw, iż mały szlachcic wychodził z matczynego żywota nago, jak każdy inny człowiek, a nie rodził się od razu na końskim grzbiecie i z szablikiem u pasa. Prawda, iż niektórzy powiadali, że włoscy lub hiszpańscy kawalkatorzy lepiej wierzchowca potrafią wyćwiczyć, by zgodnie z komendą chodził, ale inni znowuż mówili, że rzecz najważniejsza tkwi nie w samych ćwiczeniach, a w tej przedziwnej więzi, jaka się rodzi pomiędzy jeźdźcem a jego rumakiem. Nie było nacji na świecie, która bardziej niż polska szlachta kochałaby konie, a wielu szlachciców swe wierzchowce traktowało niczym braci, lub nawet lepiej niż braci.

– Waćpanowie nie uwierzcie, jakaż piękna to była klaczka... – rozmarzył się Ligęza.

– Płec miała białą niczym mleko, bielusienką, powiadam waszmościom. Tylko między oczami widniała ciemna łatka nie większa niż – stolnik uniósł dłoń – połowa mojego paznokcia. Dlatego też nazwałem klaczkę Plamką. A jak ten konik wdzięcznie chodził, mój Boże! Rzeklibyście waszmościowie, widząc ją, idącą stępa, że nie zwyczajnie kroczy, lecz tańczy w rytm jakiejś słyszalnej tylko przez siebie muzyki.

– O, racja, racja! Wiele białogłów mogłoby się sztuki wdzięcznego stąpania uczyć od naszych koników – zauważył Rokicki – bo przecież kiedy waszmościowie patrzycie, jak niektóre z niewiast kroczą, to rzekłbyś, że to nie człowiek, lecz wieża obłącznicza się przesuwająca, z takim to wszystko idzie mozołem, skrzypieniem i kolebaniem się na boki.

Pan Jacek uśmiechnął się mimo woli, bo podobnie jak Rokicki poznał takie kobiety, przy których nawet krowa zdawałaby się wdzięczną tancerką. Bogu dziękować, nie było ich zbyt wiele pod niebem Rzeczypospolitej.

– Skoro waszmość klaczkę miałeś okazję nazwać, to, jak rozumiem, od chorążego Bala otrzymałeś ją w prezencie?

72 *Pro certo* (łac.) – z pewnością.

– Właśnie tak, panie Jacku. Ledwo zdążyłem zakrzyknąć: mój Boże, a cóż to za cudo!?, kiedy ją zobaczyłem, a już pan Stefan mówi: „waszmość swego, niczyjego innego, rumaka podziwiasz”.

– Hu, hu! – zawołał Rokicki.

– Co było robić? – stolnik wzruszył ramionami – opierałem się i opierałem, lecz w końcu przyjąłem dar, bo gdybym dłużej się opierał, toby mnie chorąży na szable wyzwał, widziałem to już w jego oczach, jak miły Bóg. A z takiego powodu posiekać przyjaciela lub samemu dać się posiekać, to naprawdę byłoby wielce niezręczne i niemądre. Nie mówiąc już o tym, że pana Stefana lubiłem i poważałem z całego serca, więc żadną miarą bić się z nim nie chciałem. – Gospodarz uniósł kielich. – Zdrowie chorążego przemyskiego, waszmościowie, a teraz to właściwie podkomorzego sanockiego, bo kiedy ostatnio o nim słyszałem, to takim właśnie tytułem pan Stefan się legitymował.

– Zdrowie, zdrowie! – zakrzyknął pan Gideon i zerwał się z krzesła.

Kiedy już spełnili jeden i drugi toast, pan Hieronim odsapnął i ciągnął dalej opowieść.

– Klaczkę, którą od chorążego otrzymałem, śmiało mogę uznać za najrozumniejsze stworzenie na świecie – Ligęza nadal uśmiechał się do wspomnień z czułością i łagodnością, a Jacek Zaremba pomyślał, że pan Hieronim tak właśnie czy podobnie musiał się uśmiechać, kiedy przemawiał do swojej Plamki – gdyż każde moje słowo zdawała się pojmować niczym drugi człowiek.

– Istotnie, bywają takie stworzenia, że rzekłbyś, iż ludzka *anima*⁷³ w zwierzęcym zamieszkała ciele...

Stolnik obrócił wzrok na wypowiadającego te słowa Rokickiego i skinął głową.

– Masz waćpan rację. Tak było i w tym wypadku.

– Może to i najprawdziwsza prawda, że za mocą niezbadanych wyroków Boskich człowiecza dusza trafia czasem do bydlęcej powłoki – zastanowił się podsędek.

Jacek Zaremba znów miał chętkę, by skomentować te słowa, niezgodne przecież z chrześcijańskimi zasadami wiary, ale ugryzł się w

język, by Rokickiego nie sprowokować do dyskusji.

– A jakaż była czuła, waszmościowie! Przybiegała na każde zawołanie i albo kładła pysk na moim ramieniu, zupełnie jakby chciała mi jakąś tajemnicę w ucho wyszeptać, albo chrapkami dotykała wnętrza mej dłoni, szukając, czy aby jej nie przyniosłem jakiegoś specjału.

73 *Anima* (łac.) – dusza.

– Jak można mniemać, rzadko się zawiodła – powiedział domyślnie Zaremba.

– Ba, panie Jacku kochany: nigdy! – rzekł Ligęza. – Gdzieżbym miał serce, by jej sprawić przykrość!? Konik ten, przyznam waszmościom, rajskie miał ze mną życie. Bo i własnego miała stajennego, który tylko do jej był oddany dyspozycji, i własną stajenkę, i sługę, który codziennie z nią biegał, kiedy ja akurat nieszczęśliwie nie miałem czasu na przejażdżkę. Bo jak się domyślacie, waszmościowie, nikomu nie pozwalałem siadać na jej grzbiet, nawet własnej żonie, bo wtedy jeszcze miałem żonę, Boże, zachowaj ją w swej światłości. O co zresztą wielkie były awantury, gdyż przecież waćpanowie sami wiecie, że każda białogłowa to takie stworzenie, że jak jej czegoś zabronić, to tym usilniej będzie się starała zakaz obejść, choćby wcześniej zabroniona rzecz wcale a wcale jej nie interesowała.

– Święta racja przemawia z ust waćpana! – wykrzyknął Rokicki. – Pewien jestem, że gdyby Bóg dobrotliwy powiedział: „Ewo, córko moja, pamiętaj, byś mi tylko z tej jabłoni jabłuszka codziennie zjadała”, to Ewa *dente superbo*⁷⁴ by owo nakazanie odrzuciła! I wszyscy, powiadam waszmościom, *re vera*⁷⁵ wszyscy do dziś żylibyśmy w rajskiej światłości i szczęśliwości – podsędek chlipnął i przetaił oczy kułakiem.

– To prawda, tak by mogło być – westchnął Broniewski.

– Z białogłowami nie idzie wytrzymać, ale bez nich jednak też ciężko – rzekł Ligęza.

– Może dobry jest turecki sposób, by niewiasty w haremie tylko siedziały, a mąż odwiedzał je, kiedy zechce, bo dzięki temu ani w codziennych obowiązkach mu nie przeszkadzają, ani nie ciosają mu kołków na głowie? Co? Jak waszmościowie sądzicie? –

podsędek rozejrzał się z pytającym wzrokiem.

Ligęza machnął ręką.

– Tureckich obyczajów waszmość u nas nie wprowadzisz, bobyś wywołał wojnę domową, gdybyś tylko spróbował. A zważywszy na

dzielność naszych niewiast, to jeszcze nie wiadomo, jakim wynikiem by się ona zakończyła.

– *Bene dicit!*⁷⁶ Przekonałeś mnie, stolniku dobrodzieju. Co dla Turków dobre, niech Turcy sobie trzymają, bo my, Polacy, swój rozum mamy. Chociaż – Rokickiemu nagle zabłyśły oczy – taki harem, hmmm? Waściowie, co? Hmmm?

– Waszmość się lepiej ciesz, żeś w haremie nie wylądował jako zdobywcą, a nie marzysz sobie, by sułtanem zostać? – rzucił Ligęza. – Z tego co wiem, to Turcy potrzebują *74 Dente superbo* (łac.) – pogardliwie.

75 Re vera (łac.) – zaprawdę.

76 Bene dicit! (łac.) – Dobrze prawi!

wielu trzebieńców na swoje usługi. Choć raczej z młodzieńców ich wybierają, więc teraz waszmość byłbyś nawet bezpieczny...

Rokicki wcale się nie obraził, a nawet roześmiał.

– O takim udziale w haremie, przyznam, wcale nie myślałem i chyba wolałbym nie myśleć. Ale wybacz wtręty, stolniku najmiłszy, i mów co z tą klaczką dalej się działo?

– Ano dożyła ta moja Plamka dwudziestu ośmiu lat, co jak na konia, sami wiecie, wiek bardziej niż zacny.

– Rzekłbym nawet: sędziwy.

– Tak, panie Gideonie, dobrze powiedziałaś: sędziwy. Ale nie tylko w wielkim rozumie i wdzięku tkwiły zalety tego konika. Wiecie z pewnością waszmościowie, że nawet te araby, które wcale na wojowników nie wyglądają, to przecież dzielnością w boju potrafią prześcignąć niejednego niderlandzkiego perszerona.

– O, tak – zgodził się Jacek Zaremba. – Co prawda w husarskich chorągwiach koni czystej krwi arabskiej nie było i nie ma, ale przecież nie z powodu braku dzielności lub rozumu, lecz dlatego, że zbyt są lekkie, by opancerzonego husarza unosić na swym grzbiecie.

– Ja mojej Plamki do boju, uchwaj Boże, nie zabierałem, ale kiedyś – Ligęza uśmiechnął się szeroko – wojna uznała, że skoro nam do niej niespieszno, to w takim razie ona do nas wybierze się z wizytą. – Stolnik upił dwa potężne łyki, a stojący za jego plecami sługa natychmiast dopełnił mu kielich. – Działo się to, waćpanowie, niedługo po nieszczęsnym rokoszu Lubomirskiego, w którym podobnie jak cała wielkopolska szlachta przeciw królowi walczyłem – westchnął – zresztą w wojsku dzisiejszego wojewody poznańskiego pana Grzymułtowskiego, z którym do dziś w zażyłej

pozostajemy przyjaźni, choć on wielki magnat, zaufany króla jegomości, a ja cóż, zwykły chudopachołek...

– Żeby takich chudopachołków jak waszmość pan dobrodziej więcej w kraju było, toby nasza Rzeczpospolita najbogatsza i majątkiem była, i wszelakimi cnotami! – zakrzyknął

któżby inny, jak nie podsędek lipnowski.

– Waszmość biłeś się pod Mątunami? – zagadnął zaciekawiony Broniewski.

– Bóg dał, że w tej rzezi nie wziąłem udziału, bo już pod Częstochową raniono mnie tak mocno – Ligęza mimowolnie dotknął prawego ramienia – że nie tylko szabli, lecz nawet końskich wodzy nie mogłem utrzymać w dłoni. Ale królewskiego wodza, kniazia Połubińskiego, świeć Panie nad jego duszą, to moi ludzie, nie czyi inni, wzięli do niewoli. I może Bogu trzeba dziękować, że ksiązę w moje dostał się ręce, bo kiedy tylko złożył

przysięgę, że szkodzić nam więcej nie będzie, zaraz puszczone go wolno. Zresztą do wielkich potem doszedł on zaszczytów...

Stolnik zamilkł na dłuższą chwilę i się zamyślił, a nikt jego zamyślenia nie przerywał.

– Tak, waszmościowie, tak. Bogu dziękować, że nie walczyłem pod Mątunami, bo kto wie, czy w bitewnym ferworze grzechu jakiegoś bym tam straszliwego nie popełnił, jak inni popełnili...

– Nie w bitwie jeńców wyrżnięto, lecz po niej – zauważył Jacek Zaremba.

– Tym gorzej, panie Jacku, bo bezbronnych i zdanych na łaskę tak zawzięcie mordowano – Ligęza wzdrygnął się. – Straszna to była rzecz i wielka hańba: swoich rodaków, dobrych żołnierzy wiernie służących królowi z tak wielkim okrucieństwem pozabijać, zupełnie jakbyśmy byli jakimiś dzikimi Kozakami, bo przecież nawet Tatarzy jeńców nie zarzynają, tylko wolą odsprzedać ich za okupem.

– Straszna to rzecz, gdy obywatele jednego kraju wzajem się mordują – cicho przyznał

Broniewski.

– Straszna – zgodził się stolnik. – A przecież nie sprawa ze zdrajcami tu była, ze sprzedawczykami narodowej sprawy, których zabić byłoby nie grzechem, ale zasługą, lecz z poddanymi króla. Poddanymi, którzy tym tylko zawinili, że wiernie i bez szemrania rozkazów najjaśniejszego pana słuchali. I my, i oni jak najlepiej chcieliśmy dla Rzeczpospolitej i każdy z

nas życie za ojczyznę chętnie by oddał. – Pan Hieronim opuścił głowę, widać nawet po tylu latach ciążyła mu pamięć dawnych dramatów.

– To racja, że co innego zdrajców zgładzić, bo taki czyn zawsze chwałą człeka okrywa

– rzekł Zaremba – a co innego zabijać kogoś, kto Rzeczpospolitą równie silnie jak my kocha.

– Bóg da, nigdy już takiej wojny nie będzie, by król przeciw szlachcie musiał

prowadzić żołnierzy – powiedział z mocą Ligęza.

– Bene dicit! – zawołał Rokicki. – Ale cóż z tym konikiem będzie, waszmość dobrodzieju? Bo widzę, że daleko on już odgalopował z naszej komnaty.

Stolnik spojrział na niego jak na głupiego.

– O czym waćpan, na Boga, gadasz?

– O Plamce, waszmość panie dobrodzieju – przypomniał podsędek pobłażliwie – o onej klacze krwi arabskiej, o której takie peany nam waćpan wyśpiewywałeś.

Ligęza zahuczał śmiechem.

– A niechże waści, na śmierć zapomniałem. Ale czemu właściwie z waściami gadam o rokoszu hetmana Lubomirskiego? Co to was, młodzików, może obchodzić? Stare dzieje...

– Miałeś nam waszmość opowiedzieć o jakimś zdarzeniu. O tym, że ty z tym pięknym konikiem na wojny nie chodziłeś, lecz wojna w zamian przyszła do ciebie.

– Ach, tak, rzecz jasna. Czasy były jeszcze niespokojne, proszę waćpanów, bo najpierw mieliśmy długą i straszną wojnę, potem ten bunt nieszczęśny. Więc trochę się włóczyło tu i ówdzie, a to grasantów, a to maruderów, a to zbiegłego chłopstwa, a to choćby szlachty, która zamiast do domów wracać, po gościńcach, zajazdach i wsiach szukała wypitki i zaczepki.

Jacek Zaremba pokiwał głową, gdyż dobrze znał podobne kłopoty. Co prawda podróżnicy pochodzący z innych krajów wielokrotnie dziwili się, jak bezpieczne są drogi w Rzeczpospolitej i że bez obawy można nimi wędrować, nie narażając się ani na śmierć, ani na rabunek, ale po pierwsze w tym wypadku mowa była o groźnych latach zaraz po wielkiej wojnie, a po drugie jak człowiek nie ma szczęścia, to nawet w kościele go obrabują i gardło mu poderzną, a z kolei jak ma szczęście, to nie dość, że przez Wisłę

przejdzie suchą nogą, to jeszcze po drodze wielkie skarby wygrzebie sobie z samego dna.

– I tak się stało, że koń mojego pacholika okulał, więc zostawiłem chłopaka w zajeździe, a sam spokojnie wracałem do domu – stolnik kontynuował opowieść – i jak raz napatoczyłem się w lesie na trzech rozbójników. A kiedy zobaczyłem, jakim wzrokiem patrzą na mnie, na Plamkę i na mój płaszcz, to już wiedziałem, waszmościowie, że bez bitki się nie obędzie, bo bardzo będą chcieli mieć to, co należy do mnie i czego nikomu bynajmniej nie zamierzałem oddawać.

– Araby to wielce ściągłe konie, tandem tedy, mosterdzieju. Czemu waść nie pogalopowałeś od tych zbójów? – Komarnicki odezwał się tak niespodziewanie, że podstarość aż drgnął, bo na śmierć o nim zapomniał.

– Może dlatego, panie Komarnicki, że dobry szlachcic nie ucieka przed byle hołotą? –

warknął Ligęza, nawet nie odwracając głowy w stronę podczaszycowicza. – A poza tym jeden z nich miał muskiet, a dwóch trzymało pistolety – wyjaśnił spokojniejszym tonem. – Może by mnie w plecy trafili, jakbym uciekał, a może by nie trafili. Wołałem jednak, jak się waćpanowie domyślacie, nie próbować. Lepiej było już stanąć z niebezpieczeństwem twarzą w twarz i jeśli zginąć, to przynajmniej zabrać ze dwie te mały ze sobą. Zresztą, powiedz waszmość, panie Jacku – stolnik obrócił się w stronę Zaremby – bo ty masz właściwą eksperyencję, czyż nie jest tak, że dobry i właściwie wyekwipowany żołnierz śmiało stanie przeciw trzem maruderom?

– Święta racja, panie Hieronimie, choć ja zawsze mówię, by Boga i szczęścia nie kusić. Bo jak kogo dźgną widłami w plecy, to mu nie pomoże, że jest dobrym żołnierzem i szlachcicem, a wróg zaledwie byle chamem.

– Mało to takich znamy wypadków!? – wtrącił pan Gideon. – Czymże innym walczyła kozacka czerń jak nie kijami, widłami, pałkami, maczugami czy kosami? A przecież *nec Hercules contra plures*⁷⁷ i wielu zacnych szlachciców te zbuntowane chamy wyrznęły.

– I podobnie nasi chłopci ze szwedzkimi żołnierzami sobie radzili – zgodził się Ligęza.

– Niech waćpan dobrodziej powie, czy to prawda, czy takie tylko gadanie, że nasi chamowie pojmanym Szwedom rozpruwali brzuchy i pilnie w nich szukali ukrytych kosztowności?

– A jak nie znaleźli, to wtedy puszczali wolno? – dodał pytanie Broniewski.

– Daleko z rozprutym kałdunem taki wojak nie zaszedł, nawet jak go uwolniono –

mruknął Zaremba.

– Ja, proszę waćpanów, na własne oczy tego nie widziałem – odparł stolnik – ale inni twierdzili, że znajdowali takie właśnie, jak waściowie mówicie, zwłoki Szwedów z poprutymi brzuchami. Ale czy najpierw ich zabijano, a potem rozcinano, czy też najpierw rozcinano, a dopiero potem z ran umierali, tego wam nie powiem, bo nie wiem. Wiem tylko, że chłopstwo nasze słusznie na Szwedów było okrutnie zawzięte, bo szwedzcy żołnierze srożyli się nad miarę, rabowali, mordowali, palili i gwałcili, więc nasi chłopcy jedynie przemocą na przemoc odpowiadali.

– Nie tylko szwedzcy żołnierze swawolą – zauważył podstarość. – A co litewskie chorągwie hetmana Sapiehy wyprawiały w Małopolsce? Na walkę z Turkami jakoś się spóźniły, ale do gnębienia i grabienia współobywateli byli pierwsi!

Hieronim Ligęza tylko machnął dłonią z rezygnacją.

– Ba, panie Jacku kochany, a co zrobić, skoro kurwisyn Sapieha od lat chodzi na cesarskim pasku i gotów szkodzić królowi ile wlezie, aby tylko cesarzowi się przypodobać?

– Waszmość tak mówisz, jakby cesarz był wrogiem Rzeczypospolitej – zdumiał się Rokicki – a czyż nie możemy cesarza podawać *pro exemplo boni amici*⁷⁸, bo to wszak nasz sojusznik i krew wspólnie przelana nas połączyła? I wspólna wiktoria odniesiona nad poganami...

– Taki tam z cesarza niemieckiego sojusznik Rzeczypospolitej, jak dla psa wesz jest sprzymierzeńcem – machnął ręką Ligęza. – Z Niemcem przyjaźni nigdy nie będzie, waćpanowie dobrze to zapamiętajcie. Wspólnota interesów? To i owszem, bo taką nawet Francuzi z Turkami mają. Ale przyjaźń? Nigdy, waszmościowie, przenigdy! Bo Niemiec 77 *Nec Hercules contra plures* (łac.) – nawet Herkules nie sprostą wielu.

⁷⁸ *Pro exemplo boni amici* (łac.) – za przykład dobrego przyjaciela.

zawsze spróbuje nas okpić lub okraść, a jak mu ów podły zamysł się nie powiedzie, to tak zły będzie, że z najgorszymi naszymi wrogami chętnie się sprzymierzy, by nas pognębić.

– Każdemu na ręce trzeba pilnie patrzeć – zgodził się Zaremba.

– Skoro wśród ludzi ciężko o bezinteresowną przyjaźń, to przecież dureń jedynie może mówić o przyjaźni między całymi państwami – pan Hieronim prychnął z pogardą.

– Chyba że krótkiej – wtrącił Rokicki.

– Jeśli przyjaźń jest krótka, to czy w ogóle można ją nazywać przyjaźnią?

– Są tacy ludzie, co swego przyjaciela szczerze i z całych sił miłują – podsądek palce splótł tak, że aż mu stawy chrupnęły, bo chciał pokazać, jak mocne może być to miłowanie –

a potem równie szczerze i też z całych sił wsadzą mu nóż w plecy.

– Jest coś w tym, co waćpan dobrodziej prawisz, oj, jest – wyraźnie zasmucił się Paweł Broniewski.

Jacek Zaremba, słysząc te słowa, pomyślał, iż pan Paweł z całą pewnością musiał na własnej skórze poznać podobne zakręty przyjaźni. Zresztą nic dziwnego, bo skoro, jak wcześniej opowiadał, jego ród z najbardziej szanowanego stał się najbardziej pogardzanym oraz nienawidzonym, to zapewne miecznikowic był świadkiem dramatycznego upadku wielu długoletnich przyjaźni.

– Stolniku dobrodzieju, nie żałuj nam opowieści – Rokicki złożył dłonie jak do modlitwy. – Cóż się stało z owymi zbójami?

– Pierwszemu wycelowałem w łeb – Ligeza wyciągnął dłoń przed siebie – spust nacisnąłem – tu gwałtownie ściągnął palec wskazujący – ale zamek jeno szcęknął, a pistolet nie wypalił...

– I mnie się taka przykrość raz czy drugi zdarzyła – przyznał pan Jacek.

– Bo nie ma to, waszmościowie, jak szabla – powiedział Rokicki – jak komu w łeb damascenką zajedziesz, to na to nie ma mocnych. *Nemo, numquam et nusquam*⁷⁹ nie przetrzymał jeszcze dobrze zadanego cięcia.

– Toteż zaraz szablę wyciągnąłem – zgodził się stolnik – i pierwszego zbója szybko miałem z głowy, bo raz się co prawda całkiem nawet zręcznie zastawił, ale drugi cios już go dosięgnął. Tymczasem dwaj pozostali obwiesie postanowili wypróbować na mnie swą strzelecką biegłość – stolnik uśmiechnął się – i, Bogu dziękować, nie była ona zbyt wielka.

Strzałem z muszkietu jeden łajdak zdmuchnął mi czapkę, potem zobaczyłem, już po wszystkim, że niecnota całkiem mi pogruchotał zacny szmaragdzik od złotej szpilki...

79 *Nemo, numquam et nusquam* (łac.) – nikt, nigdy i nigdzie.

– A drugi, proszę waszmości?

– Drugi z pistoletu trafił, ale Panu Bogu w okno. Nawet nie wiem, gdzie ta kula poszła, jednak z całą pewnością bardzo daleko ode mnie.

– A kto to w ogóle był, stolniku dobrodzieju? Żołnierze? Szlachta? Chamy?

– Po ubiorze rzekłbyś: szlachta. Ale abo to wiadomo, czy kontuszy i szabli nie skradli komuś, kto mniej miał szczęścia ode mnie?

– Szczęścia, jak szczęścia, stolniku dobrodzieju! Przede wszystkim wybitnej wojskowej eksperyencji – zaprotestował Rokicki.

– No, niech i tak będzie – zgodził się Ligęza, mile polechtany. – W każdym razie Bóg czuwał nade mną, bo gdyby nie czuwał, tobyście dziś ze mną, waćpanowie, nie rozmawiali.

– Ale zgodzisz się waszmość, że Bóg pomaga temu, co sam sobie potrafi pomóc?

– Być dobrze przygotowanym nigdy nie zawadzi – przyznał pan Hieronim.

– I cóż było dalej?

– Ten, co strzelał z pistoletu, odrzucił go i zahaczył mnie rohatyną... – Stolnik westchnął. – Bóg mi świadkiem, że nie wiem, dlaczego przed tym pchnięciem się nie uchyliłem, dlaczego nie odbiłem drzewca. Nie wiem, waszmościowie. Wiem, że kiedy z siodła leciałem na ziemię, to pomyślałem: już po mnie!

Rokicki syknął boleściwie.

– Straszna to hańba dla dobrego szlachcica zginąć w takich okolicznościach – ciągnął

Ligęza – i jeszcze żebym był pijany, to rozumiem, bo pijanego to czasem i niewiasta pobije.

Ale ja, waszmościowie, byłem nie dość że trzeźwy, to jeszcze cieszyłem się dobrym zdrowiem. – Stolnik uniósł kielich. – Jeśli mowa o zdrowiu, to zdrowie waszmość panów gości moich serdecznych!

– Nie, nigdy, stolniku dobrodzieju! Ani kropli wina za moje zdrowie nie przełknę, póki beczki za twoje nie wypiję!

Dłuższą chwilę wszyscy się spirali, dobrodusznie, choć zawzięcie, aż wreszcie spełnili toast za zdrowie Ligęzy, który pan Gideon pięknie wygłosił, potem po kolei za wszystkich gości (nie pominięto nawet

Krzysztofa Komarnickiego), a wreszcie na koniec znowu za stolnika, któremu tym razem Jacek Zaremba honory czynił.

– Waszmość panie, co dalej? Skoro waść z siodła spadłeś, to o ziemię gruchnąłeś, czyż nie?

– Ano gruchnąłem – przyznał stolnik – i choć nie ważyłem tyle co dzisiaj, to i tak ów upadek taki miał impet, że w nodze mi coś chrupnęło, a w oczach z bólu aż pociemniało.

Ledwo na kolana zdążyłem się zerwać, kiedy ujrzałem, że ostrze mknie prosto w stronę mojej piersi. Ani się zakryć, ani odsunąć, ledwo zdążyłem pomyśleć: Jezus Maria!...

– Dobrze umierać, mając *sanctum Dei nomen*⁸⁰ na ustach – zauważył Rokicki –

zawsze to milej człowieka, który wraz z ostatnim tchnieniem odwoływał się do Boga, witają aniołowie na niebiańskim dworze.

– Zapewne, choć ja nie umarłem wtedy, jak waść się zapewne domyślasz...

Pan Gideon roześmiał się na wszelki wypadek.

– A tu patrzę, iż człowiek, który rohatyną we mnie mierzył, nagle jak piorunem rażony leci na bok, broń mu z dłoni wypada, moją pierś ostrze omija... – Ligeza otrząsnął się. –

Patrzę, a to moja Plamka, nikt inny, rozbiła mu łeb uderzeniem kopyt.

– Dzielna klacz!

– Brawo dla Plamki!

– Zdrowie arabki!

– A chętnie z waszmościami na cześć jej pamięci wypiję – zgodził się stolnik.

Kiedy już spełnili toast za pamięć odważnego konika, pan Hieronim mówił dalej:

– Poderwałem się tak szybko, jak tylko mogłem, szabla w garści i idę na zbója, który też szablę w ręku trzyma. Ale już widzę, że mocno w nim duch upadł, skoro dwóch kompanów stracił i teraz ma przeciw sobie wściekłego, a byłem wściekły, możecie mi waszmościewie wierzyć, szlachcica.

– I waszmość go usiekłeś?

– Nie zdążyłem – rzekł stolnik i pokręcił głową, a potem zwrócił się w stronę Jacka Zaremby: – konie husarskie bardzo gryzą, czyż nie?

– O, panie Hieronimie, jakżeby inaczej! Szkolone są przecież w tym celu, by swą siłą i zawziętością wspomagać dosiadających je żołnierzy. Oj, napatrzyłem się na ofiary złości naszych rumaków!

– Właśnie. Ale po tej arabce, której wcale przecież nie szkolono do walki, nie spodziewałem się czegoś takiego.

– Czegóż takiego!? – zakrzyknął Rokicki chyba tylko po to, by pytaniem podsycić żar opowieści, bo przecież wszyscy domyślali się, czym popisała się Plamka.

– Oto moja arabka nos temu niecnocie razem z połową policzka odgryzła – Ligeza roześmiał się tak, że aż poczerwieniał. – Jak on wył, waszmościowie, jak on wył... – ciągnął, 80 *Sanctum Dei nomen* (łac.) – święte imię Boga.

ocierając łzy z policzków. – Tak wył, że cała złość mi przeszła i darowałem mu życie.

Wsiadłem na Plamkę i pojechałem do domu, a co tam się stało z tym zbójem, to już nie wiem.

– Nie z takich ran ludzie się kurowali... – zamyślił się pan Gideon. – Aż dziwne czasem spojrzeć i przekonać się, jak silne z nas istoty i jak bardzo chcemy żyć, pomimo wszystkich przeciwności losu i mimo że *pericula* czyhają na nas i tu, i tam, i wszędzie. Tak, tak... – Potem podśudek głową potrząsnął i ożywił się. – Ale pewne jest, że waszmości konik podarował zbójowi pamiątkę na całe życie – dodał wesołym już tonem.

– O tak, tego możemy być pewni. Dzielna była Plamka, co?

– Jakżeby inaczej, panie stolniku! A to przede wszystkim zauważam i godne podziwu zdaje mi się to, że konik był nieuczony walki i uczynił to, co uczynił, kierowany jedynie miłością do waćpana, a nie odruchami wpojonymi mu w czasie szkolenia.

– Masz waszmość rację. Tak było – pokiwał głową pan Hieronim. – Później, kiedy Plamka umarła, kazałem ją pochować na łące, którą najbardziej lubiła, i kopiec z kamieni jej usypano taki więcej niż na człowieka wysoki. Niech o niej synowie moi i ich synowie, i synowie ich synów pamiętają. I niech wiedzą, że gdyby nie ten dzielny konik, to ich wszystkich na świecie by nie było, bo mnie by nie było.

– Niezbadane są wyroki Boże – rzekł pan Jacek, wznosząc oczy, i wtedy zauważył, że Rokicki świdruje go spojrzeniem.

– Ażebyś waszmość wiedział, ażebyś wiedział – powiedział podsędek z jakąś dziwną intonacją w głosie. Potem rozejrzał się z uroczystą powagą i wstał z kielichem w uniesionej dłoni. – Na razie waszmościowie pokornie was upraszam: *vivite fortes fortiaque adversis opponite pectora rebus!*⁸²

Wszyscy toast zgodnie spełnili, bo piękne były słowa Gideona Rokickiego i równie pięknie do opowieści stolnika pasowały.

– Bardzo przepraszam waćpana dobrodzieja, ale co z panem chorążym Balem działo się dalej? – zagadnął Paweł Broniewski. – Dlaczego rozeszły się waszmościów drogi?

Ligęza zamrugał, wyrwany ze wspomnień o dzielnej arabce, i skierował wzrok na miecznikowica.

– Dobrze, że pytasz, panie Pawle, bo przecież mówiliśmy o hojności i gościnności narodu naszego szlacheckiego...

81 *Pericula* (łac.) – niebezpieczeństwa.

82 *Vivite fortes fortiaque adversis opponite pectora rebus!* (łac.) – Trwajcie silni i mężnym sercem odpierajcie przeciwności losu!

– A waćpan za przykład niedościgniony dawałeś wielmożnego pana Bala – uprzejmie podpowiedział Rokicki.

– Tak właśnie było – zgodził się stolnik. – Jak mówiłem waszmościom, z ciężkim sercem przyjąłem od pana chorążego dar w postaci tego znamienitego wierzchowca, bo poprzednie dary, jakie od niego otrzymałem, były co prawda piękne, ale Plamka wartością przewyższała nie tylko wszystkie je razem wzięte, ale każdego rumaka, jakiego w życiu widziałem.

– Aż żał, że nie możemy tego konika zobaczyć – pokręcił głową podsędek.

– A tu się waćpan mylisz! – zawołał pan Hieronim. – Później zaproszę waszmościów, byście portret Plamki obejrzeli, który kazałem namalować, i to nie jakiemuś byle pacykarzowi, lecz samemu mistrzowi Schultzowi!

– Waszmość zatrudniłeś nadwornego malarza króla jegomości? – Rokicki otworzył szeroko oczy.

– Waćpan znasz to nazwisko?

– Jakżeby nie, stolniku dobrodzieju! Toż każdy, kto bywał w Warszawie i zajmował

się czymś więcej niż picie i swawolenie z dziewczkami, wie, że nie ma większego malarza w Rzeczpospolitej od Daniela Schultza!

– Wtedy nie był jeszcze aż tak sławny jak dzisiaj, niemniej wystarczająco sławny –

stwierdził Ligęza – bo przecież najjaśniejszy pan zechciał mu łaskawie pozować do portretu, a taki zaszczyt może spotkać niewielu artystów.

– A który król taką mu łaskę wyświadczył, jeśli wolno spytać? – zagadnął Jacek Zaremba, który o sławnym malarzu nigdy nie słyszał.

– Jan Kazimierz, świeć panie nad jego duszą – wyjaśnił gospodarz i głęboko westchnął, a podstarości pomyślał, że to westchnienie spowodowała zapewne pamięć tragicznego buntu, w którym stolnik uczestniczył przeciw własnemu monarsze.

– Nieszczęsnego króla Michała mistrz Schultz również sportretował – odezwał się pan Gideon.

– O, patrz waszmość, o tym nie wiedziałem – zdziwił się Ligęza. – Tak czy inaczej, pokażę waszmość panom ten obraz, tylko później, bo wisi u mnie w sypialni, więc muszę najpierw kazać go zdjąć.

– Ale żeś waćpan królewskiego malarza przekonał, by namalował konia... Choćby nawet nie wiem jak pięknego... No, no...

– Ja sędzę, waszmościowie, że to dla malarza był raczej zaszczyt, iż stworzenie tak cudnej urody i tak nadzwyczajnej gracji pozwoliłem mu sportretować. Królów i książąt jest,

za przeproszeniem, wielu na całym świecie, a taka arabka jak Plamka jedna tylko była! Tuszę, że mistrz Daniel dobrze to zrozumiał i dobrze wiedział, że podobnej okazji może już nigdy w życiu nie mieć. Tak, waszmościowie moi, sobie myślę – ciągnął stolnik – że kiedy pora już na mnie przyjdzie i kiedy nadejdzie czas, by przed obliczem Pana zdać rachunek ze swych uczynków, to tam właśnie na niebiańskim dworze znowu spotkam moją Plamkę i razem przemierzać będziemy zielone pastwiska Raju ... – Ligęza wyraźnie się rozczulił, bo pociągnął mocno nosem i gwałtownie zamrugał powiekami.

Jacek Zaremba uśmiechnął się nieznacznie pod wąsem, bo zauważył oczywiście, że pan Hieronim – pomimo deklarowanego wielkiego przywiązania do zmarłej żony – myślał, by w niebie spotkać raczej swego ukochanego rumaka niż połowicę, która dała mu domowe szczęście i trzech dzielnych synów.

– Taaak, waćpanowie, tak. Dawne dzieje... – stolnik pokrzepił się winem, otarł usta i wąsy i uśmiechnął się z rozrzewnieniem. – Do dziś pana chorążego wspominam w modlitwie

– rzekł.

– Jednak, jak waszmość dobrodziej mówiłeś, waćpanowie rozstaliście się... –

przypomniał Broniewski.

– Ano żeśmy się rozstali. A raczej ja, wstyd się przyznać waszmościowie, z Balogrodu uciekłem, wcześniej podrabiając listy, które jakoby w pilnych sprawach rodzinnych wzywały mnie do Wielkopolski.

– Matko Boska! – zawołał prawdziwie zdumiony miecznikowic.

– Nie mogłem już tam dłużej wytrzymać – stolnik aż zgrzytnął zębami. – Od kiedy, jak waszmościom już opowiadałem, panu Balowi uratowałem życie, każdy dzień stał się dla mnie torturą. Każdego dnia budziłem się z lękiem, każdy dzień spędzałem, na każde uważając słowo, i każdego wieczoru zasypiałem z ulgą, że dzień się kończy. A jak zasnąłem kiedyś z myślą, że najbardziej chciałbym się nie obudzić, no to wtedy uznałem, że najwyższy już czas, by wyjechać i wracać do domu.

– Matko Boska – powtórzył Broniewski – nic nie pojmuję. Czy uratowaniem chorążego załazłeś komuś tak waćpan za skórę, że próbowano cię w odwecie zabić?

Ligęza popatrzył na pana Pawła z wyraźnym politowaniem.

– A ja waści miałem za rozsądnego młodzieńca – powiedział. – Cóż waść za brednie wygadujesz...

Broniewski oblał się pąsowym rumieńcem.

– Ależ panie stolniku dobrodzieju, przecież ja tylko...

Ligęza machnął ręką, uciszając nieskładne tłumaczenia miecznikowica.

– Gębę na kłódkę musiałem trzymać, bo cokolwiek powiedziałem, to pan chorąży natychmiast darem mnie uszczęśliwiał. Zaczęło się od tego, że mówię: waść dzisiaj niczym hetman wielki wyglądasz, a pan Bał pyta, że niby dlaczego. To ja odpowiadam: nie tylko mówię o ekstraordinaryjnej powadze i godności twojego oblicza, przyjacielu drogi, ale i o tej delii cudnej roboty, którą i hetman, i nawet najjaśniejszy pan mogliby zakładać bez uchybienia swemu dostojęństwu.

Wszyscy goście Ligęzy uśmiechnęli się, bo też wszyscy wiedzieli, co wydarzyło się dalej.

– Tak, tak, waszmościowie, widzę już po was, że trafnie odgadliście finał tej rozmowy. Delia zmieniła właściciela, a za same złote guzy, które na niej naszyto, pewnie by człowiek kupił dobrą wieś. A sobole? A aksamit? Ech! No i tak było ze wszystkim. Potrawę pochwaliłem, bo myślę: Jezus Maria, przecież mi pan chorąży nie zapakuje jej do torby. No to co się stało? Kucharza mi ofiarował!

Podstarości roześmiał się.

– Śmieję się, śmieję, panie Jacku kochany. Wesoło ci, co? Szkoda, że mnie nie było tak wesoło.

– Skoro ze szczerego serca dawane – wtrącił nieśmiało Broniewski – to czy coś złego było w przyjmowaniu tych podarunków?

– Panie miecznikowicu, czy waści dzisiaj coś padło na rozum, że nic nie pojmujesz? –

niegrzecznie zapytał Ligęza, powodując tymi słowami, iż biedny pan Paweł znowu oblał się rumieńcem, tym razem jeszcze ciemniejszym niż poprzednio.

– Ja proszę o... stolniku dobrodzieju, ale...

Ligęza przechylił się nad stołem i poklepał Broniewskiego po ramieniu.

– Wybacz, panie Pawle, lecz samo przypomnienie tych chwil już mnie gniewa. No, no, nie dąsaj się... Wiesz wasze, że prawdziwie cię lubię – tym razem ton stolnika był

ojcowsko dobroduszny i młodzian dość szybko się rozpogodził.

Ligęza zajął z powrotem swoje miejsce i rozłożył dłonie.

– Co miałem robić? Gębę trzymałem na kłódkę jak jakiś całkiem niepolityczny gbur.

No ale jak chorąży o coś zapytał? Pokazuje mi parkę hiszpańskich pistoletów i zagaduje: „Co waszmość sądzisz o tym rzemiośle?”. To co ja miałem odpowiedzieć? Powiem, że nie przypadły mi do gusta, to obrażę chorążego, który ową broń kupił albo odziedzyczył czy co tam... Powiem, zgodnie z prawdą, że nadzwyczaj piękne, to zaraz je pacholek zanieś na moją kwatere. Ech, diabli! I tak źle, i tak niedobrze.

Stolnik pomilczał chwilę, po czym obrócił się w stronę Broniewskiego.

– Waść dalej nie pojmujesz, czemu odczuwałem tak silną niedogodność?

– Może i głupi jestem – zastrzegł się pan Paweł – ale rozumiem, że waćpan nie mogłeś panu Balowi niczym się odwdzięczyć, więc dlatego trapiła cię troska.

– To też, miecznikowicu kochany, to też, ale z tym uczuciem może bym sobie jakoś poradził. Musisz jednak zrozumieć, i wy waszmościowie tak samo, że Ligęzowie to wielki ród i w województwie ruskim znany równie dobrze jak w Wielkopolsce. Wszak właśnie moi krewni zbudowali rzeszowski zamek i całe zresztą należało do nich miasto. Tak samo kuzynka moja, Konstancja, wyswatana została hetmanowi Lubomirskiemu i wniosła mu w wianie ponad sześćdziesiąt wsi...

– Tandem tedy, mosterdzieju... – Krzysztof Komarnicki aż zacmokał z podziwem.

– Ach tak! – Broniewski klepnął się w czoło, aż plasnęło.

– No! Zrozumiałeś waszmość wreszcie. Dobrze!

– Zrozumiałem, stolniku dobrodzieju, że zawiść ludzka by cię ścigała. Że złe języki mówiłyby, iż Ligęza naprasza się o podarki, a pan Bal nie może odmówić, gdyż salwatorem jesteś, który mu życie ocalił.

– Już tak szeptali za moimi plecami – warknął stolnik i tym razem on poczerwieniał

tak mocno, jakby krew zaraz miała mu trysnąć z twarzy. – W oczy żaden nie śmiał mi tego powiedzieć, ale abo ja nie wiedziałem, co się gada tu i ówdzie? Szubrawcy! – Ligęza z pasją aż splunął w kąt komnaty i nie uspokoił się, póki nie opróżnił kielicha. – Apopleksja mnie zaraz na miejscu trafi – dodał jeszcze, lecz już spokojniejszym tonem.

– Wypluj, stolniku dobrodzieju kochany, te słowa! – zakrzyczał Rokicki. – Co my, niebożątka, byśmy zrobili bez waszeci, dobroczyńcy naszego?

– Waćpan na pewno byś sobie poradził. Nie ma obaw – mruknął pan Hieronim.

– Ale w jakimż żalu i tęsknocie upłynęłaby mi reszta podłego żywota! – podsędek teatralnym gestem załamał rękę.

– Nie mogłem rodu mego i nazwiska na pośmiewisko ludzkie wydać, to i postanowiłem uciec – kontynuował stolnik. – W liście napisałem, w tym liście, co waszmościom mówiłem: do samego siebie, że moja siostra umiera, bo pomyślałem, że nic innego pana Bala nie przekona, by mnie ze swej gościny wypuścił. Zresztą i tak bardzo burmuszył się i gniewał, ale ksiądz mu trochę do rozumu przemówił, że to nie po bożemu byłoby siostrę

zostawić, by w smutnej umierała samotności. A i inni też moją stronę trzymali, choć podejrzewam, że działo się tak z bardzo różnych powodów, z których ten, bym sobie wreszcie pojechał i zostawił pana chorążego w rękach starych przyjaciół, nie był najmniejszy.

Przyjechałem waszmościowie konno, samoczwór, bo ja z trzema pacholkami, a wracałem z

wierzchowcem najprzedniejszej krwi i oprócz moich sług to jeszcze z kucharzem pana chorążego, którego zresztą mój Zygmunt jest najzdolniejszym uczniem, oraz z dwoma chłopakami i z powozikiem wypchanym darami... – Ligęza wciągnął z sykiem powietrze. –

Ależ mi było wstyd, waszmościowie, nawet sobie nie wyobrażacie.

– A co za chłopcy, proszę waszmości? Jacy chłopcy?

– Ano tak, rzeczywiście nie powiedziałem. Kiedy mieszkałem w Balogrodzie pan chorąży oddał na moje usługi dwóch pacholików, pomimo że zarzekałem się, iż mam swoich ludzi i oni mi całkiem wystarczą. No i w dzień przed dniem, kiedy miałem wyjechać, pan Bal pyta, czy jestem z jego pacholików oraz z ich posług zadowolony.

– O, wa! – syknął Jacek Zaremba.

– Właśnie tak, tak, panie podstarości kochany, widzę, że rozumiesz... Powiem, że nie, to Bal wyrzuci biedaków, albo nawet każe im dać baty. A poza tym czemu mam mówić, że nie polubiłem ich usług, skoro byli nadzwyczaj układnymi i porządnymi młodzieńcami.

Pracowici jak mało kto, weseli, zawsze skłonni do pomocy, a przy tym pozbawieni owego służalczego, śliskiego odruchu płaszczenia się, tak przykrego dla osoby, która nie toleruje fałszu...

– O, znamy podobnie wstrętnych obłudników, dobrze znamy! – odezwał się pan Gideon z wyraźnym obrzydzeniem w głosie.

– Zresztą ci pacholikowie pochodzili ze szlachty – ciągnął stolnik – tyle że szlachta to była biedna jak myszy kościelne, gdzie ich trzy rody na jednej wsi siedziały. Takich chłopaków, gdyby ich pan Bal wyrzucił, czekałaby i hańba, i poniewierka. Co było robić?

Powiedziałem zgodnie z prawdą, że ze świecą szukać tak grzecznych służących i że do ich usług nie mam najmniejszych zastrzeżeń...

– Więc ich od pana chorążego waszmość dostałeś – zaśmiał się Rokicki.

– Tak właśnie było. Po latach obu zresztą dobrze wyswatałem i teraz jeden siedzi na dzierżawie, tu niedaleko, a drugiemu biedakowi zmarło się

jeszcze przed ostatnią elekcją, ale myślę, że też nie mógł się na mnie uskarżać.

– Waszmość dla poddanych swoich jesteś niczym najlepszy *pater familias*⁸³

pochylający się z troską nad ich losem – rzekł podsędek, tym razem z podziwem i rozczuleniem w głosie.

– Tak to właśnie jest, panie Gideonie: za dobro dobrem trzeba płacić, za to za niegodziwość karać bez wahania i skrupułów.

83 *Pater familias* (łac.) – ojciec rodziny.

– Podpisałbym się pod każdym słowem waszmości! – zakrzyknął podsędek. – A waszmość – obrócił się nagle w stronę pana Jacka – też sądzisz, że każdy powinien dostać, co mu się należy?

– Jeśli rachunek jest uczciwy, zawsze trzeba go spłacić – odparł podstarość, odpowiadając Rokickiemu tak samo śmiałym wejrzeniem, jak Rokicki śmiało w oczy pana Jacka spoglądał. – Pytanie tylko: czy na pewno jest uczciwy?

Podsędek zakreślił się na krześle niczym fryga i już z powrotem zwracał się do Ligęzy.

– Właśnie, panie stolniku, jak tu poznać, co jest co, a kto jest kto? Bo przecież co dla jednego jest niegodziwością, drugiemu zdaje się zaledwie figlem lub nawet zwyczajnością czy wręcz codziennością. Dla mnie *dulce*⁸⁴, dla waszmości *acidum*⁸⁵, dla mnie zimne, a waćpana grzeje. I co wtedy? Jakże obiektywną prawdę odnaleźć w subiektywnym mniemaniu o tym czy owym albo tamtym? Co to jest *definiens*⁸⁶, a co to *definiendum*⁸⁷? Ha? Proszę waszmości?

– Prawda jest jedna – rzekł twardo Jacek Zaremba, bo już nie mógł się powstrzymać.

Podsędek odwrócił się w jego stronę.

– O, nie, waćpanie. O, nie. Może za młody jesteś, by wiedzieć, że prawda jest względna, a nie bezwzględna, *integritas conscientiae*⁸⁸ zależy od oceniającego, a rachunek sumienia taki, nie inny, daje wynik nie z powodu cyferek, lecz stosownie do tego, kto liczy.

Podstarość już się szykował, by dać respons, kiedy stolnik uderzył nożem w talerz.

– Dosyć, waszmościowie, dosyć! Każdy z nas z całą pewnością ma zasady wytyczające mu drogę życia – wzrok pana Hieronima padł na

Komarnickiego, który drzemał

z odchyłoną głową i otwartymi ustami – lub przynajmniej mieć je powinien. Lecz zgodzę się chętnie, że zasady te różnią się, tak jak i my ludzie różnimy się wyglądem, głosem, zachowaniem, majątnością, cechami charakteru. I w takim wypadku niech busolą pozostanie nam dziesięć przykazań – głos stolnika nabrał mocy – bo jeśli drogi przez Boga wytyczonej będziemy się trzymać, to więcej niż pewne, że nie tylko do rajów łatwo zajdziemy, lecz i dla bliźnich nie staniemy się zbyt ciężkim balastem.

84 *Dulce* (łac.) – słodkie.

85 *Acidum* (łac.) – kwaśne.

86 *Definiens* (łac.) – wyrażenie definiujące.

87 *Definiendum* (łac.) – wyrażenie definiowane.

88 *Pater familias* (łac.) – ojciec rodziny.

– Święte słowa! – zakrzyknął z podziwem Rokicki. – Boże mój, jak waszmość dobrodziej wszystko potrafisz wyłuszczyć, wyjaśnić i wytłumaczyć, tak że nawet pan Zaremba nie próbuje zaprzeczyć, choćby pewnie i bardzo chciał...

Podstarości uśmiechnął się tylko kwaśno i z przymusem, ale wcale się nie odezwał i nauczony doświadczeniem solennie sobie obiecał, że następnym razem nie da się ponieść temperamentowi i ugryzie się w język nawet sto razy, zanim odpowie na kolejną prowokację Rokickiego. Podsędek zaś przypatrywał się panu Jackowi z uśmiechem na wąskich ustach, a palcami bębnił po obrusie i sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego.

*

Jeszcze przed podwieczorkiem tak się zdarzyło, że kiedy pan Hieronim wracał z wygodki, to pan Jacek właśnie się do niej wybierał i akurat, los chciał, spotkali się na schodach dworu. Stolnik zagarnął Zarembę ramieniem.

– Chodź ze mną, panie Jacku, zajmę ci chwilę.

– Sługa uniżony waszmości dobrodzieja.

Odeszli kilka kroków, po czym Ligęza rozejrzał się, czy w pobliżu nie ma jakiegoś ciekawskiego, który zbyt pilnie by ucho nadstawiał, i upewniony, że nikogo takiego nie widać, zapytał:

– I co, panie Jacku? Jak badanie owego cyrkowca? Dowiedziałeś się czegoś?

– Tyle zaledwie, że Rokicki mówił prawdę, przynajmniej w tej mierze. Rzeczywiście wynajął Saladyna, by przeprowadzić wymyślone przez siebie, pożałowania godne przedstawienie.

– Może się zmówili i teraz ten komediant jedynie powtarza ugadaną śpiewkę? –

zastanowił się Ligęza.

– Z całym szacunkiem, stolniku dobrodzieju, lecz nie sądzę, by tak było. Już tam mój Iwajło przycisnął go, by prawdę powiedział.

– Ale żyje? – stolnik poderwał głowę.

– Oczywiście, że żyje, panie Hieronimie – obruszył się Zaremba. – Jakżebym śmiał

pod twoim dachem zabić kogoś bez twego pozwolenia? Iwajło szturchnął go to tu, to tam, ale nie minie tydzień–dwa i nasz egipski książę na tyle wyzdrowieje, by znowu polować na krokodyle – podstarość uśmiechnął się szeroko.

– To dobrze, panie Jacku, to dobrze, bo, jak widać, raczej głupi to człowiek i lekkomyślny niż zły z natury.

– Chętnie się z waszmością zgodzę. A i chętnie uwierzę, że złoto Rokickiego tę lekkomyślność oraz głupotę podsyciło.

– Naprawdę jest szlachcicem, jak się zaklinał?

– Mówi, że ma w wozie dokumenty poświadczające szlachectwo i że się nazywa Tomasz Markiewicz. Taka tam, panie stolniku, gołota z ruskiego województwa.

– Gołota nie gołota, jednak szlachcic. Co teraz z nim zrobić, panie Jacku? – zafrasował

się Ligęza. – Jak sądzisz? Jak radzisz?

– Ma dwie dziewczki i chłopaka w swojej trupie, więc będzie miał kto się nim zająć.

Dam mu kilka złotych na otarcie łez po batach, jakie dostał od Iwajły, a waszmości będę wielce wdzięczny, jeśli każesz mu ze swej domowej apteczki sprezentować jakąś maść na szybsze gojenie skaleczeń. I niech jedzie, gdzie chce...

Ligęza podrapał się po nosie i odchrząknął.

– Powiesz może, panie Jacku kochany, że na stare lata nie krew, ale miód płynie mi w żyłach, ale niechże się ten Saladyn czy Markiewicz

wykuruje u mnie...

Podstarości uśmiechnął się – bynajmniej nie z ironią, lecz ze szczerą życzliwością.

– ...kiedy zaś już rany mu się wygoją, wtedy niech sobie do zajęć swych wraca.

– Waszmość pan dobrodzieju jesteś u władzy i cokolwiek sobie zażyczysz, ja chętnie do życzeń twych się dostosuję. Ani o zgodę, ani o radę przecież nie musisz mnie pytać.

Radziłbym tylko, jeśli wolno, by pan Jan szczególną uwagę zwrócił na owe dwie młode i ładne dziewczki, żeby do jakichś burd pomiędzy czeladzią nie doszło o ich względy. Bo te bestyjki – Zaremba mimowolnie podkręcił węża – niejednemu pewnie zawrócą w głowie.

– Słyszałem, słyszałem, że dziewczki niczym malowanie – ożywił się stolnik, po czym nagle stracił werwę – więc i ja lepiej będę się trzymał z dala od nich, by niepotrzebnej sensacji nie dać pożywienia.

Podstarości z trudem wstrzymał śmiech. Był pewien, że Ligęzowa Ewka już przypilnuje, by stolnik trzymał się jak najdalej od pięknych cyrkówek.

– No dobrze, panie Jacku, w takim razie Baranusiowi wydam odpowiednie dyspozycje w tej mierze i niechże owemu Saladynowi ogłosi, co zdecydowałem.

– Może tak być, że Markiewicz odmówi – rzekł podstarości – bo nie znając zacnego serca waszmość pana dobrodzieja, będzie się bał, że humor pański się odmieni i znowu zbierze baty.

Stolnik roześmiał się.

– To już jego sprawa. Ja w każdym razie gościnę mu oferuję. Nie jako szlachcicowi rzecz jasna, bo na to przecież nie zasłużył, by z nami gadać czy z nami jadać, ale spać będzie

miał gdzie i jeść też dostanie, ile sobie zażyczy, co, jak mniemam, jego życie uczyni znośniejszym niż dotychczas.

Tomasz Markiewicz wyglądał może trochę gorzej, niż pan Jacek przedstawił to stolnikowi, bo widoków najmniejszych nie było na to, by w tydzień czy dwa wyleczył plecy po ciężkiej chłości, jaką mu sprawił sługa podstarościęgo, ale też mowy nie było, by umarł

od tego bicia, tym bardziej że, jak postanowiono, będzie miał sposobność w spokoju kurować rany. Zaremba nie żałował komedianta, gdyż Saladyn sam sobie był winien, wchodząc w dziwny handel z

Rokickim. Przecież powinien dziesięć razy się zastanowić, zanim zdecydował się na oskarżenie szlachcica o zbrodnię, nawet jeśli to oskarżenie miało być w zamierzeniu jedynie czymś na kształt przedstawienia teatralnego. „Kto wie – pomyślał pan Jacek – czy go tą chłostą od przyszłej śmierci nie uratowałem? Bo jeśli podobny figiel wypłatałby komuś mniej cierpliwemu niż ja, to albo grzebano by go już gdzieś pod płótem, albo zebrałyby tak bolesne cięgi, że pogrzebanie pod płótem zdawałoby mu się wymarzoną przyszłością”.

– O czym tak dumasz, panie Jacku?

– A o tym, stolniku dobrodzieju, że gdyby z kogo innego ten cyrkowiec tak paskudnie zażartował, to by już z robakami gadał pod ziemią.

– Tak by się pewnie stało – zgodził się pan Hieronim – i tym bardziej nie podoba mi się koncept Rokickiego, że życie szlachcica naraził dla własnej, płóchej zabawki.

– Może i nie dla płóchej, może i nie dla zabawki – powiedział w zamyśleniu Jacek Zaremba.

– A to się jeszcze zobaczy, bo wiedz, że mam w tobie i twych zdolnościach, panie Jacku, ufną nadzieję.

– Pamiętam, waszmość dobrodzieju, i wielką mnie to napawa otuchą.

– Zastanawiam się, panie Jacku, czy Rokicki naprawdę coś do ciebie ma, czy tylko drażni się z tobą. Bo niby to, co mówi, jest niewinne, ale jednak przecież zauważyłem, jak na ciebie spogląda, z jaką intonacją niektóre wypowiada słowa.

– O, widzę, że waszmość dobrodzieju do mojego stronnictwa się zapisujesz!

Ligęza uśmiechnął się lekko.

– Może po prostu twoje podejrzenia zmusiły mnie do tego, bym się baczniej przyglądał panu Gideonowi. Ale jeszcze nie mów, że dałem ci się całkiem skaptować. Co to, to nie! No, wracajmy, panie Zarembo kochany, bo nieładnie zbyt długo zostawiać gości samych, a zresztą coś mi w gardle zasycha. A wiesz, że mój Zygmunt obiecał, iż podobno jakiś

ekstraordynaryjny tort nam dzisiaj przyrządzi? Będę chyba musiał sięgnąć po zapasik starej małmazji, bo do tortu tylko małmazja pasuje.

– Skarb prawdziwy znalazłeś waćpan w swym kucharzu – rzekł pan Jacek, po czym zgodnym krokiem obaj poszli w stronę dworu, a kiedy Zaremba stolnika już uprzejmie podprowadził pod same schody, wtedy

poprosił o wybaczenie i udał się za własnymi sprawami, tymi, dla których wcześniej dwór opuścił.

ROZDZIAŁ 2

Baron Feliks von Finckenstein

Następnego dnia – który zarówno dla pana Hieronima, jak i dla pana Jacka zaczął się tak późno, jak późno noc się dla nich zakończyła – Gideon Rokicki jeszcze przed śniadaniem w tonie nadzwyczaj poważnym poprosił Ligęzę o rozmowę „w sześcioro oczu” i napomknął, że „bardzo byłby wdzięczny, gdyby podstarości Zaremba raczył znaleźć czas i w rozmowie owej uczestniczyć”.

– W takim razie zaraz po śniadaniu zapraszam waszmości do gabinetu – odparł

Ligęza, zdziwiony i samą prośbą, i jej nadzwyczaj poważną formą, bo podsędek wbrew swym obyczajom ani razu nie zażartował.

Kiedy stolnik podzielił się ową wiadomością z panem Jackiem, ten nie okazał

zdziwienia.

– No proszę, proszę – rzekł tylko – bardzom ja ciekaw pogawędki z panem Gideonem.

– Chyba że to znowu jakiś będzie figiel – zauważył Ligęza i zmarszczył brwi.

– Już nie, jak śmiem przypuszczać. Tym razem z owej cienkiej liny, na której tak śmiało balansuje, mógłby pan podsędek spaść i bardzo boleśnie się potłuc. Tak więc wierzę, że naprawdę usłyszymy coś interesującego.

– Oby, panie Jacku.

– Choć nie znaczy to wcale: przyjemnego.

– Ba!

Zgodnie z obietnicą stolnik przyjął podsędka niedługo po śniadaniu. Jacek Zaremba również siedział już w gabinecie, po tej samej stronie biurka co Ligęza, tak się więc zdawać mogło, że pan Gideon jest świadkiem, który przed dwoma sędziami przyszedł się spowiadać.

Podstarości był pewien, że Rokicki spostrzegł to i że zapewne podobne miał przemyślenia, bo kiedy obrzucił komnatę wzrokiem, kiedy kłaniał się uprzejmie i grzecznie za przyjęcie dziękował, jednocześnie na ustach błąkał mu się kpiący uśmieszek.

– Siadajże, panie Gideonie, i powiedz, w czym możemy waszmości pomóc? Panie Jacku kochany, racz czynić honory domu...

– Sługa uniżony – Zaremba wstał i napełnił kielich podsędka, a ten podziękował, tym razem uśmiechem szczerym i szerokim.

Potem podniósł się z krzesła.

– Czas, waszmościowie, bym odkrył przed wami karty – rzekł, przybierając nadzwyczaj poważny ton i z nadzwyczaj poważną miną. Sięgnął za pazuchę i wyjął złożoną na dwoje kartę papieru. Zrobił dwa kroki w stronę biurka. – Oto list, panie stolniku dobrodzieju, jaki otrzymałem kilka miesięcy temu. Oto list podpisany twoim nazwiskiem i pieczętowany twoim herbem.

Ligęza po chwili wahania wyciągnął dłoń, rozłożył dokument, przebiegł jego treść wzrokiem, po czym zaklął z pasji.

– Masz, panie Jacku, czytaj! Znowuż to samo, na rany Chrystusa!

Zaremba przyjął dokument i uważnie go przeczytał. Raz, a potem drugi. Podniósł

wreszcie wzrok i spojrzał badawczo na Rokickiego.

– Czemu waszmość pokazujesz ten list dopiero teraz? Czemu udawałeś, żeś miał

wypadek w okolicy dworu pana stolnika?

Podsędka nie oburzył ton, jakim podstarości zadawał te pytania – ton, który jedynie nadzwyczaj pobłażliwy słuchacz nazwałby grzecznym – pan Gideon wręcz skinął poważnie głową, jakby z owymi pytaniami doskonale się zgadzał i jakby sam takie pytanie zadał, gdyby sytuacja się odwróciła i to on siedział na miejscu pana Jacka, a podstarości siedział na jego miejscu.

– Domyślałem się, że nie stolnik dobrodziej list ten napisał, lecz że wyszedł on spod innej dłoni – wyjaśnił Rokicki spokojnie. – A człowiek, który jest jego autorem, chce mnie ściągnąć na dwór jaśnie wielmożnego Hieronima Ligęzy w sobie tylko znanym zamiarze.

– Domyśliłeś się? Jakimż to sposobem?

– Tak to jest, waszmość panowie, że domyślanie się jest poniekąd moim zawodem.

Podstarości przyglądał mu się podejrzliwie.

– Nie rozumiem, co waszmość masz na myśli – rzekł wreszcie.

Podsędek lipnowski odetchnął głęboko, po czym wyprostował przygarbione dotąd plecy.

– Jestem baron Feliks von Finckenstein, pieczętujący się herbem Finckenstein, gdzie w polu błękitnym dwa złote księżycy barkami do siebie przytulone, nad którymi wisi takiejż barwy gwiazda – oznajmił głosem, w którym słychać było wielką dumę – i mam zaszczyt służyć miłościwemu panu memu, cesarzowi rzymskiemu Leopoldowi Habsburgowi, królowi

Niemiec, Węgier, Czech, Dalmacji, Chorwacji i Sławonii *et cetera*, arcyksięciu Austrii, księciu Burgundii, Brabancji, Styrii, Karyntii i Karnioli *et cetera, et cetera, et cetera*.

Hieronim Ligęza i Jacek Zaremba najpierw spojrzeli jeden na drugiego, potem na dumnie wyprężonego Rokickiego, potem znowu jeden na drugiego, aż wreszcie wybuchnęli zgodnym śmiechem. Stolnik buczał jak rój pszczół wpędzony do piwnicy, a podstarości rżał niczym koń. Podsędek lipnowski spurpurowiał.

– A niechże waści! – Ligęza poderwał się ze zwałością niezwykłą zarówno dla jego tuszy, jak i wieku i tak huknął podsędka w ramię, że niewysoki i chuderlawy Rokicki aż przysiadł. – Waszmość cesarskim dyplomata! Paradne, powiadam waści, paradne!

– Albo cesarskim szpiegiem! – Jacek Zaremba otarł zażawione oczy. – Z waści to lepszy komediant od tego Saladyna, nie ma co!

– Możecie sobie teraz pogadać jak cesarski wysłannik z egipskim księciem – stolnik znowu zahuczał śmiechem.

Rokicki czekał, aż obaj szlachcice się uspokoją, a krew stopniowo odpływała z jego twarzy, więc rychło z purpurowego stał się blady.

– Jeśli waszmościowie pozwolicie – rzekł wreszcie – w tej chwili, zaraz i natychmiast, przedstawię wam stosowne dokumenty wystawione przez cesarską kancelarię w Wiedniu, które to dokumenty potwierdzą, kim jestem i komu mam zaszczyt służyć.

– Dobrze, dobrze, panie Gideonie, waćpan setnie nas ubawiłeś ową krotoczwilą, ale pamiętaj, że żart przeciągany ponad miarę staje się jak mięso odgrzane zbyt wiele razy: suche, sztywne i tylko niesmak zostawia w gębie.

– Ależ stolniku dobrodzieju, przed Panem Bogiem się klęę, że jestem baron Feliks von Finckenstein, sługa dworu cesarskiego – Rokicki uderzył pięścią w wątłą pierś. – Niech mnie psi zeżrą, jeśli łżę!

Pan Hieronim tym razem spojrzął na podstarościego w milczeniu i ze zdumieniem, a pan Jacek popatrzył na stolnika z nie mniejszym zdumieniem.

– Jak na Niemca waszmość świetnie z naszą mową sobie radzisz – rzekł wreszcie podstarości niepewnym tonem, bo mimo tylu zaklęć podsędka wciąż podejrzewał podstęp.

– Taki tam ze mnie Niemiec jak i z waćpana – wzruszył ramionami Rokicki. – Z

polskiej jestem matki i w Rzeczypospolitej wychowany. Matka moja Rokicka była z domu i po jej rodzinie wzięłem nazwisko, które waćpanom podałem, co mam nadzieję łaskawi mi będziecie wybaczyć i zrozumieć pobudki mną kierujące. Natomiast Gideon miał na imię mój świętej pamięci dziad. Upraszam jednak, byście waszmościowie nadal nazywali mnie Gideonem Rokickim, gdyż swej prawdziwej tożsamości nikomu nie mogę ujawnić, póki spraw, dla których zostałem wysłany, nie załatwię zgodnie z wolą mojego jaśnie oświeconego monarchy.

– Przyznam, że nie pojmuję, jakież to waćpan sprawy cesarza rzymskiego pragniesz załatwiać na mym skromnym dworze – odezwał się wreszcie Ligęza.

– Wierzcie mi, waszmość panowie, że do *meritum* sprawy zaraz przejdę – rzekł

poważnie Rokicki – ale wcześniej jednak...

– A podsędek lipnowski? – przerwał mu Zaremba. – Skąd u waszmości ten tytuł?

– Wymyślony jak i reszta. – Rokicki rozłożył dłonie i uśmiechnął się przepraszająco. –

Pokornie błagam o wybaczenie, waćpanowie, ale ja w Lipnie nigdy nie byłem. Jednak kiedyś od jakiegoś szlachcica coś o tym mieście słyszałem i powiem waćpanom, że chyba nie byłoby się czym chlubić, gdybym w okolicy został podsędkiem, bo dziura to taka, że psy rzyciami szczekają – pan Gideon machnął ręką lekceważąco.

– Waćpan z ogromną łatwością pływasz po piasku – rzekł stolnik, spoglądając surowo na Rokickiego – i sam nie wiem, czy twoje sekrety to kolejna maskarada, czy też tym razem gadasz prawdę.

– A może to jedynie rojenia obłąkanego umysłu? – poddał pan Jacek. – Powiedz no waszmość: przypadkiem nigdy na rozum się nie leczyłeś? Rodzina nie trzymała cię w zamkniętej izbie?

Wreszcie coś wyprowadziło pana Gideona z równowagi, bo twarz jego ściągnęła się gniewem, a oczy błysnęły ze złością.

– Waćpan uważaj, byś jedno słowo za dużo nie wyrzekł – zasyczał – bo jak mi Bóg miły...

– Dość! – huknął basem Ligęza. – Czyś Rokicki, czy Finckenstein, nic mi do tego. Ale mnie i gości moich nie obrażaj, bo tu Ligęza jest pan i Ligęza jest sędzia. A jak każę cię mym sługom pognać batogami, to ci nawet wiedeński cesarz nie pomoże, choćby sam przydreptał o twoje życie

błagać! – tu stolnik z dumą i jednocześnie z zapałem wywołanym złością podkręcił wąsa.

– Słyszałem o jednym szlachcicu, którego nagiego jak go Pan Bóg stworzył

przywiązano do grzbietu świni i na rynku miasta wypuszczono – rzekł z uśmiechem Jacek Zaremba. – Podobno człowiek ten nie pożył długo po owej hańbie, ale zawsze można zobaczyć, ile pan baron przetrzyma.

Rokicki oddychał ciężko przez długą chwilę z głową opuszczoną, potem otrząsnął się i twarz przetarł wierzchem dłoni. Rozpiął guzy kontusza i zdjął go z grzbietu, potem to samo uczynił z żupanem, zostając w samej bieliźnie. Ukucnął, zza cholewy buta wyciągnął krótki nożyk i ostrożnie rozciął szew na sztywnym kołnierzu żupana. Przesunął dłonią i z równą ostrożnością wyciągnął z ukrycia złożoną na ćwierć kartę papieru. Rozprostował ją.

– Pismo i pieczęcie trochę zatarte – rzekł – ale jeśli waćpanowie zechcecie sprawdzić, to duplikat mam schowany w końskiej uprząży, gdzie zapewne w dużo lepszym zachował się stanie.

Podał dokument gospodarzowi, ten obrzucił kartę wzrokiem, po czym zmarszczył brwi.

– Waszmość, panie Jacku, czytasz po niemiecku, czyż nie?

– Tak dobrze jak po naszymu czy po łacinie, panie stolniku.

– No to obejrzyj z łaski swojej pismo, które pan Rokicki tak uprzejmie nam pokazuje.

Podstarości dłuższą chwilę studiował dokument, po czym powiedział:

– Kancelaria cesarska prosi, by barona Feliksa von Finckenstein vel Gideona Rokickiego traktować z uszanowaniem należnym wysłannikowi cesarza i by wspomóc go we wszystkich jego działaniach, gdyż podejmuje je w imieniu swego monarchy.

– Coś takiego – pan Hieronim popatrzył na Rokickiego i pokręcił głową w zadziwieniu.

– Ale czy te dokumenty są prawdziwe, to ja waszmości nie powiem – rzekł Zaremba –

bom nigdy przedtem nie widział pism z wiedeńskiej kancelarii, więc nie wiem, jak wyglądają.

A te tutaj pewnie byle sprytny Żyd w kantorze potrafiłby sfalszować. – Podstarości oddał

dokument Rokickiemu ze słowami: – Mnie te pisma nie przekonują, panie Rokicki, panie Finckelstein – celowo popełnił omyłkę, wymawiając nazwisko podane przez podsędkę – czy panie Piaskowy Pływaku. Możeś ty sługa cesarza, a może zwyczajny oszust, kto cię tam wie...

Pan Gideon z roziskrzonymi pasją oczyma spojrzął na Ligęzę.

– Stolniku dobrodzieju najmiłszy, upraszam o sprawiedliwość! Straszna krzywda mi się pod twoim dachem dzieje!

Ligęza odetchnął głęboko, podrapał się po policzku, spojrzął najpierw na Zarembę, później na Rokickiego, potem sapnął.

– Trudna rada – stwierdził wreszcie – waść swoim postępowaniem zmusiłeś nas, byśmy ci nie ufali, więc nie dziw się, iż rewelacje, z jakimi teraz przychodzisz, witamy z podejrzliwością, na którą może wcale nie zasługujesz. Jednak byś nie mówił, że krzywda ci się dzieje, i byś nie skarżył się, że cię nie wysłuchano, pozwolę, byś spróbował nas przekonać o zacności swych uczynków. – Ligęza zwrócił oczy na podstarościego. – A pana Zarembę uprzejmie poproszę, by na razie wstrzymał się ze złośliwymi docinkami i postarał się traktować ciebie, panie Rokicki, jak uczciwego szlachcica.

– To mi wystarczy – pan Gideon odetchnął tak głęboko, jakby jakiś wielki i zgniatający płuca ciężar zsunął mu się właśnie z piersi – i serdecznie waszmości dziękuję, że pozwalasz mi mojego dobrego imienia i mojego honoru bronić. Przyrzekam, że cię nie zawiodę i prawda zostanie przedstawiona tak jasno, że nawet wróg mój, gdyby się taki pod tym dachem trafił, nie będzie w stanie z nią dyskutować.

Jacek Zaremba się roześmiał.

– Ten wróg to pewnie ja – powiedział wesoło – ale waćpan się nie martw. Jeśli się okaże, że znowu kłamiesz, to już nie ja, lecz moja janówka *argumenta* ci przedstawi.

Oczy Rokickiego ponownie błysnęły złowrogo.

– Waść, jak widzę, zapominasz, że i ja szablę noszę przy boku, a zapewniam, że nie po to, by psy nią odganiać.

– Dość, dość, dość! – zawołał stolnik, zły już na obu szlachciców. – W ten sposób, waszmościowie, donikąd nie dojdziemy, a szkoda byłoby, gdyby krew się polała, zanim sprawa nie zostanie wyjaśniona. Czyż nie, panie Jacku?

Podstarości wzruszył ramionami.

– Czyż nie, panie Jacku? – dużo surowszym tonem powtórzył pytanie Ligęza.

– Tak jest, panie stolniku dobrodzieju – odpowiedział grzecznie Zaremba, ale z jego miny łatwo można było poznać, iż wcale nie został przekonany.

– Tak jest, panowie bracia kochani, pewien jestem, że na to, by jeden drugiemu łeb rozplątał, dobrą porę zawsze znajdziecie – rzekł stolnik już dużo łagodniej – więc lepiej najpierw się postarajcie wyjaśnić wszystkie nieporozumienia, a to w tym celu, by zabić lub poranić drugiego człowieka tylko w takiej sytuacji, kiedy przed własnym sumieniem i przed Panem Bogiem moglibyście zaświadczyć, że innego wyjścia naprawdę nie było.

– Oto słowa godne Katona – powiedział z namaszczeniem Rokicki i obie dłonie uniósł

powyżej ramion, zupełnie jakby był kapłanem zamierzającym błogosławić tłum.

– Ja z panem baronem wyjątkowo się zgodzę – dodał Jacek Zaremba.

– „Z podsędkiem”, jeśli łaska, panie starosto najdroższy, „z podsędkiem” –

przepojonym słodyczą głosem sprostował pan Gideon. – Upraszam waszmości, byś mnie tak właśnie nazywał, jeśli łaska.

– Proszę bardzo, panie Gideonie. Mów, co chciałeś nam powiedzieć.

Rokicki cofnął się do swego krzesła, usiadł, zapatrzył się w sufit, po czym na chwilę przymknął oczy i zaczął mówić:

– Waszmość panowie, nie czas, bym tu opowiadał o mym pochodzeniu i koligacjach, ale wiercie, że ród von Finckenstein należy do najprzedniejszych w Rzeszy, jeśli nie

bogactwem, to przynajmniej zasługami oraz pochodzeniem. Kuzyn mój Albrecht Konrad służył jako pułkownik w armii niderlandzkiej i francuskiej i mówią, że pewnie kiedyś zostanie nawet feldmarszałkiem, gdyż niewielu jest na świecie oficerów tak uzdolnionych jak on. Ja obrałem skromniejszą karierę i nad pola bitew przedkładam pola dyplomacji. Zamiast krwią pieczętować, wolę używać inkaustu, zwłaszcza od kiedy zrozumiałem, że prawdziwa siła nie leży po stronie tego, kto ma wielkie armie, ale po stronie tego, kto potrafi zręcznie negocjować traktaty...

– To prawda, że Habsburgowie umieją to najlepiej na świecie – przyznał pan Hieronim, kiwając głową.

– Waszmościowie dobrze wiecie, że już od antycznych czasów, już od dni chwały Cezara, Oktawiana lub Aureliusza, doskonale było wiadomym, iż nie tylko żołnierze i oficerowie są ważni dla rozstrzygnięcia wyniku wojny, nie tylko dyplomaci, ale również ci, którzy nie dając się rozpoznać, nie rzucając się w oczy, cicho i w tajemnicy...

– Szpiedzy – przerwał mu Zaremba.

– Raczej obserwatorzy – sprostował łagodnie Rokicki – bo przecież nie tylko działamy na terenie wroga, lecz również chronimy naszych przyjaciół, chętnie donosząc im o niebezpieczeństwach, jakie na nich czyhają.

– I waszmość działałeś... gdzie?

Pan Gideon zaśmiał się.

– Spytaj waszmość, gdzie mnie nie było... – rzekł i z nostalgicznym uśmiechem zapatrzył się przed siebie, zupełnie jakby przypominał sobie chwile dawnej chwały. – Ale dla naszej historii ważna będzie tylko jedna z moich podróży – dodał, odrywając się od wspomnień – ta mianowicie, którą niedługo przed wojną z Turkami odbyłem do państwa bielskiego. O tej właśnie podróży i o niezwykłych zdarzeniach, do jakich w jej czasie doszło traktuje moja opowieść, choć kto wie, czy odpryski tej historii nie trafiły nawet pod Wiedeń lub pod Parkany.

– Waść tam walczyłeś?

– Lepiej powiedzieć: byłem – odparł spokojnie Rokicki – bo nie mam w zwyczaju chlubić się nienależnymi zasługami i nie będę udawał, iż służyłem wojskowo w czasie tych bitew. Mogę waćpanom wyjawić, że dwór w Wiedniu przewidział dla mnie w tym czasie zupełnie inną rolę. Dodam, iż rolę ważniejszą niż niejednego dowódcy, choć nieprzynoszącą chwały wynikającej z rozgłosu, a jedynie taką, jaką zyskuje człowiek, który z niepozobawioną polotu sumiennością wypełnił misję wobec swego władcy i swego kraju.

– Dobrze powiedziane, panie Gideonie – Ligęza przyklasnęła słowom szlachcica – bo pozwolisz waszmość, że dalej będę cię nazywał jak dawniej.

– Ależ nie tylko pozwalam, ale wręcz uprzejmie nalegam i gorąco o to proszę! –

zakrzyknął fałszywy podsędek. – Niech wszystko będzie, jak było, waszmościowie! Niech ja dla was, waćpanowie, pozostanę teraz i na przyszłość Gideonem Rokickim, sługą waszym najpokorniejszym oraz

podnóżkiem unizonym! – Rokicki naraz poderwał się z krzesła i skłonił głęboko.

– Waszmość powiesz nam coś interesującego czy będziesz się tylko kłaniał? – zapytał

lekceważąco podstarości.

Rokicki poczerwieniał, zupełnie jakby ktoś sprzął go po pysku, spiorunował wściekłym wzrokiem pana Jacka, wreszcie sapnął potężnie. Na Zarembie cała ta farsa nie wywarła żadnego wrażenia, obserwował pana Gideona na poły z rozbawieniem, na poły z politowaniem.

– Dajże pokój, panie Zarembo kochany – stolnik poprosił łagodnie. – A waszmość –

spojrzał na Rokickiego – nie wystawiaj na zbyt ciężką próbę naszej ciekawości.

Ligęza powiedział „ciekawości”, ale pan Jacek był pewien, że Gideon Rokicki, Feliks von Finckenstein czy jak ten człowiek naprawdę się nazywał, doskonale rozumiał, że właściwe słowo brzmiałoby „cierpliwości”.

– Spieszę z wyjaśnieniami, panie stolniku dobrodzieju – podsędek zapewnił

pospiesznie – i już przechodzę od prologu do aktu pierwszego, a on pozwoli waszmościom wypłynąć wraz ze mną na szerokie i wzburzone wody dramatu, który zamierzam opisać.

– A bardzo proszę i zapraszam – zezwolił pan Hieronim.

– Rzecz cała zaczyna się w wiedeńskich lochach, w tej ich wyjątkowej części, gdzie nie spotkasz zwykłych przestępców: ordynarnych morderców, sodomitów, złodziei czy podpalaczy, jeno oskarżonych o najpoważniejsze przestępstwo, jakiego może się dopuścić dobry chrześcijanin.

– Tureccy szpiedzy? – stolnik nachylił się nad stołem.

– Właśnie tak, właśnie tak – skinął głową Rokicki. – Monarchia Habsburgów, która od wieków stanowi świątobliwe i błogosławione przedmurze całego chrześcijaństwa...

Zarembo, słysząc te słowa, prychnął tylko pogardliwie.

– ... szczególnie jest narażona – podsędek kontynuował niezrażony – na ataki pogan, zarówno natury militarnej oraz ekonomicznej, jak i takie, które przeprowadzane są przez ludzi podających się za dobrych chrześcijan, a szpiegujących na rzecz Porty.

– I u nas tego robactwa jest pod dostatkiem – stwierdził Ligęza. – Udają kupców albo i naprawdę są kupcami, ale główne ich zadanie to sprawdzić, gdzie jakie wojska stacjonują, jaka jest ich liczebność i uzbrojenie, jak miasta są ufortyfikowane...

– ... gdzie się znajdują magazyny, jak idą drogi i mosty, gdzie są brody – dokończył

pan Gideon. – Znamy to, oj, dobrze znamy...

– Chwali się, że w cesarstwie kogoś to niepokoi – rzucił z przekąsem podstarości – bo gdybyś po Rzeczypospolitej podróżował i mapy rysował, to jeszcze by cię panowie bracia ugościli miodem i winem.

Hieronim Ligęza zachnął się.

– Panie Zarembo kochany, nie mów, że jest aż tak źle...

– Z goszczeniem oczywiście przesadziłem, stolniku dobrodzieju, ale waszmość myślisz, że kogoś w Rzeczypospolitej obchodzi, że szpiedzy z obcych państw wędrują po naszym kraju, jak chcą i gdzie chcą? I to wszyscy: pruscy, moskiewscy, cesarscy, mołdawscy, tureccy. Jeśli pan Rokicki naprawdę służy wiedeńskiemu dworowi, to doskonale sobie z tego faktu zdaje sprawę – Zarembo spojrział na podsędką, a ten z zafrasowaną miną pokiwał tylko głową.

– Słabość naszego przyjaciela i sojusznika jest również naszą słabością, szczerze więc nad tym faktem boleję – stwierdził Rokicki.

– No dobrze, a co z tymi wiedeńskimi lochami? – przypomniał sobie stolnik.

– Lochy. Oczywiście: lochy. Jak wspominałem, znajduje się w nich część przeznaczona dla więźniów podejrzanych o zdradę i szpiegostwo. Niełatwo tam trafić, gdyż w Cesarstwie nie rzuca się pochopnie najcięższych oskarżeń, ale wydostać się stamtąd wręcz niepodobna – pan Gideon wykrzywił usta. – Zażądano ode mnie obecności przy przesłuchaniu czeskiego szlachcica o nazwisku von Muschin podejrzanego o szpiegostwo na rzecz Porty, który zażyczył sobie obecności urzędnika, by wyjawić ważne tajemnice. Na mnie trafiło...

Podsędek, znużony długą przemową, mruknął coś w rodzaju „zaraz mi język do gardła przyrośnie” i aby temu nieszczęściu zapobiec, pochwycił kielich i kilkoma łykami go opróżnił. Odetchnął z ulgą i uśmiechnął się tak radośnie jak człowiek, który z lipcowej spiekoty trafia w chłodny cień kamiennych murów.

– Powiadamy, że co zostało ujawnione w lochach, w lochach ma zostać po wiek wieków – kontynuował – choć oczywiście taka jest w tym powiedzeniu przesada i nieprawidłowość, iż zeznania pozyskane w czasie tortur muszą zostać przedstawione tym urzędnikom, którzy zdecydują potem zarówno o losie samych informacji, jak i człowieka,

który ich udzielił. Niewiele takich osób jest na cesarskim dworze, a zalicza się do nich tajny radca, którego imienia i nazwiska nie wymienię, gdyż po pierwsze nic ono waszmościom nie powie, a po drugie nikt mnie do jego wyjawiania nie upoważnił.

Pan Hieronim skinął poważnie głową na znak, że całkowicie zgadza się z tym tokiem rozumowania.

– Ów tajny radca był i jest jednym z najzaufańszych doradców oraz powierników samej cesarskiej mości i jako taki ma o każdej porze dnia i nocy dostęp do cesarskiego ucha...

– To zupełnie tak samo jak królowa Maria – zauważył z udawaną powagą podstarości

– tyle że ona nie tylko do ucha miłościwego pana ma dostęp, ale również do innych organów, do których przemowa zazwyczaj czyni męża wielce powolnym niewieścim zachciankom, prośbom czy poleceniom.

– Dałżebyś pokój, panie Jacku – stolnik niby surowo skarcił młodszego przyjaciela, lecz uśmiechnął się pod nosem.

– Cesarz Leopold jest co prawda człowiekiem sztuki i wyrafinowanym artystą, ale śmiem sądzić, że w *ars amandi*⁸⁹ z całą pewnością idzie za przykładem Marsa i Wenus, a nie Apollina i Hyakintosa – Rokicki wyjaśnił spokojnie i cierpliwie.

– I cóż z tym człowiekiem, który życzył sobie obecności waćpana?

– Mówimy również, że w cesarskich lochach nawet niemowa zmienia się w śpiewaka

– podsędek lipnowski rzekł z uśmiechem, który Jackowi Zarembie wydał się okrutny – więc i w przypadku tego oskarżonego nie mogło być inaczej. Chociaż przyznać muszę, że okazał się na tyle rozsądny, iż nie trzeba go było szturchać tak mocno jak innych, by zaczął gadać szczerze i do rzeczy.

– Więc waćpan byłeś obecny w czasie interrogacji?

– Na późniejszym etapie, owszem, byłem – wyjaśnił Rokicki – jednak wcześniej von Muschina przesłuchiwał urzędnik niskiej rangi i, jak się

waszmościowie domyślacie, przesłuchanie owo nie ograniczyło się tylko do uprzejmej pogawędki.

Jacek Zaremba mimowolnie skinął głową, gdyż doskonale wiedział, że rzadko przesłuchania ograniczają się do życzliwych pogaduszek i że obecność kata podczas wydobywania zeznań jest nad wyraz pomocna.

– Oczywiście gdybym musiał być obecny wcześniej, kiedy tego człowieka szturchano tu i ówdzie, tobym się tam zjawił. Tak bowiem stanowił mój obowiązek, od którego 89 *Ars amandi* (łac.) – sztuka kochania.

odżegnawać się nie mogłem pod żadnym pozorem, nawet gdybym chciał – pan Gideon westchnął. – Wyznać jednak muszę waszmościom, że żadna to przyjemność – Rokicki podniósł spojrzenie na pana Jacka – o czym pan, panie podstarości, jako sługa i strażnik praw wiesz równie dobrze jak ja.

Zaremba skinął głową.

– Tak właśnie jest, panie stolniku – rzekł. – Tylko nędzne natury czują radość, dręcząc innego człowieka, choćby i najbardziej winnego. Bo możemy zgadzać się na zadawanie bólu, nawet wielkiego, gdy konieczne jest to do wydobycia zeznań czy jako kara za zbrodnię, ale nie powinniśmy nigdy czuć satysfakcji z cierpień bliźniego lub, nie daj Boże, ulegać fascynacji jego strachem i bólem.

– Dobrze powiedziane, panie Jacku kochany! Dobrze powiedziane...

– Z dłuższej przemowy waszmość pana, panie podstarości, wnioskuje, że waćpan musiałeś mieć z podobnymi ludźmi do czynienia. Z takimi, co lubili bezinteresowanie zadawać cierpienie...

– Tak właśnie było – odparł krótko Jacek Zaremba.

Ligęza zerknął na przyjaciela kątem oka, ale nic nie wyczytał z jego posępnej twarzy.

A przecież mógł się domyślać, że podstarości, mówiąc, iż znał takich, co lubili zadawać cierpienie, wcale nie musiał mieć na myśli jakiegoś szubrawca, z którym się zetknął jako sługa prawa, lecz własnego ojca. Pan Kajetan Zaremba miał bowiem ciężką rękę nie tylko dla służących i poddanych, ale również dla żony i syna. I dlatego też pewnie matka pana Jacka uciekła z młodym sąsiadem gdzieś na Ukrainę, by spod męzowskiej opresji się wyzwolić.

Dziw tylko brał, że chłopaczka, którym wtedy był pan Jacek, zostawiła na łasce okrutnika. Na szczęście ojcowskie tyraństwo mitygowała i

ograniczała ciotka Zaremby, jedyna osoba, która pana Kajetana się nie lękała ani nie bała się mu przeciwstawić.

– Przyznam waszmościom, że nie tylko męczenie drugiego człowieka napawa mnie odrazą – powiedział Rokicki, teatralnie wstrząsając głową przy tych słowach – równą niechęć budzi we mnie ta straszna, duszna i wilgotna atmosfera lochów – podsędek lipnowski spojrzął

na malowany sufit stolnikowego gabinetu i westchnął – smród, ludzkie jęki, krew, odór palonych włosów i przysmażanej skóry... – Pan Gideon wzdrygnął się raz jeszcze. – Szczerze powiadam waszmościom: rzecz nie do wytrzymania. I jedynie najwyższa konieczność oraz wierność służbie najjaśniejszemu cesarzowi, któremu przysięgałem dozgonne posłuszeństwo, mogły mnie skłonić, bym wziął udział w podobnie niewdzięcznej misji.

Stolnik skinął głową ze zrozumieniem.

– I na wojnie przecież się zdarza, że trzeba od pochwyconego wroga wycisnąć wszystko, co wróg ten wie. Miałem w pułku takiego wachmistrza, niejakiego Hrybunowicza.

Jak dziś pamiętam, że pieczętował się Bajbuzą...

– A więc pochodził z Tatarów? – zagadnął podstarość.

– Rzecz jasna. Ale powiem waszmościom, że wcale nie było po nim widać tatarskiej krwi, bo był to ród osiadły w granicach Rzeczypospolitej od ponad stu lat.

– I cóż z tym Hrybunowiczem?

– Ano to, że kiedy trzeba było kogoś skłonić do zeznań, wołało się owego Tatarę, a on tak się potrafił zgrabnie uwinąć, że czasem nawet pacierz nie minął, a jeniec śpiewał niczym słowik o zmierzchu. – Ligęza się roześmiał. – Taki miała, bestia, wyobraźcie sobie waćpanowie, talent do rozmów z ludźmi...

Pan Gideon roześmiał się również.

– W cesarskich więzieniach też znalazłbyś waszmość mistrzów, co nawet kamienie zmusiliby do pogawędki. Ale – podsędek wzniosł palec – znaczna i niepodważalna wartość samego efektu nie oznacza bynajmniej, że chętnie się ogląda metodę prowadzącą do tego efektu..

– Ano nie – westchnął pan Hieronim. – Ja też czasem aż odwracałem wzrok, kiedy widziałem Hrybunowicza przy robocie. Jednak na szczęście większość jeńców gadała od razu, kiedy tylko ich pochwycono, więc wystarczało, że Hrybunowicz siedział obok i z ponurą miną gmerał żeleźcem w rozpalonych węglach...

– Czasami strach lepiej rozwiązuje język niż ból – zgodził się Zaremba.– My również najpierw po dobru próbujemy dojść do ładu ze zbrodniarzami. Bo jak taki człek wyzna wszystko, to po co się nad nim pastwić? – Podstarości wzruszył ramionami. – Już tam w czasie egzekucji kat wystarczająco go umęczy, a potem w piekle dadzą mu się diabli we znaki za wszystkie czasy. I grzechy z niego wypalą wrzącą siarką oraz smołą.

– Tak, tak, waszmościowie, nieszczęsna jest dola grzesznika – Rokicki uśmiechnął się drapieźnie, jakby zaraz sam miał się brać do roboty i potępieńcom prokurować ów godny pożałowania los – zarówno na tym naszym łez padole, jak i po śmierci, kiedy to, obserwując takich, co ambrosję spijają, będą karmieni jedynie własną krwią i łzami. – Podsędek upił łyk wina i zrobił zadowoloną minę, ale zaraz skwapliwie wrócił do swej przemowy: – A dodatkowego zaznają cierpienia z tej przyczyny, iż nie mogą się weselić jak inni, którzy godne i sprawiedliwe prowadzili życie. I biadając nad własną oplakaną kondycją, będą mogli ją porównywać do znakomitej i szczęsnej sytuacji tych, co postępowali zgodnie z Boskimi

przykazaniami. I to, zważcie waszmościowie, stanowić będzie dla nich dodatkową, szczególnie okrutną mękę.

– O, tak! Widzieć bliźniego pławiącego się w szczęściu, kiedy samemu się cierpi, to prawdziwie paskudna kara – zauważył Jacek Zaremba z nieznacznym uśmiechem na ustach.

– Ale ma też pozytywne strony – wtrącił stolnik – gdyż człowiek dotknięty złym losem może się, widząc radzących sobie lepiej, mocno zawziąć i los swój odmienić. Lub przynajmniej o odmianę się starać...

Pan Gideon wyszczerzył zęby i przez chwilę przypominał Zarembie wynędzniałego kundla, który rozwiera szczęki, by zaraz ugryźć.

– Albo lepiej jeszcze postąpić: zbyt szczęśliwego bliźniego do swojej marnej kondycji ściągnąć...

Hieronim Ligęza nastroszył brwi i już miał huknąć na podsędka, lecz ten zdążył

wtrącić:

– Bo czyż w naturze podłych ludzi nie leży to, że bardziej nawet wolą drugiego człowieka doprowadzić do zguby, niż siebie do wywyższenia?

Gniew uleciał ze stolnika, kiedy tylko spostrzegł, że Rokicki nie wypowiada swej opinii, a jedynie opisuje zachowanie części rodu ludzkiego. I trudno zresztą było nie zgodzić się z przemyśleniami podsędka.

Podstarości wszak też znał takich, co będąc śmiertelnie chorzy, woleliby zabrać nielubianego sąsiada ze sobą w zaświaty, niż wyzdrowieć. „Taka to już ludzka natura – pomyślał z rozgoryczeniem Zaremba – że w krzywdzeniu bliźniego lub choćby obserwowaniu jego katuszy, człowiek największe ma upodobanie”.

– Musiałem wziąć udział w przesłuchaniu, gdyż zapowiadało się, że rzecz dotyczyć będzie dużej sprawy, choć nikt nie śmiał nawet przypuszczać, jak bardzo wielkiej. Tak, tak –

Rokicki pokiwał głową – dostałem raport, iż chodzi o szpiegostwo i że z tego człowieka podającego się za czeskiego szlachcica, który zresztą, jak się potem okazało, w istocie był

czeskim szlachcicem, należy wycisnąć zeznania na temat tego, komu i o czym zdaje raporty.

Przede wszystkim jednak musieliśmy się dowiedzieć, kto mu pomaga i czy wielu jest tych ludzi. Miałem nadzieję, że dzięki tajemnicom, jakie więzień nam wyjawia, wszystkie rybki złapiemy – pan Gideon błyskawicznie rozłożył i zacisnął dłoń – w sieć.

Na drewnianym stole leżał rozebrany niemal do naga mężczyzna. Tylko jego biodra i przyrodzenie opasywała brudna, pokrwawiona szmata. Kostki i nadgarstki więźnia ściśnięto sznurami i w taki sposób go unieruchomiono, że przypominał człowieka witruwiańskiego ze szkiców boskiego Leonarda. Kiedy usłyszał szczęknięcie zamków i zobaczył von Finckensteina wchodzącego do komnaty, starał się unieść głowę. Baron zauważył, że

mężczyzna przypomina postać narysowaną przez włoskiego mistrza nie tylko sposobem ułożenia na stole tortur, lecz również rysami twarzy i bujnymi włosami. Tyle, że teraz jego twarz była brudna i ściągnięta cierpieniem, a włosy zlepione potem oraz krwią. Od mężczyzny wyobrażonego na szkicu odróżniała go również spiczasta bródka w hiszpańskim stylu. Usłużny kat przysunął Finckensteinowi krzesło. Ten najpierw spojrzął na siedzisko, skrzywił się z niezadowoleniem i dopiero po chwili usiadł.

– Witam, panie von Muschin – rzekł, spoglądając na więźnia. – Jestem baron Feliks von Finckenstein i proszę mi wierzyć, że szczerze ubolewam, iż spotykamy się w tak przykrych okolicznościach.

– Ja również – odezwał się czeski szlachcic i odchylił głowę, gdyż najwyraźniej niewygodnie mu ją było utrzymywać tak, by mógł spoglądać

na przybysza. Teraz wpatrywał

się w niski, okopcony sufit. – Niebo pewnie zobaczę wtedy dopiero, kiedy mnie wyprowadzą na egzekucję – dodał. – Czy może nie? – zmrużył oczy z niepokojem. – Czy tu mnie zabiją?

Tu, baronie? W tych parszywych lochach?

Von Finckenstein wzruszył ramionami.

– Nie widzę powodów, by miał pan umierać, panie von Muschin – rzekł z obojętnością w głosie – ale wszystko zależy od tego, czy i w jakim stopniu zechce pan odkupić grzechy. W rękach cesarza leży, czy każe pana stracić, czy ukarać zaledwie konfiskatą oraz banicją.

Czeski szlachcic zaśmiał się chrapliwie, a potem jęknął, gdyż najpewniej ten wybuch wesołości podrażnił jakieś rany zadane w czasie tortur. Jednak baron z zadowoleniem zauważył, że do tej pory nie obchodzono się z von Muschinem szczególnie źle. Miał co prawda zerwane paznokcie u lewej ręki, rozognione ślady po oparzelinach na piersi oraz fioletową opuchliznę przysłaniającą oko i rozlewającą się aż na środek policzka, ale poza tym wyglądał całkiem zdrowo. I bardzo dobrze, gdyż von Finckenstein nie znosił przesłuchiwać ludzi nadmiernie skatowanych. Po pierwsze ciężko było z takiego kogoś wycisnąć rozsądne zeznania i zrozumieć coś wśród bełkotu, jęków i szlochania, po drugie zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że człowiek nadmiernie umęczony skona, nim zdoła złożyć zeznania, po trzecie wreszcie baron wolał zwyciężać za pomocą rozumu, a nie prostackiej siły. Bo szarpać ciało rozpalonymi do czerwoności kleszczami umie każdy głupi, a żeby poprowadzić rozmowę tak, by więzień szczerze wyznał wszystkie winy, trzeba mieć trochę oleju w głowie.

– Już widzę, jak mnie wypuszczacie... – powiedział von Muschin, kiedy skończył się śmiać.

– Dużo będzie zależeć od mojego raportu – stwierdził baron – ale nawet jeśli cesarz nie udzieli panu łaski, to chyba lepiej umrzeć w kilka chwil na szubienicy, niż przez cały dzień zdychać na kole? Jak pan sądzi, Fryderyku?

– Pewnie, że lepiej – westchnął więzień. – Może mnie chociaż zetniecie mieczem, co?

W końcu jestem szlachcicem – westchnął znowu, tym razem zdecydowanie żałośnie.

Finckenstein o mało się nie uśmiechnął, słysząc te słowa i ton, jakim zostały wypowiedziane, ale udało mu się powstrzymać wesołość.

– No dobrze, przejdźmy do rzeczy. Życzyłeś sobie, aby ktoś z cesarskiej kancelarii wysłuchał twych zeznań, pojawiłem się więc, by zadośćuczynić twej prośbie. I rozumiem, że skoro wyświadczone ci grzeszność, to podobną odpowiesz grzesznością i nie zmusisz mnie, bym żałował uprzejmego zachowania.

– O, nie będziecie żałować... – powiedział von Muschin i skrzywił w mizernym uśmiechu zakrwawione wargi.

– Jest tu z nami sekretarz – Finckenstein obrócił głowę i wskazał podbródkiem mężczyznę ubranego w czerń siedzącego przy zbitym z desek stoliku – który zanotuje wszystko, co powiesz, i zgodnie z każdym słowem, a potem ty to będziesz mógł przeczytać i własnoręcznie podpisać, by wiadomo było, że z twoich zeznań nic nie odjęto, że do zeznań twoich nic nie dodano i że w żaden sposób zeznań twoich nie zmieniono ani nie przeinaczono ich zarówno co do myśli, jak i co do litery.

Fryderyk von Muschin poważnie kiwał głową przy słowach „odjęto”, „dodano”,

„zmieniono” oraz „przeinaczono” na tyle, na ile pozwalała mu niekomfortowa pozycja, w jakiej się znajdował.

– A może byście mnie rozwiązali? – zaproponował. – I dali trochę wody, bo diablo zaschło mi w ustach.

– Wody – rozkazał von Finckenstein katu, a ten podrałował ciężko, zaczerpnął wody z wiadra do glinianego kubka, wrócił i stanął obok barona z pochylonymi ramionami.

– Nie mnie, durniu! – warknął baron. – Więźniowi. – Z rozwiązaniem na razie poczekamy – rzekł do czeskiego szlachcica, gdy ten chciwie chleptał wodę z kubka, który kat nachylał do jego ust – ale nie mówię „nie”, panie von Muschin. Jeśli będę zadowolony z twych zeznań, to nie tylko każę cię rozwiązać, ale dostaniesz suchą celę i kolację z winem.

Ponieważ von Muschin wypił wszystko do samego dna, kat odsunął się od stołu.

Więzień oblizał się ze smakiem i odetchnął z wyraźnym zadowoleniem.

– Sądzę, że to uczciwa propozycja, panie baronie – rzekł poważnie – ale mówić będę długo, czy sądzisz wobec tego, że jest możliwe, iż każesz mnie rozwiązać wtedy, kiedy

uznasz, iż ciekawi cię, co mówię? A to w tym celu, bym już rozwiązany miał siły opowiadać jeszcze składniej i jeszcze bardziej

zajmująco, myśląc tylko o treści mych zeznań, by niczego nie przeoczyć ani, Boże broń, nie sfalszować, a nie o tym, że ciężko mi złapać dech, a stopy i dłonie bolą jak diabli.

Tym razem von Finckenstein pozwolił sobie na uśmiech, bo musiał przyznać sam przed sobą, że trochę go ten człowiek bawił, a trochę intrygował. „No cóż, jeśli rzeczywiście będzie miał coś ciekawego do powiedzenia, to może naprawdę uda mu się wykpić od stryczka”, pomyślał.

– Panie von Muschin obiecuję, że jeśli pan potraktuje mnie poważnie, to i ja pana poważnie potraktuję. Tego możesz być pan pewien – rzekł baron.

– Cóż, waćpanowie, nie będę wydłużał mej opowieści, gdyż przesłuchanie trwało wcale nie tak krótko. Powiem wam tylko, że już po minucie czy dwóch von Muschina kazałem rozwiązać, a nawet zezwoliłem, by wygodnie sobie usiadł, by przyniesiono mu wino i posiłek i by opatrzone mu rany w celu złagodzenia bólu, który, co tu ukrywać, wyraźnie mu doskwierał.

– No, no, ciekaw jestem wielce tych rewelacji, które na waszmości zrobiły tak wielkie wrażenie – zatarł dłonie stolnik.

Rokicki uśmiechnął się.

– Oj, wielkie! I dam głowę, że na waszmościach równie wielkie uczynią wrażenie co na mnie wtedy, w wiedeńskich lochach. Wyobraźcie sobie bowiem waszmościowie, panie stolniku dobrodzieju, panie podstarości, że chodziło ni mniej, ni więcej, tylko o... – Podsędek uniósł kielich i upił mały łyżeczek trunku. – Przednie wino, powiadam waćpanom, istne niebo w gębie...

– Panie Gideonie... – pokręcił głową z politowaniem Ligęza – to zbyt tani chwyt oratorski jak na waćpana, darujże sobie.

– Służę waszmości – Rokicki uprzejmie skłonił głowę. – Chodziło ni mniej, ni więcej, tylko o to, że ów von Muschin był tureckim szpiegiem mającym nadzorować operację, której celem było... – pan Gideon powiódł wzrokiem od Ligęzy po Zarembę i zatrzymał spojrzenie na obojętnej twarzy podstarościego – porwanie króla Jana Sobieskiego i oddanie go w ręce sułtańskiego dowódcy, a mówiąc: dowódca, mam na myśli wezyra Mustafę.

– Jezus Maria! – zakrzyknął stolnik i przeżegnał się zamaszycie. – Boże chroń króla!

– Boże chroń króla – powtórzył pan Jacek z niewzruszoną miną.

– Boże chroń króla i cesarza – dodał Rokicki, słowo „króla” wymawiając z uniesioną głową, a przy słowie „cesarza” wyraźnie pochylając kark.

– Jakżeż zamierzali przeprowadzić ów straszny i bezbożny plan? – zapytał

poczerwieniały z pasji pan Hieronim.

– Rzecz miała się odbyć w porozumieniu z pewnym szlachcicem, który miał

natychmiast donieść, jeśli król wyjedzie gdzieś na rekonesans i odłączy się od głównego obozu. Turcy słusznie przypuszczali, że tak zdarzyć się może, gdyż sami waćpanowie wiecie, że Jan III to nie tylko król i wódz, ale również człowiek rycerskiej odwagi, który nigdy nie stronił od bitewnego zgiełku.

– To prawda! I nie na darmo Turcy nazywają miłościwego pana Lwem Lechistanu.

– Toteż mogło się zdarzyć, że król wyjedzie ledwie w kilkanaście koni i odjedzie na tyle daleko od obozu, że szybko wysłany podjazd zdoła go pochwyć...

Stolnik skinął głową.

– Tak jest, na miły Bóg, tak właśnie mogło się stać.

– Tak się omal nie stało – wtrącił Zaremba, spoglądając uważnie w stronę Gideona Rokickiego.

– Tak omal się nie stało – powtórzył podsędek. – Pod Wiedniem okazała co prawda się nie trafiła, ale pod Parkanami, jak pan podstarości dobrze wie, bo całe wojsko o tym wiedziało, król ledwo z życiem i wolnością uszedł.

– Tak, tak, oczywiście – Ligęza klepnął się dłonią w czoło – przecież i ja słyszałem, że tylko cud jaśnie pana obronił przed poganami.

– Cud jak cud – pokręcił głową Rokicki – choć rzeczywiście niektórzy w wojsku powiadali, że Maryja, której polski monarcha wiernym jest adoratorem, wysłała anioła, by obronił przed Turkami tego, który z żołnierskich piersi postawił mur nie do zdobycia z wiary i męstwa zbudowany.

– Dobrze powiedziane! – stolnik huknął podstawą kielicha w blat.

– Pozwolicie jednak waćpanowie, że wrócę w mej opowieści do owego czeskiego szlachcica, który tak chętnie dzielił się ze mną swymi tajemnicami...

– Z tego, co waszmość mówisz, niewiele było trzeba, by go skłonić do szczerzej spowiedzi.

– Tak to już jest, stolniku dobrodzieju, co pan podstarości zapewne również przyzna, że po pierwsze łatwiej złamać kogoś, kto służy mamonie, a nie wielkiej idei, a po drugie zwykle przesłuchiwany może opierać się torturom, póki wierzy, że ten opór posłuży jego zwolnieniu. Kiedy jednak dowody są niezbite i katusze mają już tylko wyświetlić wszystkie szczegóły zbrodni, a nie udowodnić winę, wtedy więzień wie, że męczony będzie do skutku i

że nie ma dla niego żadnej nadziei. Wtedy woli wszystko powiedzieć, póki jest mniej więcej w jednym kawałku.

Jacek Zaremba skinął głową.

– Pan Rokicki ma niezbitą słuszość w tej mierze – zwrócił się do stolnika. – Ja również podobny mechanizm zaobserwowałem w czasie prowadzenia śledztw, choć oczywiście moje interwewiacje nie dotyczyły tak istotnych kwestii jak badanie prowadzone przez pana Rokickiego.

– Porwać monarchę to iście diabelski zamysł, ale rzeknę też, że nieprzytomnie śmiały w swym diabelstwie – stwierdził Ligęza.

– Zastanawiam się, czy kiedyś w historii udała się podobna rzecz? – zamyślił się podstarości. – Bo że król wpadł w ręce wroga w czasie bitwy, to wiadomo, zdarzyło się nie raz...

– Choćby francuskiemu Franciszkowi, którego pokonał przodek naszego umiłowanego cesarza, cesarz Karol Habsburg – wtrącił Rokicki uroczystym tonem.

– O, właśnie! – pan Hieronim uniósł palec wskazujący. – Dobrze powiedziane, Franciszek. Takż rzymski cesarz Walerian, którego Persowie schwywali i na śmierć zadreczyli. Takż angielski Ryszard, którego cesarz Henryk więził całymi latami, póki nie wyplacono mu monstrualnego okupu.

– Ale porwanie władcy i oddanie go w ręce najzaciętszego wroga? – Zaremba zmrużył

oczy, starając się przypomnieć sobie z historii podobny przypadek, po czym pokręcił głową. –

Nieee, taka rzecz w dziejach świata chyba nigdy się nie zdarzyła.

– I przykre by było, gdyby się zdarzyła właśnie monarsze zaprzyjaźnionej i sojuszniczej Rzeczpospolitej, w dodatku na terenie cesarskich domen – dodał gładko Gideon Rokicki.

– Ba! Ale opowiadaj waszmość, co i jak się dalej stało. Mówże, nie daj się prosić!

– Zakończyłem opowieść na tym, iż znaleziono pewnego polskiego szlachcica, który miał króla Jana doprowadzić do zguby. Z owym szlachcicem miał się spotkać właśnie Fryderyk von Muschin, by uzgodnić detale planowanej zbrodni.

– A skądże oni wystraszyli ową kanalię!?! – zachnął się Ligęza. – Jakież to szlachcic własnego króla wyda we wraże ręce!?! Toż, waszmościowie, ja przeciw wojskom Jana Kazimierza walczyłem, co dzisiaj przyznaję z niekłamanym bólem, ale każdy z nas, każdy żołnierz armii hetmana Lubomirskiego, włącznie z samym panem hetmanem, miłościwego pana własną piersią by osłonił. Bo nie z królem walczyliśmy, lecz z błędnymi koncepcjami, które król chciał realizować. Nie z najjaśniejszym panem toczyliśmy wojnę, ale ze złymi

doradcami, którymi się otaczał. Tak było! – dla podkreślenia wagi swych słów stolnik huknął

pięścią w blat, aż zadrżały i zadźwięczały kielichy.

– To prawda, że wierzyć się nie chce, by w narodzie naszym szlacheckim znalazł się podobny łotr – przyznał spokojnym tonem pan Jacek. – Ale kto wie, może ten człowiek tylko się podawał za szlachcica? Waszmościowie sami na pewno czytaliście *Liber generationis plebeanorum*⁹⁰, więc dobrze wiecie, jakich plebs używa sposobów, by za herbową brać się podawać i z przywilejów naszego stanu bezkarnie korzystać. I, co gorsza, często mu się to udaje! Może tu z takim właśnie przypadkiem mamy do czynienia?

– O, tak! Na pewno tak właśnie było, jak waszmość mówisz! – zgodził się żarliwie Ligęza.

– Czy to był prawdziwy szlachcic, czy farbowany lis, tego waszmościom nie powiem

– odezwał się podsędek – wiem jednak, że Fryderyk von Muschin usłyszał o owym zdrajcy od pewnego węgierskiego Żyda. Paskudnik ów nazywał się Szechter, lecz wszyscy zwali go Szacher...

– Ależ ja znam to nazwisko! – wykrzyknął Zaremba. – Pamiętasz waszmość? –

zwrócił się do stolnika. – Wszak pułkownik Sperling opowiadał nam o nim jako o człowieku zamieszonym w handel chrześcijanami.

– Tak, rzeczywiście. Pamiętam – odparł pan Hieronim i skinął głową.

– Pułkownik Sperling, no proszę, proszę... – powtórzył Rokicki, ale nie dopytywał o nic więcej: czy nie był ciekaw, czy raczej domyślał się, iż nic więcej mu na razie nie powiedzą. – Cała rodzina Szechterów to łotry, kanalie i zdrajcy jeden w drugiego – ciągnął

podśudek – ale ów Adam, czy też, jak Turcy go nazywają: Adem, to już łotr z łotrów największy, kanalia najbardziej paskudna z paskudnych i zdrajca, który w zaprzaństwie, renegactwie i odstępstwie wszystkich zaprzańców, renegatów oraz odstępców wyprzedził.

– Bywają tacy ludzie, którzy w niecnocie się szkolą i do mistrzostwa w niej dochodzą

– westchnął Ligęza.

– Święta prawda, stolniku dobrodzieju – przytaknął pan Jacek. – Wiem również z doświadczenia, że na takich paskudników nie ma innej rady niż postronek i szubienica. Bo poprawić już się nie poprawią, a po co mają szkodzić dobrym ludziom?

– I za to wypijmy – stolnik podniósł kielich.

– Z wielką chęcią! – zatarł dłonie Gideon Rokicki i zaraz pochwycił naczynie.

90 *Liber generationis plebeanorum (Liber Chamorum)* – „Księga narodowa plebejów”, dzieło Waleriana Nekandy Trepki.

– Na pohybel wszystkim Szechterom tego świata – powiedział uroczystym tonem podstarości – żeby ich za życia trąd i dżuma dusiły, a po śmierci niech się gotują w diabelskich kotłach po kres czasu.

– Tak właśnie niech się stanie! – rzekł dobitnie Ligęza, a podśudek zachichotał z wyraźną satysfakcją.

– Waćpanowie nie uwierzylibyście, jak sprytna kanalia była z tego Szechtera. Oto wysyłał swych agentów, głównie na południe Rzeczypospolitej, by mamili chłopków czy luźnych ludzi albo obietnicami znakomitego życia na ziemiach cesarstwa, albo mirażami pielgrzymek do miejsc świętych i zapewnieniami, że czeka ich odkupienie grzechów lub wielka świętość...

Ligęza i Zaremba spojrzeli jeden na drugiego, gdyż od razu przypomniała im się opowieść Sperlinga oraz historia grupki młodych parobczaków i towarzyszących im dziewcząt, którzy za przyczyną podobnych do opisywanych przez pana Gideona knowań mało co nie wpadli w pogański jasyr.

– Waszmościowie coś wiecie o tych sprawach, czyż nie? – domyślił się Rokicki.

– Ano wiemy – przyznał poważnie stolnik – dokładnie o tym, o czym waćpan opowiadasz, mieliśmy już okazję słyszeć.

– Zresztą sprawa nie jest przecież nowa – stwierdził pan Jacek – i choć w Wielkopolsce podobne kłopoty są rzadkością, bo jeśli tu ktoś nam porywa chłopów, to co najwyżej cesarscy lub pruscy werbownicy, jednak wiemy, że na południu Rzeczypospolitej ów kryminalny proceder znacznie częściej jest uprawiany.

– Tak, tak, wszędzie można trafić na złych ludzi, którzy potrafią zręcznie wykorzystać głupotę poczciwców – podsędek zrobił smutną minę i pociągnął nosem.

– Jak również chęć zysku, bo wszak mają ich mirażami lepszego życia – zauważył

Ligęza.

– A mnie się zdaje, waćpanowie, że ów Szechter i inne mu podobne łotry wykorzystują również wyjątkową cechę ludzkiej natury, jaką jest chęć czucia się lepszym niż inni – powiedział Zaremba. – Oto taka kanalia szepce ci w ucho: „Jeśli mówię do ciebie, to znaczy, żeś lepszy od innych i wyjątkowy. Jeśli słuchasz mnie i rozumiesz, to znaczy, żeś lepszy od innych i wyjątkowy. Jeśli idziesz za mną i innych przekonasz, by poszli, to znaczy, żeś lepszy od innych i wyjątkowy”. I tak długo im kadzi, iż są roztropniejsi oraz dzielniejsi od innych, że potem idą za nim posłusznie niczym barany na rzeź. I jeszcze gotowi są zabić każdego, kto zaneguje to, w co wierzą, czyli że to święty człowiek prowadzi ich do świętych miejsc.

Stolnik westchnął głęboko i z niemaskowanym żalem.

– Taka już jest natura ludzka, panie Jacku kochany. Tak było, jest i będzie i nic na to zjawisko nie poradzimy, że przebiegli nickszemnicy będą ciągnąć prostych ludzi w otchłań, że nakarmią ich kłamstwami i czczymi obietnicami, że wykorzystają ich, sprzedadzą i wreszcie porzucą, kiedy biedacy na nic nie będą im już potrzebni.

– Jak i waćpan serdecznie brzydę się oszustwem – wzdrygnął się Rokicki – i choć wysłannik cesarski musi się czasem uciekać do forteli lub wybiegów, bo taka nasza powinność i praca, to przecież służymy naszemu władcy podług sił i możliwości, a czasem nawet mierząc siły powyżej zamiarów, nigdy zaś odwrotnie.

– Racja, racja, ale mów waść, co uczyniłeś z pozyskanymi informacjami?

– Protokół z przesłuchania co do literki zapisywał sekretarz, o którym już wspominałem, a którego mina mocno rzedła z każdym wypowiedzianym słowem, gdyż niezbyt to bezpieczne być powiernikiem wielkich sekretów.

– O, tak – Ligęza przerwał panu Gideonowi – proste natury wielce się radują, kiedy niespodziewanie poznają tajemnice należące do możliwych tego świata. Ale ludzie roztropni doskonale wiedzą, że wielka tajemnica to jednocześnie wielki ciężar. I niejeden się trafi, który zechce ci ten ciężar zdjąć z ramion razem z głową.

Podsędek zaśmiał się chrapliwie.

– Tak jest właśnie urządzony ten nasz nie najlepszy ze światów – zgodził się. –

Waszmość pan dobrodziej utrafiłeś w istotę sprawy. Dlatego też protokołujący przesłuchanie pisarz nie był zbyt szczęśliwy... No ale co miał zrobić?

– Pan każe, sługa musi.

– Ano właśnie. Ja natomiast uczyniłem, co uczynić musiałem, czyli z dokumentami w dłoniach udałem się do gabinetu tajnego radcy, o którym wspominałem waszmościom na początku naszej rozmowy.

– Tak jest, wspominałeś.

Tajny radca siedział przy szerokim czarnym biurku. Twarz jego była wychudła i blada, sprawiała wrażenie jakby na ptasie kości naciągnięto napięty szary pergamin..

Poruszany przeciągiem płomień świec z ustawionego na blacie wielkiego kandelabru, kładł na obliczu radcy raz blask, a raz cień. Baron postąpił krok naprzód i poczekał, aż za jego plecami zamkną się drzwi.

– Wasza ekscelencjo – rzekł von Finckenstein – zgodnie z życzeniem waszej ekscelencji dopilnowałem przesłuchania i sporządziłem z niego szczegółowy raport.

Tajny radca dopiero teraz uniósł głowę znad dokumentów i obrzucił von Finckensteina pozbawionym wyrazu spojrzeniem szarych, wyblakłych oczu.

– Proszę siadać, panie baronie – zaproponował głosem doskonale do spojrzenia pasującym, gdyż tak samo wyprany był z wszelkich emocji.

Von Finckenstein przeszedł przez gabinet, odsunął krzesło z wysokim, wąskim oparciem i usiadł na twardym siedzisku. Wiedział, czego się

spodziewać, gdyż nie raz i nie dwa gościł już w tym gabinecie – doskonale pamiętał, że nie może liczyć na atlasowe poduchy oraz leniwą pogawędkę przy winie i słodyczach.

– Proszę mówić – tajny radca i utkwiał wzrok w twarzy barona.

Von Finckenstein poczuł się niepewnie, tak jak czuł się zawsze, kiedy wpatrywał się w niego ten niemal wszechwładny starzec, decydujący o losach i życiu tysięcy ludzi.

– Człowiek, którego przesłuchiwaaliśmy, naprawdę nazywa się Fryderyk von Muschin, jak od początku podawał, i jest czeskim szlachcicem oraz... – baron nie mógł się powstrzymać i zawiesił na chwilę głos – ważnym tureckim szpiegiem.

Tajny radca nie dał w żaden sposób po sobie poznać, że jest zdziwiony lub zaskoczony. Von Finckenstein nie spodziewał się co prawda niczego innego, ale jednak w głębi serca poczuł się trochę zawiedziony tym całkowitym brakiem reakcji.

– I ja znałem takich milczków – przerwał Rokickiemu stolnik – powiedziałbyś im, że słońce właśnie spada na ziemię, a oni dalej siedzieliby nieruchomo niczym koty przy mysiej norze i patrzyliby na ciebie, nie mrugnawszy powieką.

– Trzeba wielkiego doświadczenia, by tak zręcznie wytresować samego siebie –

stwierdził podstarość – i nie każdy to potrafi, choćby bardzo chciał.

– Tajny radca, o którym mowa, słynie z powagi oraz opanowania, jakie czasem niektórym wydają się wręcz nieludzkie, tak jakby zamiast pompującego krew serca miał w piersi księgę praw – przyznał pan Gideon.

– Taki urzędnik to skarb na monarszym dworze – zauważył Ligęza.

– I ja tak sądzę – zgodził się podsędek – choć my, ludzie z krwi i kości: z naszymi wszystkimi słabościami, wadami i przywarami, mamy prawdziwy kłopot, kiedy przychodzi nam obcować z kimś tak różnym od nas, nawet jeśli z pewnego punktu widzenia jest on niewątpliwie ideałem.

– Krótko mówiąc: przed obliczem pana radcy wszystkim trzęsły się łydki – złośliwie podsumował Jacek Zaremba.

Rokicki odchrząknął dwa razy, po czym powiedział:

– Skoro waszmość tak sprawę ujmujesz, to mogę jedynie rzec, że postać tajnego radcy budziła powszechny respekt, a i ja byłem pod przemożnym wpływem jego pozycji oraz charakteru.

– A wieść o planowanym zamachu na naszego króla wywołała jakąś reakcję tajnego radcy? – spytał zaciekawiony pan Hieronim.

– Pewnie spytał, jakim sposobem można by się przyłączyć do spisku – mruknął

Zaremba.

– Panie Jacku kochany! – zmitygował go stolnik, ale chyba tylko z grzeczności, bo, jak można było zmiarkować z poprzednich rozmów, to Ligęza (jak większość polskiej szlachty) wolał, by Rzeczpospolita trzymała się jak najdalej od niemieckiego cesarstwa.

– Och, nic to, stolniku dobrodzieju – rzekł zboliałym głosem Rokicki – my, dworzanie, żołnierze czy urzędnicy cesarskiego dworu przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że wielu w Polsce nie szczędzi nam okazywania swej niechęci. A wszak nie kto inny, lecz cesarz jest największym, najszczerzym i najwierniejszym przyjacielem Rzeczpospolitej.

– W takim samym stopniu jak niedźwiedź jest przyjacielem pszczoł – podstarości pozwolił sobie na kolejny wtęt.

– Panie Zarembo, dość politycznych dywagacji – przerwał, tym razem już surowo, gospodarz – dajmy mówić panu Gideonowi. – Ligęza spojrział na podsędką. – Proszę waszmości, opowiadaj dalej...

– Służę, panie stolniku – odparł Rokicki. Zerknął jeszcze podejrzliwie w stronę Jacka Zaremby, czy ten aby nie przeszkodzi mu jakąś kolejną uwagą, ale ponieważ podstarości się nie odzywał, pan Gideon podjął opowieść:

Baron położył przed tajnym radcą dokumenty, w których sekretarz spisał zeznania więźnia wyraźnymi, okrągłymi literami, na czystym papierze i bez kleksów. Kancelista wyjątkowo się postarał i specjalnie go również von Finckenstein pilnował, gdyż wszyscy wiedzieli, że jego ekscelencja jest człowiekiem przywiązującym wielką wagę do detali i nienawidzącym wszelkiego nieporządku, a niechlujstwo uznającym za grzech (i to nawet jeden z większych oraz poważniejszych). Jednocześnie baron krótko, zwięźle i w punktach wyłuszczył to, czego się dowiedział w trakcie przesłuchania. Tajny radca przeglądał w tym czasie protokoły, a kiedy śledczy skończył relację, oderwał wzrok od dokumentów i przeniósł spojrzenie na von Finckensteina.

– Proszę zadbać, aby temu człowiekowi nic się nie przydarzyło – rozkazał.

– Tak jest, ekscelencjo – odparł posłusznie baron, rozumiejąc, że chodzi o von Muschina.

– Jakie są pana propozycje co do dalszego postępowania?

Von Finckenstein wiedział, że to pytanie padnie, i od dłuższego czasu, w zasadzie od chwili, w której usłyszał o spisku, zastanawiał się, jak na nie odpowiedzieć. Ostateczną decyzję podjął dopiero tuż przed wejściem do gabinetu radcy.

– Polski szlachcic nie wie, jak wygląda Fryderyk von Muschin – powiedział powoli i z namysłem – cóż więc mi przeszkadza, by podać się za niego i dzięki temu podstępowi odkryć największe sekrety spisku?

Tajny radca popatrzył na barona, pokręcił głową i odezwał się głosem, w którym nie słychać było ani aprobaty, ani dezaprobaty:

– Powiem jedynie, panie baronie, że to odważny pomysł. Ów Polak na pewno cię nie rozpozna?

– Zna jedynie nazwisko człowieka, z którym ma współdziałać. Jak wasza ekscelencja wie, mówię po polsku i niemiecku, nie po czesku, ale wśród czeskiej szlachty niewielu jest takich, którzy znaliby czeski język – von Finckenstein uśmiechnął się pogardliwie – a więc i moja jego nieznamość nie będzie się nikomu wydawać niczym dziwnym.

– To prawda – przytaknął radca.

– Polak nigdy nie widział von Muschina, a z Turkami von Muschin porozumiewa się przez pewnego kupca, który wozi listy w jedną i w drugą stronę – baronowi coraz bardziej podobał się jego własny koncept – poza tym sądzę, ekscelencjo, iż tak bardzo zależeć im będzie na powodzeniu spisku, że mogą zapomnieć lub nie chcieć pamiętać o środkach ostrożności.

– Kto wie, może i tak będzie? – zgodził się cesarski urzędnik.

– Po odniesieniu tak wielkiego triumfu – ciągnął von Finckenstein – Kara Mustafa do końca życia cieszyłby się łaskami sułtana. Przecież rzuciłby mu pod stopy łeb Lwa Lechistanu – baron skrzywił usta, wymawiając przydomek, pod jakim Jana III Sobieskiego znano w Turcji.

Tajny radca skinął głową.

– W rzeczy samej. A obaj wiemy, że tak niespodziewany triumfator mógłby zyskać coś więcej niż tylko łaskę sułtana, może nawet... sułtański tron.

Von Finckenstein przymrużył oczy.

– Pan sądzi, ekscelencjo, że wezyr naprawdę aż tak wysoko mierzy? – ośmielił się zapytać.

– Jeśli teraz nie ma podobnych ambicji, to znajdzie się niejeden, który mu je podpowie, zwłaszcza w chwili wielkiego triumfu – odparł tajny radca.

– Kiedy Turcy zechcą zrealizować plan porwania, będą musieli przekazać von Muschinowi również odpowiednie wiadomości i kontakty – baron powrócił do właściwego tematu – wliczając w to oczywiście kontakt z owym polskim szlachcicem zdrajcą. Co za tym idzie: poznamy sposób działania ich szpiegów, a na oddział mający schwytać polskiego króla urządzimy zasadzkę i udaremnimy Turkom popełnienie tej zbrodni.

Ani von Finckenstein nie musiał przypominać, ani radca wspominać o tym, co obaj znakomicie rozumieli. A mianowicie, że polski król będzie miał wielki dług wobec domu Habsburgów i od tej pory można by swobodnie mówić, że Polacy co prawda pomogli cesarstwu, ale za to cesarz uratował od zguby polskiego króla, więc rachunki się wyrównały.

– Czy von Muschin wie, czemu ten Polak to robi?

– Nie, ekscelencjo. Pytałem go o to, ale podejrzewam, że dopiero w czasie osobistego spotkania z polskim zdrajcą będę mógł się przekonać, jakie pobudki nim kierują.

– Dobrze, niech pan postępuje wedle swego planu – zdecydował tajny radca.

– Więc od teraz jestem – von Finckenstein się uśmiechnął – Fryderyk von Muschin, dobry czeski szlachcic i poddany cesarski.

– I zdrajca – dodał radca.

– I zdrajca – zgodził się baron z jeszcze szerszym uśmiechem. – Ale że jedynie zdrajców zdradzę, to mam nadzieję, iż przed Najwyższym Sądem zostanie mi ów postępek wybaczony.

Tajny radca postukał palcem w podstawkę od kałamarza, milczał przez chwilę, po czym zapewnił:

– Może mi pan wierzyć, baronie, że dwór nie zapomni o pana zasługach.

– I ja mam taką nadzieję – odparł poważnie von Finckenstein – a że w dzisiejszych czasach trudno o dobrą pamięć, wobec tego uprzejmie proszę o spisanie warunków naszego kontraktu, byśmy czarno na białym wiedzieli, kto komu co i ile jest winien.

– Jakże to? – zakrzyknął Hieronim Ligęza, otwierając szeroko oczy. – Waszmość o nagrodę się upominałeś, kiedy przyszło służyć władcy i

państwu, co niejedyn za wielki honor by sobie poczytał, nawet gdyby mu przyszło do tegoż honoru dopłacić?

Rokicki uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Czy już Pan nasz umiłowany Jezus Chrystus nie powiedział „wart jest bowiem robotnik zapłaty swojej”? – zapytał. – Czy żołnierze i oficerowie nie otrzymują żołdu, a urzędnicy pensji? Dlaczegoż więc właśnie ja miałem ryzykować życie za darmo?

– Przecież to o sprawy waszmości monarchy i o waszmości kraj uchodziło!?

– I cóż z tego? Jakież to ma znaczenie?– pan Gideon nie wydawał się zdziwiony obiekcjami stolnika, przemawiał do niego jak spokojny nauczyciel do niezbyt lotnego ucznia.

– Jeśli ktoś chce, bym darmo narażał głowę, niech sam do Turków czy ich stronników sobie idzie i zaryzykuje życie, a kto wie, może nawet wystawi się na męczeństwo... – Podsędek wzruszył ramionami. – Wszystko, waszmościwie, jest kwestią interesu oraz nadziei osiągnięcia wzajemnych korzyści, niczym więcej. Choć przyznam, że obywatele Rzeczypospolitej często owego prawidła nie rozumieją, a to moim zdaniem – Rokicki uniósł

palec – nie rokuje dobrze ani waszemu państwu, ani narodowi szlacheckiemu, który zbyt skłonny jest do gorączkowej pochopności, a zbyt mało zdolny do zimnej kalkulacji, co w efekcie same przynosi szkody wszystkim wokół, a najbardziej wam samym.

Jacek Zaremba zachnął się i chciał coś rzec, ale nim zdołał otworzyć usta, ubiegł go stolnik.

– Może i waćpan masz rację – powiedział ku zdziwieniu podstarościego – może częściej przydałby się kubeł zimnej wody na te rozpalone głowy. Ale, ale... Nie pora tu rozprawiać o naszych przywarach narodowych i zaletach, bo i jednego, i drugiego zebrałoby się pewnie tyle, że do zimy byśmy bez większych przerw deliberowali. Opowiadaj waszmość dalej!

– Już waćpanom służę!

Rokicki sięgnął po kielich, upił łyk wina, przeplukał dokładnie usta, trunek przełknął, po czym odchrząknął.

– To, co waszmościom wydaje się może niegrzeczne, dla tajnego radcy, z którym omawiałem mój plan, nie było niczym zaskakującym. A przyznam, że nie o jednej i nie o dwóch już sprawach słyszałem, których

smutny morał wyraźnie ukazywał, iż cesarski dwór docenia tylko takich, co sami umieją się stosownie wysoko cenić i wyceny tej nie obawiają się podać do wiadomości tych, od których zależy zapłata.

– Ba! – westchnął tylko pan Hieronim.

Jacek Zaremba mimowolnie skinął głową, gdyż trudno było nie zgodzić się z twierdzeniem, że jeśli sam masz się za człowieka bezwartościowego, to i w oczach innych ludzi będziesz bez wartości. Nietrudno też było znaleźć przykłady ludzi, którzy wielkie oddali usługi ojczyźnie, wielkich dokonali czynów i na wielkie narażali się niebezpieczeństwa, a nic z tego nie mieli poza poklepaniem po plecach. A z drugiej strony: czyż mało było takich, którzy niczym się nie zasłużyli, ale za to potrafili tak zręcznie szermować ozorem, tak umiejętnie przypodobać się możliwym, tak schlebiać, tak mizdrzyć się i tak wdzięczyc, tak nisko się kłaniać, do nówek padać i grzbiet wyginać niczym kot, że z tego schlebiania,

mizdrzenia i wdzięczenia jakąś bogatą dzierżawę dawało się wykroić, a czasem nawet starostwo lub inny poważny urząd, dzięki czemu to już nie oni musieli się płaszczyć, lecz przed nimi się płaszczono.

– A ty cóżeś się tak zadumał, panie Jacku? – Ligeza dostrzegł, iż towarzysz oderwał się od nich myślami.

– Dumam nad niewdzięcznością świata i jego władców – odparł Zaremba ze smutnym uśmiechem.

– Otóż to – wtrącił Gideon Rokicki. – Dobrze, panie starosto, że jest taki Król, który kiedy przyjdzie odpowiedni czas, wtedy wszystkim sprawiedliwie ofiaruje to, na co sobie zasłużyliśmy.

Podsędek powyższe słowa wypowiedział z tak niezwykłą intonacją, że pan Jacek aż poderwał głowę, ale we wzroku Rokickiego nie zobaczył nic poza szczerą łagodnością – tak jakby pan Gideon pełen słodkiej ufności oczekiwał na realizację Boskich wyroków.

– Taaak... – mruknął gospodarz. – No dobrze, opowiadaj waść, co było dalej.

– Do usług stolnika dobrodzieja – podsędek odwrócił wzrok od Zaremby. – Miałem się spotkać z tym szlachcicem na samej granicy państwa bielskiego, we wsi zwanej Pisarzowice. Tam, w kościele pod wezwaniem świętego Marcina, mieliśmy nasze sprawy uzgodnić i dojść do należytego porozumienia. Jak rozumiałem, tam też miałem się dowiedzieć,

jaka będzie cena jego usług. Sam byłem ciekaw, czy dla mamony ten człowiek chce zdradzić, czy też z nieznanych powodów nienawiści do własnego monarchy.

– Pisarzowice, Pisarzowice... – Pan Jacek zmrużył oczy. – Coś mi mówi ta nazwa.

Przysięgłbym... – potarł czoło wierzchem dłoni.

Rokicki wzruszył ramionami.

– Mnie nic nie mówiła, choć potem dowiedziałem się, że parafia ta słynie z wielce udanego i cennego *Sacra Conversazione*⁹¹. Tak czy inaczej, czas naglił, gdyż spotkanie wyznaczono na drugiego maja, a przypomnę waszmościom, że wtedy Turcy stali już pod Belgradem, natomiast w Rzeczypospolitej ogłoszono mobilizację armii, jeśli zatem zwierzyna miała wpaść w potrzask, to czas był najwyższy, by ją odpowiednio zanęcić.

– Więc waszmość ruszyłeś do tych Pisarzowic?

91 *Sacra Conversazione* (wł.) – w ikonografii chrześcijańskiej przedstawienie Matki Boskiej z Dzieciątkiem na tronie w otoczeniu świętych

– Tak – podsędek skinął głową. – Chciałem być we wsi dwa dni lub chociaż dzień wcześniej, by teren przed tak ważnym spotkaniem odpowiednio wybadać, by się rozejrzeć, a może i jakoś zabezpieczyć...

– Prowadziłeś waszmość jakieś sługi ze sobą?

– Myślałem nad tym, i owszem – odparł pan Gideon – lecz zdecydowałem, że dwóch służących, których ze sobą biorę, zostawię w Bielsku, a do Pisarzowic pojedę sam, by przypadkiem owego cennego ptaszka nie spłoszyć.

– Nie mówiąc już o tym, że słudzy mogliby waści, chcąc lub nawet nie chcąc, wydać i ujawnić, żeś jest Finckenstein, nie von Muschin.

– Von Finckenstein, von jeśli łaska... – Rokicki łagodnym tonem poprawił

podstarościego, nie na tyle jednak łagodnym, by nie położyć wyraźnego akcentu na słowo

„von”, które dwukrotnie wypowiedział.

– Von Finckenstein, oczywiście – grzecznie powtórzył Zaremba.

– Za ołtarzem wisiał ogromny tryptyk, którego centralnym punktem była wzmiankowana przez mnie *Sacra Conversazione*, gdzie Madonnie i

Dzieciątku Jezus towarzyszyli święty Urban i święty... święty... – skonfundowany podsędek pstryknął

palcami, po czym obrócił zakłopotany wzrok w stronę pana Jacka – no święty...

– Marcin – dopowiedział machinalnie podstarość.

– Zgadza się – Rokicki klasnął – oczywiście, że święty Marcin!

– A waćpan skąd wiedziałeś, jaki obraz wisi w Pisarzowicach? – zdziwił się stolnik.

– Nie wiem – potrząsnął głową Zaremba. – Chociaż zaraz... Czy waszmość nie powiedziałeś przypadkiem – obrócił wzrok na pana Gideona – że to kościół pod wezwaniem świętego Marcina właśnie? Powiedziałeś, prawda? Musiało mi się wydać naturalne, że i na malowidle będzie wyobrażony ten właśnie święty. Stąd moje przypuszczenie.

– Tak być musiało – przyznał podsędek – niemniej dziękuję waszmości za celne przypomnienie.

– Na miłość Boga, panie Rokicki, czy to, jaki obraz wisi czy wisiał w pisarzowickim kościele, ma jakieś znaczenie dla twojej opowieści? – zapytał poirytowany Ligęza.

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Już wracam do meritum, panie stolniku dobrodzieju, choć zawsze to miło wyjść z grzęzawiska niepamięci na twardy trakt wyraźnych wspomnień, co dzięki panu Zarembie świetnie mi się udało. I pamiętam – Rokicki przymrużył oczy i dalsze słowa wypowiadał z takim natchnieniem, jakby był mistykiem wieszczącym bieg przyszłych zdarzeń – że Madonna na tym malowidle ubrana była w brokatową suknię ze

złotym ornamentem z motywem owocu granatu wspartego na grubej łodydze oplecionej wicią akantowca...

– Panie Gideonie – syknął zniecierpliwiony stolnik.

Podsędek otworzył szeroko oczy i przybrał skruszoną minę.

– Pokornie błagam o wybaczenie, ale powiadam waszmościom, że prawdziwe arcydzieło wisiało w tym niewielkim kościele. Pewnie i w Warszawie nie powstydzono by się obrazu, w którym mistrz malarski tak udatnie połączył kunszt rzemieślniczy z wielką natchnioną pobożnością.

– Widzę, że w waszmości znajdujemy prawdziwego konesera i miłośnika sztuk pięknych – stwierdził spokojnie Jacek Zaremba.

Był niemal pewien, iż dygresje Rokickiego do czegoś zmiierzają i że podsędek za ich pomocą chce coś osiągnąć, ale niestety nie potrafił

odpowiedzieć na pytania „dokąd?” i „co?”.

Może zresztą – tego też przecież podstarość nie mógł wykluczyć – w całej sprawie wcale nie było podwójnego dna? Bo, jak wiadomo, pan Gideon lubił i pogłędzić, i zagrać słuchaczom na nerwach. „Tak – pomyślał Zaremba – oto człowiek, który chętnie szarpałby lwa za wąsy, tylko po to, by się dowiedzieć, na jaką nutę ów lew zaryczy”.

– O, tak, panie starosto, przyznaję, że jestem wielkim miłośnikiem i znawcą piękna –

wyszczerył zęby Rokicki – a że piękno zwykle jest kosztowne, nie mam również nic przeciwko bogactwu, które mi pozwala na korzystanie bez przeszkód z wzmiankowanego wcześniej piękna.

– Bardzo słusznie. A teraz do rzeczy – rozkazał zimno Ligęza.

– Będzie do rzeczy – obiecał podsędek. – Nie zwlekając, ruszyłem do państwa bielskiego i w samym Bielsku, mieście słynnym z wielkich bogactw, rzekłbym wręcz: jednej z pereł w cesarskiej koronie, byłem już w piątek trzydziestego kwietnia. Tam też zostawiłem służących i udałem się do Pisarzowic. Liczyłem, że na miejscowej plebanii uzyskam krótką gościnę – pan Gideon podniósł kielich i upił łyk wina – i tak też się stało – kontynuował –

gdyż tamtejszy proboszcz okazał się człowiekiem życzliwym i spragnionym wieści z wielkiego świata, którymi ku jego niekłamanemu zadowoleniu chętnie się z nim podzieliłem.

Rokicki znowu upił łyk wina i zmarszczył brwi.

– Polski szlachcic miał się zjawić w kościele zaraz po sumie, ale suma minęła...

Piękne kazanie wygłosił wtedy proboszcz, jak dziś pamiętam, i gdyby chwila była bardziej odpowiednia, chętnie bym waszmościom przytoczył jego treść lub chociaż co ważniejsze punkty...

Pan Hieronim groźnie sapnął.

– ... ale ponieważ z pewnością bardziej interesuje waćpanów inny aspekt mej opowieści, owo kazanie zachowam jedynie w pamięci jako przykład znakomitego kunsztu oratorskiego, a tu i teraz nie będę waszmościów kłopotał szczegółami. Taaak... Aha!

Czekałem więc. Suma minęła, kościół opustoszał, pozostał w nim jeno siedzący na progu dziad proszalny, a przed samym ołtarzem dwie staruszki zawodzące dość nieprzyjemnymi głosami. Tak minęły mi co najmniej dwie godziny, które poświęciłem zarówno modlitwie, gdyż wiedziałem, iż w

przeprowadzeniu niebezpiecznego przedsięwzięcia pomoc Boska z pewnością będzie mi potrzebna, jak i obserwacji kościelnych drzwi, by, broń Boże, wejście tego człowieka nie umknęło mojej uwadze.

– Tyle że on już był w kościele – mruknął podstarość.

Niezdziwiony tym wtrętem pan Gideon skinął głową.

– Ano był – przyznał.

– Dziad proszalny! – wykrzyknął stolnik.

– Z przeproszeniem waszmości, panie Hieronimie, ale to być nie może – odezwał się Jacek Zaremba. – Nie tak łatwo byłoby obcemu się w kościele czy przed kościołem i zacząć żebrać. Zaraz by go miejscowi dziadowie pognali precz albo chociaż zrobili nielichą awanturę. W tym towarzystwie zarówno role, jak i miejsca są zwykle rozdzielone i uważnie pilnowane.

– Słusznie, panie starosto, słusznie – zgodził się Rokicki – A gdzie był ów zdrajca?

Waszmość może się domyślasz?

– W pustym konfesjonale? – usiłował zgadnąć pan Jacek – W sygnaturce, jeśli takowa tam była? Na chórze?

– Na chórze – z satysfakcją w głosie powiedział podsędek. – Stamtąd mógł swobodnie obserwować, kto wchodzi i kto wychodzi z kościoła, samemu nie będąc widzianym. Kiedy się przekonał, że nikt mi nie towarzyszy i że nie szykuję żadnej niespodzianki, wtedy pojawił się za moimi plecami. Trzeba przyznać, że zręczny to był człowiek, gdyż usłyszałem go nie kiedy szedł, nie kiedy siadał na ławie, a dopiero gdy wyszeptał: „Witam, panie von Muschin”.

– Witam, panie von Muschin – von Finckenstein usłyszał zduszony, męski głos za swoimi plecami.

Drgnął, ale się nie odwrócił. Pluł sobie jednak w brodę, że był tak nieostrożny, iż niczym dziecko dał się podejść obcemu człowiekowi. Czuł od przybysza wyraźny zapach olejku anyżowego, tak jakby wypił on zbyt dużo benedyktyńskiej nalewki albo wręcz oblał

się anyżowym ekstraktem. „Na jakiego diabła mu taki zapach?”, pomyślał baron.

– Dobrze, że się pan pojawił. Rozumiem w takim razie, że pańscy mocodawcy są zainteresowani moją propozycją.

– Są zainteresowani, by jej wysłuchać – poprawił von Finckenstein – a czy będą zainteresowani operacją, jaką pan proponuje, to się jeszcze

zobaczy.

– To patrzcie szybko – rzekł opryskliwym tonem szlachcic – bo zapewne w lipcu Sobieski ruszy do Cesarstwa. A wtedy albo wszystko będzie między nami ustalone, albo obejdziecie się smakiem.

– Posłuchaj mnie uważnie, przyjacielu – rzekł ostro baron – nie wiem, kim jesteś, choć ten łotr Szechter bardzo cię polecał... – mężczyzna za plecami von Finckensteina roześmiał

się. – ... więc znaczy to, że pewnie jesteś coś wart. Ale od żydowskiej rekomendacji do porozumienia między nami droga daleka.

Polak milczał przez dłuższą chwilę. Tak długą, że w pewnym momencie baron zastanawiał się, czy jego rozmówca nie odszedł równie cicho i niezauważenie, jak się pojawił.

Ale nie, po chwili von Finckenstein usłyszał skrzypnięcie łąwy, a zaraz potem szlachcic się odezwał:

– Niech i tak będzie, panie von Muschin, jak pan chce. Szechter nie uskarżał się na interesy ze mną, więc i wy nie będziecie stratni.

– A co pan robiłeś dla tego Żyda? Jak go znam, to sprzedawałeś mu chrześcijan, by ich posłał do Turcji. Porwać polskiego króla to trudniejsze zadanie, niż omamić kilku głupich wieśniaków – dokończył baron z nieukrywaną pogardą. – Za sobą usłyszał wściekłe sapnięcie, ale bynajmniej się tym nie przejął. – Mów pan: jaki jest twój plan – rozkazał opryskliwie.

Szlachcic najpierw burknął coś niezrozumiale, potem jednak odetchnął głęboko i rzekł:

– Plan jest taki, by króla ująć i oddać w ręce tego, kto mi zapłaci. A ufam, że Kara Mustafa będzie skłonny wiele ofiarować za Lwa Lechistanu.

– Może jeszcze od razu porwiesz pan cesarza Austrii? – zadrwił von Finckenstein. –

Wtedy wezyr zapłaci ci jeszcze więcej.

– Cesarza Austrii nie oferowałbym się porwać – odparł z zadziwiającym spokojem szlachcic – bo nie będę miał szczęścia być w gronie żołnierzy znajdujących się w jego najbliższym otoczeniu. A jeśli chodzi o Sobieskiego, to w jego otoczeniu i owszem, będę...

Przez chwilę baron milczał. Jeśli informacja była prawdziwa, to zdrajca rzeczywiście mógł się przysłużyć tureckiej sprawie. Oczywiście od znalezienia się w otoczeniu monarchy do porwania tegoż droga była daleka niczym z Moskwy do Madrytu, ale Polak mógł stanowić

prawdziwe, nieudawane niebezpieczeństwo zarówno dla króla, jak i dla całej wyprawy. Von Finckenstein nie miał bowiem wątpliwości, że trudno byłoby utrzymać za granicami Rzeczypospolitej polską armię pozbawioną monarchy – królestwo nie miałyby następcy i wszyscy, od magnatów po zwykłą szlachtę, chcieliby jak najszybciej wracać do kraju, by wziąć udział w wyborze nowego władcy.

– Za miesiąc przybądź pan tutaj i usiądź w tej samej ławie. Masz mi przekazać, w jaki sposób w czasie wyprawy będę mógł się kontaktować z Turkami, w jaki sposób ich zawiadomię, że Sobieski wyjechał z obozu, i wreszcie: ile mi za moje usługi zechcą zapłacić...

– Ty powiedz cenę – rzekł von Finckenstein twardo.

– Zaliczki od was nie chcę, choć pewnie spodziewałeś się, panie von Muschin, że wysoko zaśpiewam, co? Ale nie. Ja życzę sobie tylko pieniądze za króla. Milion czerwonońców.

W złocie.

Baron się roześmiał.

– I promienie słoneczka na dokładkę? – zapytał szyderczo.

– Taka jest moja cena. Nie podoba się, to wolna droga. Kiedy za miesiąc pan tu wróci, panie von Muschin, chcę, by dysponował pan dokładnym planem tego, jak mamy się porozumiewać i w jaki sposób zamierzacie mi zapłacić. Dokładnym, panie von Muschin –

podkreślił szlachcic – i uczciwym. Jeśli zobaczę, że zamierzacie mnie okpić, to żegnaj wielki triumfie – zaśmiał się gardłowo. – A więc do zobaczenia za miesiąc – rzekł po chwili – sądzę, że wtedy zostaniemy dzień lub dwa, aby wszystko dokładnie omówić, i może pozwolę ci zobaczyć, z kim masz do czynienia – znowu się zaśmiał. – A na razie nie odwracaj się, panie von Muschin.

Feliks von Finckenstein usłyszał ciche skrzypnięcie łąwy.

– Milion to suma nie do przyjęcia – powiedział szybko. – Niewyobrażalna, nie da się takiej...

– Pamiętaj, panie von Muschin – ostro przerwał mu zdrajca – że tak naprawdę to nie jest cena za polskiego króla, ale za potężną część Europy. Bo gdy Sobieskiego nie stanie, to Turcja bez trudu na Alpach z jednej strony, a z drugiej na Sudetach postawi granicę. A później i za góry przejdzie...

„Taaak – pomyślał baron – atak na Sobieskiego mógłby mieć naprawdę ogromne konsekwencje dla całego cesarstwa, a przez to i dla całej Europy, nie tylko dla Rzeczypospolitej. I proszę: ten śmierdzący anyżem łotr deklaruje, iż jest gotów sprowadzić nieszczęście na całą Europę...”

– Tak to jest, że czasami maleńki nawet kamyczek może wywołać lawinę, która zmiecie tysiące ludzkich istnień – wtrącił Hieronim Ligęza. – Gdyby nie król Jan, pewnie Wiedeń by upadł, a możecie sobie tylko

wyobrazić, waszmościowie, ile ofiar wśród niewinnego ludu by ten upadek spowodował.

– Lud jest niczym chwasty – pan Gideon machnął niedbale dłonią – mnoży się szybciej i rośnie silniej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać i niż ktokolwiek by sobie życzył. Ale masz waszmość rację, że szkody byłyby wielkie, bo Turcy nie darowałyby stolicy chrześcijaństwa i srogą wywarliby pomstę na nas, co jesteśmy przedmurzem katolickiej wiary.

– Niby o Wiedniu waćpan prawisz i o Austrii? – rzucił lekceważąco Zaremba, który jak każdy szlachcic doskonale wiedział, że gdyby nie siła Rzeczypospolitej i jej armii, to w Europie już pewnie nie byłoby katolicyzmu.

– Dobrze, dobrze, nie czas się przerzucać zasługami – powiedział szybko stolnik. –

My wiemy swoje, poddani cesarscy wiedzą swoje, a jak słyszałem, Wenecjanie też są chętni, by na swoje barki wziąć ciężar tytułu obrońców chrześcijaństwa. I każdy przy swoim zapewne pozostanie niezależnie od tego, jak i ile by dyskutować.

Rokicki z namaszczeniem skinął głową, a pan Jacek prychnął tylko i nie omieszkął

zaraz dodać:

– Pewnie, że każdy ptaszek swój ogonek chwali, tyle że nasz jest paw, a ich co najwyżej wróbli.

– Panie Zarembo kochany, dość już tego, bardzo proszę. Co stało się dalej, panie Gideonie?

– Zmartwię waszmościów, ale nic. W tamtej chwili zakończyła się moja znajomość z owym polskim szlachcicem zdrajcą, bo nigdy na umówione spotkanie nie przybył, choć czekałem na niego równe trzy dni.

Zdumieni Ligęza i Zaremba spojrzeli jeden na drugiego.

– A może wcale nie był zdrajcą, tylko naciągaczem i kłamcą? – Rokicki wzruszył

ramionami. – Któż to może teraz wiedzieć? Od Żyda Szechtera, łotra, o którym waszmościowie już słyszeliście i z moich ust, i z ust pułkownika Sperlinga, niczego się nie dowiedzieliśmy, bo okazało się, że ktoś nas uprzedził i Szechter z rąk nam się wymyknął...

– Niedobrze – skrzywił się pan Hieronim – bo pewnie wiele wiedziała ta kanalia o wszelkich zbrodniach dokonywanych przeciw dobrym chrześcijanom. Może go jeszcze schwytnie, co?

Podsędek uśmiechnął się smutno.

– Obawiam się, że nie, stolniku dobrodziej, bo mówiąc, iż się wymyknał, miałem na myśli, że umknał nam na dobre, czyli musielibyśmy się udać do piekła, by go odnaleźć i stamtąd na spowiedź wyrwać.

Ligęza aż syknął.

– No to już sprawa niefortunna i beznadziejna – przyznał.

– Nieprawdaż? A wyobraźcie sobie waszmościowie, w jak perfidny sposób owego Szechtera zamordowano – pan Gideon skrzywił usta w złośliwym uśmiechu. – Oto, imaginuj sobie, panie starosto – przeniósł spojrzenie na Zarembę – że utopiono go w gnojówce.

Dowcipnie, prawda? Spotkałeś się kiedy z takim sposobem zabójstwa? Podstarości wzruszył ramionami.

– A i owszem – odparł – choć częściej widziałem, że trupa, nie żywego człowieka, rzucono do gnojówki, by w ten sposób pohańbić człeka nawet po jego śmierci i sprawić ból jego rodzinie lub towarzyszom, jeśli tacy byli.

– Ale jak to, panie Rokicki? To koniec twojej opowieści? – stolnik podparł się dłońmi na blacie, przechylił i wpatrywał w podsędkę lipnowskiego wzrokiem trochę złym, a trochę zdumionym.

– Koniec w tej części, która waszmościów i waszego kraju dotyczy, bo rzecz jasna owego von Muschina wykorzystaliśmy jeszcze w naszych celach i ja wiele usług oddałem domowi Habsburgów, kiedy mogłem podawać się za niego lub choćby posyłać sfałszowane raporty, które to niby od niego miały pochodzić. Ale tak jak powiedziałem: ta część mojej historii waszmościów już nie dotyczy, a i mnie nie wolno o tych delikatnych sprawach opowiadać.

– Niby tak – mruknął stolnik, wciąż nie mogąc przeboleć i zrozumieć, że opowieść Rokickiego nie zakończyła się inaczej.

– O tyle powiedzieć możemy, że nie dotarliśmy do końca tej historii – dodał spokojnie pan Gideon – że przecież otrzymałem ów sfałszowany list, który ośmieliłem się waćpanom okazać i w którym, jak zauważycie, nazwisko von Muschin wyraźnie jest wytłuszczone, i w którym także, o, tutaj – wskazał palcem leżący na stole dokument – mowa o tym, że poznam myśliwego, który próbował upolować lwa... O cóż więc innego może chodzić, jak nie o tamtą intrygę?

Ligęza wyprostował się i szarpnął wąsa.

– Prawda. O nic innego, tylko o to – rzekł.

– Taka właśnie jest moja historia, waszmościowie – rzekł Rokicki, po czym wyprostował się na krześle, prężąc wychudłą pierś, a na jego twarzy zagościł dumny uśmiech.

Ligęza i Zaremba spojrzeli po sobie, lecz żaden się nie odezwał. Wobec tego milczenia pan Gideon podniósł kielich, upił dwa łyki, odstawił naczynie z powrotem na blat i wstał.

– Pozwólcie waszmościowie, najczcigodniejszy panie stolniku dobrodzieju, wielmożny panie starosto, że teraz was opuszczę, gdyż na pewno pragniecie porozmawiać na osobności o tym, co ode mnie usłyszeliście. Zapewniam, że się nie obrażę, jeśli mi nie uwierzycie, bo ja sam pewnie sobie samemu bym nie uwierzył, gdybym usłyszał taką historię, jaką miałem niekłamany i wyjątkowy zaszczyt wam opowiedzieć – Rokicki opuścił głowę ze smutkiem.

– Masz waszmość rację – rzekł wreszcie stolnik. – Lepiej będzie, jak z panem Zarembą zostaniemy teraz sami, by przemyśleć waścine słowa. Nie żebyśmy nie chcieli im dać wiary – uniósł dłoń – bo dobrze zdaję sobie sprawę z tego, że świat pełen jest tajemnic, więc może nie należy się wcale dziwić, że jedna z nich zapukała do moich drzwi.

– W takim razie żegnam waszmościów – Rokicki skłonił się – i proszę mi wierzyć, stolniku dobrodzieju, że bez urazy opuszczę twój gościnny dom, kiedy tylko uznasz mój wyjazd za konieczny. Bowiem moja obecność, przyznaję to z bólem, może spowodować perturbacje i dyskomfort, których moja nieobecność pozwoliłaby szczęśliwie uniknąć – z tymi słowy na ustach podsędek skłonił się raz jeszcze, niżej nawet niż poprzednio, i opuścił

komnatę.

Po wyjściu Rokickiego, po tym jak uprzejmie pożegnał się on ze szlachcicami, którzy byli tak cierpliwi, by wysłuchać jego historii od samego początku do samego końca, w gabinecie przez długi czas panowała cisza. Wreszcie ciszę tę postanowił przerwać Ligęza.

Odchrząknął głośno i powiedział: „mój Boże”, po czym znowu umilkł, nie wiedząc, co rzec więcej. Wreszcie spojrział na Zarembę, który siedział z zafrasowaną miną, podpierając policzek na dłoni – jak święty Hieronim z obrazu mistrza Dürera, tyle że pod jego lewą dłonią nie spoczywała czaszka, lecz kielich wina.

– I co, panie Jacku?

– Nie wiem, proszę waszmości. Zbieram myśli, bo rozbiegły się jak kurczęta po ogrodzie.

– Ba... – westchnął stolnik.

Znowu cisza zaległa w gabinecie, wreszcie po dłuższej chwili pan Jacek dłoń odjął od policzka, wyprostował się w fotelu, potrząsnął głową, jakby uznał, że myśli pod czaszką zaległy mu niczym jesienne liście i chciał je trochę poruszyć, by nie zgniły, po czym spojrział w stronę stolnika.

– Czy ten człowiek mówi prawdę, czy kłamie, tego nie stwierdzimy, bo niby w jaki sposób – rzekł, a pan Hieronim skinął głową na znak, że się zgadza z podobnym tokiem rozumowania. – A skoro stwierdzić tego nie jesteśmy w stanie – kontynuował Zaremba – to może bezpiecznie będzie na razie przyjąć, iż Rokicki wyjawiał nam prawdę... – zawahał się –

lub przynajmniej część prawdy.

– Pewnie masz waćpan rację.

– A zauważyłeś waszmość, jak pan podsędek nagle przestał do każdego niemal zdania wtrącać łacińskie zwroty i sentencje?

Ligęza klasnął.

– Racja! Czegoś mi w jego słowach brakowało i tak się zastanawiałem, czy to inna intonacja, czy sposób wyrażania myśli odmienny, a tu, masz rację, panie Jacku kochany, łacina! Oczywiście, że łacina!

– Widać była to część kostiumu czy przebrania, który miał z pana barona zrobić pana podsędką...

– O, znałem takich, co jeszcze bardziej śmiecili w mowie niż Rokicki – stwierdził

stolnik. – Ja, panie Jacku, podobnie jak i ty, łacinę znam tak dobrze, że śmiało mogę rzec, i to bez popadania w przesadę, iż w antycznym Rzymie by nie poznano, że pochodzę z zagranicy.

Ale nigdy nie podobało mi się mieszanie tych naszych dwóch języków. Jedno słówko, jedna sentencja, jedno wtrącenie, kiedy rzecz i temat tego wymagają, to i owszem, ale groch z kapustą bełtać, jak pan Gideon – Ligęza pokręcił głową – nie, nie, tego nie lubię. Niemniej pokornie słucham, kiedy inni w ten sposób formułują myśli, bo kimże jestem, by ludzi uczyć poprawności mowy?

– W listach to samo znajdziemy – zauważył podstarość. – A protokoły sądowe, panie stolniku? Wać takich dokumentów czytać nie musisz, a ja

niestety tak. Pół biedy, kiedy piszący posługuje się poprawną łaciną, ale zdarzają się osoby, które tak mieszają koniugacje, deklinacje, a nawet znaczenie słów, że ciężko dojść, o co im chodzi.

– Tak się dzieje, panie Jacku kochany, kiedy głupi chce zabłysnąć, by wydać się mądrym w oczach innych. A tymczasem w owym błysku jedynie jego głupotę wyraźniej można dostrzec.

– Święte słowa, stolniku dobrodzieju, święte słowa... – zgodził się Zaremba. Chwilę dumał nad ludzką potrzebą bycia zauważonym, docenionym i podziwianym, po czym otrząsnął się z zamyślenia i skupił na powrót na intrydze, dla której przybył na dwór stolnika.

– Powiedz mi, waszmość, czy nie pomyślałeś o jednym, a mianowicie o tym, aby wszystko to

cisnąć w diabły? Panów braci pożegnać, a samemu wsiąść w powóz i pojechać do Poznania czy do Warszawy, nie przejmując się ową intrygą?

Ligęzę najwyraźniej zaskoczyły słowa młodszego towarzysza i tego zaskoczenia nie starał się nawet ukryć. Szarpnął wąsa i pokręcił głową.

– A wiesz, panie Jacku kochany, że ani razu o tym nie pomyślałem? Tak mnie owe zagadki wciągnęły, tak mnie zainteresowało, co za persona uknuła podłe plany, które zniszczyły życie moich gości, że przyznam ci, iż wpadłem jak śliwa w kompot. I bardzo, ale to bardzo chciałbym poznać finał tej historii!

– Nie wiem, czy warto, stolniku dobrodzieju – odparł z nadzwyczajną powagą Jacek Zaremba – nie wiem, czy warto...

– Czyżbym słyszał obawę w waszmości głosie?

Podstarości uśmiechnął się, ale bez wesołości i ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

– Z tego co na razie widać – rzekł – nic waćpana nie łączy z żadną z tych opowieści.

Powiedz więc, czemu właśnie twój dom wybrał sobie nasz tajemniczy przeciwnik, by zaprosić do niego gości?

– Tak samo znam odpowiedź na to pytanie jak i ty, panie Jacku – Ligęza wzruszył

ramionami – czyli w ogóle.

– Skoro nie masz, panie stolniku dobrodzieju, żadnego interesu w tym, by rozwikłać tę tajemnicę, może lepiej wcale się nią nie zajmować?

– Wyjechać radzisz?

– Albo na zbity łeb wszystkich wyrzucić i wrócić do dawnego trybu życia! – zawołał

Zaremba, tym razem wesoło. – Sprosić gości, wyprawić ucztę dla sąsiedztwa, nająć muzykantów! Nie lepiej by tak było, panie stolniku? Jak uważasz?

Pan Hieronim uśmiechnął się serdecznie do młodszego towarzysza, lecz tylko pokręcił

głową.

– Ja z mojego domu wygonić się nie dam – oznajmił z mocą. – Jak by to wyglądało, gdybym przed intrygą nieznanego człowieka uciekał z własnej siedziby, z dworu, w którym Ligęzowie od wielu pokoleń rodzą się, żyją i umierają? Co by powiedzieli moi antenaci na takie postępowanie?

Podstarościego kusiło, by odrzec, że nic by przodkowie pana Hieronima nie powiedzieli, bo po śmierci wszystko im jedno, ale powstrzymał język przed zbytnią żwawością, gdyż nie sądził, by jego żart został dobrze odebrany.

– Niby tak... – odparł zafrasowany. – Trudno waćpanowi nie przyznać racji w tej mierze. Ale może w takim razie pozbać się wszystkich gości? Ja też od waszmości odjadę,

zważywszy, że ów nieznanany nam intrygant mojej zażądał obecności. Z wielkim żalem, ale skoro jest taki mus i taka potrzeba...

Ligęza pokręcił głową.

– Nie, panie Jacku, nie. Do mnie ci ludzie przyjechali. Do mnie, do stolnika Ligęzy.

Mnie zaufali, mnie zawierzyli i mnie o pomoc proszą.

– Ależ stolniku dobrodzieju, nie ty listy wysłałeś, ale fałszerz! Czemu masz więc ponosić odpowiedzialność za to, co ten człowiek wymyślił?

– Ale teraz oni wszyscy wierzą, że ja im pomogę, czyż nie? Zdradzili mi swoje sekrety, zaufali. Mam ich tak łatwo zawieść?

Jacek Zaremba uderzył pięścią w otwartą dłoń, w rzeczy samej bezsilnym gestem, bo widział, że nie przekona przyjaciela do swoich racji.

– Wiem, że chcesz dobrze, panie Jacku – stolnik tylko uśmiechnął się pod wąsem na ten wyraz pasji – jednak nie tędy droga.

- A może ciekawość waszmość panem kieruje?
- Och, tego kryć przed tobą nie będę – lekkim tonem przyznał Ligęza.
- Zresztą nie tylko ciekawość. Ty, panie Jacku, nie wiem, czy pojdziesz moje pobudki, ale dobrze, opowiem ci o nich, skoro chcesz znać prawdę...
- Oczywiście.

Pan Hieronim chwilę się zastanawiał, jak zacząć, aż wreszcie się odezwał.

– Jestem stary, panie Jacku, i cóż mnie w życiu spotyka ciekawego? Że krowa do bagna wpadła? Że moi chłopci pobili się z orylami? Gdzież te czasy, kiedy człowiek na czele chorągwi czy pułku nawet galopował do bitwy? Gdzież te czasy, kiedy wraźmi trupami człek zaścielał pole bitwy, kiedy życie i śmierć były tak blisko siebie, że nie wiedziałeś, czy to jeszcze ono, czy już ona...? – Stolnik westchnął, po czym spojrzał panu Jackowi prosto w oczy. – Waść to wszystko masz na co dzień. Wojnę z Turczyńcem. Tajemnice. Śledztwa.

Pojedyńki. Pogonie. A ja? Co mi zostało? Tylko jeść, pić, dziewczuchę obracać pod pierzyną, a w wolnej chwili poczytać książkę?

- Niektórzy powiedzieliby: piękne życie.
- Całym majątkiem Baranuś się zajmuje i niechętnie patrzy, kiedy wsadzam nos w sprawy rządowe – Ligęza machnął ręką. – A teraz? Wreszcie coś się dzieje, panie Jacku kochany! – zawołał radośnie i zatarł dłonie. – Coś się dzieje! – powtórzył z pasją. – Mój Boże, wreszcie!

– Coś się dzieje. To prawda. Ale to coś niedobrego, stolniku dobrodzieju. Pamiętasz waszmość, co mówił pułkownik Sperling: iż któryś z towarzyszących mu szlachciców nie posłuchał ostrzeżenia, że woda w studni może być zatruta?

- Pamiętam – odparł po chwili zdziwiony pytaniem stolnik.
- Pomyślałem sobie wtedy, że świat pełny jest ludzi, którzy koniecznie, ale to koniecznie muszą sprawdzić, co też tak głośno warczy w ciemnym pokoju. Na pewno chcesz odemknąć drzwi do ciemnego pokoju, panie stolniku?

Ligęza przyglądał się podstaroścemu dłuższą chwilę.

- Nie obraż się, panie Jacku, ale gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że się boisz...
- Boję się, co może przynieść przyszłość, boję się też, że tańczymy tak, jak ów tajemniczy intrygant nam przygrywa – pokiwał głową Zaremba,

zupełnie nieurazony podejrzeniem. – A gdybyśmy zatańczyli inaczej? A gdybyśmy z tej balowej sali, którą nam wyszykował, po prostu wyszli?

– I nigdy nie poznali, kto to jest, co uczynił, jakie mu cele przyświecają? Nigdy się nie dowiedzieli, czemu nas wybrał? O, nie, panie Jacku, nie. Ja jestem już stary i wiem, że niedługo śmierć wyciągnie po mnie swą kościstą dłoń. Nim się to jednak stanie, chcę poznać odpowiedzi na pytania, które i ja sobie zadaję, i ty...

Podstarości przyglądał się Ligęzie dłuższą chwilę, wreszcie uśmiechnął się i skinął głową.

– Skoro tak, to tak. Jeśli jesteś pewien, stolniku dobrodzieju, że tak właśnie, nie inaczej pragniesz postąpić, ja jestem z tobą i przy tobie. Gotów ci jestem służyć, cokolwiek by się działo.

– Wstańże, panie Jacku kochany, niechże cię uściskam – powiedział rozczulony stolnik, podnosząc się z miejsca. – Objął Zarembę potężnymi ramionami i zgniótł w ńście niedźwiedzim uścisku. Ucałował serdecznie w oba policzki. – Zawsze wiedziałem, że dobry z ciebie przyjaciel. Cieszę się, że będziesz mi towarzyszył w tej przygodzie.

– Panie Hieronimie kochany, a jak żadnej przygody nie będzie? Jeśli tylko pytania nam zostaną, a nijakiej nie dostaniemy odpowiedzi?

– Cóż, przynajmniej będziemy wiedzieli, że ze swojej strony zrobiliśmy wszystko, by rozwikłać ów sekret. A jeśli się nie da, to trudno. Siła wyższa.

– Niby prawda – zgodził się pan Jacek.

– Powiedz mi lepiej, panie Zarembo – stolnik opadł na krzesło z sapnięciem i chwilę mościł się na siedzeniu – czy uważasz, że sami powinniśmy wszystkim się zajmować, czy może raczej dobrze by było kogoś wtajemniczyć w nasze sekrety?

– Myślisz waszmość o kimś konkretnym? – ostrożnie spytał podstarości.

– Nie, przyznam, że nie. Mam w sąsiedztwie przyjaciół, ale czy chciałbym im o tym wszystkim opowiadać i czy ufam im na tyle, by wierzyć, że sekretu nie zdradzą? Raczej nie.

– Mówią, że tajemnica, która do trzech trafia, przestaje być tajemnicą.

– Czasem i dwóch starczy – odparł Ligęza. – Mój Boże, oczywiście nie myślałem o tobie, panie Jacku – dodał szybko, obawiając się, że

Zaremba może niewłaściwie odebrać jego słowa. – Wiem, że tobie powierzyć sekret, to jak w bezdenną studnię kamień rzucić.

– Tak właśnie jest – powiedział pan Jacek: nie po to, by się chełpić, lecz dlatego, że tak właśnie było naprawdę, bo podstarości z tego między innymi powodu zyskał renomę, że potrafił trzymać język za zębami.

– Że Sperling, Komarnicki i Broniewski nie będą się opowieścią chwalić, to rzecz pewna. Rokicki wie tyle, co sam powiedział. Ach, patrz: o Baranusiu zapomnieliśmy, a on wie dużo, choć przecież nie wszystko.

– Ale pan Jan chyba pary z gęby nie puści?

– O to możesz być spokojny, panie Jacku, nie puści. Jednak obcy człowiek, to już zupełnie inna sprawa, nawet jeśli wydaje się mi życzliwy – zafrasowany stolnik pokręcił

głową.

– Rozważ waszmość spokojnie całą rzecz – poradził podstarości – ale nim zdecydujesz się kogoś w nasz sekret wtajemniczyć, wpierw pokornie upraszam, byś mi zaprezentował owego człowieka.

– Oczywiście, panie Jacku kochany, nic bez ciebie nie przedsięwezmę w tej mierze.

Możesz mi wierzyć, że o wszystkim będziemy razem i wspólnie decydować.

– Dziękuję, panie stolniku, za zaufanie i wierz mi, że postaram się go nie zawieść.

– Tego jestem pewien, panie Zarembo. Ale czy rozplączemy ten węzeł, gorszy od gordyjskiego, mówię: gorszy, bo przecież przeciąć go nie sposób uderzeniem miecza, to już nie do końca zależy od nas. Będzie, co będzie. Bóg da i w Bogu też ufność oraz nadzieja, że dobrze będzie, a nie źle...

– Czyli, panie stolniku, wszystko zostaje, jak było, jeśli dobrze rozumiem?

Ligęza wolno pokręcił głową.

– Właśnie o to chodzi, panie Jacku, że nie do końca i właśnie na ten temat chciałem z tobą pogadać.

– Słucham pilnie waszmości.

– Otóż, panie Zarembo kochany, wiesz dobrze, a widzisz zapewne jeszcze lepiej, jak bardzo odmienił się mój dom po tym, gdy dostałem te parszywe listy.

– Oczywiście, panie stolniku, przyznam, że nawet niedawno myślałem o tej odmianie.

Ligęza westchnął.

– Dla człowieka takiego jak ja – powiedział – niedobrze, kiedy sąsiadów przywykłych do jego gościnności nagle przestaje się przyjmować i zapraszać. Kilka tygodni jakoś wytrzymali, zwłaszcza że ja sam kilkakrotnie ich odwiedziłem, by zadośćuczynić grzecznemu zachowaniu, ale jeśli dłużej zachowam podobnie niestosowny obyczaj, to w końcu się na mnie obrażą.

– Tak niestety może być – przyznał podstarość.

– Poza tym mówiłem ci już, panie Jacku kochany, że będę miał zaszczyt gościć wojewodę Denhoffa. Notabene: mam nadzieję, że spodobaś się panu Denhoffowi i że pomoże ci on w tym, by twoja kariera potoczyła się w zgodzie z twymi wielkimi talentami i takąż dzielnością oraz prawością obyczajów.

Jacek Zaremba pochylił głowę.

– Najpokorniej waszmościowi dobrodziejowi dziękuję i za protekcję, i za te słowa, które, wierz mi, wiele dla mnie znaczą. Gdyż usłyszeć je od szlachcica takiego jak waszmość, co w szeregu najpierwszych obywateli Rzeczypospolitej mógłby śmiało i bez trudu stanąć, to tak samo, jakby otrzymać nobilitację.

– U mnie co w sercu, to na języku – stwierdził Ligęza. – A za protekcję waszmość podziękujesz, jak coś z niej wyjdzie, nie prędeż. Ale czekaj, co to ja miałem na myśli? Ach, tak! Wojewoda... No właśnie. Nie wyobrażasz sobie przecież, panie Jacku, że kiedy pan Denhoff do mnie przyjedzie i pewnie kilka dni zostanie, to okoliczną szlachtę będę odganiał od płotu?

Podstarość uśmiechnął się tylko. Istotnie, zawłaszczenie sobie takiej osoby jak wojewoda Denhoff i niewyprawienie uczyty dla okolicznej szlachty, która chciałaby poznać tego magnata, byłoby łatwym sposobem na towarzyskie i polityczne samobójstwo. Nie mówiąc już o tym, że sam wojewoda zapewne również liczył na to, że miejscowi posesjonaci, tacy właśnie jak Ligęza, umożliwią mu spotkanie z jak największą liczbą zacnej szlachty, by mógł spośród niej kaptować sobie stronników.

– Tak czy inaczej, waszmość musisz swój dom z powrotem otworzyć, to rzecz pewna

– rzekł Jacek Zaremba. – Pozwól więc, że zaproponuję pewne rozwiązanie...

– No mów waść, mów.

– Zdecyduj waszmość, kiedy możesz wydać ucztę, i roześlij po okolicy pacholków z sąsiedzkiem powiadomieniem i zaproszeniem. W listach nadmień oczywiście, że będziesz gościł wojewodę Denhoffa, który miejscową szlachtę pragnie poznać.

– Już ja im napiszę! – zapalił się Ligęza. – Po takim liście to nie wiem, czy nie tylko dwór, ale stajnie i stodoły pomieszczą wszystkich gości. Ale nie martw się, panie Jacku, u mnie i dwieście osób potrafiło się dobrze bawić przez kilka dni. Damy radę!

– Dzięki temu, proszę waszmości, możemy liczyć, że przez czas dzielący nas od przyjazdu jaśnie oświeconego wojewody sąsiedzi po pierwsze dadzą ci spokój, a po drugie zapomną o wszystkich pretensjach, jeśli mogli je mieć, gdyż będą wdzięczni za zaproszenie i z radością będą oczekiwać dnia uczyty.

– Bardzo słusznie, panie Jacku! – stolnik klasnął. – Jeszcze dzisiaj zajmę się wypisywaniem listów. Dobrze, żeś to wymyślił. I wilk będzie syty, i owca cała.

– Jeśli waszmość potrzebujesz pomocy, chętnie służę za sekretarza.

– Nie, panie Zarembo kochany, dziękuję ci pięknie, ale zawsze starałem się sam pisać listy i póki jeszcze jaką taką mam siłę w rękach i sprawność palców, to dam radę. Sąsiedzi znają moje pismo i wiedzą, że zawsze własnoręcznie szykuję listy, więc pewnie zdziwiliby się, skąd ta odmiana obyczajów. I jeszcze by zaczęli plotkować, że chory albo umieram, albo co inszego jeszcze. Sam wiesz...

– Skoro tak, to życzę miłej pracy, stolniku dobrodzieju – powiedział pan Jacek, już współczując Ligęzie.

Bo chociaż podstarości był człowiekiem gruntownie wykształconym, zwłaszcza w dziedzinie klasycznej, i biegle znał grekę oraz łacinę, to jednak znacznie bardziej wolał

czytać, niż skrobać piórem po papierze. A gdyby miał własnoręcznie napisać kilkadziesiąt listów, to chyba wolałby cały dzień rąbać drwa na podwórzu.

– Ach, jeszcze jedno pytanie, jeśli wolno – odezwał się, stojąc już w progu z dłonią na klamce.

– Tak, panie Jacku?

– Co waszmość zamierzasz uczynić, gdyby się okazało, że jeden z twoich gości: czy to pan Broniewski, czy Komarnicki, czy Sperling, chce

cię opuścić na dobre? Bo że Rokicki czy Finckenstein, czy jak on się tam nazywa, nie ma na to ochoty, to już wiemy... Ale tamci?

– Komarnicki nie odjedzie, bo nie ma dokąd...

– Racja.

– A Sperling i Broniewski? W kajdany ich przecież nie zakuję ani w piwnicy nie zamknę. Strażnika nie dam, by ich pilnował. Jeśli będą chcieli nas opuścić, ich sprawa...

– Rozumiem, że waćpan jednak będziesz ich namawiać do pozostania oraz że i ja mogę tak postępować w twoim imieniu? – dopytywał Zaremba.

– Oczywiście, panie Jacku, chociaż... – Ligęza zerknął bystro na podstarościego. – Jak mniemam, cały czas mówimy o namawianiu we właściwym rozumieniu tego słowa, czyli o grzecznych prośbach i wyłuszczeniu argumentów?

Podstarości szczerze się roześmiał.

– Mój Boże, panie stolniku, nic innego, wierz mi, nie miałem na myśli.

– Tak tylko się upewniam, panie Zarembo kochany – odpowiedział stolnik z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 3

Miecznikowa Broniewska

Następnego ranka do dworu Ligęzy powrócił pułkownik Sperling. Zastał na dziedzińcu jedynie Jacka Zarembę, który posłuchał rady stolnika i leżał w wielkiej balii po szyję zanurzony w studziennej wodzie. Pułkownik zsiadł z konia, oddał go w ręce stajennego, a sam zbliżył się do pana Jacka. Zaremba zauważył, że mimo iż Sperling był zapięty pod samą szyję i odziany jak zwykle w czerń, to na jego bladej twarzy nie było nawet jednej kropli potu.

– Witam, panie pułkowniku – powiedział.

– I ja waćpana witam, panie podstarości – odparł Sperling. – Powiedz mi waszmość, jeśli możesz, co się tu dzieje? Co to za cyrkowy wóz stoi przy ogrodzeniu? Widziałem też przy nim dwie dziewczki warte grzechu, a nawet kilku grzechów.

Pan Jacek opowiedział Sperlingowi o komedii odegranej przez cyrkowca, o oskarżeniu Rokickiego i o tym, jak pan podsędek tłumaczył się ze swego postępowania przed stolnikiem oraz przed samym Zarembą. Pułkownik słuchał bez słowa, nie dając poznać najmniejszym nawet gestem ani zmianą wyrazu twarzy, czy opowieść go ciekawi, czy nuży. W końcu, kiedy podstarości skończył, zapytał jedynie:

– Co pan stolnik kazał zrobić z tym Saladynem?

– Leży w swoim wozie i grzbiet kuruje, który kazałem mu wygarbować.

– Powiedział coś na mękach?

Zaremba podparł się łokciami na krawędzi balii i uniósł nieco.

– Po pierwsze nie nazwałbym tego mękami, po drugie słusznie waćpan wywnioskowałeś, że go wypytywałem, ale po trzecie nie powiedział nic poza tym, co już ci zdradziłem.

– Ciekawe sprawy dzieją się u stolnika w domu – beznamiętnie zauważył Sperling –

ale pochwalić tylko wypada nadzwyczajną waszmościów cierpliwość, żeście panu Rokickiemu to niespotykane łajdactwo wybaczyli.

– Żart raczej czy figiel – łagodnie sprostował podstarości.

– Jak zwał, tak zwał – odparł pułkownik. – Ja nie wzdragam się nazywać rzeczy po imieniu, a i samemu podsędkowi w oczy bym powiedział, co o jego... – Sperling zawiesił

głos na niemal niedostrzegalną chwilę – figlu sądzę.

– A nie wątpię... – mruknął pan Jacek.

– Tuszę, że waćpan masz jakiś zamysł w tym, by nie wyciągać wobec podsędka konsekwencji i nie żądać satysfakcji za zniewagę – stwierdził pułkownik, patrząc obojętnym wzrokiem na podstarościego. – Chciałbym wiedzieć, czy waszmości postępowanie wiąże się w jakiś sposób ze sprawą listów.

– Nie – odparł, udając zdumienie, Zaremba – skądże znowu! Waszmość przecież wiesz, że pan stolnik pokoju wymaga od swych gości, a nie zwad, zniewag i gniewu, więc nie mogłem postąpić inaczej, jak tylko dostosować się do życzeń gospodarza i przyjaciela.

– Niech i tak będzie – skinął głową Sperling, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł

w stronę stodoły, gdzie spali jego ludzie.

Pan Jacek wyciągnął się znowu wygodnie, lecz spoglądał uważnie w ślad za pułkownikiem. „A niech go wszyscy diabli – pomyślał. – Zorientował się szczwany lis, co się dzieje, lub choćby przypuszcza tylko, ale to wystarczy, by już nas z oka nie spuścił”. I pomyślał jeszcze, że może być całkiem zabawne, iż niedługo wszyscy goście stolnika zaczną patrzeć jeden drugiemu na ręce. A w każdym razie Sperling wszystkim będzie patrzył na ręce, bo nie dość, że był człowiekiem z natury nieufnym, to jeszcze doznał tak strasznej zniewagi, że podobnej, póki tchu w płucach wystarcza, nikomu wybaczyć się nie da. „Co ja bym uczynił, gdyby pojmano mnie i ludzi moich i drwiąc ze mnie i szydząc, na moich oczach w pień wszystkich wycięto? – zastanawiał się Zaremba. – Pewne, że wiele bym poświęcił, by owego zbrodniarza dopaść i odpłacić mu w taki sposób, że do śmierci wybawicielki wdychałby niczym do ukochanej”. Pan Jacek zacisnął zęby i zamruczał do siebie:

– Ze skóry żywcem bym obdarł.

– Kogóż to, starosto dobrodzieju? – usłyszał za sobą.

Zaremba poznał oczywiście głos pana Pawła, ale nim zdążył pomyśleć, już skręcił się w balii niczym piskorz, by znaleźć się twarzą do niespodziewanego przybysza.

– Wybacz, panie podstarości, wybacz – sumitował się Broniewski, wyraźnie zmieszany – nie chciałem waści... – bezgłośnie przełknął słowo „przestraszyć” i dokończył –

zagniewać.

– Nie ma czego wybaczać, panie miecznikowicu – odparł uprzejmie pan Jacek – ale waść podszedłeś cicho niczym lis do kurnika.

Broniewski uśmiechnął się.

– Nie ja taki cichy byłem, lecz waszmość w świecie swych myśli tak bardzo się pograżył, że w naszym uniwersum przebywałeś jedynie połową umysłu, jeśli w ogóle.

– To akurat prawda – westchnął podstarość.

– A kogo waszmość dobrodziej chcesz ze skóry obedrzeć, jeśli wolno wiedzieć?

– Myślałem o pewnym śledztwie, które prowadziłem przed przyjazdem do stolnika –

skłamał gładko Zaremba i machnął dłonią – tak naprawdę nic ważnego. Jenó widzisz waszmość: czasem złość człowieka chwytą, że ograniczony jest marną kondycją ludzką i nie może wiedzieć wszystkiego ani zrobić wszystkiego, co zrobić by wypadało, aby przeklęty chaos zamienić w błogosławiony ład.

– Panie podstarości, wszyscy byśmy tak chcieli, uwierz mi, świat kształtować niczym garncarz glinę, podług naszych żądań, oczekiwań lub marzeń. – Pan Paweł westchnął i zapatrzył się gdzieś w dal. – Pewnie Bóg chciał, byśmy się bardziej starali i byśmy do celów naszych dochodzili tylko wtedy, gdy poświęcimy dla tej podróży wiele życia i sił – dodał.

– Co racja, to racja – przyznał szczerze pan Jacek, bo słowa młodego szlachcica wydały mu się wielce rozsądne i idealnie utrafiły w to, co sam myślał o podobnych sprawach. – Szkoda, że życie takie krótkie.

– Dla kogo krótkie, dla tego krótkie – Broniewski otrząsnął się z nostalgii. – Sam znałem szlachcica, który jako młokos walczył jeszcze pod Kłuszynem. Wyobrażasz waszmość sobie? W 1610 roku miał dziewiętnaście lat, czyli urodził się w 1591. A ja gadałem z nim po tureckiej wojnie, kiedy miał już dziewięćdziesiąt dwa lata.

– Piękny wiek – pochwalił Zaremba – oczywiście jeśli ów starzec nie dodał sobie kilku lat i kilku bitew. – Podstarość uśmiechnął się, bo wiedział, jak silnie potrafią działać szlachecka wyobraźnia i szlachecka fantazja, każące w rzeczywistej historii widzieć jedynie zbędne ograniczenie dla tego, co mogłoby się zdarzyć, a co się wcale nie zdarzyło. A gdy szlachecką wyobraźnię i szlachecką fantazję podlano strugami trunku, to skłonne były biec hen daleko do krain zmyślonych i o rzeczywistym świecie całkiem zapominały.

– Chyba nie.

– Ja też poznałem kiedyś żołnierza, który z hetmanem Żółkiewskim Kreml zdobywał i potem dwa lata tam siedział.

– Mój Boże – miecznikowic złożył dłonie – takie czasy nas ominęły, panie podstarości. Takie wielkie bitwy. Takie triumfy. Takie przewagi. Waszmość chociaż pod Wiedniem byłeś... – Broniewski westchnął z żalem, jak człowiek, którego ominęła niezwykła atrakcja.

Jackowi Zarembie nie spodobało się słówko „chociaż”, gdyż nie uważał, by zwycięstwa pod Wiedniem i Parkanami były mniejsze niż te pod Kłuszynem, Kircholmem, Beresteczkiem czy Chocimiem, a wręcz przeciwnie – ośmielał się sądzić, że wielka wiktoria pod Parkanami, która po wiedeńskim triumfie nastąpiła i była jego ukoronowaniem, nie miała równej sobie nie tylko w historii Rzeczypospolitej, ale może nawet w historii całego świata.

Wiedział jednak, że pan Paweł jest jak najdalszy od chęci obrażenia go, że przemawia przez niego ta dziwna, choć jednocześnie tak zwyczajna tęsknota za dawnymi, niepamiętanymi czasami, kiedy wszystko podobno było lepsze. Bitwy były większe, żołnierze dokonywali czynów godnych antycznych herosów, wodzowie byli roztropniejsi, żołnierze odważniejsi, a jak krew płynęła, to całymi rzekami. W tych dawnych bitwach żołnierze odrąbywali wrogom głowy – przynajmniej trzy jednym cięciem, jak pili wino, to od razu garniec cały, gdy galopowali, to kilka dni bez przerwy, a jak kochali, to tak gorąco, że dla wybranki gotowi byli przemierzyć Dzikie Pola wzdłuż i wszerz.

Pan Jacek podniósł się, wyszedł z balii i otrząsnął się niczym mokry pies.

– I co, lepiej waszmości? – zapytał Broniewski, przyglądając się tej scenie z uśmiechem.

Zaremba spojrział w stronę słońca, które wyglądało niczym wielka, rozpalona złotym blaskiem moneta przyczepiona do wieży dworu.

– Patrz waćpan, ani chmurki na niebie – rzekł z nienawiścią w głosie.
– Dopiero dziewiąta rano, a ja ledwo dyszę.

– Panie podstarości, przyznam, że w południe spiekota trochę doskwiera, ale teraz? –

miecznikowic odchylił głowę do tyłu i rozłożył ramiona. – Dalibóg, przyjemny ranek.

– Diabli nadali taką przyjemność – burknął Zaremba.

– A co mają powiedzieć Italczycy, którzy niemal cały rok żyją, jakby mieli wieczne lato? A Turcy?

– Czort z nimi! Niech się i upieką. Ale czemu ja mam się tak smażyć, do diabła?

– Uuu, waści dzisiaj osa ugryzła...

Jacek Zaremba usiadł na cembrowinie, bo daszek studni osłaniał to miejsce przed słońcem.

– A żebyś wiedział, panie Pawle. Już mam dość tego lata, dość słońca, dość spiekoty i dość takiego powietrza, jakie jest. Gdybym chciał podobnym powietrzem się kontentować, tobym sobie stanął przy otwartym piecu chlebowym i nawdychał się, ile wlezie.

Paweł Broniewski się roześmiał.

– Lato minie, przyjdą jesienne ulewy, potem zima i mrozy i jeszcze waść zatęsknisz za słońcem. A otulony baranicą czy futrem będziesz sobie myślał: „ech, pogrzałbym się w Heliosowym cieple...”.

Podstarości skinał głową.

– Zawsze tak jest – rzekł. – Co zrobić, że tacy już my, ludzie, jesteśmy, iż bierzemy za nieszczęście to, co za chwilę wyda nam się niczym mniej niż szczęściem i upragnieniem?

– O, pan pułkownik! – zawołał pan Paweł, widząc Sperlinga, który szedł właśnie w stronę dworu, najwyraźniej załatwiwszy ze swoimi ludźmi to, co miał do załatwienia. –

Nawet nie wiedziałem, że waszmość już wróciłeś.

– Przed chwilą – odparł Sperling.

– Mam nadzieję, że dostaniemy jakieś przedśniadanko, zanim nasz gospodarz wstanie

– zatarł dłonie pan Paweł.

– No proszę, a ja mniemałem po tym, co waćpan mówiłeś, że najchętniej byś się poddał pustelniczemu czy eremickiemu postowi – powiedział Jacek Zaremba.

– Dziwna jest ta nasza człowiecza natura, nieprawdaż? – zapytał miecznikowic. –

Jeszcze wieczorem wyrzekałem, że mój kałdun jest wypchany do granic możliwości, a może nawet poza takie granice, a dzisiaj już bym chętnie to i owo spałaszował, a chociaż przekąsił

lub pokosztował.

– A popatrz waszmość na to: niby niedźwiedź jest stworzeniem w jakimś stopniu podobnym do nas, bo ma cztery kończyny, zjada pokarm, który człowiek też może jeść, i w maleńkości z matki swej ssie mleko, całkiem jak ludzkie dziecko. I mimo że taki do nas podobny, to przed zimą potrafi się tak nażreć, że potem kilka miesięcy smacznie przesypia i ani mu w głowie iść na obiad.

– W wojsku takowa umiejętność by się przydała – niespodziewanie odezwał się Sperling – przed wojną żołnierza byśmy karmili, a potem jeść dostałby znowu dopiero po powrocie z wojny. Wielka oszczędność i pieniędzy, i wysiłku.

Podstarośći pokiwał z uznaniem głową.

– Waszmość nieźle to wykoncypowałeś – rzekł. – Istotnie, dowódcy mieliby bardzo wiele pożytku, gdyby na wojnie nie trzeba było żołnierzy karmić.

– Ba, wiele byśmy mogli od zwierząt się nauczyć, nie sądzicie, waszmościowie? –

zagadnął Broniewski. – Wilczej wytrwałości i szybkości biegu, sarnich skoków, już nie mówiąc o orlim locie... – Pan Paweł spojrział w niebo. – Ech, ciekawe, czy kto kiedy powtórzy mistrzostwo Dedala i pod niebo się wzniesie niczym ptak?

– Jakby był takim mistrzem, toby mu się syn nie zwałił na ziemię i nie zabił –

stwierdził podstarośći.

– Ależ waszmość dobrodzieju, tak mówić nie wolno! – oburzył się pan Paweł. –

Wszak Dedal ostrzegał Ikarą: „nie leć, synu, zbyt wysoko, bo skrzydła roztopisz”. Nie rzemieślnicza wszak nieudolność zaważyła na tej tragedii, ale nieposłuszeństwo.

– Ja się z takim postawieniem sprawy zgadzam – wtrącił znowu pułkownik – bo posłuszeństwo komendzie to rzecz święta. A zważcie, że w tym wypadku nie tylko ojciec rozkazywał, ale i konstruktor, więc można rzec, że Dedal w podwójnym był prawie, by rozkazywać, a Ikar w podwójnym obowiązku, by usłuchać. A teraz pozwólcie waszmościowie, że was pożegnam, bo całą noc jechałem, więc muszę choć chwilę się przespać.

Sperling pożegnał obu szlachciców zdawkowym skinieniem głowy i odszedł w stronę dworu.

– A co on taki dzisiaj gadatliwy? – mruknął Zaremba. – Waszmość zauważyłeś?

– Gadatliwy? Raptem dwa zdania wypowiedział – zdziwił się Broniewski.

– Niby tak, ale nie spodziewałem się, że w ogóle będzie z nami konwersował, skoro nasza rozmowa ani jego samego, ani spraw jego nie dotyczyła.

– Każdy pragnie czasem kłopoty precz wyrzucić z myśli i beztrasko pogawędzić z towarzyszami albo i nawet z całkiem obcymi ludźmi – wzruszył ramionami miecznikowic.

Pan Jacek jedynie się roześmiał i klepnął Broniewskiego w ramię.

– Waszmość wybaczn, ale tajemnice ludzkiej natury jeszcze ci się wymykają. Choć przyznam, że lepiej by było, gdyby działało się tak, jak mówisz i by każdy człowiek miał chęć na niewinną pogawędkę.

– A waść się z tym nie zgadzasz? Nie zgadzasz się, że jesteśmy istotami, które jedynie w towarzystwie stworzeń tego samego rodzaju odnajdują szczęście?

– To konieczność, panie Pawle, nie afekt – zauważył Zaremba. – W kupie żyć i raźniej, i bezpieczniej. A pomyśl też waszmość, że często tak jest, iż dwóch ludzi zrobi wcale nie dwa razy więcej, lecz aż trzy razy albo cztery razy więcej niż jeden człowiek. Więc życie wspólne po prostu nam się opłaca.

– W tej mierze na pewno waszmość masz rację – odparł Broniewski – ja jednak twierdę, że przyrodzoną cechą natury człowieczej jest chęć obcowania z drugą istotą ludzką.

– Jeśli chodzi o obcowanie oraz chęć na nie, to z najwyższą przyjemnością z waszmość panem i jego zdaniem się zgodzę... – powiedział pan Jacek z szerokim uśmiechem.

Paweł Broniewski spąsował.

– Ależ, panie podstarości, ja przecież nie o tym...

– A ten co znowu tu robi? – mruknął Zaremba, spoglądając ponad ramieniem Broniewskiego.

Miecznikowic obrócił głowę i podążył w ślad za tym spojrzeniem.

– Pan pułkownik jednak nie poszedł spać – powiedział.

Sperling zbliżył się do nich, po czym zapytał:

– Waszmościowie wybaczn, że przeszkadzam wam w rozmowie, ale czy nie widzieliście gdzież zarządcy, tego siwego szlachcica?

– Pana Barańskiego? Nie, panie pułkowniku, ale nie wiem, czy przypadkiem nie wybrał się do Krotoszyna, bo stolnik coś o tym wyjeździe mi wspominał.

– Szybko powróci? Waszmość może wiesz?

– Sądzę, że szybko, bo z tego co słyszałem, jeździ do Krotoszyna dwa razy do roku, by pomodlić się w kościele swego patrona, świętego Jana Chrzciciela. Ale wraca szybko, bo myśli – Jacek Zaremba uśmiechnął się – że bez jego opieki to miną dwa–trzy dni i cały majątek, zrujnowany, zapadnie się pod ziemię.

– Też mieliśmy takiego administratora! – rzekł Broniewski. – Od świtu do późnej nocy był na nogach. Mówiliśmy o nim, że nie tylko każdego naszego chłopca zna z imienia, każdą krowę, świnie i kurę, ale wie nawet, gdzie są mysie nory i która mysz w której norze mieszka – pan Paweł roześmiał się. – Taki człowiek to skarb prawdziwy, powiadam waszmościom.

– Prawda – zgodził się podstarość – nie tylko skarb, ale i prawdziwa rzadkość na tym podłym świecie, na którym tylko jeden patrzy, jak drugiego ocyganić.

– Mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, zawsze mawiała do niego: „na Boga, Michałku drogi, bo Michał Grabowski mu było, spoczniej choć na chwilę, odetchnij”. – Pan Paweł machnął ręką. – Gdzie tam, do ściany można by gadać i prędzej by posłuchała niż on.

– Zaufany sługa czy zaufany wachmistrz to ważna rzecz – zauważył Sperling. – Ktoś, kto nie tylko potrafi wydawać rozkazy w twoim imieniu, ale także sprawić, że będą niemal tak dobre jak twoje. Taaak, zacna rzecz...

– Ale że matka waszmość pana komuś taką władzę oddała, to słysząc o niej wcześniej, się nie spodziewałem – powiedział Jacek Zaremba. Potem zwrócił się do Sperlinga. –

Waszmość musisz wiedzieć, że świętej pamięci matka pana miecznikowica dzielność lwicy łączyła z królewską pięknnością i równym jej majestatem...

Broniewski, słysząc te komplementy, oblał się rumieńcem od czoła aż po brodę, ale najwyraźniej było mu miło. Zdołał jednak zaledwie wyjąkać:

– Pokornie dziękuję waszmości dobrodziejowi.

– Są takie kobiety – zgodził się pułkownik. – Niebezpiecznie wejść im w drogę i zaskarbić sobie ich nieżyczliwość.

Podstarość parsknął śmiechem.

– Aha, z tego co pan Paweł opowiadał, tak właśnie było w przypadku jego świętej pamięci matki. Czyż nie tak, panie Pawle? Potrafiła pani Broniewska o swoje walczyć, co?

– O, tak – potwierdził miecznikowic.

– Pokaż no waść pułkownikowi portret rodzicielki, nie daj się błagać – poprosił z uśmiechem Zaremba – a i ja chętnie zerknę na tę piękność niczym z obrazów największych mistrzów. Istna Anna Maria Orleańska, powiadam waszmości!

– Chętnie – odparł uprzejmie Sperling.

Pan Jacek nie tylko chciał zobaczyć ową damę dla jej nadzwyczajnej piękności, ale też dlatego, że poprzednim razem, kiedy pan Paweł pokazywał mu portrecik matki, miał

wrażenie, że już gdzieś i kiedyś widział tę niewiastę. I teraz chciał to wrażenie potwierdzić lub mu zaprzeczyć.

Broniewski zdjął z szyi łańcuszek, ucałował medalion, nadzwyczaj ostrożnie otworzył

wieczko i na wyciągniętej dłoni wysunął talizman w stronę Sperlinga. Ten spojrzął na konterfekt, przyglądał mu się dłuższą chwilę, po czym przeniósł spojrzenie na młodego szlachcica.

– Niezwykła twarz – stwierdził – raz zobaczysz i na całe życie zapamiętasz. Piękną waszec miałeś matkę, naprawdę piękną.

Podstarości również pilnie przyglądał się wizerunkowi i znów, tak jak i poprzednim razem, miał silne wrażenie, że kiedyś miał okazję poznać sportretowaną damę.

– Widać zbyt była piękna, by żyć na naszym padole łez, i Bóg chciał ją mieć jako najcudniejszą ozdobę anielskiego dworu – powiedział z uczuciem Broniewski.

Cofnął dłoń, uznając, że obaj szlachcice już się napatrzyli, potem zamknął wieczko, znowu ucałował medalion, ostrożnym ruchem zawiesił łańcuszek na szyi i schował pod koszulę.

– Dawno waszmość poniosłeś tę tragiczną stratę? – zapytał pułkownik.

– Mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, umarła siedem lat temu. Miałaby teraz trzydzieści siedem lat. – Miecznikowic westchnął żałośnie. – Czemuż Bóg zabrał ją tak wcześnie do swej światłości?

Jacka Zarembę wzięła przekorna chęć, by przypomnieć miecznikowicowi o jego własnych słowach tłumaczących, czemu Bóg wezwał panią Broniewską, ale – rzecz jasna –

powstrzymał się, gdyż podobna niedelikatność nie tylko byłaby niegodna szlachcica, ale mogła jeszcze pana Pawła zrazić raz na zawsze do podstarościęgo.

– Wybaczenie waściowie, że was opuszczę – poprosił miecznikowic zgaszonym głosem

– pomodłę się chwilę w kaplicy, jeśli pozwolicie.

– Ależ oczywiście, proszę waszmości – powiedział szybko pan Jacek.

– Wybacz mi i racz przyjąć najserdeczniejsze przeprosiny, że moją prośbą wprowadziłem waści w tak przykry nastrój.

– Nie waszmości to wina, lecz mojego pękniętego serca – oznajmił jeszcze bardziej grobowym tonem Broniewski, po czym odwrócił się i powlókł w stronę dworu.

– Cóż za silny i godny podziwu synowski afekt – zauważył Sperling półgłosem, kiedy miecznikowic oddalił się już na tyle, iż było pewne, że nie usłyszy tych słów.

– To prawda, to prawda...

Milczeli dłuższą chwilę, wreszcie pułkownik rozejrzał się wokół. Potem spojrział na Zarembę.

– Przejdziesz się ze mną, panie podstarości? – zapytał.

– Słucham? – zdumiał się pan Jacek.

– Na spacer. Po sadzie. Muszę z waszmością zamienić kilka słów, jeśli łaska.

Zaremba zawahał się, gdyż był tylko w koszuli i hajdawerach. Buty stały co prawda obok, przy studni, ale reszta ubrania i co najważniejsze!, szabla, zostały we dworze. Sperling zauważył konsternację Zarembę, bo rzekł:

– Ja waszmości na szable prosić nie zamierzam, a jedynie na rozmowę. Oczywiście, jeśli chcesz się odziać, jak należy, zaczekam tutaj, aż będziesz gotów – dodał pułkownik tonem niemal uprzejmym.

– Nie, nie, jest tak gorąco, że póki mogę nie wkładać żupana i kontusza, to i lepiej mi się żyje. A jak mnie kto w hajdawerach i koszuli zobaczy, nawet białogłowa, to przecież żaden despekt.

– Też tak sędzę – odparł Sperling.

Podstarości zastanawiał się, czy dobrze robi, idąc bez broni na przechadzkę z niemal obcym człowiekiem, o którego intencjach i zamierzeniach nic nie wiedział, ale pomyślał, że pułkownik mógłby wrogo odebrać brak zaufania w tak błahej sprawie jak spacer. A poza tym: czy

Sperling zasiekłby bezbronnego? No cóż... Tak. Pan Jacek nie miał wątpliwości, że

pułkownik mógłby to zrobić, gdyby tylko uznał podobne postępowanie za konieczne lub opłacalne. Pytanie tylko brzmiało: po jakiego diabła miałyby coś takiego czynić?

Kiedy szli, Zaremba zdał sobie sprawę, jak śmiesznie musieli wyglądać dla kogoś, kto by obserwował ich od strony dziedzińca. Oto podstarość maszerował w samych hajdawerach i wyciągniętej na wierzch koszuli, a obok niego sunął Sperling w czarnym kaftanie ze sztywnym kołnierzem pod szyję, czarnych spodniach, czarnym kapeluszu, czarnych butach do konnej jazdy i z rapierem kołyszającym się u pasa. „Dalibóg, wyglądamy niczym pan i jego chłop”, pomyślał Zaremba, ale raczej rozbawiony niż skonfundowany, bo przecież dobrze znał własną wartość i wiedział, że jest ona zupełnie niezależna od tego, jak i w co się ubierze.

W milczeniu weszli pomiędzy drzewa i dopiero po dłuższej chwili Sperling się odezwał.

– Dobrego masz waszmość pachołka.

– Słucham?

– Mówię, że dobrego masz pachołka. Idzie za nami.

Zaremba niedbale obejrzał się przez ramię, a ponieważ nikogo nie dostrzegł, rozejrzał się dokładniej.

– Chyba się waszmości, za przeproszeniem, przywidziało.

– Czuwa nad tobą ten Moskwiczanie. I dobrze. Zobaczył, że na przechadzkę idziesz bez broni, więc ruszył naszym śladem. Zacny pachołek.

Zaremba nadal nikogo nie widział, więc wzruszył tylko ramionami.

– Wiele nas połączyło i mogę go nazwać towarzyszem raczej niż sługą, bo rękę dałbym sobie uciąć, że niegorszy z niego szlachcic niż wielu z tych, z którymi przy jednym siadamy stole. Ale przecież waszmość nie o moim Iwajle chciałeś rozmawiać. Więc o czym, jeśli wolno wiedzieć?

– Widziałeś waszmość, że Broniewski pokazał mi swój medalion. Ten z konterfektem matki, jak mówił.

– Oczywiście, że widziałem. I?

– Spotkałem kiedyś tę niewiastę.

– No to waszmość miałeś szczęście. Chciałbym i ja takową piękność zobaczyć.

Zresztą – westchnął – nawet zdawało mi się, że kiedyś kogoś podobnego do niej widziałem.

– Mnie się nie wydaje. Ja wiem. Mówiłem waszmościom, iż takiej twarzy się nie zapomina, i mówiłem to z całkowitym przekonaniem.

– I cóż z tego?

– Waszmość nie spytasz gdzie i w jakich okolicznościach?

– Gdzie i w jakich okolicznościach? – posłusznie zapytał pan Jacek.

– Na zamku w Kiełczawie, kiedy ludzi moich w pień wycinano – odparł Sperling z nienaturalnym wręcz spokojem. – Podeszła na chwilę do owego kasztelana, tego parszywego zbója i mordercy, szepnęła mu coś na ucho i zaraz potem odeszła. Uśmiechnął się do niej tak, jak mężczyzna uśmiecha się jedynie do swojej kobiety.

Jacek Zaremba zatrzymał się jak wryty i utopił wzrok w zimnych oczach Sperlinga.

– Waszmość pomyliłeś twarze. To niemożliwe – odezwał się po dłuższej chwili, w czasie której zbierał myśli.

– Nigdy nie mylę twarzy. A ta jest, co pan sam, panie podstarości, przyznasz, dosyć...

charakterystyczna.

– To niemożliwe – powtórzył Zaremba, tym razem pewniejszym głosem. – Pani Broniewska zmarła kilka lat wcześniej, więc spotkać jej nie mogłeś.

– A waszmość skąd wiesz, że zmarła?

– Z opowieści pana Pawła.

– Hm... – Sperling skrzywił kącik ust. – Z opowieści pana Pawła, którego znasz i któremu, jak mniemam, wielce ufasz, skoro wszystkie jego słowa bierzesz za dobrą monetę.

Podstarości poczuł, że zapiekły go policzki.

– Czemu miałby kłamać na temat śmierci ukochanej matki?

Zadał to pytanie, choć przecież sam wcześniej zastanawiał się, ile jest prawdy w opowieści miecznikowica.

– Że była ukochana, też waszmość wiesz od niego, hmmm?

– Panie pułkowniku Sperling, dokąd waszmość zmierzasz? Chcesz wiedzieć, co wiem o Broniewskim oprócz tego, co sam mi powiedział? Nic. Tak samo jak o tobie samym, tak samo jak o Rokickim, tak samo jak o Komarnickim. Nie znam waćpanów i mogę tylko ufać, że nie we wszystkim kłamiecie.

– Nie we wszystkim... – powtórzył z lodowatą surowością Sperling. – Za mniejsze zniewagi obcinałem ludziom uszy.

– Mam iść po szablę?

– Obejdzie się – pułkownik znowu wykrzywił usta, po czym oderwał wzrok od pana Jacka i ruszył przed siebie wolnym krokiem.

Zaremba, chcąc nie chcąc, poszedł w ślad za nim.

– To było to samo oblicze, panie podstarości. Wypisz wymaluj jak na portrecie, nawet włosy tak samo upięte. Widziałem i zapamiętałem dobrze, gdyż wielki to stanowiło kontrast: ta piękna twarz o delikatnych rysach i oczach jak czarne gwiazdy i rzeź moich ludzi na

dziedzińcu. Mówiłem waszmości, że wtedy jeszcze sądziłem, że mnie również zabijają, więc pomyślałem sobie... – Sperling prychnął z lekceważeniem dla własnych przemyśleń – oto jestem w piekle, a zobaczyłem anioła. Dlatego głowę dałbym sobie obciąć, że kobieta w Kiełczawie i kobieta na portrecie to jedna i ta sama osoba.

Pan Jacek niczym nie dał po sobie poznać, że zdziwił się, słysząc słowa pułkownika o piekle i niebie, pomyślał tylko, że to kolejny przykład na to, iż nawet najbardziej zimnokrwiste natury skłonne są do sentymentów, kiedy odpowiednio nimi wstrząsnąć. A rzeź

podkomendnych oraz bliskość i pewność własnego zgonu, kto wie, czy niepoprzedzonego mękami, musiały wyostrzyć zmysły pułkownika.

– Jeśli wolno spytać: czemu waszmość wcześniej nam nie powiedziałaś, że temu zbójcy towarzyszyła kobieta?

– Bo nie towarzyszyła – odparł Sperling, a w jego głosie dało się usłyszeć zniecierpliwienie – pojawiła się na chwilę, i to w momencie, kiedy ludzi moich ścinano. Jak się więc waszmość domyślasz, bardziej interesowało mnie, aby opowiedzieć wam o ścinaniu, a nie o tym, kto akurat oglądał kaźń na dziedzińcu. Przecież tam stało kilka dziesiątek tych zbójów... – Sperling wzruszył ramionami – zresztą kobiety też były. Nawet kilkoro dzieci.

Nie powiedziałbym wam o tej kobiecie, bo i po co, gdybym nie ujrzał u Broniewskiego jej wizerunku.

Zaremba szarpnął wąsa.

– Waszmość sam na pewno doskonale wiesz, że czasem trafiają się ludzie podobni do drugich niczym dwie krople wody – zaczął. – A może natknąłeś się na siostrę pani Broniewskiej? Kuzynkę? Na kobietę z tego

rodu, która opuściła dom w młodości i już do niego nie wróciła? Waszmość z pewnością poznałeś bardziej nawet zagmatwane ludzkie losy.

Że szlachcianka zostaje żoną czy kochanką zbója? I tak się może zdarzyć...

– Wiedziałem, że waćpana nie przekonam.

– Proszę mi wybaczyć, pułkowniku, ale nie mogę waćpana opowieści wziąć za dobrą monetę – stwierdził poważnie pan Jacek. – Po pierwsze, jak sam przyznałeś, widziałeś ową towarzyszkę kasztelana zaledwie przez mgnienie oka. Po drugie do porównania masz jedynie konterfekt, a wiadomo, że malarze czasem dość potężnie zmieniają rzeczywistość, uznając, że lepiej upiększyć portretowanego, niż trzymać się rzeczywistości i w związku z tym uczciwym postępowaniem zamiast zapłaty cięgi dostać...

– Broniewski mówił, że konterfekt oddaje rzeczywistość niczym lustro.

– O? Teraz już pan Paweł jest godny zaufania i bezkrytycznie wierzymy jego słowom?

Sperling obrzucił Zarembę niechętnym spojrzeniem.

– Ja panu, panie podstarości, powiedziałem, co wiem, a waszmość z tą wiedzą zrobisz, co uznasz za stosowne.

– Panie pułkowniku, ależ ja właściwie szczerze dziękuję za informację! – zawołał pan Jacek z wielką serdecznością, gdyż nie chciał zniechęcić Sperlinga, który mógł być przydatnym stronnikiem. – Zrozum jednak, że doszukiwanie się sprzeczności, błędów i omyłek to mój zawód. Czy waćpan wiesz, że jeśli każesz trzem ludziom opisać jakieś zdarzenie, to każdy z nich opowie o tym zdarzeniu inaczej? Każdy z nich zauważy coś innego i coś innego uzna za najważniejsze. A niekiedy zeznają rzeczy wzajemnie się wykluczające, pomimo że opowiadać będą w dobrej wierze i przekonani, że naprawdę widzieli to, o czym mówią.

Sperling skinął głową.

– Tak, ta prawidłowość jest mi znana. Dobrze, przyznaję waszmości rację w tym, że masz prawo zachować chłodny umysł i rachować wszystkie za i przeciw. Zrozum jednak i mnie. Co byś uczynił, gdybyś ujrzał na czyjejszy szyi medalion z portretem kobiety, którą pamiętasz z tego, że jej miłośnik kazał wymordować twych żołnierzy?

Podstarości musiał przyznać, że rzeczywiście nie byłaby to sytuacja godna pozazdroszczenia. I musiał również szczerze podziwiać Sperlinga za

to, iż on po obejrzeniu portretu nawet jednym skrzywieniem ust czy drgnięciem brwi nie dał poznać po sobie, że widział tę kobietę – i to w tak strasznych okolicznościach.

– Waćpan nie uczyni niczego pochopnie – poprosił pułkownika, przestraszony nagle, iż pan Albrecht może poruszyć ten temat z Broniewskim, co mogłoby się skończyć, a zapewne skończyłoby się, gorzej niż oplakanie. – Serdecznie proszę waszmości, byś zachował podejrzenia dla siebie.

– Nie zamierzałem na razie czynić nic innego – odparł Sperling, a Zaremba znakomicie zrozumiał sformułowanie „na razie” – chcę tylko, byś waszmość wiedział o moich podejrzeniach.

– Dziękuję, panie pułkowniku – powiedział z wdzięcznością podstarości.

Oczywiście nie był na tyle łatwowierny i naiwny, by do końca uwierzyć Sperlingowi.

Wierzył mu na tyle, że sądził, iż pułkownik na razie nie zdradzi się ze swymi sensacjami. Ale gdyby na przykład Broniewski zapowiedział wyjazd... O, to co innego. „Co ja sam bym zrobił? – zaczął się zastanawiać pan Jacek. – Cóż, pewnie pojechałbym śladem miecznikowica, porwał go i wziął na spytki. Oczywiście, że to niepolityczne, dręczyć torturami dobrego szlachcica, nawet jeśli nie chce wypowiadać się po dobremu, jednakże

skoro w grę wchodzi pragnienie odwetu, to zwykle wszystkie zasady biorą w łeb, a liczy się tylko jedno: prawo zemsty.

– Jeśli mam rację, pewnie wyjdą na jaw, przypadkiem bądź umyślnie, kolejne węzły – rzekł Sperling.

– Jakie węzły waszeć masz na myśli?

– Dwaj obcy sobie ludzie: ja i Broniewski, a jednak zaproszono nas do tego domu, bo coś nas łączy. Teraz już wiem co... Pierwszy węzeł.

– Wybacz, panie pułkowniku, lecz w moim mniemaniu to zbyt pochopna ocena.

– Czyżby? A może – Sperling spojrzał podstarościemu prosto w oczy – pojawiły się inne węzły, o których waszmość już wiesz, a ja jeszcze nie?

– Gdyby nawet tak było, sądzisz waść, że bym ci powiedział?

Pan Jacek zapytał spokojnym tonem i nie opóźnił się z pytaniem, nie zawahał się ani nie zacukał – chociaż oczywiście natychmiast pomyślał o Rokickim. Może jego historia nie tworzyła żadnego węzła pomiędzy

gośćmi stolnika, ale może jednak człowiek, którego poszukiwał Rokicki, odpowiadał też za tragedie Broniewskich, Komarnickich oraz Sperlinga.

– Raczej nie – odpowiedział pułkownik – chociaż wszystko zależy, jak bardzo waszmość czujesz się samotny w swym dochodzeniu prawdy.

Podstarości się zaśmiał.

– Możesz mi wierzyć, panie pułkowniku, gdyby tylko o to chodziło, że szukam roztropnego towarzysza o chłodnym umyśle, natychmiast zgłosiłbym się do waszmości.

– Wiem, że waćpan nie masz powodów, by dać wiarę któremukolwiek z mych słów –

zgodził się Sperling – ale nie masz też powodów, by uznać, że to, co mówię, jest kłamstwem...

– Nigdy tak nie powiedziałem – zaprotestował Zaremba. – Sądzę jednak, panie pułkowniku, że pamięć zwiodła cię na manowce. A może jeszcze inaczej: zmienię „sądzę” na

„podejrzewam” i powiem: podejrzewam, że pamięć zwiodła cię na manowce.

– Może się przekonamy, panie podstarości. Kiedyś. Niedługo.

– Może...

– I radzę tak łatwo nie wierzyć we wszystko, co powie Paweł Broniewski – Sperling stanął pod drzewem, lecz nie oparł się o pień, choć jego plecy niemal dotykały kory.

– Nikomu nie wierzę we wszystko, co powie – odparł Zaremba.

Pułkownik skinął głową.

– Daruj sobie aluzje, panie podstarości, bo i za grubą nicią je tkasz, i nie powiadasz w ten sposób niczego nowego. Wiem, że mi nie wierzysz, ale jeśli mówię: bądź ostrożny, to chyba nie szykuję ci pułapki?

– Chyba że każesz uważać na kogoś, kto może się okazać stronnikiem i przyjacielem, a ja zrażę go podejrzeniami...

– Tak, to prawda, tak również można mniemać – przyznał Sperling. – Pomyśl jednak waść: czy nie ujęła cię otwarta, młoda twarz, szczere spojrzenie, prostolinijność zachowania, grzeczność obyczajów...? Hm? Powiedz, panie podstarości, czyż nasz miecznikowic to nie jest postać całkiem sympatyczna?

Pan Jacek się uśmiechnął, gdyż pułkownik oczywiście miał rację. Albo lepiej powiedzieć: miałby rację, gdyby rzecz nie dotyczyła Jacka Zaremby, podstarościęgo łączyckiego, znanego tropiciela zbrodniarzy, który musiał

poznać ludzką naturę chociażby po to, by jednych ludzi karać, a drugich chronić.

– Ja, panie pułkowniku, natknąłem się w swym życiu na opryskliwych gburów o złotych sercach. Na szkarady, które nie ukrzywdziłyby nawet muchy pomimo budzącego przerażenia wyglądu. Ale widziałem również łajdaków o anielskich obliczach, których mowa była słodka jak kląskanie słowików. Jeśli więc pytasz, czy łatwo spowodować, by zewnątrz sprawiło, że oślepnę na prawdę o wnętrzu, odpowiem ci: nie, niełatwo mnie zwieść w podobny sposób.

Sperling uniósł kącik ust do góry.

– Dziękuję waszmości za wyczerpującą odpowiedź – rzucił lekkim tonem. – A teraz pozwól, panie podstarości, że cię opuszczę, jako że nie mam już nic do dodania ani w tej sprawie, ani w żadnej innej.

– Jeśli wolno, chciałbym zadać jedno pytanie, pułkowniku...

Bładolicy szlachcic nie okazał zdziwienia, bez słowa wstrzymał krok i spojrział w stronę Zaremby.

– Jak waszmość długo zamierzasz zostać na dworze stolnika?

Pułkownik milczał przez chwilę.

– Trudno gościowi przewidywać, ile minie czasu, zanim jego gościna do cna zbrzydnie gospodarzowi, panie podstarości.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Wybacz waść, lecz lepszej dzisiaj nie dostaniesz – odparł Sperling, po czym odwrócił się i odszedł.

Jacek Zaremba spoglądał w ślad za nim, dopóki pan Albrecht nie zniknął za drzewami, po czym usiadł na ziemi i oparł się o pień. Wypatrzył w trawie zielone jabłko z różowym rumieńcem, przyjrzał mu się, czy aby nienadjedzone przez robaki, po czym wgrzył się w soczysty, kwaskowaty miąższ. Przez głowę przechodziło mu wiele myśli. Wiele pytań, na które nie znajdował odpowiedzi. Czy Sperling mówi prawdę? Czy Broniewski mówi prawdę?

A może obaj? A może żaden z nich? I wreszcie: czy zdać ze wszystkiego sprawę stolnikowi?

Ostatecznie uznał, że tak, że Ligęzie trzeba opowiedzieć o dziwnych podejrzeniach pułkownika, gdyż tego wymaga lojalność. Pan Jacek co prawda obawiał się trochę, że stolnik zdradzi się czymś, a nie chciał, by Broniewski zauważył jakiejś zmiany w zachowaniu gospodarza. A że pan Paweł pomimo gapowatego wyglądu wcale nie był niedołągą, Zaremba

miał już okazję podejrzewać i tymi podejrzewaniem podzielić się ze stolnikiem. Dlatego też słowa Sperlinga o tym, że miecznikowica nie można oceniać jedynie po powierzchowności, zarówno wyglądu, jak i obyczajów, wcale go nie zaskoczyła. „Może to złota powłoka na damasceńskiej stali? – pomyślał Zaremba. – A może, co gorsza, złota powłoka na zbutwiałym drewnie?” Któż to może wiedzieć!? A najważniejsze było, by o tym, kto jest kim w rzeczywistości, a nie kim jest dzięki masce, którą pragnie ukazać bliźnim, przekonać się, zanim będzie za późno. Czy to raz albo dwa, albo dziesięć razy podstarość słyszał o ludziach, którzy zlekceważyli swych wrogów lub chociażby nie docenili? Czy mało porażek, przegranych i nawet wielkich klęsk wynikało jedynie z tego, że wrogiej siły nie doszacowano? Że ostrożność wzięto za słabość, a grzeszność za zniewieściałość?

Pan Jacek dokończył jabłko, rzucił ogryzkiem w siedzącego na nieodległej gałęzi kosa, ale też nie po to nawet, by trafić, tylko by czymś innym zająć przez chwilę umysł niż zastanawianie się nad intrygami. Ogryzek odbił się od konaru, a ptak odleciał z głośnym furkotem i z pełnym oburzenia skrzeczeniem. „Temu to dobrze – pomyślał podstarość – całe przestworza stoją przed nim otworem. Lata sobie, gdzie chce, nic go nie trzyma w jednym miejscu, nie musi się kłopotać nawet o jedzenie, bo wystarczy, że przyleci do czyjegóż ogrodu i obje się wiśni lub jarzębiny. A człowiek co? Kroczy od obowiązku do obowiązku, cały czas zastanawiając się, czy one obowiązki dobrze wypełnia, czy też mógłby służyć lepiej sobie, innym, krajowi czy komu tam właśnie służy.

– Ach, diabli – burknął Zaremba do samego siebie i wstał z ciężkim westchnieniem. A było to nie tylko westchnienie spowodowane smętnymi myślami, lecz także otepiałą podstarością perspektywą kolejnego upalnego i parnego dnia. – Jak nic, zdechnę tu, jak tak dalej pójdzie – zaszeptał.

Potem zaraz szybko się przeżegnał, bo przecież nie należy takich prorocत्व wymawiać na głos, by nie kusić Złego. I choćby nawet podobne słowa wypowiedziano jedynie w bezrozumnej złości, bez rzeczywistej intencji zaszkodzenia sobie albo komuś, to przecież wiadomo, że diabeł tylko czyha, by przyłapać lekkomyślnego człowieka na nierozważnych myślach, słowach lub uczynkach i by wtedy za kark go twardo ułapić i powiedzieć: „ho, ho, a tuś mi, bratku”.

*

Zaremba siedział w kącie oparty o beczkę z winem, na wieku którejż to beczki stał

trójramienny świecznik ze świecami do połowy wypalonymi, co wskazywało na to, iż pan Jacek spędził w piwnicy już dobrą chwilę. Przy tym niezbyt silnym żółtawym świetle podstarości czytał poemat o miłości nimfy Galatei i pasterza Acisa, której to miłości stanął na drodze nikczemny cyklop Polifem. Ale czy to wersy były zbyt kunsztowne i za mało zrozumiałe, czy światło za bardzo drgało, czy oczy pana Jacka zbyt były zmęczone, czy może umysł jego zbyt zaprzątnięty poważniejszymi sprawami niż nieszczęśliwa miłość pasterza i boginki – jakkolwiek było, pan Jacek niewiele rozumiał z lektury i co rusz musiał wracać do raz przeczytanych oktaw, gdyż sens utworu ustawicznie mu się wymykał. Dlatego kiedy usłyszał skrzypnięcie drzwi, a potem kroki w korytarzu, nawet się ucieszył, że ktoś go oderwie od lektury. A gdy w progu ujrzał zwałistą postać Ligęzy, poderwał się na równe nogi.

– Wybacz, stolniku dobrodzieju, że uciekłem, nie przypuszczałem jednak, że osobiście zechcesz się za mną pofatygować do piwnicy.

– Co to za fatyga, panie Jacku – machnął ręką stolnik i rozejrzał się. – Widzę, że całkiem przytulny kącik urządziłeś sobie waszmość w moim loszku. Świece, wino, lektura...

– zerknął na kartę tytułową książki – hmmm, miłosny poemat. To jeszcze tylko narzeczonej ci brak, byś mógł jej te wersy czytać, w oczy wdzięcznie spozierać i rączkę ścisnąć.

Zaremba prychnął rozbawiony.

– Chybaby usnęła ta panna, a nie rozmiłowała się we mnie – powiedział, wzdychając –

bo muszę przyznać waćpanu, że książka, którą waszmość raczyłeś mi pożyczyć, to chyba zbyt delikatny jak na moje chudopacholskie podniebienie. – Podstarości skrzywił usta i pokręcił głową. – I w związku z tym sądzę, że jeśli o miłosnych strofach mowa, to zatrzymam się przy Owidiuszu i basta.

– A imaginuj sobie waszmość, że autor owych miłosnych strof został księdzem i kapelanem samego króla Hiszpanii! – rzekł Ligęza. – Dziwnie plotą się ludzkie losy, czyż nie?

– Często byle przypadek starczy, aby życie człowieka odmieniło się jak za dotknięciem magicznej różdżki – zgodził się pan Jacek. – Tyle że czasem odmieńa się na dobre, a czasem na złe.

– Ta zasada nie obejmuje jedynie ludzi. Przecież całe kraje, całe narody mogą upaść lub wznieść się pod niebo niemal w jednej chwili – dodał stolnik.

– Gdyby Wiedeń upadł, pewnie i cesarza już by nie było...

Ligęza machnął ręką.

– Habsburgowie są jak szczury, panie Jacku, wszystko przetrwają i jeszcze niemiecką zarazę rozniosą na resztę świata. Jak nie pod Wiedniem by sułtan przegrał, to miesiąc później.

Jak nie miesiąc później, to rok później. Ale ulec musiał, bo tureckie psy mają już za słabe szczęki, by schrupać tak wielką i twardą kość jak cesarstwo.

Jacek Zaremba przymrużył oczy.

– Zaraz, proszę waszmości... Więc waść sądzisz, że cała nasza wyprawa nie miała żadnego znaczenia, bo sułtan, tak czy siak, poniósłby sromotną klęskę?

– Nasza, czyli Rzeczpospolitej? Pewnie nie miała... – pan Hieronim wzruszył

ramionami. – Może Wiedeń by ucierpiał, ale cesarstwo przetrwałoby, to dla mnie rzecz więcej niż pewna. Choć cesarz nałykałby się wstydu, utraciwszy swą stolicę i zmuszony żebrac o pomoc na całym świecie. – Stolnik uśmiechnął się szeroko, gdyż najwyraźniej obraz upokorzonego Habsburga bardzo mu się spodobał.

Pan Jacek również wyszczerzył zęby, bo w Rzeczpospolitej nigdy nie kochano Habsburgów, a od kiedy cesarz Leopold nie podziękował należycie królowi Janowi za uratowanie tronu i Sobieski zamiast wdzięczności doczekał się z niemieckiej strony spisków i zdrady, które odebrały mu nadzieję na węgierską koronę, to Habsburgów kochano jeszcze mniej niż kiedyś.

– Wiesz, panie Jacku, że w tym twoim pomysłe z piwnicą to nawet jest jakieś ziarno rozsądku. – Ligęza odetchnął głęboko i z wyraźną przyjemnością. – Rzeczywiście tutaj nie czuje się tego gorąca co na górze. A jak chcesz, mogę nawet zaprowadzić cię do mojej lodowni, może tam zamieszkas i będzie ci jeszcze lepiej...

– Uprzejmie dziękuję, lecz niespieszno mi zamieniać oparzenia na odmrożenia.

– No cóż, siedź sobie zatem tutaj, jak chcesz, panie Zarembo kochany, ja nie będę cię zmuszał do wychodzenia na górę, bo widzę, jak cierpisz... – stolnik obrzucił pana Jacka krytycznym spojrzeniem – choć nadal nie rozumiem, jak męża takiego jak ty może pokonać kilka słonecznych promyków.

Podstarości nic nie odpowiedział na tę dobroduszną przyganę, za to zaprotestował

przeciw czemu innemu:

– Nie, nie, już idę z waszmością, nie zostawię cię przecież samego! – zakrzyknął. –

Tylko rzecz jeszcze jedna. Nawet dobrze się składa, że jesteśmy tutaj i jedynie we dwóch, bo chciałem waćpanowi coś opowiedzieć.

– A proszę cię bardzo. Długo będziesz opowiadał czy krótko?

– Pewnie więcej niż jedno zdanie, choć mniej niż sto...

– No to w takim razie spocznę tutaj chwilę – zdecydował pan Hieronim i przysiadł na skrzyni, a deski ugięły się i zatrzeszczały pod jego ciężarem – bo za stary jestem, żeby godzinami prężyć się niczym żołnierz na musztrze. No to mów waszmość, proszę.

Zarembo opowiedział stolnikowi o rozmowie ze Sperlingiem, o zdumiewających podejrzeniach pułkownika i o tym, jak bardzo był on pewien swych racji. Wspomniał także, że jemu samemu wydawało się, iż kiedyś widział kobietę podobną do pani Broniewskiej i że do owego zdarzenia doszło z całą pewnością po dacie jej rzekomej śmierci. Ligęza wysłuchał

przyjaciela w milczeniu, potem potarł krzaczastą brew.

– Może to była jej siostra?

– I ja tak sądzę, stolniku dobrodzieju. Siostra lub krewna, bo przecież czasem nawet wśród kuzynek zdarza się ogromne podobieństwo.

– Albo sobowtór.

– I tę myśl przedkładałem Sperlingowi.

– A on?

– Optuje przy swoim. Mówi, że to zbyt charakterystyczna dama, by ją łatwo pomylić z kimś innym.

Stolnik pokręcił głową, a po wyrazie jego twarzy można było poznać, że jest bardzo niezadowolony.

– Jeśli Sperling podobną koncepcją podzieli się z Broniewskim, to, Bóg mi świadkiem, będziemy grzebać jakiegoś szlachcica – rzekł zafrasowany i splótł palce dłoni tak mocno, że stawy chrupnęły mu głośno, jakby ktoś łamał suche drwa. – Swoją drogą...

ciekawe, kto by to był, co, panie Jacku? – zapytał po chwili lżejszym tonem. – Na kogo byś stawiał, gdyby przyszło co do czego?

– Oczywiście na Sperlinga, panie stolniku, chociaż Broniewski... – Podstarość cmyknął. – Mówiłem już waszmości, że w tym młodzieńcu jest coś więcej, niż na to wygląda.

– Tak, mówiłeś... – Ligęza skinął głową. – I co waszmość proponujesz? Co powinniśmy uczynić?

– Sądzę, że Sperling na razie nic nie powie. Przynajmniej póki ma Broniewskiego pod ręką.

– Mówisz: „na razie”...

– Jeśli uzna, że rozgrzebanie tego śladu, przyniesie mu jakąś korzyść, wtedy niestety przyciśnie naszego miecznikowica. Sądzę jednak, że teraz poprzestanie na wysłaniu któregoś ze swoich ludzi do dawnego majątku Broniewskich.

– Słusznie. Tak powinien uczynić i tak zapewne uczyni.

– Dowie się, czy matka miecznikowica naprawdę umarła. Jeśli zyska pewność, że umarła, może pogodzi się z myślą, iż się jednak pomylił, albo zacznie szukać wiadomości o nadzwyczaj podobnej krewnej pani Broniewskiej. Jeśli jednak dowie się, że wcale nie umarła... – Zarembo zawiesił głos, po czym westchnął: – Bóg mi świadkiem, że będą z tego kłopoty.

– Ano będą – sapnął Ligęza – jak amen w pacierzu.

– Mamy jednak trochę czasu, bo zanim żołnierz Sperlinga dojedzie na miejsce, zanim się czegoś dowie, zanim do nas wróci, miną jak nic dwa tygodnie, niech nawet będzie, że dziesięć dni.

Pan Hieronim siedział zamyślony i kiwał głową, nie tyle zgadzając się z panem Jackiem, ile do własnych myśli.

– Teraz ja ci coś powiem, panie Zarembo kochany. Chciałem ową wiadomość zachować na później, kiedy już się czegoś dowiem, a może też i by zdziwić cię faktem, że stary Ligęza ma umysł nie całkiem jeszcze zmurszały...

– Ależ stolniku dobrodzieju! – żarliwie zaprotestował podstarość.

– Tak, tak, już ja wiem, co wy, młodzi, myślicie o nas, starych.

– Wielce szanujemy...

Ligęza roześmiał się gromko.

– O, tak. Że werbalnie szanujecie, to się z tobą zgodzę, bo głośno opowiadać o uznaniu dla mądrej starości jest i zawsze było w modzie. Ale przecież często uważacie, że tak naprawdę mniej wiemy i mniej umiemy, gdyż tkwimy w odległej przeszłości, ba!, żyjemy przeszłością i nieznane są nam nowe mody, koncepcje oraz teorie. A także nie zgadzamy się z

– tu stolnik westchnął – nową moralnością.

– Może i racja, panie Hieronimie – rzekł po chwili Zaremba – ale czyż nie tak wyglądają i układają się sprawy w każdym pokoleniu? Czyż młodzi zawsze nie uważają, że potrafią lepiej, więcej i szybciej? A czyż ludzie starzy lub dojrzały wiekiem nie mówią: „za moich czasów...” – wypowiadając ostatnie słowa, podstarości udał zachrypnięty, starczy głos

– tak celnie, że gdyby w piwnicy było ciemno, rzekłbyś, iż to przemawia trzęsący się starzec z siwą brodą, a nie mężczyzna na schwał, u którego młodość ledwo co zdążyła się przemienić w dojrzałość.

– Prawda, bez wątpienia – stwierdził rozbawiony stolnik. – A ty, panie Jacku, dalej potrafisz gwizdać jak kos?

– Waszmość jeszcze pamiętasz? Ano potrafię. Jak kos, jak puszczyk, jak kruk i zresztą wiele innych zwierząt. I powiem waćpanowi, że czasem taka zdolność imitacji bardzo się przydaje, i to nie tylko, by rozweselić towarzystwo. Chociaż... – pan Jacek znaczącym gestem uniósł wskazujący palec – nie odbiera mi wcale atutów u płci pięknej, kiedy zakląskam słodko niczym słowik.

– Mogę się domyślać. Dobrze jest mieć, panie Jacku, taki talent, który ludziom bardzo się podoba – Ligęza pokiwał głową – pięknie zaśpiewać, pięknie zagrać na instrumencie, piękny namalować obraz, piękne złożyć strofy... Ten, kto to potrafi, szybciej zyska życzliwość bliźnich niż ten, co nie umie zupełnie nic i tylko gapi się jak wół na tych, którzy umieją więcej niż on. Lub gorzej nawet! Sam nic nie umie, ale żeby innych krytykować, to się pierwszy rwie...

– Święte słowa, stolniku dobrodzieju, że każdy talent może się przydać w życiu –

– przyznał podstarości. – Przecież nawet ja, mimo że moja zdolność imitacji to nic ważnego ani cennego, dzięki niej niejednej uniknąłem niepotrzebnej zwady. Bo słysząc mnie, towarzystwo nagle bardziej

zaczynało interesować się tym, co więcej potrafię, zamiast braniem się za łby.

A i damom podobna zdolność, jak już wspominałem, całkiem się podoba.

– Ba... Ale czemu my, panie Jacku, w ogóle rozmawiamy o twoich umiejętnościach naśladowania dźwięków? Możesz mi przypomnieć z łaski swojej?

– W żadnym razie sprawy to nie dotyczy, stolniku dobrodzieju – zaśmiał się Zaremba, niepewny, czy stolnik udaje jedynie, że nie pamięta, o czym mówili jeszcze przed chwilą, czy też naprawdę zgubił wątek dyskusji. – Waszmość wyznałeś, iż chcesz mi coś zdradzić, co ma udowodnić, że masz, tu zacytuje, „umysł nie całkiem jeszcze zmurszały”, czego zresztą udowadniać wcale nie musisz, gdyż ja o tym doskonale wiem.

– Aaa, tak było, tak było. I już do meritum powracam – zgodził się Ligęza, jednak przez chwilę milczał, zbierając myśli. – Otóż panie Zarembo, mam u siebie w majątku jednego Żyda, któremu niegdyś oddałem karczmę warendę. Człowiek to nie tylko roztropny, ale i uczciwy, przynajmniej tak jak uczciwy może być Żyd i arendarz...

– Słowa „uczciwy Żyd” wielu uznałoby za oksymoron – zauważył podstarość.

– A „uczciwy karczmarz” niby nie oksymoron? Na ręce trzeba patrzeć każdemu, to rzecz pewna – stwierdził stolnik. – Czyż nawet wśród szlachty nie zdarzają się oszuści, fałszerze, krętacze i szarlatani? A kupcy? A medycy? No to czego możemy wymagać od Żyda i karczmarza w jednym, skoro tak nieszczęśliwie się złożyło, że fałsz zarówno w tę nację, jak i w tę profesję wpisano? Ale, tak jak mówię, znam mojego Natana od ponad dwudziestu lat i zawsze dobrześmy żyli.

Pan Jacek zrozumiał z owej wypowiedzi dużo więcej, niż zostało wyartykułowane *explicite*⁹². Karczmarz mieszkający od dwudziestu lat w okolicy i od dwudziestu lat przyjmujący okoliczną szlachtę, chłopów oraz podróżnych musiał wiedzieć bardzo, bardzo wiele. O kłótniach i zwadach, o przyjaźniach i miłościach, o długach i należnościach, o zwyczajnych lub mniej zwyczajnych ludzkich przywarach lub nałogach. I jak wskazywały życzliwe słowa Ligęzy, owymi informacjami chętnie się dzielił ze swoim dziedzicem.

Zaremba wiedział, że podobne postępowanie nie było niczym dziwnym w świecie, w którym właściciel rozumiał wagę informacji i

zdawał sobie sprawę, że wiedza zarówno o wrogach, jak i o przyjaciółach daje wielkie atuty. Sam podstarości w swej służbie prawu również chętnie korzystał z rewelacji przekazywanych przez karczmarzy, bo wiedzieli oni zwykle bardzo, bardzo dużo o otaczającym świecie oraz odwiedzających ich ludziach. A przecież w tym wypadku sprawa dotyczyła arendarza, który wiedzę o miejscowych i zamiejscowych gromadził już od dwudziestu lat!

– Jak ów Natan może się przysłużyć naszej sprawie? – zapytał pan Jacek.

– Natan zna wielu innych Żydów. W całej Polsce. Kilka razy tak bywało, że jeśli chciałem przesłać wiadomość szybko i z pewnością, że dojdzie do celu, a z jakichś powodów nie zamierzałem wysłać własnego pacholka, to mogłem liczyć na to, że Natan przez swoich znajomków list dostarczy nawet na drugi kraniec Rzeczypospolitej. Tak samo, widzisz, panie Jacku, z wieściami w drugą stronę. Przecież ja wiem, co się w Warszawie wydarzyło, co w Wilnie, co we Lwowie, jeśli tylko wiedzieć chcę. O wiedeńskiej wiktorii usłyszałem najpierwszy z miejscowej szlachty. Wszystko dzięki Natanowi. I kiedy tylko moi goście opowiedzieli nam dręczące ich historie, kazałem Natanowi sprawdzić, ile w tychże historiach prawdy.

Podstarości syknął, wyraźnie zaniepokojony.

– Czyli dużo ten Żyd ma informacji. Nie wiem, czy to dobrze, stolniku dobrodzieju, oj, nie wiem...

92 *Explicite* (łac.) – jasno, dobitnie.

Ligęza zmarszczył brwi.

– Sądziłem, panie Jacku, że raczej pochwalisz zamysł mający na celu opowieści naszych gości uwiarygodnić albo raz na zawsze podać je w wątpliwość lub nawet określić mianem fałszu.

Podstarości złożył dłonie jak do modlitwy i przybrał skruszony wyraz twarzy.

– Łaski, panie Hieronimie, łaski, błagam! Zamysł jest, proszę waszmości, genialny i wyjaśnienie sprawy może nam znacznie ułatwić...

Stolnik rozchmurzył się nieco, choć nadal przypatrywał się młodszemu towarzyszowi z podejrzliwością.

– ...niepokoję się tylko, czy ów sprytny Żyd, a przecież musi być sprytny, skoro tak waszmość jego usługi zachwalasz, nie dowiedział się nazbyt wiele. A jeśli tak, to czy i jaki zechce zrobić użytek z owej wiedzy.

– Hm...

– A czy możemy mu wierzyć, panie stolniku? Czy wiernie doniesie ci, o czym się dowiedział?

– Panie Jacku, zważ, że rzecz nie dotyczy Moskwy czy Turcji, gdzie nie potrafiłbym sprawdzić, czy powiedziano mi prawdę, czy mnie ołgano. To jednak Rzeczpospolita i tu sam przecież mogę wysłać pachołków, by się rozejrzeli. Ale zadanie takie z pewnością byłoby dla nich dużo trudniejsze niż dla Natana...

– O, bez wątpienia...

– A czy Natan mnie oszuka? Za dużo by stracił, panie Jacku, gdyby chciał coś knuć.

Zresztą w jakim celu miałby knuć? Nie lepiej żyć ze mną w zgodzie?

– Bez wątpienia – powtórzył podstarości. – O nic nie pytał?

Ligęza prychnął.

– Panie Zarembo kochany, ja tego mojego Natana całkiem lubię i często sobie z nim pogadam o tym i owym, co się na szerokim świecie dzieje, ale od zadawania pytań jestem ja, nie on. Hierarchię trzeba znać. Sam wiesz jako żołnierz i obrońca prawa, że bez hierarchii ani rusz.

– Święta prawda, stolniku dobrodzieju. Wielcem ciekaw, jakie wieści ów Żyd waćpanowi przyniesie. A i misja Sperlinga zapowiada się interesująco. A przy tym wszystkim bardzo jestem ciekaw, czy jedno działanie – podstarości odgiął kciuk – i drugie – tym razem odgiął palec wskazujący – identyczne dadzą nam wyniki.

– Sam bym się chętnie już dowiedział. Dobrze, panie Jacku, pomóż mi wstać i idziemy na górę, jeśli rzeczywiście chcesz mi towarzyszyć.

– Do usług dobrodzieja – Zarembo silnie podparł Ligęzę, a ten z głośnym sapaniem podniósł się ze skrzyni.

– Ech, stare kości, zastały się – burknął niezadowolony.

– Jeśli waszmość pozwolisz, każę sobie przynieść siennik i koce i chętnie tu zanocuję, bo czuję, że w tym otoczeniu – podstarości z lubością wciągnął chłodne powietrze loszku –

wreszcie się wyśpię jak trzeba.

Ligęza spojrział na pana Jacka trochę ze zdziwieniem, trochę z rozbawieniem.

– Będziesz sypiał w mojej piwnicy, panie Zarembo?

– Jeśli waszmość tylko pozwolisz...

– Bardzo proszę, skoro taka twoja wola – stolnik z udaną bezradnością rozłożył

ramiona. – Mój Boże, co to się wyprawia na tym świecie? – dodał jeszcze i poszedł wzdłuż rzędu beczek w stronę korytarza.

*

Dzień minął wyjątkowo spokojnie, gdyż Ligęza, wytłumaczywszy się koniecznością pisania listów, utknął na dobre w gabinecie. Inni goście również rozeszli się zaraz po śniadaniu. Sperling zabrał na przejażdżkę swojego wachmistrza i Zaremba bardzo, ale to bardzo był ciekaw, o czym będą gadać, lecz oczywiście nie miał żadnego sposobu, by rzecz tę sprawdzić. Broniewski dostrzegł w księgozbiorniku gospodarza słynne Monita Andrzeja Fredry, a ponieważ książkę tę lubił i cenił, od kiedy tylko potrafił zawarte w niej myśli zrozumieć, więc natychmiast pożyczył tom od stolnika i zamknął się z nim w swoim pokoju, przedtem uprzejmie spytawszy pana Jacka, czy nie będzie mu na coś potrzebny, i z ulgą wysłuchawszy grzecznego zaprzeczenia. Gideon Rokicki, wyjątkowo osowiały jak na siebie, szybko gdzieś zniknął, nikomu się nie opowiadając, gdzie i po co idzie oraz kiedy wróci, ale nikt też od niego wyjaśnień nie żądał ani się ich spodziewał. Krzysztof Komarnicki przez pewien czas siedział samotnie przy stole ze szklanica w dłoni, a kiedy wino ze stojącej przed nim flaszki całkiem się skończyło, rozkazał sobie przynieść następną, jednak zanim się jej doczekał, złożył głowę na obrusie i smacznie zachrapał. Tak więc podstarość został sam, co wcale mu nie przeszkadzało, gdyż bez narażania się na opinię odludka mógł znowu zleźć do swojej ulubionej piwniczki. I już się tam wybierał, kiedy nagle do głowy przysłała mu pewna myśl i tak głęboko w rozum się wdarła, wżarła i wniknęła, że pan Jacek wiedział, iż w żaden sposób sobie z nią nie poradzi inaczej, jak tylko natychmiast dzieląc się nią ze stolnikiem, gdyż dotyczyła ona ich wspólnych spraw i tylko wspólnie mogli zdecydować, czy w przyszłości

oblec ją w realny kształt. Zaremba wiedział co prawda, że pan Hieronim jest zajęty, ale ośmielał się sądzić, że kiedy usłyszy, o co chodzi, to łaskawie wybaczy mu najazd.

Tak więc pan Jacek uprzejmie zastukał do gabinetu, a usłyszawszy wielce niechętne i zniecierpliwione: „niechaj wejdzie!”, popchnął drzwi i przekroczył próg komnaty.

– A to ty, panie Jacku... – Ligęza uniósł wzrok znad dokumentów i wyraźnie się rozchmurzył, widząc podstarościego. – Chodźże, nie stój jak słup, bardzo cię proszę...

– Kiedy nie śmiem przeszkadzać, panie stolniku.

– Już waszmość przeszkodziłeś, więc się tym teraz nie turbuj – powiedział pan Hieronim z przekąsem, lecz zaraz potem żartobliwie pogroził panu Jackowi palcem na znak, by ten jego niechęci nie brał na poważnie. – Znając cię, wiem, że ważny miałeś powód, by mi przeszkodzić, zwłaszcza że prosiłem, by mi nie przeszkadzano.

Pomimo że stolnik każde z trzech „przeszkadzać” zaznaczał silnym akcentem, to Zaremba wcale nie poczuł się urażony, gdyż po pierwsze pan Hieronim miał prawo tak się zachować, zważywszy że próśb jego nie spełniono, a po drugie pan Jacek stolnika tak lubił i szanował, że pewnie i tak nie potrafiłby się na niego gniewać.

– Pokornie upraszam o wybaczenie, lecz rzeczywiście miałem powód.

– No to siadaj waćpan i opowiadaj, jakie dobre wiatry cię przywiały.

Podstarości posłusznie usiadł w fotelu naprzeciwko gospodarza i zaczął:

– Panie stolniku, chodzą mi po głowie te słowa Sperlinga, pozwolę sobie je waćpanowi przypomnieć, który powiedział, że pojawią się następne powiązania między twoimi gośćmi...

– Tak, tak, mówiłeś... – Ligęza zmrużył oczy. – I co z tym?

– Myślę, że może warto by sprawdzić, czy pułkownik nie ma przypadkiem racji...

– A jak zamierzasz owe podejrzenia zweryfikować, panie Jacku?

– Jeśli uwierzmy Sperlingowi, że widział w Kiełczawie panią Broniewską, a mówiąc: uwierzmy, mam na myśli zarówno to, że pułkownik nie mija się z prawdą, jak również to, że nie popełnił błędu w ocenie postaci...

– Tak, tak, ale co dalej, panie Zaremba?

– Pani Broniewska pojawia się w opowieści syna, co jest zrozumiałe dla nas wszystkich i najzupełniej oczywiste. Pojawia się również w opowieści Sperlinga, co jest zdumiewające i niezrozumiałe.

– Tak właśnie sędzę – zgodził się Ligęza.

– A może przypadkiem pani Broniewska pojawi się również w opowieści... –

podstarości zawiesił głos – Ko-mar-nic-kie-go?

Stolnik wpatrywał się w młodszego towarzysza takim wzrokiem, jakby nie tylko zobaczył pana Jacka po raz pierwszy, ale w dodatku widok ten całkowicie wytrącił go z równowagi. W końcu jednak otrząsnął się ze zdumienia.

– Jezus Maria, masz waszmość rację! – zawołał i tym razem to jemu udało się wywołać zdziwienie na twarzy podstarościego, który nie spodziewał się aż tak gwałtownej reakcji przyjaciela. – To na pewno trzeba sprawdzić! Zaprzeczenie nic nam wprowadzi nie powie i w żadną stronę nas nie poprowadzi, ale za to potwierdzenie... – stolnik zamilkł i pokręcił głową. – Mój Boże, wyobrażasz sobie, jakież to byłby trop, panie Jacku, jakież trop...

– I ja tak myślę, proszę waszmości – odparł poważnie Zaremba – i sędzę, że wtedy da nam to nowy ogląd na sprawę. Ale szczerze mówiąc, nie spodziewałbym się zbyt wiele po egzaminowaniu Komarnickiego – tym razem pan Jacek pozwolił sobie na westchnięcie – bo wierzyć pamięci pijaka, to jak wierzyć, że wodę da się przenieść w durszlaku, a tego przecież nawet Danaidy nie potrafiły, mimo że czasu miały więcej niż pod dostatkiem na wykonanie tak uciążliwego zadania, a przy tym bardzo się starały.

Pan Hieronim postukał paznokciem w blat biurka i ściągnął usta. Zastanawiał się przez chwilę.

– Czasem nawet najędźniejsza istota może wprowadzić w ruch wielką maszynę –

powiedział. – Zauważ, że Komarnicki historię swego życia i upadku swego rodu przedstawił

nam w sposób zdumiewająco rozumny i pełen zaskakująco dokładnych szczegółów. Może więc i w tym wypadku coś zyskamy, słuchając jego wynurzeń?

– Co racja, to racja. Przekonamy się, co jeszcze pozostało w panakrzyzstofowej pamięci...

– Ale ciekaw jestem, jak waszmość zrealizujesz ten koncept? Poprosisz Broniewskiego, by pokazał Komarnickiemu medalion?

– Boże broń, panie stolniku! – zawołał Zaremba. – A jak coś jest na rzeczy i okazałoby się, że Komarnicki widział już kiedyś kobietę z portretu i w dodatku zna ją od złej strony i z tej znajomości by się w obecności Broniewskiego wygadał? Całkiem by nam takie zdarzenie pomieszało szyki.

– No tak, no tak, oczywiście – zmieszany stolnik szarpnął wąsa. – Komarnicki to przecież nie Sperling, który, jak waszmość wspominałeś, skonfrontowany z tak bolesnym wspomnieniem potrafił zachować kamienne oblicze.

– Pułkownikowi nawet brew nie drgnęła – przyznał pan Jacek – nawet głos o pół tonu mu się nie zmienił. A przecież ujrzenie tej kobiety musiało być dla niego niczym cios obuchem prosto w łeb.

Podstarości zastanowił się, czy sam dałby radę zachować w takiej sytuacji zimną krew. Bo przecież co innego trzymać nerwy na wodzy, nawet w obliczu strasznego wydarzenia, kiedy zdarzenie owo jest w miarę czy całkiem spodziewane, a co innego zostać znienacka zaskoczonym. „Czy ja bym też tak potrafił?” Jacek Zaremba był bowiem pewien, że gdyby zobaczył diabła krzeszącego zębami iskry, toby do niego podszedł i poprosił o ogień do lulki. Ale jeśliby ten diabeł wyskoczył zza węgła i krzyknął: „Hu, ha!”? Utrzymać wobec takiego zdarzenia kamienne oblicze i udać, że się nic nie spostrzega, byłoby na pewno bardzo, ale to bardzo trudno. Tymczasem Sperling zachował się tak, jakby kobietę z medalionu widział po raz pierwszy w życiu, a nie rozpoznał ją jako świadka bestialskiej kaźni wziętych w niewolę żołnierzy.

– Ten człowiek lód ma w żyłach, nie krew – zawyrokował pan Jacek.

– Niebezpieczny – zgodził się zamyślony pan Hieronim. – Znałem ja już takich ludzi i tym byli oni groźniejsi, że nigdy nie było wiadomo, co im chodzi po głowie, co myślą i co zamierzają. Zwykle u naszych panów braci co w sercu, to i w umyśle, a co w umyśle, to i na języku. Zelży cię taki, zwyzywa i zwymyśla, a zaraz potem ślozy z oczu wyleje i tak jak rwał się do bitki, tak po chwili będzie się rwał do wypitki i przepraszał, błagał o przebaczenie i obiecywał dozgonną przyjaźń...

Zaremba, słuchając słów stolnika, uśmiechał się i kiwał głową ze zrozumieniem, bo przecież nie raz, nie dwa, nie trzy i nie dziesięć razy oglądał takie sytuacje, w których już, już miała się polać krew, a zamiast niej długimi godzinami – z pożytkiem dla wszystkich – lało się wino.

– ... tak właśnie jest zwykle z naszą szlachtą – kontynuował Ligęza – i dlatego z uwagą musimy mieć baczenie na kogoś, kto myśli, zachowuje się i postępuje inaczej.

Taaak... No zobaczymy jeszcze, czy pomoc będziemy mieli w tym pułkownikowi Sperlingu, czy raczej przeszkodę w realizacji naszych celów oraz zamysłów.

Podstarości nic na to nie rzekł, gdyż sam od momentu poznania pułkownika zastanawiał się, czy los i okoliczności pozwolą im stanąć ramię przy ramieniu, czy raczej zmuszą do tego, by stanęli przeciw sobie. „Pewnie dałbym mu radę – pomyślał – bo ja każdemu, z Bożą pomocą, dałbym radę, ale lepiej, żeby to była ostateczność, bo Sperling może się bardzo przydać”.

– Jak więc przeprowadzisz ów plan, panie Jacku?

– No cóż, upijemy miecznikowica, a potem medalion mu wykradniemy... –

podstarości zobaczył grymas na twarzy Ligęzy i zastrzegł szybko: – a raczej, zręcznie i zgodnie z prawdą powiem: pożyczymy, proszę waszmości, na kilka chwil zaledwie. Na czas

tylko tak długi, byśmy zdołali pokazać konterfekt Komarnickiemu i zobaczyli, jak się zachowa, widząc ową damę z portretu. Później podrzucimy medalion z powrotem Broniewskiemu.

– I kto to zrobi?

– Mógłbym kazać mojemu pachołkowi, bo oprócz tego że, jak wspominałem waszmości, ten chłopak potrafi rozmawiać z końmi niczym z ludźmi i wydawać by się mogło, że zarówno on świetnie te zwierzęta rozumie, jak i one jego, to ma, co tu ukrywać... –

Zaremba uśmiechnął się – bardzo zręczne dłonie. I choć zakazałem mu, rzecz jasna, korzystać z tej zdolności dla grzesznego zysku czy prywaty, to przyznam, że kilka razy jego umiejętności przydały mi się, kiedy służba prawu tego wymagała. Pamiętam, jak pewnemu oficerowi zwinął dokumenty z za pazuchy, a ten nawet nie drgnął... – Podstarości roześmiał

się na wspomnienie zadziwiającej sytuacji. – Ale nie, panie stolniku, jeśli chodzi o medalion, to zabiorę go sam, bo gdyby jakimś cudem Broniewski się ocknął, gdyby zobaczył chłopaka gmerającego przy jego drogocennej pamiątce, to albo by mi pachołka na miejscu ubił, albo musiałbym się z postępowania sługi tłumaczyć, co nie byłoby takie proste.

– Masz waszmość rację. Żal byłoby dobrego pachołka. A jeśli ciebie Broniewski przyłapie? – pan Hieronim spojrział na przyjaciela. – Cóż wtedy zrobisz, panie Jacku? Jak się z podobnego postępku wytłumaczysz, by z jednej strony nie narazić tajemnicy, a własnego honoru z drugiej?

– Będę musiał nad tym chwilę pomyśleć. Jednak już moja w tym głowa, by pana Broniewskiego doprowadzić do takiego stanu, aby się nie

obudził, choćby go zaczepiono na arkan i ciągnięto przez wertepy.

– Są ludzie, którzy śpią czujnie niczym zające pod krzaczkiem, nawet jak ich podlać trunkiem – zauważył Ligęza. – Ja do takich nie należę i powiem waszmości, że nawet na wojnie spałem twardo jak Polifem, kiedy Odyseusz poczęstował go winem. Ot, by daleko nie szukać: wyobraź sobie, panie Jacku kochany, że pierwszego dnia bitwy pod Beresteczkiem tak się umęczyłem, siekając tatarskie i kozackie łby, że drugiego dnia obudziły mnie dopiero dzwony bijące na nabożeństwo.

– Pomyśleć, że waszmość biłeś się w obronie Rzeczypospolitej, kiedy mnie jeszcze nawet na świecie nie było – rzekł Zarembo nabożnym tonem – a i teraz spokojnie mógłbyś na wojnę jechać, gdzie wielu mogłoby z ciebie brać przykład.

– Wolałbym jednak nie – żartobliwie zastrzegł stolnik. – Ja się już nawojowałem, panie Jacku, bo rządy nieszczęsnego Jana Kazimierza to był czas wielkich wojen i wielkich

bitew. Niestety nie tylko wygranych bitew – Ligęza westchnął – choć trzeba przyznać: zawsze wygranych wojen.

– Mówią, że nie było w Europie większej bitwy niż ta pod Beresteczkiem. Masz waszmość szczęście, że w tak wiekopomnym wydarzeniu mogłeś uczestniczyć.

– Czy ja wiem, panie Jacku? – stolnik zamyślił się. – Trochę racji jest w twoich słowach, bo bitwa, w której brało udział grubo ponad dwieście tysięcy żołnierzy, na pewno zasługuje na miano epokowej. I to przecież nie byli byle jacy żołnierze. Z naszej strony najlepsze pułki, niemiecka piechota, husaria, ba!, samych pospolitaków przybyło ponad trzydzieści tysięcy. Kwiat szlachty, powiadam waćpanu. Z kolei Tatarzy wystawili najbieglejszych wojowników, jakich chan na całym Krymie mógł znaleźć, a Kozacy najdoświadcześniejsze swoje pułki. Samych armat miał Chmielnicki ze sto pięćdziesiąt, jak potem naliczono... – Ligęza zaśmiał się. – Wiemy to przecież dobrze, bo albo zniszczyliśmy je, albo zabrali mu wszystkie co do jednej.

– A dlaczego waćpan powiedziałeś: „czy ja wiem?”

– Co takiego, panie Zarembo?

– Odniosłem wrażenie, że powątpiewasz, czy było szczęściem wziąć udział w tak wielkiej bitwie – odpowiedział podstarość.

– Och, nie chodzi mi, że wielka czy że właśnie ta, ale w ogóle o bitwy i wojny. Tyle krwi, panie Jacku, tyle krwi... – zasmucony stolnik

przymknął oczy. – Ostatniego dnia pod Beresteczkiem, pamiętny to był dzień, taaak, dziesiąty lipca... jak dziś pamiętam... A więc ostatniego dnia, kiedy poszliśmy do ataku, to ze trzydzieści tysięcy Kozaków żeśmy narznęli, niektórzy mówią nawet, że więcej...

– Sami sobie byli winni – nielitościwie stwierdził Zaremba. – Czemu przeciw królowi

– ojcu i matce – ojczyźnie się buntowali? Przecież Kozacy dobrych chrześcijan sprzedawali w tatarską niewolę, i to własną ludność, ruską. I przecież nie tylko szlachtę mordowali, ale chłopów, mieszczan, Żydów, Ormian... Wszystkich... Jak dzikie bestie owładnięte szałem niszczenia. Pustoszyli pola, palili wsie i miasta, jakby to była wroga ziemia, a nie ich własna, na której żyli i której winni byli uszanowanie i miłość...

– Proszę, proszę, to ja kozackie bunty tłumiłem, a waszmość mi o tym opowiadasz, jakbyś sam tam był, a nie ja... – rzekł rozpogodzony stolnik.

Pan Jacek się zmieszał.

– Wybacz waćpan – powiedział pokornie – ale mój ojciec wiele opowiadał o tych czasach i o tych wojnach, toteż i troszeczkę o nich wiem, choć nie tyle oczywiście co

waszmość, który byłeś i naocznym świadkiem, i walecznym uczestnikiem wszystkich wydarzeń.

Pan Hieronim poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Ty mi tu nie cukruj, waszmość...

– Ojciec opowiadał, że na Ligęzę jak na Zawiszę zawsze można było liczyć.

Stolnik podkręcił wąsa z zadowoleniem.

– Najważniejsza rzecz, jaką ma człowiek, to jego dobre imię – stwierdził uroczyście. –

Wszystko możesz utracić: całą majątność, jaką masz pod Bożym niebem, lecz jeśli dobrego imienia nie straciłeś, to z upadku podniesiesz się dwakroć potężniejszy, niż byłeś wcześniej.

– Tak nam dopomóż Bóg – rzekł równie uroczyście Jacek Zaremba. – To znaczy: nie żebyśmy upadali, ale byśmy na zawsze zachowali dobre imię – zastrzegł szybko.

– O, niech tak będzie – zgodził się Ligęza.

– Mój ojciec Chmielnickiego szczerze nienawidził – powiedział podstarości – mówił, że nigdzie i nigdy na całym świecie i w całym życiu nie napatrzył się na tyle zbrodni, okrucieństw i podłości, co ten diabeł

uczynił zarówno Rusinom, jak i Polakom. Że dla tych jego zbójów nic nie było ważne poza przemożną chęcią mordowania wszystkich wokół. A kiedy wrogów im nie wystarczało, to zabijali się między sobą. Ot, tak bez rzeczywistego powodu, a jedynie dla zabawy i by dać upust krwiożerczym instyngtom...

– To prawda, to prawda... – westchnął stolnik ciężko. – Najgorsze może i to, że ten tyran, ten krwawy diabeł, pchnął naród swój ruski, z którego sam się przecież wywodził, w największe nieszczęście w historii. Miała Ukraina zakwitnąć, a zapłonęła. Miała Ukraina pokryć się złotym lukrem, a utopiono ją w morzu krwi. I ten właśnie zdrajca, nikt inny, do owej klęski walnie się przyczynił.

– Tak też mówił mój ojciec, jeno, jak pamiętam, nie tak delikatnych jak waszmość używał sformułowań...

– Ba, panie Jacku, dawne to są dzieje. Nienawiść chyba już zdążyła się do cna wypalić w moim sercu. Chociaż i ja widziałem takie rzeczy, których nie chciałbym widzieć i o których nie chciałbym pamiętać. – Pan Hieronim przygryzł wargi, milczał chwilę, potem machnął

dłonią. – Jak było, tak było, jak się sprawy skończyły, też już wiemy wszyscy. A że ani Kozacy, ani Rzeczpospolita nie odnieśli korzyści z tej wojny, a jedynie moskiewski władca, to też wszyscy dobrze wiemy i jeszcze wszyscy za to zapłacimy słony rachunek.

– Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta – zgodził się Zaremba – szkoda tylko, że choć racja i prawo były po naszej stronie, że wojnę wygraliśmy, to jednak na koniec wyszliśmy gorzej niż na początku.

– Masz słuszość w tej mierze, panie Jacku, że po czyjej stronie była racja, nawet nie może być dyskusji, bo rzecz jasna, że po naszej. I sama starszyzna kozacka potem z żalem przyznawała, że zbyt daleko się ich nieposłuszeństwo posunęło i że sprawie Ukrainy tylko wiele zaszkodziło, a nic nie pomogło. Bo kiedy Kozacy nie mogli zdecydować, czy Rzeczpospolitej, czy moskiewskimi, czy tureckimi chcą być poddanymi, i raz z tymi trzymali, a raz z tamtymi, to w końcu nikt im już nie wierzył i wszyscy ich zjedli. No ciekawe, jak im się podoba wolność pod carskim batogiem? – Ligęza skrzywił usta w złośliwym grymasie. –

Już ich car tak wyćwiczy, że do swobody, jaką mieli w Rzeczpospolitej, będą tęsknie wycić po nocach i do tego wycia na bandurkach sobie przygrywać... Ale, ale powiedz mi, panie Jacku kochany,

czemu właściwie mnie na wspominki naciągnął? Czemuż my o sprawie kozackiej i Beresteczku gadamy?

Podstarości uśmiechnął się nieznacznie, gdyż przecież to nie on zaczął rozmowę o wielkiej bitwie.

– Waszmość stwierdziłeś, że są ludzie, których nawet palba armatnia nie zbudzi, a są tacy, co śpią lekko niczym zajączki.

– A tak, tak, prawda – zgodził się stolnik. – No i ciekawe, do którego gatunku należy nasz pan Paweł i czy podlanie przez waćpana winem wystarczy, żeby go potem bezkarnie obrabować – stolnik uśmiechnął się na znak, by jego słów o rabowaniu nie brać, broń Boże, na serio.

– Toteż podlejemy go jeszcze czymś innym, nie samym tylko winem – odpowiedział

uśmiechem podstarości. – Jestem przekonany, że szlachcic tak doświadczony jak pan Barański nam doradzi albo też masz tu waszmość gospodynię, która wie doskonale, co należy dodać do trunku lub jedzenia, by ułatwić człowiekowi spotkanie z Hypnosem...

– No, no, panie Jacku, abyś tylko temu zacnemu młodzieńcowi nie zapewnił schadzki z Tanatosem, stosując podobne metody – rzekł surowym tonem Ligęza, patrząc na pana Jacka spod zmarszczonych brwi.

– Stolniku dobrodzieju – podstarości aż załamał dłonie – a komuż zaszkodzi wywar z korzenia biedrzanu albo z liści pszczelnika? A korzeń archangielski albo ziarna muszkatołowca? Samo zdrowie!

– O, widzę, że waćpan sam wiesz co nieco na te tematy.

– Pewnie tyle samo co waszmość pan dobrodziej – odparł Zaremba – ale co z czym i w jakich proporcjach łączyć, ile warzyć, czym zalać, to już mądrzejszej głowy trzeba od mojej.

– I z czym wymieszać, by nie dało się smakiem lub węchem poznać obecności owych ziół – zastrzegł stolnik.

– Właśnie tak.

– Rób, jak uważasz, panie Jacku, tylko błagam cię, pilnuj, by z tego wszystkiego jakiej biedy nie było.

– Oczywiście, proszę waszmości. Niektórzy sądzą, że służąc prawu, trzeba mieć silną pięść i smykałkę do robienia szabłą, a ja powiadam waćpanu, że równie ważna jest pewna doza delikatności, pozwalająca postępować tak, by nie wszystkich wokół zmienić w swoich zawziętych wrogów.

– I roztropność, panie Zarembo kochany. Nie zapominaj o roztropności, bo tego daru nasz Pan, na twoje i moje szczęście, ci nie poskąpił.

– Pokornie dziękuję waszmość panu – podstarości pochylił głowę w podzięce za uprzejme słowa.

Były to słowa tym cenniejsze, iż – jak pan Jacek wiedział – wynikały nie z fałszywej, a co za tym idzie liczej grzeczności, ale z najszczerzego przeświadczenia. Podstarości miał

wprawdzie całkiem wysokie wyobrażenie o własnych zdolnościach i umiejętnościach i słusznie albo niesłusznie uważał się za lepszego od większości bliźnich, lecz pochwały z ust starego przyjaciela rodziny, człowieka dzielnego, zacnego i szanowanego, musiałyby każdego bardzo ucieszyć, toteż i Zarembo, słysząc je, szczerze się uradował.

Pan Jacek podniósł się z krzesła.

– Racz wybaczyć stolniku dobrodzieju, że ci przeszkodziłem w pilnych zajęciach...

– Nic to, nic to, zawsze cię mile witam, panie Zarembo.

– ... a teraz waszmości zostawiam, chyba że usług moich w czymś potrzebujesz, to wtedy z radością się polecam.

– Nie, nie, panie Jacku, zmykaj waszmość i zostaw mnie mojej biedzie. Tak mi się nie chce tych listów pisać, że sobie nawet nie wyobrażasz... Ale co robić? Mus to mus, a obowiązek rzecz święta, zwłaszcza kiedy nam wszystkim na dobre to wyjść może.

Podstarości skłonił się już tylko i opuścił komnatę w cichości ducha zadowolony, iż stolnik nie zażyczył sobie jego pomocy. Pan Jacek na pewno nie marzył o skrobaniu piórem po papierze, bo pisać nie lubił – sztukę epistolografii cenił, ale wtedy jedynie, kiedy mógł

podziwiać listy innych ludzi, a nie samemu je pisać, nie wspominając już o sztuce kaligrafii, którą jako dobrze wychowany szlachcic z dobrego rodu musiał poznać, co nie przeszkodziło mu serdecznie jej nienawidzić.

*

Kolacja upłynęła w znacznie przyjemniejszym nastroju niż śniadanie. Stolnik tym razem był w dobrym humorze, żartował, opowiadał anegdoty, nawet na Komarnickiego raz czy drugi zerknął łaskawie i powiedział coś całkiem mile, co u pana Krzysztofa wywołało widoczne na pierwszy rzut

oka rozrzewnienie. Albrecht Sperling opuścił wszystkich jeszcze przed zmierzchem, ale nikt się temu nie dziwił, bo cóż to za przyjemność dla człowieka, który się wyrzekł dionizyjskich uciech, spędzać czas w towarzystwie takich ludzi, co samego Bachusa wprawiliby w zakłopotanie ilością wypijanego wina. Jacek Zaremba doskonale rozumiał, że siedzieć w towarzystwie pijących i samemu nie pić, to rzecz niemal nie do wytrzymania i prawdziwie żelazną wolą musi dysponować ten, co się ośmiela na podobnie karkołomny wyczyn. Sam pan Jacek miał niejaki doświadczenia w tej mierze, gdyż po powrocie z wiedeńskiej wyprawy ogłosił miesięczny post w podziękę za szczęśliwe ocalenie życia. Potem doszedł do wniosku, że wojenny znój i bitewne niebezpieczeństwa były niczym w porównaniu z rygorem dotrzymania postnych postanowień. „Bo widzisz waćpan: człowiek nie krowa i winem się poić musi”, powiedział mu pewien pijany szlachcic, któremu podstarości pożalił się na trudy postu. I trzeba było przyznać, że w tej krótkiej definicji wielka tkwiła racja, której w żaden sposób nie można było podważyć. Toteż kiedy post się zakończył, którego warunków podstarości rzecz jasna dotrzymał, bo szlacheckie słowo nie dym, niezależnie od tego, komu dane: czy samemu sobie, czy innemu człowiekowi, Jacek Zaremba uroczyście postanowił, że nigdy więcej nie będzie już swej woli na podobnie okrutną wystawiał próbę. Uznał, że lepiej ufundować ołtarz w kościele czy postawić gdzieś kapliczkę, niż drugi raz decydować się na tak trudne wyzwanie.

Wszyscy poza Sperlingiem za kołnierz nie wylewali, na chwilę do stołu przysiadł się również Jan Barański, ale po spełnieniu kilku toastów uciekł z powrotem do gospodarskich obowiązków.

– Baranuś mój jest niczym antyczny Atlas – stwierdził Ligęza, kiedy pan Jan zniknął

w korytarzu – wydaje mu się, że jak na chwilę zaniecha swego obowiązku, to zaraz niebo na ziemię upadnie, co się zakończy zagładą rodzaju ludzkiego.

– Tylko chwalić takie postępowanie – rzekł z namaszczaniem Rokicki.
– Powiem więcej: gdyby wszyscy ludzie potrafili tak obowiązki wypełniać jak pan Jan, szczęśliwiej by się nam wszystkim żyło.

– Masz waćpan rację w tym względzie, jeno szkoda, że Baranuś nie potrafi się cieszyć wypoczynkiem i zaraz obowiązek gna go do pracy. A to już takie lata, że wypadaloby przecież zwolnić...

– To prawda, że jest czas, by wygrywać wielkie bitwy, i jest również czas po nim następujący, kiedy spokojnie można zbierać plon zwycięstw, ciesząc się ludzkim szacunkiem oraz miłością i wiedząc, że nie trzeba dokonać już nic więcej, bo przeszłe czyny i tak są wielkie.

– Ba, panie Gideonie, w teorii waszmość masz rację, tego nikt ci nie zaprzeczy –

powiedział stolnik – ale co zrobić, kiedy praktyka z teorią waszmości wcale nie chce korespondować? Czy wielki nasz hetman Chodkiewicz, człowiek, który dzielnością w boju i zdolnościami taktycznymi nawet nie Juliusza Cezara, lecz samego Marsa na głowę by pobił, nie wojował do końca życia, zamiast cieszyć się spokojną starością? Umarł, jak żył, ten stary wódz – pan Hieronim westchnął – w obozie wojskowym, w huku armat i pośród swych żołnierzy, którzy kochali go niczym ojca.

– Świeć Panie nad jego duszą – powiedział z powagą Broniewski.

– Panie stolniku dobrodzieju, a hetman Żółkiewski!?! – wykrzyknął Jacek Zaremba. –

Czyż jego dzieje o słuszności waścinych słów nie najlepiej zaświadczą? Siedemdziesiąt trzy lata miał w czasie swej ostatniej wojennej wyprawy człowiek, który Szwedów, Moskali i Mołdawian bijał przez całe życie, który moskiewski tron Rzeczypospolitej rzucił pod stopy, który carów Szujskich na powrozie naszemu monarsze przyprowadził. Siedemdziesiąt trzy lata, powtarzam!

– Waszmość tylko zapominasz, że wtedy właśnie hetman zginął – zauważył Rokicki –

a jego armia poniosła straszną klęskę. I wielu twierdzi, że klęska ta była winą złego dowodzenia.

– Dajcie pokój, waszmościowie – nakazał stanowczo gospodarz, widząc, że poczerwieniały z irytacji pan Jacek szykuje się do responsu – nie ma co się spierać o dawne dzieje. Przyjmijmy, że każdy wiek ma swoje prawa, a najlepszy jest ten czas w życiu człowieka, kiedy młodzieńcza zapalczywość przeszła już w rozsądną dojrzałość, lecz nie zdołała się jeszcze zamienić w starcze zniedołężnienie.

– Czyli my wszyscy w takim jesteśmy wieku! – wesoło zakrzyknął podsędek. – Wiwat my, mościpanowie!

Tak sobie rozprawiali, sprzeczali się, dyskutowali, jedli i pili, a podstarości dbał o to, by nikt nie miał pustego kielicha i by niczyje gardło nie musiało długo cierpieć bez wygładzenia dionizyjskim balsamem.

Służących popędzał, toasty wznosił jeden po drugim, lecz starał się nie poświęcać szczególnej uwagi Broniewskiemu – gdyż wiedział, że mogłoby się to wydać podejrzanym – a wszystkich traktować równo. Było już grubo po północy, kiedy pan Jacek postanowił wykorzystać chwilę, gdy miecznikowic udał się do wygodki. Wtedy

właśnie niepostrzeżenie wlał młodzieńcowi do kielicha wywar z buteleczki otrzymanej od Jana Barańskiego. „Spać po tym będzie, powiadam waszmości, jak niedźwiedź w zimie”, zapewnił pan Jan, przekazując Zarembie ową flaszeczkę, a na tyle był dyskretny, iż nie pytał po co, na co i dla kogo.

I rzeczywiście: nie wiadomo, co przyczyniło się bardziej – forsowne tempo, które gościom narzucił pan Jacek, czy ziółka ofiarowane przez pana Jana – jakkolwiek było, nadeszła w końcu chwila, kiedy pan Paweł coraz silniej mrugał powiekami, co i rusz głową potrząsał, na krześle się kręcił, a nawet raz czy drugi wyszedł odetchnąć świeżym powietrzem, co zresztą na przemożne poczucie senności niewiele pomogło. Ligęza, widząc zachowanie miecznikowica, podniósł się wreszcie z miejsca.

– Dobranoc waszmościom – rzekł. – Wybaczcie, lecz wiek ma swoje prawa i ja coś już czuję, że moja sterana głowa bardziej potrzebuje poduszki niż podlewania winem. Ale waćpanowie, Boże broń, uciechy sobie nie przerywajcie, bo pamiętajcie, że dom mój waszym jest domem!

– Pokornie i uniżenie dziękujemy waszmości dobrodziejowi naszemu!
– zawołał za wszystkich stojący na baczność Rokicki, który zerwał się jako pierwszy, kiedy tylko zobaczył podnoszącego się z krzesła pana Hieronima.

Wszyscy odczekali, aż gospodarz wyjdzie z komnaty i dopiero wtedy na powrót usiedli. Nie minęło jednak wiele czasu, a Broniewski głosem zduszonym i nieśmiałym poprosił, by mu pozwolono udać się na spoczynek, na co pan Jacek nie prędzej wyraził zgodę, aż wypili jednego, drugiego i czwartego na rozchodne, a potem – ponieważ zgubili gdzieś trzeciego – zaczęli pić od samego początku. Wskutek tych przedłużonych pożegnań miecznikowica do pokoju musiał odprowadzić służący, bo pan Paweł miał duże problemy nie tylko z tym, by stopy stawiać prosto, ale nawet z tym, by się zorientować, gdzie te stopy w ogóle ma.

Pokoik oddany Komarnickiemu w użytkowanie był malutki i niemal całkiem ciemny –

za dnia trochę światła wpadało jedynie przez niewielkie okienko, tak wąskie, że nawet dziecko miałyby kłopot, by przesmyknąć się pomiędzy futrynami. Prawie całą powierzchnię podłogi zajmował materac, obok stała dębowa skrzynia, w której pozwolono panu Krzysztofowi chować swój dobytek, a za skrzynią Jacek Zaremba zobaczył miedziany nocnik z dwoma okrągłymi uchami. I to było całe umeblowanie tej klitki. Podczaszycowicz leżał na materacu, chrapiąc i pogwizdując przez sen, a spał tak twardo, że nie obudził się, gdy

Zaremba trącił go stopą ani kiedy lekko kopnął go w goleń – po tymże kopnięciu Komarnicki jedynie jęknął, skulił się i zachrapał jeszcze głośniej. Podstarości pochylił się i nie siląc się na szczególną delikatność, klepnął pan Krzysztofa w lewy policzek, a zaraz potem przyłożył mu jeszcze mocniej w policzek prawy.

Komarnicki odemknął powieki, a kiedy zobaczył pochylającego się nad nim pana Jacka, gwałtownie usiadł, mrugając.

– Co? Co się stało? – zapatrzył się w niespodziewanego przybysza nieprzytomnym wzrokiem, a w jego głosie wibrował lęk.

– Uspokój się waszmość – rzekł podstarości łagodnie – to tylko ja, Jacek Zaremba.

Chciałem waćpana uprzejmie prosić do gabinetu, bo pan stolnik odnalazł w spiżarni butelkę wyśmienitego maślacza i powiedział, że również waszmości wypadałoby zawołać na degustację.

Pan Krzysztof zamrugął mocniej niż poprzednio, potrząsnął głową, najwyraźniej starając się wyrzucić z niej resztki sennego odrętwienia.

– Mój Boże, sam stolnik, tandem tedy, mosterdzieju, tak raczył powiedzieć? – zapytał

w końcu drżącym głosem. – Cóż to za złoty człowiek proszę waszmości, złoty, powiadam...

Pan Jacek, mimo iż całe oświetlenie pokoiku stanowił słaby, żółty blask lampki, dostrzegł, że po policzkach podczaszycowicza spływają łzy. Komarnicki przetarł je szybko wierzchem dłoni raz i drugi, po czym wstał.

– Jużem gotów na rozkazy waszeci – rzekł tonem, który w zamierzeniu miał być dziarski, ale ponieważ pan Krzysztof nadal był serdecznie rozczulony, zabrzmiał raczej żałośnie niż dziarsko.

– A to proszę za mną, panie podczaszycowiczu.

Korytarzem skierowali się do prawego skrzydła dworu, w którym mieściły się gabinet oraz biblioteka stolnika. Przez całą drogę Komarnicki mamrotał, jak bardzo jest mu przyjemnie, jak ogromnie jest zaszczycony i jak serdecznie szanuje stolnika dobrodzieja, a przy tym mamrotaniu szurał butami i pociągał nosem. Podstarości nic nie odpowiadał, słusznie uznając, że panu Krzysztofowi nie odpowiedź jest potrzebna, ale słuchacz i może również nadzieja, że te czołobitne słowa zostaną Hieronimowi Ligęzie powtórzone. Wreszcie stanęli przed drzwiami gabinetu, Jacek Zaremba grzecznie zastukał i usłyszawszy tubalne

„proszę!”, nacisnął klamkę.

– Zgodnie z rozkazem – oznajmił i lekko popchnął Komarnickiego, by ten wszedł

pierwszy, bo jeszcze tylko tego by brakowało, żeby pan Jacek musiał uprzejmie sprzeczać się z podczaszycowiczem, kto kogo puści przodem przez próg.

– Dziękuję, panie Jacku, dziękuję. Siadajże, panie Komarnicki – stolnik obrócił wzrok na chudego szlachcica.

Ton, którym zwracał się do Zaremby, a ton, którym zwracał się do Komarnickiego, różniły się tak bardzo, że tylko głupi nie zdałby sobie z tego sprawy. Podczaszycowicz jednak tej różnicy nie zauważył, gdyż tak był przejęty zaproszeniem, że wciąż dukał słowa podziękowania i zapewniał o swym dozgonnym szacunku.

– Dobrze, dobrze, siadaj asan – rozkazał Ligęza, przerywając to mamrotanie. – Nalej no waszmość panu Komarnickiemu kieliszeczek owego maślaczyka, z łaski swojej, panie Jacku.

– Sługa dobrodzieja.

Zaremba wziął flaszę, podszedł do podczaszycowicza i śledzony jego uważnym spojrzeniem nappełnił kielich po same brzegi. Pan Krzysztof aż sapnął z ukontentowania.

Potem wstał, ujął nóżkę naczynia w zdumiewająco pewną dłoń i wzrok obróciwszy ku górze, zaczął podniosłym tonem:

– Czcigodny i umiłowany panie stolniku dobrodzieju, najgodniejsza ozdobo stanu szlacheckiego...

– Siadajże waszmość i pij – przerwał niecierpliwie Ligęza – nikt od asana nie wymaga toastów.

Komarnicki stał chwilę z rozdziawionymi ustami, potem kłapnął szczęką, zupełnie jakby ktoś stuknął go w podbródek, zmuszając zęby, by

się ze sobą zderzyły, wreszcie osunął

się na krzesło. Osuwając się, zdołał kielich opróżnić do dna i w tej samej chwili gdy sadowił

się na siedzisku, odstawił puste naczynie na stół.

– Jak waszmości smakowało? – zapytał z przekąsem Zaremba.

– Wspaniale, tandem tedy, mosterdzieju. Znakomity specjał. Istnie wyśmienita delicja.

Ambrozja, że tak powiem... – zachwyił się pan Krzysztof, podniósł oczy na podstarościego i zakołysał kielichem, by w delikatny sposób dać znać, że w naczyniu nie ma już nawet kropelki trunku.

Jacek Zaremba spojrział pytająco w stronę gospodarza, a ten dał znak, że Komarnickiego można znowu poczęstować.

– I na tym dość – rozkazał stolnik – bo mamy z asanem ważną sprawę do załatwienia, więc chcemy, byś zachował – Ligęza chrząknął – bystrość umysłu.

Komarnicki podniósł kielich niemal pod sam nos i zakołysał nim, tak by wydobywający się z trunku aromat uderzył go prosto w nozdrza.

– Rozkosz dla podniebienia, rarytas dla nozdrzy, powiadam waszmościom – zaszeptał

rozmarzonym tonem, tak łagodnie, delikatnie i cicho, jakby bał się, że wino spłoszone gwałtowniejszymi lub głośniejszymi słowami może mu z kielicha uciec – cóż za ambrozja, eliksir prawdziwy, cóż za smakołyk i specjał, frykas jaki, tandem tedy...

Stolnik niecierpliwie zastukał kostkami dłoni w blat biurka.

– Panie Jacku, zacznaj waść – nakazał.

– Panie Krzysztofie, zaprosiliśmy waszmości w niezwykle ważnej sprawie i postanowiliśmy do ścisłej konfidencji cię przypuścić...

Komarnicki popatrywał na pana Jacka znad kielicha, jednocześnie upijając wino małutkimi łyčzkami.

– ... a zapamiętaj sobie również, że pomoc twoja nie zostanie zapomniana i na pewno również nie będzie niedoceniona – kontynuował podstarości znaczącym tonem.

Podczaszycowicz odstawił kielich, który tym razem, jak Zaremba zauważył, wypełniony był jeszcze przynajmniej w połowie.

– Pozostaję do usług waćpanów dobrodziejów, pokorny sługa i podnóżek – zapewnił

pan Krzysztof z najszczerzym żarem w głosie.

– Jenó chciałem asana powiadomić, że wszystko, co zostanie tu powiedziane, wszystkie pytania i wszystkie odpowiedzi, jedynie między nami trzema mają pozostać. Waść rozumiesz?

– Ja... tak, proszę waszmości, rozumiem. Oczywiście, że rozumiem... – w głosie Komarnickiego obawa rywalizowała z podnieceniem, iż właśnie zostaje przypuszczony do tajemnicy jak równy z równym.

– Waść dobrze pamiętaj, że o dyskrecję cię poproszono – wtrącił surowo Ligeza – i że źle z tobą będzie, jeśli życzliwość moją nadwyreżysz, a zaufanie zawiedziesz.

– Mój Boże, tandem tedy, mosterdzieju, ja nigdy, proszę waszmości, nigdy życzliwości twojej nie zapomnę – podczaszycowicz zachlipał rozpaczliwie – że dach i chleb dałeś mnie, sierocie bezdomnemu. Już mnie tu żyć i umrzeć z waszmością wypadnie, tandem tedy, mosterdzieju...

– Nie ma co, piękna perspektywa – mruknął Jacek Zaremba pod nosem.

– I rozporządzać moim życiem możesz waszmość do woli – ciągnął Komarnicki z żalonym patosem – jak chcesz, tandem tedy, mosterdzieju, to zaraz tu w ogień za waszmości rozkazaniem skoczę... – Pan Krzysztof rozejrzał się, jakby w komnacie szukał właśnie rozgrzanego paleniska, by ochoczo w płomienie dać nura, ale kominek rzecz jasna był pusty, bo kto chciałby palić w nim ogień, kiedy z nieba od wielu dni lał się iście piekielny żar.

– Asan zamilknij nareszcie – burknął stolnik. – Panie Jacku, proszę dalej.

– Pokażę waćpanowi pewien obraz – rzekł podstarości – czy raczej, mówiąc precyzyjniej, obrazek. Wyobrażono na nim portret pięknej damy i bardzo nas interesuje, czy waszmość znasz ową damę. Może widziałeś ją kiedyś? A jeśli tak, to gdzie i kiedy?

Wyrażnie zaniepokojony Komarnicki oblizał nerwowo usta.

– Ja nie wiem... proszę waszmości... o czym, tandem tedy...

– Panie Komarnicki, panie podczaszycowiczu – przerwał mu Zaremba – waść nie musisz się niczego obawiać, bo każda twoja odpowiedź będzie dobra. Czy asan mnie rozumiesz? Jeśli osobę z portretu kiedyś widziałeś, to dobrze, jeśli nie widziałeś, również dobrze. I jedna, i druga odpowiedź przekaże nam ważne informacje na temat tej kobiety.

– Ja... ja... nie pojmuję...

Pan Jacek westchnął i przez chwilę zastanawiał się, jak sprawić, by Komarnicki powiedział prawdę, a nie to, co – jak sądził – chcą usłyszeć wypytujący go szlachcice.

Wreszcie podstarość wpadł na pomysł.

– Waszmość wyobraź sobie, że siedzisz przed dworem pana stolnika, ot, na ławeczce

– zaczął. – Już to sobie waszmość wyobraziłeś?

– No tak...

– I oto podchodzi do ciebie pan Barański i pyta: „nie widziałeś waćpan może stolnika dobrodzieja?”.

– Mógłby spytać... Prawda... Mógłby... Czemu nie...?

– Jeśli odpowiesz, że widziałeś, i wyjaśnisz, czy poszedł w lewo, czy w prawo, to pan Jan będzie już świetnie wiedział, gdzie pana stolnika ma szukać.

– No tak. Jak Bóg na niebie: tak!

– A jeżeli odpowiesz, że nie widziałeś, Hm? Proszę waszmości? Co wtedy?

Komarnicki zmarszczył brwi i nos, palce obu dłoni aż zacisnął, tak intensywnie myślał

nad dobrą odpowiedzią.

– Wiem! – wykrzyknął nagle. – Pan Jan będzie wtedy wiedział, że stolnik dobrodziej najczcigodniejszy – tu pan Krzysztof spojrział w stronę Ligęzy i skłonił głowę – nie wyszedł z dworu, a więc musi być w środku.

– Znakomicie, panie podczaszycowiczu – pochwalił go serdecznie Jacek Zaremba. –

Tak więc widzisz waść, że w tym wypadku zarówno jedna, jak i druga odpowiedź

przyniosłaby zysk panu Barańskiemu, który dzięki twej pomocy mógłby odszukać stolnika.

Nie byłoby więc responsu złego lub dobrego, bo najlepszy ten, który by był prawdziwy.

Komarnicki gorliwie pokiwał głową.

– Ależ tak, ależ tak, waćpan to rozumowanie wyprowadziłeś, tandem tedy, mosterdzieju, z prawdziwą maestrią i niezwykłą precyzją, która nie może wszak dziwić, skoro z ust tak godnego szlachcica pochodzi.

Pan Hieronim roześmiał się.

– Tym razem zgodzę się z waścią, panie Komarnicki.

Podczaszycowicz, uszczęśliwiony pochwałą, podniósł się z miejsca i skłonił głęboko.

Zaremba wykorzystał to i pociągnął za sobą pana Krzysztofa.

– Chodź no, asan, do światła.

Stanęli przy dwurzędowym, szesnastoramiennym świeczniku i wtedy podstarości wy dobył medalion z kieszeni. Otworzył go i rozłożony wyciągnął na otwartej dłoni przed oczy pana Krzysztofa.

– Przypatrz się waszmość dobrze temu portretowi – rozkazał – i powiedz prawdę, bo tylko prawda może nam pomóc, a nie zmyślenie, choćby najpiękniejsze. Bo zmyślenie na manowce nas wyprowadzi, gdzie trafiwszy, wierz mi waszmość, nie będziemy szczęśliwi –

Zaremba postarał się, by ostatnie zdanie zabrzmiało dobitnie.

– A co tu zmyślać? – prychnął Komarnicki i odwrócił wzrok. – Już się napatrzyłem, proszę waszmości – dodał pod adresem pana Jacka – poznałbym tę kobietę zawsze i wszędzie, bo podobnej piękności ze świecą szukać, toteż dobrze ją, tandem tedy, mosterdzieju, zapamiętałem.

– No proszę, proszę – rzekł Zaremba i obrócił się w stronę stolnika z triumfalnym uśmiechem na twarzy, zaraz potem jednak z powrotem spojrzał na Komarnickiego. – Siadaj waszmość – poprosił łagodnie – ja ci winka z ogromną chęcią naleję, a ty opowiadajże nam, opowiadaj, skąd znasz ową wybitnej urody damę, która tak ci w pamięć zapadła.

Krzysztof Komarnicki uśmiechnął się bardzo szeroko – a ten uśmiech z całą pewnością wywołała obietnica dalszej degustacji owej przepysznej

ambrozji, którą niedawno tak bardzo się zachwycił – z powrotem usiadł w fotelu, z godnością przyjął od pana Jacka pełny kielich, przechylił go do ust i wypił do dna, ale bardzo powoli, wyraźnie delektując się smakiem. Potem zamlaskał, sapnął z przemożnym zadowoleniem i rozkosznie westchnął.

Zaremba cierpliwie czekał, aż cała ta komedia się zakończy, po czym palcem stuknął

podczaszycowicza w ramię.

– Czekamy proszę waści... – przypomniał łagodnie. – Czekamy wielce cierpliwie, ale nie wystawiaj tej cierpliwości na dalsze próby, jeśli łaska – ton pana Jacka zaostrzał się w miarę wypowiedzanych słów i ostatnie podstarości wysyczał tak groźnie, że Komarnicki aż się

wzdrygnął i spojrzał na stojącego obok szlachcica z takim lękiem, jakby się spodziewał, że wraz z bolesnym napomnieniem może przyjść, bardziej jeszcze bolesne, uderzenie.

– Tak, oczywiście, już, już, już opowiadam, jak waćpanowie sobie życzyście...

– Tylko prawdę mów, panie Krzysztofie – przykazał dobitnie Hieronim Ligęza – bo o kłamstwie prędzej czy później się przekonamy, a wtedy całe moje poparcie i łaskę w mgnieniu oka utracisz...

– Jezus Maria, a czemu miałbym kłamać, stolniku dobrodzieju najmiłszy? Czemuż miałbym łąć w obecności waszmości, benefaktora i dobroczyńcy mojego, któremu szacunek i przyjaźń po kres życia deklaram i przyrzekam? – Komarnicki złożył dłonie jak do modlitwy i wpatrywał się w stolnika załzawionymi, przekrwionymi oczami.

– No, mówże asan wreszcie, co masz powiedzieć!

– Nie wiem, jak się owa kobieta nazywa, i nie z tego powodu, waszmościowie dobrodzieje moi, że zapomniałem, ale klnę się, tandem tedy, mosterdzieju – tu pan Krzysztof w wątlą pierś uderzył się obiema pięściami naraz – że imienia jej i nazwiska, a nawet przezwiska, nigdy nie znałem i nigdy nie słyszałem, więc nic zapamiętać, jak waszmościowie rozumiecie, nie mogłem, bo nie w sile to człowieka pamiętać rzeczy, o których nigdy żadnego nie miał pojęcia.

– Jezus Maria, zabiję tego błazna – mruknął pod wąsem Ligęza.

Komarnicki nic jednak nie usłyszał, gdyż tak był zajęty układaniem zdań, że nie zwracał uwagi na nic innego.

– Gdzie widziałeś tę damę, panie bracie? – znowu łagodnie zapytał Zaremba.

Podczaszycowicz, wyrwany z własnego świata, przez chwilę spoglądał na pana Jacka bez zrozumienia, aż wreszcie klasnął.

– No jakże gdzie? W Brześciu. Nie powiedziałem?

– A jakoś to waści umknęło – Jacek Zaremba był uosobieniem cierpliwości i delikatności – więc może nas oświecisz w tym względzie jeśli łaska? Gdzie konkretnie w Brześciu, w jakich okolicznościach i co bardzo ważne, kiedy do spotkania doszło, panie Krzysztofie?

– Od razu „spotkanie” – westchnął Komarnicki. – Jakież to tam było spotkanie, tandem tedy, mosterdzieju? Ona pewnie nawet mnie nie zauważyła – przyznał z wyraźnym smutkiem – a nawet jeśli jakimś szczęśliwym trafem jednak mnie spostrzegła, to głowę dam, że nie dość, iż nie zapadłem jej w pamięć, ale nawet obraz mojej twarzy nie zagnieździł się w owej pamięci na małą chwilę...

Stolnik sapnął tylko gniewnie, lecz nie odezwał się, gdyż postanowił święcie zachować cierpliwość i przepytywanie pozostawić z ręczności, swadzie i delikatności podstarościego. Rozumiał bowiem, że spłoszony Komarnicki może zacząć pleść trzy po trzy, aby tylko przesłuchujących go szlachciców zadowolić, lub powiedzieć coś, co będzie mu się wydawało zadowalającym.

– W jakich okolicznościach waszmość zobaczyłeś tę damę po raz pierwszy?

– Ba, panie starosto, nie ma potrzeba mówić, tandem tedy, mosterdzieju, że po raz pierwszy, bo w rzeczy samej jeden jedyny raz był tylko. Pierwszy i zarazem ostatni, gdyż nigdy potem nie miałem szczęścia, a może... – Komarnicki zamyślił się na chwilę – lepiej powiedzieć, zważywszy na okoliczności: nieszczęścia jej zobaczyć. A mówię: nieszczęścia, tandem tedy, mosterdzieju, bo podejrzewam, że gdybym drugi raz natknął się na tę kobietę, to na dobre wcale by mi się to pod żadnym względem nie obróciło.

Pan Krzysztof westchnął bardzo głęboko i bardzo żałośnie, kończąc cichym jękiem zdającym się wypływać z głębi serca. Chciał się pocieszyć trunkiem i sięgnął po kielich, jednak zawiedziony dostrzegł, że naczynie jest puste. Podczaszycowicz podniósł zboląły wzrok na Zarembę.

– Panie starosto, jeśli wolno – dyskretnym ruchem głowy wskazał pusty kielich.

– A wolno, wolno – odparł serdecznie pan Jacek – lecz nie prędeży, niż asan wyłuszczyz nam dokładnie: kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach

natknąłeś się na kobietę wyobrażoną na portrecie, który ci okazałem. A gdy będziemy znać dokładną i rozumną odpowiedź na te pytania, to wtedy, panie Krzysztofie, będziesz mógł dalej cieszyć się poczęstunkiem.

– No jakże to!? – obruszył się Komarnicki. – Przecież cały czas opowiadam, tandem tedy, mosterdzieju, zgodnie z życzeniem waszmościów dobrodziejów!

– Więc kiedy?

– No jakże kiedy, panie starosto? Przecież że wtedy, tandem tedy, mosterdzieju, kiedy cała ta straszna rzecz się wydarzyła. Cały ambaras z tym charakternikiem, szubienicznikiem i niecnotą Jaworskim, który, tandem tedy, mosterdzieju, omal do grobu mnie nie wpędził przez swe okrucieństwo, złośliwość i podstępny, jakimi mnie omotał niczym pająk muchę.

– A więc asan twierdzisz, że spotkałeś ową damę w 1680 roku? O tyle wydaje mi się to dziwne, iż, wiemy to z wiarygodnego źródła – Zaremba mocno zaakcentował słowo

„wiarygodnego” – kobieta ta umarła w roku 1679. Może więc waszmość widziałeś trupa powstałego z grobu, a nie żywą istotę? – spytał ze złośliwą ironią.

Komarnicki zapatrzył się w pana Jacka z ogłupiałym wyrazem twarzy. Potem wstrząsnął głową.

– Niemożliwe, panie starosto – stwierdził zdumiewająco pewnym głosem. – Żeby tak trupem padł, tandem tedy, mosterdzieju, jeśli nie ją, lecz kogoś innego widziałem na brzeskim rynku razem z tym łajdakiem, kanalią i szubrawcem, który za przyjaciela i wybawcę mojego się podawał.

– Razem z Janem Jaworskim, tak?

– Tak jak mówię. Szli sobie wolno między straganami i wtedy ich, tandem tedy, mosterdzieju, zobaczyłem. To było jeszcze, wiedzcie waszmość panowie, przed tym całym nieszczęściem, które ów łotr rodowi mojemu zgotował, niech go piekło na wieki pochłonie!

Jacek Zaremba nic nie powiedział, choć kusilo go, by podczaszycowiczowi przypomnieć, iż nikt inny, jedynie on sam jest odpowiedzialny za śmierć ojca i brata, przepadek ogromnego majątku, który zrujnowany poszedł w obce ręce, i zniweczenie dorobku wielu pokoleń szanowanego rodu.

– To na pewno była ona?

– Nawet włosy miała tak samo upięte jak na tym portrecie – stwierdził pewny siebie Komarnicki.

Podstarości pomyślał, że właśnie te słowa dodatkowo uwiarygodniają opowieść podczaszycowicza, gdyż dokładnie tego samego sformułowania użył pułkownik Sperling, opisując spotkanie z panią Broniewską.

– Rozmawiałeś z nią asan?

– Nie, nie rozmawiałem. Skłoniłem się tylko z daleka i chciałem, tandem tedy, mosterdzieju, przez tłok się precisnąć i do nich podejść, ale wsiedli oboje do powoziku i tyle ich widziałem.

– Mimo tego asan poznajesz tę twarz? Po tylu latach rozpoznajesz ją tak dobrze, by stwierdzić, że to na pewno ta, nie żadna inna?

– Panie starosto najdroższy, a czy waszmość zapomniałbyś takie oblicze, gdybyś je, tandem tedy, mosterdzieju, na jawie obaczył? No przecie że przenigdy chyba z pamięci twej by nie uleciało, już ja wiem, bo możesz sobie waszmość myśleć, co chcesz, o Komarnickim, ale wszak, tandem tedy, mosterdzieju, w nas obu męski gorzej zapał, naturze naszej przyrodzony. A to były jeszcze takie lata – pan Krzysztof uśmiechnął się z nostalgią – kiedy w piecu moich łądźwi diabeł okrutnie palił! Oooo, powiadam waszmościom: okrrrutnie!

– I nic więcej już się nie wydarzyło?

– Zaraz akuratnie waszmościom opowiem do samego końca, tylko jakbyś raczył, panie starosto, tandem tedy, mosterdzieju – Komarnicki nieśmiałym gestem wskazał

kielich i uśmiechnął się ze wstydliwą niewinnością – bo w gardle same mam już suche wióry...

Ponieważ Hieronim Ligęza dał znak, że pozwala na spełnienie prośby podczaszycowicza, pan Jacek napenił naczynie, lecz tym razem tylko do połowy.

– Wygładź sobie aść gardło i opowiadaj dalej.

Panu Krzysztofowi nie trzeba było dwa razy powtarzać: zaraz porwał kielich i opróżnił go kilkoma małymi, szybkimi łydkami, potem oblizał się, zacmokał, zamlaskał, uśmiechnął się i westchnął z nieukrywanym zadowoleniem.

– Kiedy spotkałem owego łotra kilka dni później – Komarnicki, o dziwo, tym razem zaczął niepytany i niepopędzany – z tym że, jak waszmościowie, tandem tedy, mosterdzieju, wiecie, nie za łotra go wtedy jeszcze miałem, lecz za przyjaciela, co w biedzie wspomże, a w szczęściu

potowarzyszy. Kiedy więc, jak mówię, Jaworskiego spotkałem, to o ową piękność nie omieszkalem go, tandem tedy, mosterdzieju, zagadnąć, zwłaszcza że po głowie mi chodziło wspomnienie jej twarzy i nie miałbym nic przeciwko temu, by bliżej ją poznać... –

podczaszycowicz uśmiechnął się, obnażając popróchniałe zęby aż po dziąsła.

– Skoro była taka piękna, nie można się asanowej chęci dziwić – stwierdził uprzejmie Zaremba, by ośmielić Komarnickiego do dalszych zwierzeń.

– Ba!, panie starosto, taką kobietą to i król by nie wzgardził – pan Krzysztof aż zacmokał.

– I co Jaworski waszeci odpowiedział?

– Bogiem a prawdą sądziłem, że to jakowaś, tandem tedy, mosterdzieju, miłośnica Jaworskiego, może nawet ladacznica, taka z lepszych, co wielcy panowie się z nimi zadają. A że ja wtedy jeszcze miałem jaką taką gotowiznę, to pomyślałem sobie, tandem tedy, mosterdzieju, że może i ja posmakuję jej frykasów...

– Ale?

– Jaworski odpowiedział, że to jego kuzynka, która przejazdem bawiła w Brześciu, do Lwowa zmierzając, i że musiał się nią, tandem tedy, mosterdzieju, zaopiekować, bo tak właśnie obiecał swej ciotce staruszce, a jej babce, która matkę jej zastępowała. Coś tam jeszcze gadał, ale już nie słuchałem, bo skoro dama wyjechała, to przecież żadnej ciekawości nie miałem, by poznać, kim jest, bo i po co?

Podstarości skinął głową i nie dopytywał o nic, nie kazał również, by podczaszycowicz przypominał sobie szczegóły wyznań Jaworskiego, gdyż wiedział, że

wszystkie tłumaczenia, jakich fałszywy przyjaciel udzielił Komarnickiemu, były zmyśleniem.

„Zresztą bardzo rozsądnie się ten cały Jaworski zachował – pomyślał Zaremba – nie próbując z obecności kobiety robić sekretu, tylko udając, że szczerze o niej opowiada. W ten sposób ciekawość pana Krzysztofa skutecznie stłumił”.

– I nigdy później waszmość jej nie zobaczyłeś?

– Nie, panie starosto, nigdy...

– Ani nigdy z Jaworskim o niej nie gadałeś? – odezwał się z kąta Ligeza.

Komarnicki drgnął, przestraszony, bo najwyraźniej zapomniał o obecności gospodarza, który teraz o przytomności swojej przypomniał, tubalnym głosem zadając pytanie.

– Nie, panie stolniku dobrodzieju, ani okazji, ani chęci nie było, by na ten temat rozprawiać, bo przecież tyle miałem kłopotów i zmartwień, że całkiem mnie, tandem tedy, mosterdzieju, zgryzota zżerała.

– W takim razie dobrze, dziękuję waści za opowieść, możesz wracać do swego pokoju

– zdecydował Ligęza. – Dajże, panie Jacku, panu podczaszycowiczowi butelczynę czego dobrego, żeby mu się milej zasypiało.

Oczy Komarnickiego rozjaśniły się, a on sam zerwał się z miejsca.

– Czy przydałem się na co, stolniku dobrodzieju? Czy zadowolilem waszmości?

– Dobrze się spisałeś, panie Krzysztofie – pochwalił go Ligęza.

Komarnicki wychodził z komnaty dłuższą chwilę, gdyż zapewniał o swym oddaniu, kłaniał się, znowu gadał, znowu się kłaniał, tu nogę cofnął, a tu zaraz potem dał krok naprzód, podeszwami zaszurał, aż w końcu zniecierpliwiony podstarości niemal wypchnął go za próg i drzwi za nim zatrzasnął.

– Bóg jeden wie, czy bardziej żalosna to kreatura, czy podła – powiedział.

– Ano życie swoje i innych zmarnotrawił, to prawda – zgodził się stolnik. – Przyznam ci się, panie Jacku, że myślałem kilka razy nad tym, co z nim zrobić, kiedy cała sprawa się wyjaśni i kiedy ten pan Komarnicki nie będzie mi już na pewno do niczego przydatny.

– Przegonić – wzruszył ramionami Zaremba.

– Żeby mi tu gdzieś pod płótem zdechł? – skrzywił się Ligęza. – A poza tym... po pierwsze, panie Jacku, opinii mojej w sąsiedztwie by to nie pomogło, gdyż sąsiedzi mogliby się potężnie zdziwić, czemu gościa przegnałem na pewną poniewierkę...

– A jakby się zdziwili, toby i pytali – dodał z namysłem podstarości.

– Właśnie. A po drugie nie należy dawać takiego przykładu chłopom: nie powinni widzieć, że szlachcic do tak marnego i podłego stanu potrafi się doprowadzić. Bo jakby to wyglądało, co?

– Waszmość masz zupełną rację, a ja bezmyślnie się pospieszyłem z osądem –

przyznał skruszony Zaremba.

– Eee, panie Jacku, rozważyłbyś sprawę przez chwilę i doszedłbyś do takich samych wniosków co ja. A z opinią się pospieszyłeś, bo nie wyrachowanie, lecz zacność przez ciebie przemawiała.

– Dziękuję waszmości.

– Ale trzymać tej oślizgłej kreatury w domu nie będę – zdecydował stolnik. – Stoi tu niedaleko klasztor, którego jestem głównym fundatorem i benefaktorem, więc pójdzie pan Komarnicki na dożywocie do mnichów. Źle tam mieć nie będzie, bo klasztor bogaty, a mnisi zacni. A kto wie – pan Hieronim zamyslił się – może duszę tego człowieka w ten sposób uratuję? Może ku Bogu się nawróci i piekła uniknie po śmierci?

Jacek Zaremba prychnął.

– Cynicznie powiem waszmości, że śmiem w taki rozwój zdarzeń wątpić, gdyż, cytując samego Komarnickiego: już mu tam diabli w piekle kocioł przyszykowali. Ale sam pomysł uważam za wyśmienity.

– To i dobrze. A jak sądzisz, panie Jacku, prawdę powiedział?

– Doświadczenie mnie nauczyło, by głowy nie dawać za niczyje słowa, zapewnienia i przysięgi, ale w tym wypadku o sporą sumkę bym się założył, że Komarnicki zeznał przed waćpanem składanych nie zafałszował.

Ligęza skinął głową.

– I ja tak sądzę, panie Jacku. Ale patrzże, jak prędko rozpoznał tę kobietę. Minęło przecież dziewięć lat od brzeskich wypadków, Komarnicki raz tylko ją ujrzał idącą przez rynek, a teraz najmniejszych nie miał kłopotów z przypomnieniem sobie kto zacz, kiedy i dlaczego.

– Waszmość uznajesz to, jak mniemam, za podejrzanę?

– Może raczej za niezwykle.

Podstarości podrapał się po podbródku.

– Czy mam, panie stolniku dobrodzieju, Komarnickiego za twoim zezwoleniem nieco przycisnąć?

– W podobny sposób, jak żeś waszmość owego komedianta przyciskał? – zaniepokoił się stolnik.

– Nie, nie aż tak – zdecydowanie zaprzeczył Zaremba. – Sądzę, że zacnemu panu podczasycowiczowi wystarczyłoby ze dwa dni zabronić tykać jakiegokolwiek trunku, a już potem za samą obietnicę podarowania butelki zdradzi każdy sekret.

– To akurat szczerą prawdą, co waszmość powiadasz, bo taki właśnie jest to człowiek, że jego godność i honor w winie się całkiem i na amen rozpląnęły... – przyznał Ligęza, po czym dumiał przez chwilę. – Ale nie, panie Jacku, ostaw go na razie w spokoju.

– Stanie się zgodnie z życzeniem waszej mości.

– Dziękuję ci, żeś dzisiejszą sprawę z taką zręcznością przeprowadził.

– Sługa waszmości. Zaraz panu Broniewskiemu medalion podrzucę z powrotem, jeno nie będę mu już przy szyi gmerał, ale rzucę łańcuszek na łóżko, tak by wyglądało, że sam go sobie nieostroźnie zerwał.

– Słusznie, panie Jacku. I idźże już spać, bo za dwóch dzisiaj piłeś, choć wcale tego po tobie nie widać.

– Taka już moja przyrodzona kondycja, panie stolniku. Żadna to moja zasługa, a jedynie cecha takiej, nie innej natury. Wino mnie rozwesela, proszę waszmości, lecz nie otumania. Język mi ożywia, ale go nie płacze. Ba, całą noc będę pił, a jeszcze knoty świec, i to wcale nie za długie, dam radę ściąć szablą – Zaremba wzruszył ramionami – taka natura i już...

Pan Hieronim roześmiał się.

– Niejeden by ci pozazdrościł podobnej natury. Ale wiem coś o tym, bo i ja podobnie miałem za młodych lat. Teraz to już niedołączny starzec ze mnie – zrezygnowanym gestem machnął dłonią.

– Stolniku dobrodzieju kochany! – zakrzyknął z oburzeniem pan Jacek. – Waszmość niejednego młodzieniaszka byś nie tylko przepił, ale zaraz po tym picu byś jeszcze fechtmistrza na szable rozłożył, a demagoga w dyskusji pokonał!

– Widzę, że masz do mnie zaufanie – Ligęza ścisnął serdecznie ramię Zaremby. –

Zmykaj już waść, dobrej nocy ci życzę. Znowu idziesz spać do piwnicy?

– Za pozwoleniem stolnika dobrodzieja.

– Pozwalam, a co mi tam – wzruszył ramionami Ligęza. – Choć pewnie w wozie, u tych cyrkówek Saladyna, byłoby ci znacznie wygodniej – pan Hieronim zmrużył oko.

– Już ja wolę piwniczkę – powiedział podstarość – ale gdyby trochę się ochłodziło i spadł deszcz, to kto wie, czy nie nabrałbym większego zapału?

*

Jacek Zaremba jak powiedział, tak zrobił i poszedł spać na poście, które z pomocą służących przygotował sobie w piwnicy. I kiedy ułożył się na sienniku, kiedy się nakrył

kocem, kiedy odetchnął pełną piersią, wtedy wreszcie poczuł, że znalazł się w tym miejscu, w którym jest mu dobrze. Chłód, zapach starych murów, aromat dębowych beczek pełnych wina, cienie pełzające po ścianie od drżącego blasku świeczki – to wszystko składało się na atmosferę tak senną, tak spokojną i tak w swej senności oraz spokojności urokliwą, że podstarość ledwo oczy zmrużył, ledwo policzek przyłożył do poduszki, a już spał niczym dziecko napojone grzanym piwem.

Pan Jacek nigdy się nie łudził, że sen ma lekki – tak jak ci, o których mawiano, że kiedy zasypiają, to zamykają zaledwie jedno oko, gdyż drugim rozglądają się wokół, bacząc, czy nikt im nie zagraża. Zaremba nawet ubolewał nad tym faktem, gdyż uważał, że człowiek pełniący niebezpieczną publiczną służbę powinien być lepiej przygotowany na niespodziewane wydarzenia. Ale co robić? Natura jaka była, taka była i wiadomo, że odmienić ją jest bardzo trudno, albo nawet wcale odmienić jej się nie da. Bo czy sowę przyzwyczaisz, by latała w słoneczny dzień? Czy wilk przywyknie, by zajadać owsiankę?

Czy mrówka znajdzie upodobanie w tym, by wylegiwać się od rana do nocy? Tak samo podstarość wiedział, że tutaj nic się nie odmieni, i choć nie spał, jak to mówią, jak trup czy jak kamień, to jednak sen miał raczej twardy niż lekki. Od dawna też panu Jackowi śniły się straszne sny, z widziadłami, które go nawiedzały, z nieznanymi ludźmi o zamazanych twarzach, którzy pojawiali się i znikali, zostawiając za sobą kałuże krwi. Były to sny, których rano niemal nie pamiętał. Wiedział tylko, że na pewno można nazwać je koszmarami, a nie marzeniami. Kiedyś Zaremba poradził się nawet doświadczonego księdza, lecz ten pokiwał

jedynie głową.

– Waszmość wiele okropnych zdarzeń widziałeś na wojnie, czyż nie?
– Jak każdy żołnierz – odparł krótko podstarość.
– Wielu jest takich, co doświadczyli tak strasznych rzeczy, iż ich umysł nie może się z nimi do końca pogodzić. Toteż we śnie te na jawie przeżyte koszmary wracają...

Pan Jacek pokręcił głową.

– Nie wiem, proszę księdza, naprawdę nie wiem – rzekł nieprzekonany. – Jestem żołnierzem, a to przecież profesja wymagająca żelaznej woli i twardego serca. Wiele widziałem i już nawet takie sprawy, które innego by przeraziły czy napełniły rozpaczą, na mnie nie robią żadnego wrażenia.

– Może i tak. Zmów tedy waszmość przed każdym snem Małą Koronkę i wszystko będzie dobrze.

Od tamtej pory Jacek Zaremba starał się wypełniać nakazane przez duchownego modlitwne zadanie (co oczywiście nie zawsze się udawało), ale mimo odmawiania modlitw koszmary wciąż go nawiedzały. Gwoli uczciwości trzeba jednak przyznać, że podstarościego nie zawsze gnębiły nieprzyjemne wizje, gdyż na szczęście zdarzało się również, że jego sny przypominały baśniową opowieść, w której trafiały się zarówno pogonie, jak pojedynki, a także omdlewające piękności z westchnieniami zachwyty wpadające w panajackowe objęcia i nadzwyczaj chętnie podające mu korale swych ust do pocałunków... Tym razem jednak wizje dręczące pana Jacka nie miały nic wspólnego z bajkowymi opowieściami, wiele za to z koszmarami. I nagle, kiedy podstarości z czymś się mocował, z czymś zmagął, coś próbował

pokonać, gdy oblewał się potem, a mięśnie słabły mu, jakby ulepiono je z rozwodnionego ciasta, wtedy poczuł, że do jego świadomości przebija się głos, najwyraźniej pochodzący z jawy, nie ze snu. Głos wołający: „na miły Bóg, obudźże się waszmość!”. I pan Jacek poczuł

również, jak jakaś silna dłoń zacisnęła palce, twarde niczym żelazne kleszcze, na jego ramieniu i szarpała nim zupełnie jak głodny pies kawałem mięcha. Zaremba wreszcie poderwał się, tylko po to, by zobaczyć pochylającego się nad posłaniem Rokickiego.

– No wreszcie waszmości dobudziłem – rzekł pan Gideon z niekłamaną satysfakcją –

ale przyznam, że bardzo to było trudne zadanie.

Podstarości usiadł, oparł się o ścianę i zmierzył nieoczekiwanego i nieproszonego przybysza wzrokiem, który można było nazwać, bardzo oględnie mówiąc, niechętnym.

– A waszmość po jakiego czorta w ogóle mnie budzisz? – zapytał opryskliwie.

– Boś krzyczał jak potępieniec – odparł wcale nieurazony pan Gideon i przysiadł na beczce – jakby waszmości z mora we śnie mordowała, brrr –

wzdrygnął się teatralnie. – Toteż zdecydowałem, by waćpana uratować, wyrwać z koszmaru, i miałem nadzieję, że raczej wdzięczności twojej, a nie niechęci się doczekam.

– Niewątpliwie zyskałbyś waszmość moją wdzięczność, gdybyś tylko raczył zostawić mnie w świętym spokoju – stwierdził Zaremba.

Pan Jacek nie zamierzał bowiem dać się zwieść Rokickiemu i jego fałszywym zapewnieniom o świadczeniu pomocy. Chociaż w to, że przez sen krzyczał, podstarości nie wątpił, gdyż że tak się właśnie dzieje, kilka razy już mu mówiono.

– Ciekaw bardzo jestem, jacyż to czarci i szatani walczą w waćpanowej głowie, że takim głośnym rykiem do wojny ich zagrzewasz – rzekł pogodnym tonem Rokicki.

– Czy mogę wiedzieć, co waćpana tu sprowadza? Co robisz w piwnicy w samym środku nocy?

– Panie starosto, waszmość tak krzyczałeś, że tylko ostatni niecnota, zupełnie i całkowicie pozbawiony serca, mógłby się twoim losem nie zainteresować. Myślę, że –

podśudek rozejrzał się wokoło – te kamienne ściany tak krzyk waszmości wzmocniły, iż wydobywał się niczym ryk rozwścieczonych Tytanów, pragnących wydostać się z Tartaru. A przyznasz chyba, panie starosto – teraz Rokicki spojrział panu Jackowi prosto w oczy – że straszna krzywda może spotkać każdego, hmmm? Nawet takiego chwata jak, nie przymierzając, waszmość...

Podstarości wzruszył jedynie ramionami, choć po raz kolejny dostrzegł we wzroku pana Gideona coś niepokojącego.

– Pokornie w takim razie waćpanowi dziękuję, żeś raczył zainteresować się moim losem – powiedział bez cienia ironii – a teraz pozwól mi z łaski swojej spać dalej i nie kłopotaj się już budzeniem mnie, nawet jeśli znowu usłyszysz krzyki.

Podśudek podniósł się z beczki.

– Wiele waszmość musiałeś przejść, skoro Furie tak okrutnie i zawzięcie nękają cię przez sen – stwierdził współczująco. – Powinieneś bardzo uważać, by również na jawie do ciebie nie przyleciały. – wypowiedziawszy te zagadkowe słowa (i nim pan Jacek zdołał

cokolwiek odpowiedzieć), Rokicki zakręcił się na obcasie niczym fryga i spiesznie skierował

w stronę korytarza. – Dobrej nocy waszmości – zawołał jeszcze zza progu, kiedy już piwniczny mrok ukrył jego sylwetkę. – Słodkich snów życzę! – dodał i roześmiał się tak, że śmiech jego zabrzmiał niczym zgrzyt żelaznego ostrza po szkle.

*

Minęło kilka dni, a każdy kolejny przypominał ten właśnie miniony. Nikomu nic się nie chciało robić w tej niezwyklej, przygnębiającej spiekocie, w owym lejącym się z nieba żarze, w oślepiającej jasności bijącej z nieskażonego najmniejszym obłoczkiem błękitnego nieba i ze słonecznej kuli, której przez wszystkie te dni nie przysłoniła nawet jedna maleńka choćby chmurka. Ludzie wykonywali swoje obowiązki, bo wykonywać je przecież musieli, ale kiedy tylko skończyli to, co było do zrobienia konieczne i nieodzowne, kładli się gdzieś w cień. Ale i tam, choć nie dosięgały ich promienie słońca, dopadał ich upał i odbierająca dech w piersiach duchota, która powodowała, iż człowiekowi wydawało się, że ktoś zarzucił mu na łeb gorącą, wilgotną szmatę i docisnął ją mocno do ust oraz nozdrzy. W takie dni nic nie sprawiało przyjemności. Ani sen, bo człowiek budził się spocony, zmęczony i tak wymięty, jakby go całą noc ściskano pomiędzy kamieniami młyńskimi; ani posiłek, bo każde,

najsmaczniejsze nawet jedzenie stawało kością w gardle; ani konna przejażdżka, bo kto by chciał męczyć zwierzę i siebie galopowaniem przez powietrze tak rozpalone, jakby buchało z hutniczego pieca. I tylko trunek pocieszał i pozwalał na chwilę zapomnieć o cierpieniu, ale kiedy minęła już jego zbawienna moc, to męka zaczynała się od nowa, i w dodatku wracała znacznie spotęgowana.

Coraz częściej słyszało się o pożarach nieodległych lasów. Chociaż podobne nieszczęście nie dotknęło majątku stolnika, to jednak wiadomo było, że jeśli wkrótce nie spadnie deszcz, prędzej czy później dojdzie do tragedii. Służba i chłopci coraz częściej bajali o południcach, które jakoby chodziły w spiekocie wśród wyschłego na wiór zboża – widziane były a to jako piękne dziewczęta, a to jako staruszki, lecz zawsze odziane w biel i zawsze otoczone całunem drżącego i zniekształcającego wszystko wokół nich powietrza.

Jacek Zaremba najchętniej przesiadywał w swoim kącie w piwnicy, ale przecież nie mógł całego dnia spędzać pod ziemią, zwłaszcza że był

zobligowany wobec stolnika, by baczyć na jego gości. Ale też wiele do śledzenia nie było, gdyż – z wyjątkiem Albrechta Sperlinga, który zebrał swych ludzi i wyjechał nie wiedzieć dokąd – nikt ze dworu nosa nie wystawiał. Sperling odjechał ku wielkiemu niezadowoleniu stolnika, ale Ligęza dobrze wiedział, że pułkownika w żaden sposób nie jest w stanie zatrzymać.

– Waszmość bądź pewien, że wrócę – rzekł tuż przed wyjazdem białolicy szlachcic –

bo czuję, że znalazłem się bliżej wyjaśnienia zagadki, niż byłem kiedykolwiek. I może niedługo wreszcie – kącik ust pułkownika uniósł się w górę – zakończą się moje śluby i będę mógł z waszmością napić się wina.

Stolnik pamiętał oczywiście, że Sperling ślubował, iż nie tknie żadnego trunku, póki nie pomści śmierci swych żołnierzy i doznanej zniewagi i póki swego prześladowcy nie doprowadzi do zguby. Czy jednak pułkownik naprawdę znalazł się bliżej wyjaśnienia tajemnicy? A może tylko chciał w to wierzyć lub pragnął, by inni dali wiarę jego słowom?

– Serdecznie waćpana zapraszam – odparł pan Hieronim, po czym pożegnali się znacznie serdeczniej, niż się kilka dni wcześniej witali.

Wreszcie jednak wydarzyło się coś, co na chwilę wyrwało pana Jacka z marazmu. Oto do piwnicy wbiegł służący i – niezdziwiony już wcale widokiem podstarościego leżącego na materacu między beczkami – zawołał:

– Jaśnie wielmożny panie starosto, jaśnie oświecony stolnik prosi do gabinetu!

Zaremba westchnął, zwłóknął się z posłania, smętnie pomyślał o tym, że będzie musiał

opuścić przyjemny piwniczny chłód, i chcąc nie chcąc, podążył w ślad za sługą. Miał

nadzieję, że przynajmniej sprawa, dla której pan Hieronim go wzywał, warta była jego wysiłku.

We dworze panowała senna, leniwa atmosfera, której poddali się wszyscy – nawet Jan Barański i ochmistrzyńni Ligęzy, a więc ludzie, którzy zwykle sami chętnie pracowali i innych gonili do pracy z równą chęcią. Pan Jan siedział w jadalni i bez zapału czyścił szczególnie cenny pistolet o rękojeści wykładanej złotem i macicą perłową. Przechodzącemu Zarembie tylko skinął głową bez uśmiechu. Ochmistrzynię natomiast zobaczył pan Jacek w korytarzu, gdy szła do swej komnatki otulona słodkim aromatem

malinowej nalewki, co najpewniejszym było znakiem, że ma już wszystkiego serdecznie dosyć. Podstarości skłonił się jej, ale nie zdążył nawet zapytać, gdzie się podziewa panienka Hanna – tak szybko przemknęła ochmistrzyni. Zresztą Zaremba był pewien, iż Hanka siedzi w swoim pokoju, a że pokój ten był drugi w amfiladzie po komnacie ochmistrzyni, pan Jacek szans nie widział, by przez straż owej cerberzycy łatwo się przedostać. A poza tym: czy miał tak naprawdę siły, by teraz rozmawiać lub flirtować z dziewczyną, choćby była ona najpowabniejsza i najbardziej godna zalotów?

W drodze do gabinetu Ligęzy podstarości minął jeszcze kilkoro służby, ale wszyscy oni wydawali się poruszać nie w powietrzu, ale w gęstej mazi. Ożywiali się tylko na chwilę, kiedy usłyszeli kroki Zaremby i zobaczyli jego postać – wtedy ich ruchy stawały się żwawsze, działania celowe, a oczy odzyskiwały blask. Widząc jednak obojętność pana Jacka i rozumiejąc, że mija ich bez zainteresowania tym, co robią, powracali do bolesnej niemrawości.

Wreszcie Jacek Zaremba zastukał do drzwi stolnikowego gabinetu i usłyszawszy zaproszenie, wszedł. Pan Hieronim nie sprawiał wrażenia zmęczonego upałem. Owszem, na twarzy był czerwony, a policzki i czoło lśniły mu od potu, owszem, siedział tylko w rozchełstanej koszuli, owszem, nagie stopy moczył w miednicy z wodą i palcami przebierał w tej wodzie z wielką lubością, ale spojrzenie miał bystre i był pełen energii.

– Mam wieści od mojego Żyda – oznajmił zadowolony, kiedy tylko ujrzał przyjaciela.

– Wiesz waszmość którego, prawda? Od owego bystrego arendarza, o którym ci opowiadałem.

– Oczywiście, stolniku dobrodzieju. To niespodziewane.... to nadzwyczaj szybko –

podstarości aż zacmokał z zachwytu. – Ależ ten Żyd potrafi sprawy ułożyć. No, no... Chyba że łże – dodał po chwili, gdyż zawodowa podejrzliwość wzięła górę nad podziwem.

– Nie, nie łże na pewno! Siadaj waszmość.

– Dziękuję pokornie. I jakież to wieści? Czy historia Broniewskiego się potwierdziła?

– Gdybyś dał mi mówić, panie Jacku, zamiast komentować i zadawać pytania, to pewnie byś już wiedział – odparł zgryźliwie Ligęza.

– Od tej pory milczę jak kamień, stolniku dobrodzieju, i ani słóweczkiem się nie odezwę, póki waszmość nie skończysz mówić...

– Tak, tak – mruknął gospodarz, wiedząc, co myśleć o tych zapewnieniach. – No cóż, panie Zaremba kochany, wiem, że bardzo chciałbyś ode mnie usłyszeć zaskakujące nowiny lub poznać zdumiewające rewelacje, ale muszę cię niestety rozczarować...

– Ojoj – powiedział Jacek Zaremba na poły żartobliwie, ale też tylko w tym celu, by ową żartobliwością ukryć rzeczywiste rozczarowanie.

– Sam bym chciał ciekawsze przynieść wiadomości, ale nic z tego. Wszystko mi dokładnie opisano mniej więcej tak, jak pan Broniewski rzecz przedstawił nam w opowieści.

– Mniej więcej? – zmrużył oczy podstarość, który gotów był ucześcić się każdego szczegółu.

– Mniej więcej, czyli mniej niż więcej – odparł stolnik – bo, co zrozumiałe, Żyd nie znał aż tylu szczegółów co pan Broniewski, którego cała przygoda dotyczyła.

– Czyli do owego zbrodniczego oszustwa rzeczywiście doszło?

– Właśnie tak. Opowiedziano mi również o dalszych losach Broniewskich. Ojciec wyjechał nie wiadomo dokąd, najprawdopodobniej do krewnych, którzy mieli majątek w Inflantach, syn udał się wraz z nim, a jeśli chodzi o matkę, to doniesiono mi, że umarła, tak jak pan Paweł zeznawał.

Zaremba aż uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Jak to umarła!?! – zawołał ze złością.

– Po prostu umarła. Chorowała, chorowała i umarła – Ligęza wzruszył ramionami, a jednocześnie gwałtownie poruszył stopami, więc woda wychlupnęła z miednicy i kilka kropel opryskało pana Jacka. – O, wybacz wasze – zauważył wypadek stolnik. – Dobry sposób, powiadam waści: nogi w zimnej wodzie trzymać. Nie tylko stopy człowiek chłodzi, działa to na całe ciało.

– Ba, proszę waszmości, ja kiedyś nawet sypiałem z nogami w misie z lodowatą wodą

– zgodził się Zaremba.

– No właśnie. Ale do rzeczy, panie Jacku kochany, do rzeczy. Przyznam waszmości, że i mnie srogi spotkał zawód, gdy usłyszałem od Natana te wieści. Bo oto myślałem, że natknęliśmy się na trop jakiejś nowej, niesłychanej tajemnicy – w głosie stolnika rzeczywiście

pobrzmiwało rozczarowanie – a okazało się, że żadnego sekretu nie ma. Żyd bez cienia wątpliwości stwierdził, że kobieta umarła.

– Czy podał jakieś szczegóły?

– Pochowano ją na kościelnym cmentarzu w Gniewkowie.

– Gniewkowo? – podstarość zmarszczył brwi. – Wiem, gdzie jest Gniewkowo.

Widziałem tam, pamiętam dobrze, ruiny starego, krzyżackiego jeszcze, zamku. Ale co ona, u licha, robiła w Gniewkowie, skoro to miasto leży przecież na Kujawach?

– Pamiętasz, panie Jacku, że Broniewski nam opowiadał, iż dla jego rodziny zrobiło się w okolicy bardzo gorąco? Sądzę więc, że chciał matkę uchronić przed niebezpieczeństwem i wysłał ją do krewnych. Ale biedaczka nie dojechała i zmarła po drodze.

– Zmarła lub nie zmarła – rzucił Zaremba ze złością w głosie – a może jednak wydobrzała i zdecydowała, że zacznie nowe życie w nowym miejscu u boku mężczyzny, który w odróżnieniu od poprzedniego nie będzie zupełnym i kompletnym durniem?

Stolnik aż syknął.

– Panie Zarembo, ja wiem, że waszmość się gniewasz, ale miarkuj rozdrażnienie, bardzo cię proszę...

– Panie stolniku, dobrodzieju najmilszy! – zaraz zawołał skruszony podstarość. –

Przecież ja nie na waszmości się gniewam, bo jakże bym śmiał i mógł, sługa pokorny i uniżony, ani w ogóle na nikogo innego, lecz na przedziwną sytuację, z jaką mamy do czynienia.

– Niestety nie zgodzę się z waćpanem, bo ja nic przedziwnego w tej sytuacji nie widzę. Tak jak sądziłem, Sperling i Komarnicki poznali siostrę lub kuzynkę Broniewskiej.

Przecież waszmość nie wiesz, czy matka pana Pawła nie miała siostry, prawda? Albo i pięciu sióstr – Ligęza wzruszył lekceważąco ramionami – które zostały w rodzinnym domu, a potem każda poszła swoją drogą i jedna z nich wyraźnie, co przyznam, pobiłdziła...

Jacek Zaremba milczał chwilę.

– Pewnie tak naprawdę było – przyznał wreszcie smętnie – ale wiesz co, waszmość?

Ja pana Pawła jeszcze o wszystko bym dopytał. Co waćpan na to rzekniesz? Niech nam opowie, co działo się dalej: dzień, dwa i tydzień, i

miesiąc po tym nieszczęsnym wydarzeniu.

Co waćpan powiesz na taki pomysł?

Stolnik zastanawiał się przez chwilę.

– Powiem, panie Jacku: rób, jak uważasz, gdyż to, jak mniemam, w niczym nam nie może zaszkodzić. Pomóc pewnie też nie pomoże, ale przyznam, że chętnie posłucham dalszego ciągu historii Broniewskiego.

Zaremba zatarł dłonie.

– A więc świetnie! Poproszę miecznikowica na rozmowę z waszmością do gabinetu i delikatnie go podpytamy, co i jak tam się jeszcze... – podstarości urwał. Było widać, że kiedy wypowiadał zdanie, jakaś śmiała koncepcja wpadła mu do głowy, i to najwyraźniej tak śmiała, że aż zesłała odrętwienie na język.

Ligęza odczekał chwilę.

– Panie Jacku?

– Wybacz waszmość, ale w tym momencie przyszła mi jeszcze jedna myśl do głowy.

Jeżeli pani Broniewska miała siostrę, to może właśnie ta siostra stała za ludźmi, którzy doprowadzili do zagłady ród Broniewskich? Hm? Jak waszmość myślisz?

– Panie Zarembo kochany, a co ja mogę myśleć, jak to jest na razie czysta waszmości fantazja? Zgodzę się z waćpanem, że czasami rodzina gorsza nawet od Tatarzyna i słyszeliśmy nie o takich zbrodniach, ale...

– Trzeba koniecznie wypytać pana Pawła – podstarości zapalił się tak bardzo, że nie wahał się przerwać stolnikowi. – Jeśli jego matka miała wrogów, jeśli jednym z tych wrogów była jej rodzona siostra, to może Broniewski coś o tym wiedział, może coś mu opowiedziano, może coś chociaż przypadkiem podsłuchał... Może to jest ta właśnie nitka, która nas doprowadzi...

Pan Hieronim się nie pogniewał, że mu przerwano w pół zdania, nawet uśmiechnął się nieznacznie, widząc animusz młodego towarzysza i jego gorliwą chęć rozwikłania zagadki.

– Działaj, panie podstarości, masz moje błogosławieństwo – stwierdził łaskawie –

tylko niech cię nie poniesie zbyt impet. I pamiętaj, byś nie obudził w Broniewskim żadnych podejrzeń.

Jacek Zaremba uśmiechnął się szeroko.

– O tym nawet mowy nie ma, stolniku dobrodzieju – stwierdził pewny siebie podstarość – będę spokojny niczym Edyp rozmawiający ze Sfinksem i skoro Edyp z tak straszliwą kreaturą wygrał zabawę w zagadki, to na pewno i ja sobie poradzę z panem Broniewskim.

– Ufam i mam nadzieję – odparł Ligęza.

– W takim razie trzeba kuć żelazo, póki gorące – znowu zatarł dłonie podstarość, ale tym razem z takim impetem, że aż zachrząściło – biegnę po miecznikowica za pozwoleniem waszmości dobrodzieja.

– Jak to: „biegnę po miecznikowica”? Teraz? – zdumiał się stolnik, który nie spodziewał się, że sprawy tak szybko się potoczą.

– A na co czekać, panie stolniku? Miejmy to z głowy. Wóz albo przewóz...

– No, no, panie Jacku, nie aż tak – Ligęza zaczął mitygować młodszego towarzysza, a na jego twarzy pojawił się pobłażliwy uśmiezek – przecież nawet negatywna odpowiedź na pytanie o rodzinę Broniewskiej nie zaprzeczy twym podejrzeniom. Zresztą jak waszmości znam, zaraz jakiś nowy koncept w głowie twej zaświta. Z kolei odpowiedź pozytywna też wiele nam nie wyjaśni...

– O, nie zgodzę się! Ale co tu gdybać, panie Hieronimie, co tu gdybać, skoro zaraz możemy zostać oświeceni w tej mierze. To jak, stolniku dobrodzieju? Mogę wezwać Broniewskiego?

Stolnik zrozumiał, że oporem nic nie osiągnie i że zapałowi pana Jacka nie da rady się przeciwstawić, skinął więc tylko przyzwalająco dłonią, po czym spojrzał na stojący w rogu komnaty zegar, którego zdobiona wieża sięgała iglicą niemal sufitu.

– Za godzinę wróc waszmość z miecznikowicem. Pogadamy – zdecydował.

Zaremba poderwał się z miejsca.

– Będę!

*

Podstarość łączycki obiecał być za godzinę i za godzinę pojawił się naprawdę, i oczywiście przyprowadził ze sobą Pawła Broniewskiego. Stolnik, ujrawszy, jak obaj szlachcice wchodzą do gabinetu, wstał z za biurka z szeroko rozłożonymi ramionami. Był już obuty i porządnie

odziany w zapięty żupan, a pan Jacek zauważył, że miednica z wodą zniknęła.

– Witam cię ponownie, panie miecznikowicu, w mej samotni i świątyni dumania.

Mam nadzieję, że zechcesz nam poświęcić kilka chwil.

– Zawsze i wszędzie, stolniku dobrodzieju – odparł Broniewski, odpowiadając serdecznym uśmiechem na to grzeczne powitanie.

– Siadajże waszmość wygodnie, a pan Jacek honory domu zechce czynić...

– Z najwyższą rozkoszą, panie stolniku... Cóż to my dzisiaj mamy dobrego na początek? – Zaremba zmrużył oczy i przyjrzał się butelce pod światło. – Ach, tokaj.

Wyśmienicie!

– I głowę można dać, że to prawdziwy tokaj, niepodrobiony – zaznaczył Ligęza. – Raz w roku specjalnie wysyłam pachółków na Węgry, żeby mi uczciwy zapasik przywieźli. A mam takiego bystrego sługę, który, imaginujcie sobie waszmościowie, po samym zapachu i smaku, a na posmakowanie bierze raptem tyle, co się na łyżce zmieści, jest w stanie rozpoznać, czy trunek sfalszowano, czy nie.

– Ho, ho, w dzisiejszych czasach cenna to umiejętność.

– I my mieliśmy takiego sługę – wtrącił pan Paweł. – Imaginujcie sobie waszmościowie, że nie dość, iż każdy trunek rozpoznał, czy nie został sfalszowany, to jeszcze samym węchem poznawał i gatunek, i rocznik.

– Tak jak niedawno mówiliśmy, panie stolniku – uśmiechnął się Zaremba – warto mieć jakiś talent.

– O, tak – zgodził się Ligęza – zwłaszcza w czasach, kiedy wszyscy psują wszystko, ile wlezie – machnął ręką – wino dobrego gatunku mieszają z sikaczem, wódkę z wodą, ba!, wyobraźcie sobie, że nawet butelkowane angielskie piwo potrafią zafalszować. Ech, na psy świat schodzi, na psy, powiadom waszmościom...

– A ile krąży po Rzeczypospolitej fałszywych monet – zauważył pan Jacek.

Dobrze wiedział, o czym mówi, bowiem miał w swej karierze stróża prawa do czynienia również z fałszerzami, którzy – mimo groźących za podrabianie pieniądza surowych kar – pojawiali się niczym grzyby po deszczu. I pół biedy, kiedy chodziło o byle partaczy domowym sposobem sporządzających najpodlejszego sortu klepańce, jakie każdy szlachcic czy

mieszczanin mający choć trochę oleju we łbie łatwo mógł rozpoznać. Gorzej, że czasem do fałszerstwa zatrudniano prawdziwie utalentowanych rzemieślników i chodziły słuchy, że niektórzy z nich pracują dla wielkich magnatów. Ba, o fałszerstwa oskarżano nawet intendentów mennic królewskich, którzy musieli się potem przed sejmem tłumaczyć ze swego postępowania. Na nic jednak zdawały się jakiegokolwiek śledztwa, na nic gorliwa służba funkcjonariuszy prawa, kiedy fałszerstwo rodziło się za granicami Rzeczypospolitej. Bo gdy Rzeczypospolitą zalała fałszywa moneta bita w Mołdawii, to kilka lat trwało, zanim sobie z tym problemem poradono. Gdy wbrew zakazom królewskim Żydzi powywozili za granice Rzeczypospolitej szlachetne kruszce i monety z tych kruszców bite, to trafiały się lata, iż za jednego złotego talara dawano równowartość siedmiu złotych w szelągach. Tak to właśnie fałszerze popsuli monetę.

– ... więc nawet oni widzieli szkodę, jaka tkwi w fałszerstwie.

Do uszu Zaremby dobiegły ostatnie słowa wypowiedane przez Ligęzę. Ocknąwszy się więc z zamyślenia, zapytał:

– Kto, proszę waszmości?

– A ty co, panie Jacku, nie słuchałeś?

– Upraszam o wybaczenie, ale dumalem, jak trudno sobie z tym zbrodniczym procederem poradzić. Łatwo złapać byle partacza, który klepańce bije na domowym kowadle,

ale jak ktoś miliony fałszywych monet w świat puszcza, to zarówno srodki ma, jak i wielu przyjaciół, by surowości prawa łatwo uniknąć.

– Święta prawda, panie Zarembo, święta, choć wielce smutna. A ja, proszę waszmości, mówiłem, że już Grecy za czasów Solona karali śmiercią za fałszerstwo pieniądza.

Paweł Broniewski skinął głową.

– Też o tym czytałem, stolniku dobrodzieju, i w pełni się z prawodawcą Solonem zgadzałem. Bo choć fałszerze niby nikogo nie zabijają, to jednak tysiące rodzin doprowadzają do nędzy okrutnej, a w efekcie i śmierci.

– Wypijmy więc to niefalszowane wino i na pohybel szalbierzom, waćpanowie!

– A żeby ich zaraza zżarła – dodał podstarości.

– I żeby się w piekle po kres czasów smażyli albo i dłużej – dopowiedział Broniewski.

Wypili z pełnym przekonaniem, gdyż w istocie niewiele rzeczy było bardziej szkodliwych – zarówno dla całej Rzeczypospolitej, jak i wszystkich jej obywateli i każdego obywatela osobno – niż fałszowanie pieniądza.

Pan Hieronim zamlaskał, odsapnął i pokiwał głową z uznaniem.

– Niektórzy mówią, że tokaj jest najlepszym winem w świecie. Sam nie wiem, waszmościowie... Jak sądzicie?

– Kiedy mam przed sobą prawdziwie dobry tokaj, to muszę powiedzieć, że nad wszystkie inne wina go przedkładam. Ale... – Zaremba wznosił oczy i uśmiechnął się z lubością – przy wielu okazjach nie ma lepszego trunku niż nasz rodzimy dwójniak.

– Ba!, panie Jacku, nie ma na całym szerokim świecie równie smacznych miodów jak te, które w Rzeczypospolitej dojrzewają – stwierdził Ligęza ze szczerym przekonaniem. – Co to za niezrównany smak, co za olimpijski aromat...

– A gdy ich popróbujesz, jakaż aksamitnie łagodna miękkość spływa ci na język i w gardło – dodał pan Paweł, podobnie jak podstarość uśmiechnięty od ucha do ucha.

– A jak rozgrzewają! Jak dodają animuszu! Jak sprzyjają bystrości rozumu i swady w mowie – dopowiedział Jacek Zaremba.

– Panowie bracia, toż ja zaraz będę miał wyrzuty sumienia, że was częstuję tokajem, nie miodem! A przecież mam w spiżarni także biały lipiec kowieński w całej Rzeczypospolitej niezrównany.

– Wypijemy waszmości tokaj i potem do miodu się zabierzemy! Jak nas w gościnie ostawisz, proszę waćpana, to zobaczysz, że jesteśmy gorsi niż Mete z Sylenem do spółki! –

zawołał rozweselony podstarość.

– No, no, panie Jacku kochany, mów lepiej tylko za siebie, bo pan Broniewski jest młodzieńcem dobrze ułożonym, a nie takim niepoprawnym opojem jak waćpan.

Zaremba zaśmiał się jedynie, bo co w żartach zostało powiedziane, jako żart powinno zostać potraktowane. Zresztą obaj, i pan Hieronim, i pan Jacek, dobrze wiedzieli, że ktoś, kto zupełnie poważnie nazwałby podstarość opojem popełniłby potężne nadużycie. Stolnik tymczasem odwrócił się do Broniewskiego.

– Panie Pawle kochany – zaczął serdecznie – poprosiliśmy waszmości na rozmowę, by dokładniej dowiedzieć się od ciebie, co działo się po tym strasznym oszustwie, którego ty i twoja rodzina padliście ofiarą.

– Wybacz waćpan, iż rozgrzebujemy stare rany – dodał Jacek Zaremba – ale sam rozumiesz: im więcej będziemy wiedzieć, tym większa szansa, iż kiedyś dojdziemy prawdy.

– Waszmość, panie starosto dobrodzieju, przecież już doszedłeś prawdy – smutno odparł miecznikowic.

– Tylko częściowej – zastrzegł pan Jacek – dowiedziałem się bowiem, w jaki sposób oszustwo przeprowadzono i kto był w nie zamieszany. Ale kim tak naprawdę jest krzywdziciel waćpanowego rodu i jak go odnaleźć, tego przecież żaden z nas nie wie.

– A sądzicie, waszmościowie, że kiedykolwiek się dowiemy? – zapytał posepnie Broniewski.

– Niczego waszmości nie zagwarantujemy – pokręcił głową Ligeza – gdyż nie wolno składać obietnic, co do których nie możemy mieć pewności, że ich dotrzemy. Zawsze uważałem, że takowe postępowanie cechuje tylko najgorszego rodzaju szumowiny, łotrów i kanalie...

– Albo polityków – wtrącił ze złośliwym uśmieszkiem podstarość.

– Panie Jacku kochany, wśród polityków są i tacy, i tacy. Znajdziesz w polityce ludzi prawych, którzy działają, mając szczerze na myśli dobro wspólne, którzy z imieniem ojczyzny na ustach budzą się i zasypiają, lecz znajdziesz także i takich, którzy jeno o własną dbają kabzę, o majątności, o zaszczyty swoje czy swojego stronnictwa i zdolni są do najohydniejszej podłości, do największego ojczyzny pogwałcenia, aby tylko samemu odnieść korzyść. A jak jeszcze zagraniczny monarcha byle orderem, byle tytułem lub byle dyplomem zaświeci takim niegodziwcom w oczy, to gotowi za ową błahostkę służyć mu niczym psy.

– Ba – prychnął Zaremba – tak było, jest i będzie.

– Prawda, panie Jacku, święta prawda – zgodził się stolnik – człowiek zawsze grzeszył

i zawsze błędził, i nie sądzę, by w dającej się ogarnąć umysłem przyszłości ta rzecz mogła się jakoś odmienić. Chodzi więc o to, by ludzie uczciwi nikczemnikom prosto w pysk potrafili

powiedzieć, że są nikczemnikami i by ich za tę szczerą krzywdę nie spotykała. I chodzi też o to, by kanaliom nie podawać ręki, nie mówiąc już o innego rodzaju honorowaniu. A przecież wiemy, że różnie z tym bywa. I Bóg mi świadkiem, że jeśli dalej pójdzie tak, jak idzie do tej pory, i jeśli nieprawość z prawością będzie łatwo zwycięzać, to nadejdą czasy, że

piętnować się będzie nie tego, kto kradnie, ale tego, który krzyczy: „łapaj złodzieja!”.

– Czasem już teraz tak bywa – westchnął podstarość, podobne przypadki znający z własnego doświadczenia.

– Któż wie o tym lepiej ode mnie, jak ciężko człowiekowi na sercu, kiedy słyszy fałszywe oskarżenia? – zapytał ponuro Paweł Broniewski. – Bo choć, Bogu przysięgam i waćpanom, jak żyję nigdy nic nikomu nie ukradłem, to przecież nie jeden, nie dwa i nie trzy, a dużo więcej podniosło się głosów, że my, Broniewscy, do spółki z diabłem okoliczną szlachtę obrabowaliśmy z majątności. A trafili się i tacy, co czarnej ręki w tej zbrodni wcale nie widzieli, a jedynie podły zamysł mojego ojca dobrodzieja i mój... – miecznikowic aż zatrzęsł się z bezsilnej złości.

– Szczerze powiem i ufam, że waszmość się za to nie pogniewasz – powiedział

Zaremba – iż w części nie dziwię się postępowaniu waszmości sąsiadów. Bo skoro uwierzyli, iż ich bogactwa zostaną rozmnożone cudownym sposobem, to wyobraź sobie waćpan, jak wielkie rozczarowanie musieli przeżyć i jak okrutnie zawiedzione zostały ich nadzieje, kiedy się przekonali, że nie tylko niczego nie zyskali, ale, co gorsza, wszystko utracili.

Broniewski pokiwał głową.

– Ja to wiem, waszmościowie dobrodzieje, bo odrzucając urazę i żal, potrafię jakoś, czy próbuję chociaż, w sposób zgodny z zasadami logiki wytłumaczyć sobie postępowanie naszych sąsiadów. Kto wie, jak ja sam zachowałbym się na ich miejscu? – pan Paweł zamyślił

się na chwilę – Choć nie, waćpanowie, nie tak jak niektórzy, na pewno nie tak – odpowiedział

sam sobie zdecydowanie – Sądzę, że wiele bym musiał mieć dowodów, by oskarżyć kogoś o złą wolę i by zarzucić mu tak podłe oszustwo. Chyba raczej współczułbym w nieszczęściu, niż mścił się za krzywdy, przynajmniej do tego momentu, aż pewności bym nabrał, że krzywdy zadano mi celowo, a nie że były one wynikiem nieszczęsnego splotu wydarzeń.

– Bardzo się waszmości chwali tak sprawiedliwy stosunek do bliźnich i wstrzemięźliwość w ocenie ludzkiego postępowania – Ligeza ze szczerą serdecznością w głosie pochwalił młodego szlachcica.

– Cóż z tego, stolniku dobrodzieju, skoro inni nie byli ani tak wstrzemięźliwi, ani tak sprawiedliwi, kiedy przyszło co do czego – westchnął Broniewski.

– Panie miecznikowicu, zakończyłeś swą opowieść w chwili, kiedy wraz z waćpana ojcem i innymi szlachcicami wszedłeś do jaskini, by zabrać złożone wcześniej skarby, które cudownym sposobem miały zostać rozmnożone przez ducha...

Paweł Broniewski zgodliwie kiwał głową, słysząc oddający prawdę opis jego opowieści.

– Tak jest, panie starosto dobrodzieju, na tym właśnie skończyłem – rzekł – i na tym jeszcze, jak odkryliśmy ślady czartowskiej obecności, takie jak siarka oraz smoła rozlane na dnie jaskini i spowijające wszystko iście piekielnym smrodem. A nawet jedna moneta nie została – Broniewski pokręcił z niedowierzaniem głową – nawet jeden pierścień, jeden okruszek srebra. Nic, proszę waszmościów. Nic – powtórzył z rozpaczą.

– Waćpan wspominałeś, że wszystkie zgromadzone w jaskini dobra zostały pieczołowicie opisane, czyż nie?

– Tak jest, proszę waszmości. Zajął się tym sędzia Andrzej Tucholski, człowiek wielce szanowany i nasz przyjaciel. Sporządził dokładne dokumenty, tak aby nie było potem żadnych scysji i aby wszyscy wiedzieli, ile kto w owej jaskini zostawił, a co za tym idzie: jaki udział w zyskach mu się należy.

Jacek Zaremba parsknął śmiechem i zaraz skonfundowany usta dłonią zasłonił, a Ligęza zgromił go wzrokiem.

– Panie Jacku kochany, nie wolno z cudzego nieszczęścia się naigrawać.

– Pokornie upraszam o wybaczenie – rzekł skruszony podstarość – nie z nieszczęścia się zaśmiałem, lecz z tych skomplikowanych przygotowań i liczenia zysków, zanim nadeszły.

– Obiektywnie patrząc, może to i było śmieszne... – zauważył smętnie miecznikowic.

– Wybacz jednak waszmość, że ja, jako subiektywnie zainteresowany, nie będę waćpana wesołości podzielał – dodał znacznie już ostrzej.

– Panie Pawle, najmocniej proszę, byś mi wybaczył tę niestosowną reakcję –

sumitował się Zaremba.

Broniewski skinął tylko głową na znak, że przeprosiny przyjmuje i podstarościeму wybacza niewłaściwe zachowanie.

– Na ile szacowano ten majątek? – spytał pan Jacek. – Mam na myśli oczywiście dobra złożone w jaskini, a nie spodziewane bogactwo...

– Mówiłem waszmościom dobrodziejom, że nawet magnat by takim skarbem nie pogardził...

– Ano mówiłeś.

– Było tego grubo ponad sto tysięcy złotych.

– Jezu Chryste – zdumiał się Jacek Zaremba.

– Hu, hu – zahuczał basem pan Hieronim, równie zdziwiony.

– Że w tak krótkim czasie tak wielki zebrano majątek, świadczy tylko o tym, jak szybko wieść się rozprzestrzeniła i jak ufnie uwierzono, że jest prawdziwa – powiedział podstarość.

– Owczy pęd, panie Jacku kochany – rzekł stolnik.

– Znamy to z innych dziedzin, że nikt nie chce być gorszy od sąsiada – zgodził się Zaremba. – Ot, zobaczy nasz szlachcic, że sąsiad kupił koniki za kilkaset złotych, to zaraz kupi sobie jeszcze droższe, nawet jeśli go na to nie stać. Zobaczy, że sąsiad z dwoma jeździ laufkami, to w najbliższą niedzielę sam z czterema będzie paradował przed kościołem. Tak to i w tym wypadku się stało, jak podejrzewam. Ktoś dał sto złotych, inny dał dwieście, na to trzeci wysupłał pięćset i naśmiewał się z tamtych dwóch: po pierwsze, że chudopachołcy, po drugie, że osiągną marny zysk.

– Pan podstarośći dobrodziej mówi, jakby był wtedy w okolicy – westchnął

Broniewski.

– Natura ludzka wszędzie i zawsze jest jednaka – stwierdził Ligęza. – Powiem waszmościom, że czasem takie współzawodnictwo przynosi dobry owoc. Choć najczęściej jednak zły, a szczególnie kiedy rywalizacja toczy się w niemądrej dziedzinie.

– Ale sto tysięcy! – pan Jacek nie mógł wyjść z zadziwienia. – Toż za podobną sumę można kupić taki klucz pięknych wiosek, że i waszmość, i waszmości wnuki, i wnuki ich wnuków, i ich rodziny, i ich przyjaciele, i ich służba żyliby z tego tak, że ptasiego mleka by im chyba jedynie brakło.

– Właśnie. Gdybyż chodziło o kilkaset złotych, no, o kilka tysięcy, może by się wszystko rozeszło po kościach – stwierdził Broniewski. – Ale

tu nie tylko wielkie zło tym zostało wyrządzone, że suma była ogromna, ale również tym, że grono pokrzywdzonych było nadzwyczaj liczne...

– I tak jak owczy pęd poprowadził panów braci do składania majątku w tej jaskini, tak potem zapewne prowadził ich, by nienawiść do waćpanowego rodu powszechnie głosić.

– I żądanie zadośćuczynienia – dodał miecznikowic.

– Jakżeby inaczej...

– A przecież większość z tej sumy była zostawiona nie w tynfach czy szelągach, ale w prawdziwych złotych dukatach albo w sprzętach i klejnotach wielkiej wartości.

– Dobrze, opowiadaj waćpan, proszę – ponaglił stolnik. – Wchodźcie do jaskini z ojcem waszmości i...?

Paweł Broniewski pokrzepił się łykiem wina, przymknął oczy i zaczął mówić...

Ponieważ wszyscy wiedzieli, że w jaskini ukryto wielkie bogactwa, więc nic dziwnego, że szlachta chciała chronić złożony w grocie majątek. Dlatego otwór wejściowy ściśle zawałono kamieniami oraz kłodami drewna, tak że do wnętrza może by się kot precyzyjnie, ale pies już pewnie nie, o człowieku nie wspominając. Zresztą choć od barykady oddalono się na pewną odległość, to jednak wielkie ogniska tak dokładnie oświetlały miejsce złożenia fortuny, że każdy widział jak na dłoni, co się dzieje u wejścia do jaskini. A nie działo się nic, gdyż szlachta przegłosowała, że nikomu nie wolno się zbliżyć dalej niż na dwadzieścia kroków do barykady, i przepisu tego ściśle przestrzegano. Noc minęła w radosnym oczekiwaniu przy strugach wina oraz miodu, przy pieczonych prosiakach i kapłonach, przy kielbasie i bigosie, ale również przy opowieściach o czarach, o zaklętych księżniczkach, o zamkach pełnych skarbów, o magicznych artefaktach, o nagrodach, których zacnym ludziom – a w towarzystwie każdy przecież uważał się za zacnego – nie szczędziły dobre duchy. Okolicznej szlachty zebrało się ponad sto osób i ze dwa razy więcej pachołków, bo przecież ktoś musiał pilnować koni, zajmować się ogniskami oraz przyrządzaniem posiłków i donoszeniem trunków. Krótko mówiąc: okolica jaskini wyglądała niczym obóz pospolitego ruszenia, gdyż każdy ze szlachciców przyjechał solidnie uzbrojony. Nie spodziewano się co prawda napadu, bo niby kto miałby zaatakować obozujących, skoro okolica była bezpieczna. Każdy jednak, kto zostawił w jaskini pieniądze, wiedział, że

„strzeżonego Pan Bóg strzeże” i lepiej przesadzić z ostrożnością, niż potem płakać, że się było zbyt lekkoduchem.

Wreszcie zza porośniętego drzewami wzgórza ukazała się najpierw różowa poświata, potem czerwona nic z końcami ściągniętymi do dołu, aż wreszcie czerwony półksiężyc opierający się rogami o korony wysokich brzoź. Opowieści, rozmowy i śpiewy przycichły, a siedząca przy ogniu szlachta przyglądała się, jak słońce powoli wędruje po nieboskłonie, aby w końcu pokazać się w całej okazałości.

– Jak waszmość sądzisz, panie mieczniku? Już? – zapytał Andrzej Tucholski.

– Zaczekajmy jeszcze chwilę, panie sędzio. Żeby potem nie mówiło się, że sprawy nie tak poszły, jak trzeba, bo weszliśmy za wcześnie.

Tucholski położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Pozwól waszmość ze mną na stronę. – Spojrzał na pana Pawła stojącego obok ojca.

– Waść też chodź z nami.

Odeszli kilka kroków, tak aby nie słyszano w tłumie ich głosów, i wtedy sędzia zaczął:

– Wielkie nadzieje rozbudowano w naszej szlachcie, ale ja sądzę, panie mieczniku, że nic z tego wszystkiego nie będzie.

– Jak to, panie sędzio drogi? Jak to? Przecież waszmość...

– Panie Protazy kochany, ja w czary nie wierzę ani w czarownice, ani w złe czy dobre duchy – rzekł sędzia wyrozumiałym tonem. – Ten waści Dobrowolski albo jest niespełna rozumu, albo gruby żart przyszykował, za który przed towarzystwem przyjdzie mu odpowiedzieć.

– Ależ...

– Panie bracie kochany – Tucholski nie dał dokończyć miecznikowi – tu za lasem czeka trzydziestu rajtarów, których wyprosiłem od jaśnie oświeconego wojewody...

– Od pana Gnińskiego? – zdumiał się stary Broniewski.

– Nie inaczej – potwierdził sędzia. – Zaraz ich wezwę, by wszystkiego na mój rozkaz pilnowali, gdyż waszmość nie wyobrażasz sobie nawet, do jakiego może dojść tumultu.

– Ale jak to: do tumultu? – nie mógł pojąć pan Protazy.

– Proszę waszmości, jeśli skarby nie zostaną rozmnożone, to nasza szlachta nie zniesie tego lekko. Patrz, waść – Tucholski ruchem głowy pokazał stojących w kilku szeregach szlachciców, którzy przyglądali się

jaskini i tylko oczekiwanie na decyzję sędziego powstrzymywało ich od tego, by rzucić się na barykadę i rozebrać ją na kawałki – podpici i pełni nadziei. To złe połączenie w sytuacji, jeśli nadzieja zostaje zawiedziona.

– To prawda, to prawda – pan Protazy był wyraźnie skonfundowany. – Mój Boże, że też ja o tym nie pomyślałem...

– Gdyby pani Broniewska nie była chora, uzgodniłbym z nią wszystko, ale nie chciałem czcigodnej małżonce waszmości w zdrowieniu przeszkadzać – wyjaśnił sędzia.

Paweł Broniewski natychmiast zrozumiał lekceważenie dla ojca, które przebijało z tych słów. Lekceważenie najprawdopodobniej przez sędziego niezamierzone, lecz przez to nie mniej bolesne, gdyż świadczące o tym, że wszyscy wiedzieli, iż to pani Broniewska nosi spodnie w tym małżeństwie. Pan Protazy jednak słów sędziego wcale nie uznał za uwłaczające ani nie wziął ich za złą monetę, tylko pokiwał głową ze smutkiem.

– Wcale nie zdrowieje biedaczka moja... – poźalił się. – Niemniej pokornie waszmości dziękuję, żeś jej nie kłopotał podobnymi sprawami, zwłaszcza że ona – miecznik obniżył głos, jakby pani Broniewska mogła tę rozmowę podsłuchiwać – o całej sprawie nic nie wie...

– Ach, tak – rzekł sędzia i umilkł na dłuższą chwilę. – Obawiam się również tumultu –

podjął wreszcie – kiedy przyjdzie czas, że każdy będzie mógł i musiał odebrać swoją

własność. A ten proceder trzeba przeprowadzić porządnie, według listy, którą tutaj –

Tucholski klepnął się w pierś – cały czas trzymam.

– Tak, oczywiście, waszmość masz słusność, oczywiście, rzecz jasna... bez wątpienia... – plątał się pan Protazy.

Przeraziła miecznika perspektywa wielkiej bitwy okolicznej szlachty stoczonyj pod jaskinią pełną skarbów, i pluł sobie teraz w brodę, jak mógł wykazać się podobną niefrasobliwością i dopuścić do tego, by nie wyznaczono żadnej formalnej straży. Zazdrościł

też panu Andrzejowi nadzwyczajnej trzeźwości sądów i jednocześnie umiejętności podejmowania decyzji oraz zdolności organizacyjnych, które stały za przysłaniem trzydziestki rajtarów. Bo trzydziestu zawodowych żołnierzy to siła, z którą szlachta musiała się liczyć, choćby była najbardziej rozwścieczona i najbardziej zdesperowana.

– Bardzo waszmości dziękuję, panie sędzio – rzekł w końcu miecznik i serdecznie uścisnął dłoń przyjaciela rodziny – szczerze jestem zobligowany.

– Mądry człowiek ten pan sędzia – stwierdził Jacek Zaremba – przewidział, co może się zdarzyć niezależnie od tego, czy skarby zostałyby pomnożone, czy też nie. Bo wystarczyłoby, aby któryś szlachcic, przypadkiem nawet, sięgnął nie tylko po swoje, ale również po cudze dobro, i już bitwa gotowa.

– Tak, tak – zgodził się stolnik. – Racja to niezbita, że bardzo krótka jest droga od zawiedzionych wielkich nadziei do wielkiego dramatu.

– Niemniej patrzcie waszmościowie, że nawet sędzia, człowiek, jak widać, bardzo praktyczny i rozumny, nie przewidział, że to nie żart lub omyłka obłąkanego umysłu, lecz spisek. – Podstarości obrócił się w stronę Broniewskiego. – I niech to cię pocieszy, panie Pawle: pomyśl, jakimż to sposobem ty, będąc jeszcze zupełnym gołowąsem, miałeś przeniknąć tajemnicę, z którą nie poradził sobie nawet stary, doświadczony urzędnik.

– Święta racja – przytaknął Ligęza.

– Nie wiem, czy to wystarczająca pociecha, że dałem się ogłupić, tak jak wszyscy się dali... – Miecznikowic westchnął. – Przyznam szczerze waszmościom, że nie spodziewałem się po całej sprawie wielkich wyników. Sądziłem, że nic z tego rozmnażania bogactw nie wyjdzie. Ale że wszystko zniknie? Że rozwieje się niczym mgła? Że wyparuje jak kropla wody na rozgrzanej blasze? – Broniewski rozłożył ręce. – Jak mi Bóg miły na niebie, przysięgam, że nawet o tym nie pomyślałem. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Nawet mi taka myśl nie mignęła, nie przeleciała, nie błysnęła... Mój Boże, mój Boże...

Ligęza i Zaremba przez chwilę przyglądali się panu Pawłowi ze współczuciem.

Wreszcie stolnik odchrząknął.

– Obietnica ogromnego zysku, osiągniętego małym wysiłkiem lub zgoła bez żadnego wysiłku, wielu ludzi jeszcze omami i jutro, i za sto lat nawet – rzekł. – Wiercie mi, panie Jacku i panie Pawle, że ludzie nigdy się nie nauczą, iż niemal zawsze do osiągnięcia wielkiej korzyści potrzebna jest wielka praca lub wielkie zdolności. A przez leniwe siedzenie tylko odcisków na tyłku można się dorobić, nie majątku.

– Pieczone gołąbki nie wlecą same do gąbki – skwitował Zaremba.

– Właśnie tak – zgodził się pan Hieronim. – Ale, panie Pawle, opowiadaj, co się dalej zdarzyło.

– Sędzia wezwał czekających rajtarów, którzy ustawili się półkolem u wejścia do jaskini. Nie powiem, całkiem groźnie to wyglądało i szlachta zaczęła sarkać, że niby co to ma znaczyć, że to ich majątek jest w środku, niczyj inny, i że co to za szarogęszenie się obcych żołnierzy...

Ligeża pokiwał jedynie głową ze zrozumieniem.

– Tak, tak, tak... Skąd my to znamy...?

– Jednak pan Tucholski zaraz do wszystkich przemówił – kontynuował Broniewski – a przemówił krótko i tonem nieznoszącym sprzeciwu, toteż szlachta nasza położyła uszy po sobie. A to z trzech powodów, jak sądzę. *Primo*⁹³: że sędziego bardzo szanowano i po mateczce mojej, świeć Panie nad jej duszą, był najznacniejszą osobą w powiecie. *Secundo*⁹⁴: że pan Tucholski miał trzydziestu rajtarów pod rozkazami i dwa razy by się zastanowił ten, kto takiej sile chciałby wejść w drogę. Wreszcie *tertio*⁹⁵: że panowie bracia zrozumieli, iż wojskowa obecność tak naprawdę jest w interesie ich samych, by nie doszło do jakiś niepotrzebnych zwad i zatargów, które mogłyby się zakończyć nie tylko rozlewem krwi, ale również utratą własności.

– I słusznie. Nasza szlachta nie jest głupia, pod warunkiem że ktoś ją zmusi do myślenia – stwierdził podstarość. – Przecież na sejmikach też da się przekonać panów braci o tym i owym lub wyperswadować im to i owo, jeśli się tylko dobrze ich przyciśnie złotem albo stalą.

– Panie Jacku kochany, zauważ jednak, że wielu jest ludzi, których nie trzeba ani przekupywać ani zastraszać, gdyż z własnej woli skłaniają się ku temu, czego i my pragniemy.

93 *Primo* (łac.) – po pierwsze.

94 *Secundo* (łac.) – po drugie.

95 *Tertio* (łac.) – po trzecie.

– Ba!, tak jest najlepiej.

– Ale mówże dalej, panie Pawle, bo przecież ten pan Zaremba nigdy ci nie da skończyć! – stolnik skarcił pana Jacka surowym spojrzeniem.

– Tak jest, proszę waszmości dobrodzieja.

Czterech żołnierzy zabrało się do odwalania kamieni, kłód oraz pni, które szczelnie zagradzały drogę do jaskini. Śledzeni byli uważnymi spojrzeniami całej zebranej szlachty, a na tęże z kolei baczenie spoglądali siedzący w siodłach rajtarzy. Pod samą barykadą czekali Tucholski i dwaj panowie Broniewscy oraz pisarz ziemski, pan Szczaniecki, który jako

znaczna persona i jednocześnie przyjaciel sędziego również został zaproszony, by uczestniczyć w oględzinach. Wreszcie żołnierze poradzili sobie z przeszkodami i jaskinia stała otworem. Czterem szlachcicom podano pochodnie. Miecznik przeżegnał się uroczyście.

– Na chwałę Pańską uczyniliśmy, co uczyniliśmy – obwieścił donośnym głosem – i ręczę, że za skarb tu pozyskany zbudujemy piękny kościół.

Sędzia, pisarz i pan Paweł również się przeżegnali.

– W imię Boże – rzekł Tucholski i jako pierwszy przekroczył próg jaskini.

Za nim poszli – zgodnie z kolejnością urzędu – Szczaniecki oraz Protazy Broniewski, a na samym końcu miecznikowic, który do tego grona doproszony został z uwagi na fakt, że był synem pani Broniewskiej, w której domu Strzeżymir Dobrowolski opowiedział swój sen.

– A gdzież to podziewał się w tym czasie zacny pan Strzeżymir? – zapytał podstarości z ironią.

– I ja próbowałem potem dojść do tego, co działo się z Dobrowolskim, ale... – pan Paweł rozłożył dłonie – kiedy pod jaskinię podjechali rajtarzy, to przez chwilę zrobił się taki zamęt, taki harmider, taki rozgardiasz, że nie sposób byłoby zobaczyć, co robi akurat Dobrowolski, nawet gdyby kogoś to obchodziło. A ja przecież nie miałem szczególnych powodów, by śledzić jego kroki. Powiedzmy tak: przed przyjazdem rajtarów był razem z nami, po przyjeździe rajtarów już nigdy więcej go nie widziałem... żywego.

– Opowiadaj waszmość dalej – poprosił stolnik. Tym razem jednak nie zgromił

Zaremby za przerwanie opowieści, gdyż najwyraźniej uznał pytanie za ważne oraz potrzebne.

Cztery pochodnie płonęły jasnym blaskiem, ale na początku szlachcice niczego nie dostrzegli, gdyż niczego dostrzec nie mogli. Skarby ukryto bowiem za załomem korytarza, a więc z samego progu jaskini nie było widać nic poza ścianami z szarego, spękanego kamienia. Mężczyźni weszli głębiej, ominęli zakręt i stanęli pośrodku głównej komnaty.

Sędzia podniósł pochodnię w wyprostowanej ręce i rozejrzał się.

– Gdzie... gdzie....gdzie... – słowa nie chciały mu przejść przez gardło, a twarz zmieniała się tak strasznie, że w pomarańczowym świetle pochodni Tucholski wyglądał

niczym upiór przybyły wprost z piekła.

– Jezus Maria! Jezus Maria! – zawołał miecznik i popędził do przeciwległej ściany groty, tak jakby się spodziewał, że pod nią znajdzie bogactwa, które z jakiegoś powodu nie tylko zostały przeniesione w inne miejsce, ale i stały się niewidzialne.

Pan Paweł popatrzył w prawo, w lewo, potem nawet obejrzał się za siebie, jakby wierzył, że mogli jakimś dziwnym przypadkiem i zrządzeniem losu ominąć zgromadzony majątek i że został on za ich plecami. Potem miecznikowic wyciągnął najwyżej, jak potrafił, uzbrojoną w pochodnię rękę i spojrzął na półokrągłe sklepienie jaskini. Puste i szare niczym w kamiennej baszcie.

– Waćpan najpewniej myślisz, że nasze talary wiszą teraz pod sufitem? – zgrzytliwy, schrypnięty głos pisarza rozbrzmiał w jaskini.

I wtedy Paweł Broniewski jak stał, tak klapnął na ziemię. Siadł z impetem na kamienistym podłożu, ale nie poczuł nawet bólu. W uszach mu łomotało, jakby młoty bijące w jakiejś diabelskiej kuźni, a przed oczami zrobiło mu się ciemno. Zaczerpnął głęboko tchu.

– Boże, Boże, Boże... – zachrypiał urywanym głosem.

Szczaniecki przyklęknął i zniżył pochodnię.

– Smoła – rzekł głucho.

– Co... co takiego? – sędzia otrząsnął się ze stuporu, w jaki wprowadziło go zniknięcie zgromadzonego przez szlachtę skarbu, i podszedł do pisarza.

– Co waść mówisz, na Boga?

– Smoła i siarka – powtórzył Szczaniecki. – I patrzcie no, Jezus Maria!, odcisk kopyta!

– Ha! O smole i siarce waszmość przedtem nam mówiłeś, ale o kopycie nie! – zawołał

Jacek Zaremba i klasnął głośno. – To nicponie z piekła rodem, niech ich diabli!

– Nie mówiłem? – zdziwił się Broniewski. – No może i nie mówiłem, bo odcisk kopyta mógł być naprawdę śladem diabelskim, ale równie dobrze mógł być śladem po jakiejś kozie czy owcy, która kiedyś się zabłąkała do jaskini.

– To bardzo silna musiałaby być ta koza, żeby zostawić trop w kamieniu – zauważył

Zaremba.

– A niby dlaczego w kamieniu, panie starosto?

– Czy waszmość nie opowiadałeś nam przypadkiem, że podłóże było kamienne, co żywot twój odczuł boleśnie, kiedy z impetem usiadłeś?

Miecznikowic westchnął.

– Gdybyś waćpan tak zręcznie wyławiał ryby, jak wyławiasz słowa, to nie miałbyś równego sobie rybaka w całym świecie – rzekł.

Pan Jacek wielkodusznie postanowił uznać tę uwagę za komplement i jedynie się uśmiechnął.

– Podłóże tej jaskini było rzeczywiście kamieniste, ale zdarzały się na nim łysiny zbitej ziemi – wyjaśnił Broniewski. – I na tej właśnie ziemi pan Szczaniecki dostrzegł odcisk kopyta. Potem wydedukowano, że diabeł porwał nasze skarby, obciążony nimi ześlizgnął się z kamienia i zostawił na ziemi ślad swego kopyta, po czym zniknął w wybuchu ognia, o czym mogły już zaświadczać jedynie pozostałości w postaci siarki oraz smoły.

– Któż to tak zręcznie wykoncypował i wydedukował? – spytał podstarości, mrużąc oczy.

Zakłopotany miecznikowic potarł podbródek.

– A toś mi waszmość zabił klina – powiedział po chwili – głowy nie dam, ale wydaje mi się, że sędzia pierwszy sformułował tę hipotezę. Taaak... chyba on...

– Pan sędzia – powtórzył Zaremba.

– A cóż ty, panie Jacku, z taką dziwną intonacją żeś te słowa wypowiedział? –

obruszył się stolnik. – Czyżbyś znalazł następnego podejrzanego?

– Uchowaj Boże! – zdecydowanie zaprzeczył podstarości. – Sądzę, że Tucholski bardzo szybko zrozumiał, co się tam naprawdę zdarzyło...

– Jak to? – przerwał zdumiony miecznikowic. – I celowo by wszystkich okłamał?

– Panie Pawle, przecież nie wiedział, kto za tym spiskiem i łotróstwem stoi. A poza tym z uwagi na bezpieczeństwo lepiej było zwalić winę na diabła, nie na ludzi...

– Jak to? – powtórzył Broniewski.

– Czy waszmość sobie wyobrażasz, co by się działo w okolicy, gdyby sędzia ogłosił, że skarby zostały ukradzione przez ludzi, nie przez diabły? Po pierwsze wspominałem już wcześniej waszmościom, iż natura ludzka jest taka, że jeśli już mamy zostać pogiębieni, to wolelibyśmy zostać pogiębieni przez władców piekieł, a nie byle łotrów, oszustów czy hultai...

– Racja – kiwnął głową gospodarz, a i pan Paweł przytaknął.

– Po drugie, waszmościowie, gdyby uznano, że człowiek, a nie diabeł za tym wszystkim stoi, zaraz zostałyby zadane pytanie, a że zadane by zostało, mam pewność niezbitą, które by brzmiało: „czy przypadkiem ktoś z okolicy nie pomagał złodziejom?”.

– Ach tak...

– Ano właśnie tak. I kiedy takie pytanie by już zadano, to zaręczam waćpanom, że wylano by wiele krwi, zanim znaleziono by odpowiedź. I wiele ludzkich żywotów mogłoby kosztować to, że odpowiedź owa koniec końców brzmiałaby: „a diabli wiedzą!”.

– Myślisz waszmość? Że sędzia? – miecznikowic pokręcił głową. – Może i tak, może i tak...

– Wam też pewnie pan Tucholski uratował życie – dodał Jacek Zaremba – bo szlachta dała wam spokój tylko dlatego, iż sądziła, że wina leży po stronie królestwa Szatana, a nie królestwa ludzi.

– Dała spokój? – powtórzył z goryczą Broniewski – Waszmość nie wiesz, o czym mówisz, za przeproszeniem...

– Wiem, o czym mówię, panie Pawle – odparł spokojnie podstarości. – Ja rozumiem, że spotkała was tragedia, gdyż straciliście majątek i dobre imię. Ale pamiętaj waszmość, że jednak nie straciliście życia.

– Niby zawsze to jakaś pociecha – przyznał pan Paweł – choć ośmielam się sądzić, że ojciec mój dobrodziej wcale już nie chciał żyć, kiedy utracił wszystko, co kochał i lubił, a na własne życie nie targnął się jedynie z uwagi na szacunek dla Boskich przykazań.

– Jak zebrana przed jaskinią szlachta przyjęła wieści?

Broniewski opuścił głowę.

– Przyznam waszmościom, że ja pod ziemię chciałem się zapaść i tylko sobie myślałem, Boże, przebacz mnie grzesznemu, żeby ten diabeł znowu spod ziemi wyskoczył i tym razem mnie porwał, bym nie musiał stanąć przed szlachtą ani widzieć, jak ojciec mój z gniewem oraz żalem sąsiedzkiem musi się mierzyć...

– Ba, rozumiem waszmości – odezwał się Ligęza współczująco.

– Dzisiaj pewnie byłbym śmielszy, zwłaszcza że tylko winni mogą się bać, a my jeśli czym zawiniliśmy, to zaledwie niefrasobliwością.

Podstarości nazwałby to co prawda skrajną naiwnością oraz wyjątkową głupotą, ale oczywiście nie zamierzał prostować słów miecznikowica. Doskonale bowiem rozumiał, że pan Paweł, nie do końca

nawet świadomie, będzie próbował umniejszyć winę ojca. A wina ta była niewątpliwa, choć nieумыślna.

– Na szczęście dla wszystkich – kontynuował Broniewski – sędzia Tucholski zachował trzeźwy i chłodny umysł. Wiedział, czym może grozić tumult, jak straszne mogą się okazać konsekwencje zwady, w której uczestniczyłoby kilkudziesięciu zamroczonych gniewem szlachciców wraz ze zbrojnymi pachołkami.

– Jakiż sposób na uspokojenie nastrojów znalazł pan sędzia?

– Wyszedł przed jaskinię i przywołał do siebie sześciu szlachty, ludzi znacznych w okolicy. Nie tak znacznych jak my, Broniewscy – w głosie pana Pawła zabrzmiała niemal magnacka duma – niemniej powszechnie poważanych. Wytłumaczył im wszystko z takim spokojem, że mnie, kiedy słuchałem jego rzeczowego głosu, serce przestało się w piersi szamotać i zacząłem, rychło w czas, w miarę trzeźwo myśleć.

– Zrozumieli?

– Zrozumieli i wyszli razem z sędzią i z nami, a tam Tucholski już całemu towarzystwu objaśnił, jak odnaleźliśmy w grocie ślady diabła, który to diabeł porwał

wszystkie skarby.

– Potem pewnie powiedział, że to znak od Boga, który ma sprawdzić waszą wiarę i wierność, zupełnie tak jak Hioba, którego wpierw nasz Pan doświadczył przemożnym cierpieniem, by potem nagrodzić za to, iż owo cierpienie nie złamało jego ducha.

– A waszmość skąd o tym wiesz!?! – Broniewski odwrócił się niczym żgnięty igłą.

Pan Jacek uśmiechnął się nieznacznie.

– Bo ja bym tak powiedział – odparł.

Miecznikowic przyglądał się Zarembie dłuższą chwilę.

– No, no... – rzekł. – W takim duchu rzeczywiście przemawiał pan sędzia. Może nie dokładnie tymi słowami, ale w tym właśnie duchu. Obiecał również, że ubłaga biskupa chełmińskiego, by przybył i odprawił mszę, a może wtedy więzione czarną, szatańską magią skarby z powrotem pojawią się w jaskini.

– Proszę, proszę – zaśmiał się podstarość – na taki koncept nie wiem, czy wpadłbym.

Już ja widzę biskupa, jak wyciera tyłek po chaszczach, by odprawić mszę w leśnej jamie...

– Kiedy nieszczęście zwała się na człowieka, wtedy uwierzy każdemu, kto mu da choć cień nadziei – stwierdził poważnie Hieronim Ligęza. – Niechby marna to była nadzieja, złudna, płocha, ale zawsze jednak jest to nadzieja. Tak, waszmościowie, tak, słusznie postąpił

ten pan Tucholski, bo choćby dziewięciu na dziesięciu szlachciców w innej sytuacji uznało jego słowa za głupstwa, to w tamtej chwili może pozwoliły im one, by nie wpadli w taki gniew lub taką rozpacz, które zawładnęłyby ich rozumem oraz sprowokowały do uczynków, których wszyscy by potem żałowali.

– Masz waćpan dobrodziej całkowitą rację – Broniewski gorąco poparł stolnika. – Nie wiem, czy gdyby nie spokój sędziego, gdyby nie jego zapewnienia o tym, iż Boży lud godnie musi przeciwstawić się diabelskim prowokacjom, nie wiem, waszmościowie, co by to było...

A tak to co prawda do wieczora trwały oględziny i poszukiwania, narady i dyskusje, ale przynajmniej nikt nikogo nie zabił.

Pan Paweł odetchnął, podumał dobrą chwilę, upił łyk wina, po czym wrócił do swej opowieści.

Panowie Broniewscy wrócili do domu późną nocą. Przez całą drogę jechali w zupełnej ciszy, bo też nie wiedzieli, co powiedzieć – co nie byłoby lamentem, złorzeczeniem lub błaganiem o odmianę dramatycznego stanu rzeczy. A że w tym strasznym czasie każde słowo ujawniałoby ich słabość i bezradność, woleli zachować całkowite milczenie.

Pan Protazy już wcześniej wysłał zarządcę, by pod groźbą najsurowszej kary zabronił

służbie gadać o tragedii, do której doszło w jaskini, ale wiedział przecież, że nie będzie mógł

owego zdarzenia ukrywać przed małżonką przez całe życie i że lepiej, by o wszystkim dowiedziała się od niego niż od kogoś obcego albo musiała zlepić prawdę z okruchów ludzkich rozmów niczym jakąś stłuczoną mozaikę.

Ojciec i syn usiedli sami w gabinecie i przez dłuższą chwilę patrzyli jeden na drugiego, nadal niepewni co powiedzieć: czy użalać się nad sobą, czy zapewniać o pomyślnym obrocie przyszłych spraw. Wreszcie pan Protazy zdecydował się przerwać milczenie.

– Mój Boże, mój Boże, co za nieszczęście, co za dramat, jakże ja teraz spojrzę w oczy twojej matce? – miecznik ukrył twarz w dłoniach.

– Ojciec dobrodzieju, ja radzę lepiej pomyśleć, jak spojrzeć w oczy sąsiadom... – rzekł

ponuro pan Paweł.

Stary Broniewski spojrział na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Co takiego sąsiadom, Pawełku? Przecież wszyscy widzieli, co i jak się stało. Siła nieczysta, ot i wszystko. Tak samo żeśmy ucierpieli jak i inni... – Pan Protazy westchnął

przejmująco. – Trzeba by zaprosić jakiego egzorcystę wielkiej świętości albo biskupa, by z całej okolicy zdjął przekleństwo, wszystkim pobłogosławił, a diabły jakie, jeśli się na nie natknie, przegnał precz. My, Broniewscy, wszystkie ekspensa w tej mierze zapłacimy co do grosza – dodał, dumnie podnosząc głowę.

Paweł Broniewski aż chciał załamać ręce nad naiwnością ojca, który sądził, że opłacenie kosztów biskupiej wizytacji udobrucha sąsiadów.

– Ojciec nie słyszał, co inni mówią, prawda? A mnie się już to i owo obiło o uszy.

Będzie bieda, ojciec dobrodzieju, i musimy się na nią przygotować.

– Pawełku drogi, co ty opowiadasz, synu? – najzupełniej szczerze zdumiał się miecznik. – Jaka bieda? Może i będą na nas trochę źli, bo na naszej ziemi rzecz się wydarzyła, ale po pierwsze – pan Protazy zagiął palec – nie ja historię nieszczęsnego ducha opowiedziałem, ale pan Strzeżymir. Po drugie nasza rodzina straciła w tej jaskini i w wyniku

demoniej podłości równie dużo złota co inni, a może nawet więcej. Jezus Maria! – miecznik załamał dłonie. – Twoja matka nigdy mi tego nie wybaczy!

– Ale chyba wszystkiego nie straciliśmy? – zapytał ostrożnie miecznikowic.

– Nie, Pawełku, pewnie, że nie – stary Broniewski gwałtownie potrząsnął głową. –

Straciliśmy złoto chowane w skarbczyku, ale tych skrzynek co – miecznik obniżył głos do szeptu – zakopane są pod jabłonią, nie ruszyłem, bo nawet gdybym chciał, to nie było jak przy tyłu gościach, żeby nikomu przypadkiem nie zdradzić naszego sekretnego miejsca.

– Bogu dziękować – westchnął pan Paweł. – A ojciec dobrodzieju wie, że kilku szlachty się zadłużyło, żeby mieć gotowiznę? Ojciec dobrodzieju wie, że panowie Łączyńscy wieś puścili w zastaw, zresztą za całkiem podłą sumę, żeby tylko mieć talary dla owego ducha?

– Jezus Maria, nic nie wiedziałem! Co za nieszczęście, co za nieszczęście, Pawełku.

Czemuż to zły duch właśnie na nas zagiął parol? Trzeba się przed nim uchronić, by następnej krzywdy nam nie wyrządził... Ja... zaraz poszukam w księgach jakowejś...

– Ojczy, posłuchaj mnie! – syn przerwał ojcu niegrzecznie i stanowczo, gdyż całkowite niezrozumienie powagi sytuacji przez głowę rodziny zaczęło powoli doprowadzać go do pasji. Trudno było też przyznać młodemu Broniewskiemu przed samym sobą, że okropnie się bał, iż zostanie sam w obliczu owego tragicznego kłopotu, gdyż bujający w obłokach rodzic nawet nie będzie wiedział, jak mu pomóc.

– Słucham – pan Protazy spojrział na syna ze zdumieniem, gdyż ten chyba jeszcze nigdy nie odezwał się do niego takim tonem.

– Ojczy, zapewniam cię z całą mocą, że intrygi i knowania złych duchów będą ostatnim z kłopotów, jakie nas czekają w nieodległej przyszłości.

– Racja! – miecznik klasnął i rozpogodził się. – Nasunąłeś mi pewną myśl, Pawełku.

Oto powiem ci, co uczynię: zwołam wiec sąsiedzki i wszystko naszym przyjaciółom oraz znajomym dokładnie oraz precyzyjnie na owym wiecu wyłuszcę, tak że kiedy się zakończy, to wszystko dla wszystkich stanie się jasne niczym słońce – pan Protazy uśmiechnął się szeroko – i nawet jeśli teraz są jakieś podejrzenia, niedomówienia, czy nawet, Boże, wybacz im, oskarżenia, to przetnę je u samych korzeni, by nigdy więcej nie odrosły.

– Wielce odważna decyzja – pochwalił stolnik – trzeba przyznać, że po cezariańsku waszmości ojciec postanowił postąpić, nie po kunktatorsku.

– Decyzja może i odważna, ale w niesprzyjających okolicznościach mogła pana miecznika kosztować głowę – stwierdził dużo bardziej sceptyczny Zaremba.

– I ja tak właśnie sądziłem, panie starosto dobrodzieju – kiwnął głową Broniewski –

bo ojciec mój dobrodziej był człowiekiem wybitnej wiedzy, niespotykanej szlachetności i czułego serca, ale Pan Bóg poskąpił mu zdolności oratorskich. Bowiem ktoś tak świetnie wykształcony jak mój ojciec dobrodziej powinien doskonale wiedzieć, że do szlacheckiej braci trzeba często przemawiać językiem serca, nie językiem rozumu. Użalić się, łzami zalać, może i koszulę rozedrzeć na piersiach...

Pan Jacek roześmiał się, gdyż rzeczywiście znał podobnie wybitnych sejmikowych oratorów, którzy w ciągu kilku minut potrafili panów braci przekabacić na swoją stronę, gdyż tak pięknie przemawiali. I mówili właśnie głównie do uczuć, nie do rozumu.

– ... poza tym sprawę należało przedstawić jasno, prosto i czytelnie – kontynuował

młodzieniec – a mój ojciec zaraz by się wdał w zawile konstrukcje stylistyczne i gramatyczne, zaraz by zaczął cytować a to autorów greckich, a to niemieckich, a to francuskich i skutek byłby taki, że połowa zebranych nic by nie zrozumiała, natomiast druga połowa byłaby przekonana, że ojciec mój dobrodziej próbuje tą mętną przemową ukryć prawdę o tym, iż nikt inny, tylko my, Broniewscy, jesteśmy całemu nieszczęściu winni.

– Surowo waszmość oceniasz ojca – zauważył Ligęza.

– Broń Boże, stolniku dobrodziej! – zakrzyknął zgorszony tym podejrzeniem miecznikowic. – Nigdy by mi surowa ocena ojca dobrodzieja mego nie powstała w myśli.

Jestem pewien, że jego mowa spodobałaby się uczonym akademikom, którzy mogliby podziwiać odczytanie i swadę autora oraz wykwinny kunszt składania wielokrotnie złożonych zdań. Ale ręczę, że nie spodobałaby się naszej szlachcie, która na wiec stawiałaby się podpita, jeśli nie pijana, zła, gdyż majątek utraciła, i rozżalona, bo przekonana, że z naszej stało się to winy. Z naszej, najpotężniejszego rodu w okolicy.

– To prawda – poparł Broniewskiego podstarości. – Gdyby pan miecznik przygotował

mowę w tym stylu, o jakim opowiada pan Paweł, to równie dobrze mógłby do panów braci gadać po turecku i tyle samo by pojęli. Sądzę, że tylko gorzej mogłoby się to skończyć, niż się zaczęło.

– Właśnie, właśnie! – zakrzyknął miecznikowic. – To miałem na myśli, stolniku dobrodziej, a nie by niewdzięcznie plwać na pamięć ojca mego dobrodzieja!

– Mój Boże, przecież nic takiego waćpanowi nie zarzucam – gospodarz poczerwieniał

– i bardzo dobrze żeście waszmościowie tak jasno wyłuszczyli swe przemyślenia, gdyż w tej chwili mogę się z nimi całkowicie i bezapelacyjnie zgodzić. – Stolnik obrócił spojrzenie na miecznikowica. – A pamięci ojca waćpana, panie Pawle, ani nie chciałem uwłaczać, ani nie suponowałem, iż ty miałeś taki zamiar.

– Pokornie dziękuję waćpanowi dobrodziejowi – Broniewski pochylił głowę.

– Rozumiem, że waszmość przetłumaczyłeś ojcu niebezpieczeństwa tkwiące w realizacji podobnego zamysłu?

Miecznikowic skinął twierdząco głową.

– Zabrało to trochę czasu i sił, ale jakoś się udało.

– A waćpana nie kusiło, by do panów braci publicznie przemówić? – zagadnął Jacek Zaremba.

Pan Paweł tylko prychnął, rozbawiony.

– Ja, proszę waszmości? Kto by mnie wtedy słuchał, panie starosto? Jeszcze by to wzięli za dowód lekceważenia, że taki gołowąś śmie do nich przemawiać, zupełnie jakby się uważał za lepszego od nich samych.

– No prawda, prawda, bo waszmość byłeś wtedy bardzo młody – zreflektował się pan Jacek. – A matka dobrodziejka waćpana nic nie mogła wskórać?

– Mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, po pierwsze o niczym nie wiedziała, gdyż ojciec mój dobrodziej pod karą batów i przegnania z domu zabronił służbie, by cokolwiek mateczce mojej, świeć Panie nad jej duszą, zdradziła, po drugie jeśli nawet by się dowiedziała, co potem zresztą nastąpiło, to i tak nie byłaby w stanie do towarzystwa przemówić. Bo tak była słaba – kontynuował miecznikowic z ogromnym smutkiem – że ledwo potrafiła coś zaszeptać, ledwo na łóżku się podnosiła. A co tu mówić o przekonywaniu panów braci, o jeżdżeniu od dworu do dworu lub wystąpieniu na wiecu... Nawet mowy żadnej o tym nie było!

Podstarości miał dziwne wrażenie, że gdyby pani Broniewska była zdrowa, to jakoś potrafiłaby wyprowadzić swą rodzinę z opresji, w którą bezmyślnie wciągnął rodzinę Protazy Broniewski. Przynajmniej tak można było sądzić, pamiętając o poprzednich zwierzeniach pana Pawła, który opowiadał, jak bardzo jego matka była gospodarna i zaradna i – czego pan Paweł już nie mówił, ale co łatwo dało się wywnioskować – jak zręcznie łączyła łagodny wdzięk z całkowitą bezwzględnością. Zaremba dobrze wiedział, jak niebezpieczne są kobiety, które rozum i urodę potrafią przekuć w oręż mający wyrąbać im drogę do szczytów lub bogactwa. I często ich ambicje były groźniejsze od ambicji mężczyzn, gdyż po istocie o anielskim wyglądzie nikt nie spodziewał się diabelskiego sposobu działania.

– A nie znalazł się jakiś przyjaciel rodziny, który w waszym imieniu zwróciłby się do szlachty? – zagadnął pan Jacek.

Broniewski skrzywił usta.

– Tak, to prawda, że rodzina nasza miała wielu przyjaciół i wielu klientów. Szkopuł

jednak tkwił w tym, że wszyscy oni mniejszą lub większą fortunę w owej jaskini stracili...

– Nikomu się więc nie paliło, by w waszym imieniu, w waszym interesie i za waszą sprawą przemówić – dokończył podstarości.

– Ano nie, panie starosto. Rychło okazaliśmy się pochyłym drzewem. A jak jedna koza bezkarnie na nie skoczyła – Broniewski zgrzytnął zębami – to i reszta zrozumiała, że może pójść bez lęku jej śladem.

– Tak właśnie bywa – zgodził się Zaremba. – Czyż nie znamy podobnego zachowania nie tylko z ludzkiej, ale i ze zwierzęcej natury? Kto był silny, lecz osłabł, to zaraz wrogów jego słabość ośmieli i żywcem rozszarpia go na sztuki.

– I tak właśnie nas rozszarpali – posepnie przyznał miecznikowic.

– Ktoś stanął w waszmościów obronie?

Młody szlachcic zacisnął usta i pokręcił głową.

– Jeśli ktoś był nam życzliwy, to po prostu nie brał udziału w nagonce. Ale żeby ktoś własną pierś chciał nas zasłaniać... Nie, co to, to nie. Ale wiecie, waszmościowie, zdumiewająca była jedna rzecz w tym wszystkim. Oto ów Aleksander Małachowski, starzec plugawy, którego wszyscy serdecznie nienawidzili, ten sam Małachowski, który od początku opowieści o duchu się naigrawał, ten, którego waszmość – Broniewski spojrzał na pana Jacka

– oskarżyłeś, iż w rzeczywistości należał do skierowanego przeciw nam spisku...

Podstarości skinął poważnie głową na znak, że owe oskarżenia podtrzymuje i pewien jest ich trafności.

– ... oto ten właśnie Małachowski okazał się w godzinie kryzysu i próby człowiekiem spokojnym oraz godnym zaufania. Nie naigrawał się z nas i nie powtarzał z wyższością oraz satysfakcją: „a nie mówiłem?”, lecz podtrzymywał nas na duchu i ostrzegał przed możliwymi niebezpieczeństwami.

– Czyli nie umknął od razu? – spytał ze zdziwieniem Zaremba. – A to dziwne... Co go jeszcze trzymało w okolicy, skoro już swój cel osiągnął?

– Skoro waszmość powiedziałaś, że Małachowski zabił swego wspólnika, owego pocziwie wyglądającego Dobrowolskiego, to może miał jeszcze kogoś w kompanii? –

odezwał się stolnik. – Może musiał pozbyć się kolejnego świadka? Co o tym sądzisz, panie Jacku kochany?

– Mogło tak być – zgodził się podstarość. – Nie zdarzył się jakiś inny dziwny wypadek w okolicy? – zwrócił się do miecznikowica. – Nie zamordowano kogoś ze szlachty zaraz po tym wydarzeniu?

– Pan Łączyński powiesił się na własnej gruszy – przypomniał sobie Broniewski po chwili namysłu – ale chyba nie o to waszmości chodziło. No a jak Łączyński się powiesił, to jego starszy brat omal z żalu nie oszalał i takie wezwania krucjaty przeciw nam rozniecił, że szkoda gadać...

– I długo jeszcze ten Małachowski siedział u waszmość państwa w gościnie?

– Długo to nie. Przyznam jednak waszmościom dobrodziejom, że jedną rzecz chyba nam dobrze doradził przed swoim wyjazdem, a mianowicie, by mateczkę moją, świeć Panie nad jej duszą, wysłać do rodziny na Kujawy, żeby nie musiała tej tragedii oglądać na własne oczy. A że wyprawa źle się skończyła, niczyja to już wina, lecz wola Boska – pan Paweł

westchnął i przeżegnał się uroczyście. – I lepiej chyba, że mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, zgasła spokojnie i z modlitwą na ustach na plebanii w Gniewkowie, przy zacnym księdzu i obdarzona ostatnim sakramentem, niż gdyby miała umierać otoczona sąsiedzką nienawiścią, przyglądając się, jak wszystko, co zbudowała, wali się w wieczną ruinę.

– Na pewno tak było lepiej, proszę waszmości. Słuszną podjąłeś decyzję – rzekł

Zaremba. Jednak zaraz potem spojrział w stronę gospodarza w sposób wielce znaczący, bo przecież obaj dobrze usłyszeli, kto doradził, by panią Broniewską wysłać na Kujawy. – I powiedz nam jeszcze, panie miecznikowicu, kiedy dokładnie Małachowski odjechał?

Paweł Broniewski potarł górną wargę.

– Hmm... kiedyż to mogło być? No może tydzień po całej tej tragicznej katastrofie, góra dziesięć dni, ale na pewno nie więcej. Pożegnał się z nami uprzejmie i prosił, byśmy mu odjazd wybaczyli, ale on zawsze przecież knowania z duchami wszystkim odradzał, więc teraz nie chce uczestniczyć w sporach, które z owych kontaktów wynikną.

– Cóż, przynajmniej szczerze – mruknął pan Hieronim.
– Wielki żal, że waćpana matka nie zdołała dojechać do swych krewnych – powiedział

podstarości. – A oni, rodzina matki dobrodziejki waćpana, nie mogli wam jakoś pomóc w biedzie?

– Och, to nie mateczki mojej, świeć Panie nad jej duszą, była rodzina, ale kuzyn od strony ojca – wyjaśnił pan Paweł. – Uczciwa szlachta, lecz nieznaczną. Nawet gdyby bardzo chcieli, nic by nam nie pomogli poza tym, że mateczkę moją, świeć Panie nad jej duszą, chętnie zgodzili się ugościć, bo zawsze byli to ludzie serdeczni i prawi.

– Czyli matka waszmości bezpiecznie, jak rozumiem, wyjechała? Nie obawialiście się waćpanowie, pan, panie Pawle, i waszmości ojciec, że w czyjejś gorącej głowie może zrodzić się myśl porwania pani Broniewskiej?

– Przyznam, że i owszem, w mojej głowie podobna myśl powstała, jednak ojciec mój dobrodziej zbyt był zacny i zbyt prostoduszny, ową prostodusznością uczciwego człowieka, który w bliźnich widzi raczej stworzenia obdarzone Bożą iskrą, a nie potwory, aby brać podobne zdarzenie pod uwagę.

– Waszmość jednak wzięłeś?

– Tak, proszę waćpanów dobrodziejów. Mateczce mojej, świeć Panie nad jej duszą, przydzieliłem eskortę złożoną z najzaufańszych dworzan i pachołków. A że nikomu już do końca nie wierzyłem, to wcześniej im obiecałem, że wszystkie szkody, jakie ponieśli, Broniewscy im pokryją z naddatkiem.

Pan Jacek syknął, słysząc te słowa. Broniewski obrócił głowę w jego stronę.

– Waszmość już wiesz, prawda? Wiesz, jaki popełniłem błąd?

– Niestety, domyślam się. Skoro jednym stratę ocukrzyłeś, to zaraz drudzy zapytali: czemu nie mnie!?

Pan Paweł westchnął i skinął głową.

– Tak się właśnie stało, panie podstarości. Dokładnie tak jak waszmość dobrodziej mówisz.

– Jak z waści słów rozumiem, nie tylko szlachta, ale również służba do owej jaskini złożyła swoje oszczędności? – spytał stolnik.

Broniewski odwrócił spojrzenie w stronę stolnika.

– Aż żal było potem na nich patrzeć – przyznał współczująco – bo niektórzy dawali po kilka czy kilkanaście złotych, a to było wszystko, co

mieli na szerokim świecie. Znowu inni, z tego co wiem, zapożyczyli się u Żydów i kiedy złoto zniknęło, to zostali nie dość, że bez niczego, to jeszcze z długami.

– A Żydzi? – ożywił się Jacek Zaremba. – Czy któryś z nich złożył własne pieniądze w jaskini? Rozumiem, że żaden nie zrobiłby tego osobiście, bo zysk miał przecież iść na katolicki kościół, ale może wiesz waszmość, może słyszałeś o tym, czy któryś z nich zainwestował pieniądze przez podstawionego szlachcica czy nawet pachółka?

– Nie – odparł zdziwiony miecznikowic – o czymś podobnym nie słyszałem. Nie sądzę jednak – dodał po chwili – by po wszystkim ktokolwiek się chwalił podobnym przedsięwzięciem, nawet jeśli w nim uczestniczył.

– Ja bym się nie zdziwił, gdyby żaden Żyd na podobny figiel się nie nabrał –

stwierdził Ligęza – bo trzeba przyznać, że nosy to oni mają niezwykle czułe i jak coś im zaśmierdzi, w te pędy uciekają...

– Za pozwoleniem, mości stolniku, ale gdyby wszyscy Żydzi mieli takiego wyśmienitego nosa, to nie byłoby wśród nich tyle biedoty, która przymiera głodem, chodzi w łachmanach i zamarza w zimie.

– Tu masz, panie Zarembo kochany, rację, ale przyznaj też, że ci Żydzi, którzy się już wzbogacili, nadzwyczajny mają talent, by raz zarobionych pieniędzy nie utracić, lecz przeciwnie: skutecznie je pomnażają. Dlatego właśnie sądzę, iż żaden z nich nie wpadł w ową nieprzyjemną pułapkę.

– Nic na ten temat nie mogę powiedzieć, bo nic nie słyszałem – powiedział

Broniewski. – Zresztą, jak waszmościowie dobrodzieje się domyślacie, ważniejsze miałem kłopoty na głowie, niż dumanie nad dolą miejscowych Żydów.

– W to nie wątpię – zgodził się podstarość.

– A powiedzże nam, panie Pawle... – zaczął stolnik, a Jacek Zaremba pomyślał, że chyba zaraz padnie pytanie o rodzinę pani Broniewskiej i o to czy przypadkiem nie miała równie pięknej co ona sama siostry lub kuzynki.

Ligęza nie zdążył jednak dokończyć, gdyż do gabinetu wpadł spocony i zdyszany Jan Barański z nosem czerwonym od słońca i łysiną upstrzoną kroplami potu.

ROZDZIAŁ 4

Wojewoda Ernest Denhoff

– Panie stolniku, na słowo proszę! – zawołał zarządca.

– Baranusiu mój kochany, ależ...

– Stolniku dobrodzieju, słoweczko!

Broniewski zerwał się z miejsca.

– Waszmość dobrodzieju, ja nie będę waszmościom przeszkadzał. Co miałem rzec, to rzekłem, a jeśli waćpanowie będziecie chcieli znać jeszcze inne szczegóły, to chętnie je dopowiem, choć nie wiem, w jaki sposób mogłoby się to naszej sprawie przysłużyć.

– Dziękuję, panie Pawle, i wybac, proszę, to nagłe i niespodziewane wtargnięcie... –

gospodarz obrzucił Barańskiego nieprzychylnym spojrzeniem, czym zresztą pan Jan nie przejął się nawet w najmniejszej mierze. – A ciebie, panie Zarembo poproszę potem na słówko.

– Sługa dobrodzieja.

Obaj szlachcice wyszli, zostawiwszy stolnika z zarządcą w gabinecie. Podstarości odprowadził Broniewskiego do pokoju, a potem sam przeszedł się najpierw do kuchni, potem do jadalni, wreszcie, usłyszawszy z dala trzask zamykających się drzwi gabinetu, wrócił do pana Hieronima. Stolnik siedział na zwykłym miejscu, Zarembo wskazał gestem przeciwległy fotel, po czym popatrzył przyjacielowi prosto w oczy.

– Panie Jacku kochany, czy ty wiesz może, co ten mój Baranuś knuje? – zapytał, cedząc słowa.

– Nie rozumiem, co waćpan masz na myśli – odparł ostrożnie Zarembo, chociaż niestety od razu się domyślił.

– Szykuje jakąś wielką ceremonię czy ucztę, czy jak to nazwać, dla moich chłopów. –

Ligęza wydał usta. – Ja przeciw temu nic nie mam, bo co roku na Zielone Świątki we wszystkich moich wsiach opłacam dwudniową zabawę, a najznacniejszych gospodarzy zapraszam nawet do dworu, ale przecież Zielone Świątki dawno już były...

– A skąd supozycja, że właśnie ja mogę coś wiedzieć?

– Stąd, panie Zarembo, że Baranuś wygadał się, iż usłyszał od ciebie jakąś historię, która nasunęła mu myśl, w jaki sposób poradzić sobie z suszą. Potrzebował mojej zgody in

blanco, że tak powiem, gdyż twierdził, że konieczna jest mu ona w jakichś negocjacjach. –

Stolnik bacznie przyglądał się młodszemu towarzyszowi. – Co to za historia, panie Jacku?

– A czemuż pan Barański waszmości nie opowiedział?

– Twierdził, że to ma być niespodzianka.

– Waszmość dobrodzieju sądzisz zatem, że ja pana Jana zdradzę?

Stolnik westchnął i pokręcił głową.

– Widzę, że jakowaś konspiracja została przeciwko mnie założona...

– Uchowaj Boże, stolniku dobrodzieju, nie konspiracja, a zaledwie niespodzianka. I skoro pan Barański nie chce wyjawić, na czym ona polega, to waćpan nie każ mi, proszę, go zastępować, bo się pan Jan śmiertelnie na mnie obrazi.

Pan Hieronim kiwnął głową z uśmiechem.

– O, już mój Baranuś potrafi się obrazić, kiedy sprawy nie idą po jego myśli. Dobrze coś o tym wiem... Tylko widzisz, panie Jacku kochany, w innej sytuacji proszę bardzo, niech sobie Baranuś szykuje, jakie chce figle, bo ufam mu bez granic i nigdy się na tym zaufaniu nie zawiodłem. Ale w tej sytuacji, jaka jest i której ty, panie Jacku, wszystkie znasz detale, rozumiesz chyba, że chcę mieć wgląd we wszystko, co się wydarzy...

– To prawda. Rozumiem doskonale – podstarość zgodził się od razu i bez sprzeciwu.

– Bardzo cię zatem proszę, byś mi ten sekret wyjawiał, a ja zobowiązuję się, że ani jednym słowem i ani jedną miną nie zdradzę się przed Baranusem, że cokolwiek wiem.

Pan Hieronim przemawiał na tyle poważnym tonem, iż Zaremba zrozumiał, że dłużej nie będzie mógł się wymigiwać od odpowiedzi, bo byłoby to bardzo niegrzeczne zachowanie względem szlachcica godniejszego, starszego i jeszcze w dodatku gospodarza.

– Panie stolniku, w takim razie nie mam innego wyjścia, jak powiedzieć ci wszystko, co wiem...

Ligęza z zadowoleniem skinął głową, słysząc te słowa.

– ... chociaż co konkretnie i szczegółowo zamierza pan Barański, o tym daję słowo szlacheckie, nie mam bladego pojęcia. Mogę jedynie waszmości wyjawić, jaką historię z czasów antycznego Rzymu opowiedziałem panu Janowi, na podstawie której on jakiś swój zamysł zamierza wcielić w życie.

– Rzymska historia? – stolnik zmarszczył brwi. – Opowiadaj, panie Jacku, bardzo cię proszę. – Pan Hieronim sapnął. – Tego mi jeszcze brakowało: Rzymu w domu...

– Otóż w dziele któregoś z rzymskich historyków, nie pomnę którego, choć wydaje mi się, że Pliniusza, wyczytałem opis pewnej afrykańskiej wyprawy wojennej, jaka odbyła się za czasów wczesnego cesarstwa. Wyprawa miała na celu poskromienie koczowników

atakujących z głębi lądu marokańskie wybrzeże. Rzymski generał zapędził się daleko w głąb pustyni i jakoś tak się złożyło, że oazy, na jakie miał trafić po drodze, bądź w ogóle nie istniały, bądź też wyschły i nie było w nich ani kropli wody...

– Paskudna sprawa.

– W rzeczy samej, stolniku dobrodzieju, gdyż koczownicy wciąż się cofali coraz dalej i dalej w głąb lądu, a rzymska armia nie miała już tyle zapasów wody, by bezpiecznie wrócić do najbliższej studni. Było niemal pewne, że umrą i tym sposobem podziela los owych nieszczęsnych Persów dowodzonych przez Kambyzesa, których, jak pisze Herodot, zaginęło całe pięćdziesiąt tysięcy, i to zaginęło tak gruntownie, że ani jeden świadek klęski nie powrócił do swych towarzyszy.

– Pamiętam tę opowieść, panie Jacku, pamiętam dobrze. Zdaje się, że nawet żadnego szkieletu nie znaleziono, tak jakby cała armia była zaledwie kroplą wody, która wyparowała na nagrzanym piasku.

– Bogu dziękować, że my w Rzeczypospolitej nie mamy pustyń, a rzek, jezior i stawów tyle jest u nas, że cały świat mógłby się opić do syta i jeszcze dla nas samych by starczyło.

– To prawda, że Bóg był łaskaw dla Rzeczypospolitej – skinął głową Ligęza. – Tylko obywatele by nam się więcej przydało, bo przecież gdzie nam się porównywać do takiej Francji, która, choć od Rzeczypospolitej znacznie pod względem terytorium mniejsza, to ludności ma ze cztery razy tyle. – Stolnik zatrzymał surowe spojrzenie na Zarembie. – I to uwaga do ciebie, panie Jacku. Bo taki chwyt jak ty, nie przymierzając, już powinien być otoczony gromadką dzielnych smyków, których uczyłyby odwagi, roztropności i lojalności, a nie marnotrawić czas w bezżennej bezdzietności, tak jak ty postępujesz ku mojemu głębokiemu ubolewaniu.

Podstarości rozłożył dłonie.

– Kiedy powołania jeszcze nie mam, waćpanie dobrodzieju.

Pan Hieronim pogroził mu palcem.

– Ty mi tu, waszmość, nie rozsnuwaj mgły przed oczami i nie tłumacz się brakiem powołania. Rzeczpospolitej potrzeba roztropnych gospodarzy i dzielnych obrońców ojczyzny.

I ty wiesz, i ja wiem, że już Rzymianie dobrze to rozumieli, a wielki cesarz August kazał

nawet karać tych mężów, którzy nie chcieli zakładać rodzin, gdyż uważał, że posiadanie dzieci nie jest sprawą prywatną, lecz poważną kwestią wagi państwowej.

– Poniekąd to prawda – mruknął Jacek Zaremba. – A ja waszmości słowo daję, że kiedy tylko spotkam białogłową swojego życia, taką, do której serce mi mocno zabije i której z całym przekonaniem będę mógł ślubować: „i do śmierci cię nie opuszczę”, to wtedy,

waszmość sam zobaczysz, że co do literki posłucham słów Pisma, mówiących: „bądźcie płodni i mnożcie się, abyście zaludnili ziemię”.

– Ech, i przegadaj tu tego szlachcica – machnął ręką stolnik. – Proszę dalej, panie Jacku, bo sam nie wiem, czemu rozmawiając o wojennej wyprawie rzymskiej, nagle zaczęliśmy gawędzić o żonie, której nie masz, i dzieciach, których nie posiadasz, a słuchając tego, co mówisz, podejrzewam, że nieprędko dorobisz się zarówno jednego, jak i drugiego.

– Już opowiadam dalej – zapewnił podstarość. – Tak jak mówiłem, Rzymianie weszli daleko w głąb pustyni, a barbarzyńcy cały czas przed nimi uciekali, pewni, że wciągnęli legion w pułapkę i że niedługo jedyny wysiłek, jaki ich czeka, to obedrzeć trupy z wszelkiego dobra. Jednak w cesarskiej armii był pewien miejscowy przewodnik, który dawno już przeszedł na stronę Rzymu, lecz zachował pamięć plemiennych obyczajów oraz wierzeń.

Powiedział rzymskiemu generałowi, że pustynią rządzi wielki bóg, którego nazywają Gwa Gwa...

Ligeza roześmiał się gromko.

– Brzmi jak kwakanie, panie podstarości.

– Cóż robić, taka barbarzyńska nazwa – Zaremba rozłożył dłonie. – Przewodnik wyjaśnił generałowi, że należy zaskarbić sobie łaski tegoż boga, bo tylko wtedy będzie można wybawić wojsko z opresji.

– A co należało zrobić? Jakież krwawe ofiary?

– A skądże, panie stolniku dobrodzieju! Ów Gwa Gwa miał być bogiem poczciwym, dobrotliwym i radosnym, który nade wszystko kocha zabawę oraz biesiadowanie od rana do wieczora...

– Ha, koniecznie musiał ten Gwa Gwa być Polakiem! – zawołał wesoło pan Hieronim.

– Albo przynajmniej jego matka zapatrzyła się na jakiegoś szlachcica!

– Prawda? Jak nic, stolniku dobrodzieju, dogadalibyśmy się z nim bez najmniejszego trudu.

– No i czegoż ten pustynny bóg chciał w zamian za swą przychyłność?

– Nic nieprzyjemnego. Tyle tylko, by wszyscy się bawili, pili i ucztowali. Przewodnik mówił, że wszystko, co znajduje się w obozowisku, trzeba co do kropelki wypić, pozbyć się każdziuteńkiej kropli wody...

– Byłże ów przewodnik zdrajcą pracującym dla barbarzyńców? – zagadnął szybko Ligeza.

– Kiedy czytałem tę historię, pomyślałem o tym samym – przyznał Zaremba – ale nie, panie stolniku, nie był przeniwiercą i radził ze szczerego serca.

– I generał się zgodził, jak mniemam.

– Ano się zgodził.

– Śmiała decyzja – stwierdził z podziwem pan Hieronim.

– No cóż, tonący brzytwy się chwyta, proszę waszmości. Bo i cóż za wybór pozostał

Rzymianom? Albo umrą za kilka dni, racjonując wodę, albo wypiją cały zapas do ostatniej kropli i zginą zaraz potem.

– Prawda. I prawda też, że z tego co wiemy, Rzymianom nigdy nie przeszkadzali obcy bogowie i gotowi byli oni w Persji modlić się do bóstw perskich, w Grecji do greckich, w Egipcie do egipskich, a w Rzymie do rzymskich – stolnik pokręcił głową i ściągnął usta. – Jak każdy Sarmata podziwiam dawnych Rzymian, panie Jacku, ale w tej mierze zdecydowanie nie podzielam ich poglądów.

– Niemniej zauważ waszmość, że gdyby ów generał był katolikiem i zabronił swym żołnierzom odprawienia magicznego obrzędu, to wszyscy jak jeden mąż by zginęli.

– A czyż nasi święci nie ginęli za wiarę? Szli pomiędzy lwy lub na stos, lub na innego rodzaju męczeńską śmierć, gdyż woleli zginąć, niż wyrzec się Chrystusa?

– Ależ proszę waszmości ja tylko powiedziałem, że zginęliby, gdyby...

– Nie, panie Jacku, nie zginęliby – stolnik przerwał zdecydowanie te wyjaśnienia – bo żaden magiczny obrzęd, żadne modlitwy do jakiegoś boga

Gwa Gwa czy innego o równie barbarzyńskim imieniu nie miały najmniejszego znaczenia. Zostali uratowani, gdyż Bóg chciał ich uratować, chociaż oni tego Boga nawet jeszcze nie znali. A nie dlatego, że modlili się do jakiegoś bóstwa zrodzonego w fantazji dzikich koczowników.

Jacek Zaremba zmieszał się, bo oto zabawna anegdota nieoczekiwanie rozsierdziła stolnika i podstarości po raz kolejny pluł sobie w brodę, że opowiedział Barańskiemu o owym sposobie. Pan Hieronim tymczasem wysapał się, dwoma łykami opróżnił kielich, zupełnie jakby sam był spragnionym napitku i usychającym z pragnienia rzymskim legionistą, po czym łypnął na towarzysza.

– Opowiadaj dalej, panie Jacku – rozkazał.

– Rzymianie zgodnie z zaleceniem przewodnika urządzili ucztę i wypili podczas biesiady każdą kropelkę wina i wody, którą mieli w obozie. A zaraz potem, jeszcze przed świtem, na ziemię spadła rześista ulewa. Tak potężna, jakiej od wielu lat nie widziano w tamtych stronach – dokończył podstarości, ale już bez poprzedniego zapału w głosie, powodowany tym tylko, żeby jak najszybciej dopowiedzieć anegdotę do końca.

– W tak dramatycznych okolicznościach rozumiem, że nieukształtowane umysły mogły uwierzyć, że istotnie czuwał nad nimi jakiś Gwa Gwa – stwierdził Ligęza.

– Ba!, to nie wszystko, proszę waszmości. Widząc tę wielką ulewę, dzięki której legion z naddatkiem uzupełnił zapasy wody, koczownicy zrozumieli, że ich bóg sprzyja Rzymianom. Poddali się więc władzy cesarza, wydali swego wodza i obiecali więcej nie atakować rzymskich posiadłości. A cesarz Klaudiusz w podzięce za uratowanie legionu nakazał, by owemu bogu Gwa Gwa wzniesiono piękną świątynię.

Stolnik uśmiechnął się, ale zaraz potem uśmiech zgasł na jego twarzy.

– Na rany Chrystusa, nie mów mi tylko waćpan, że mój Baranuś pragnie, abyśmy wszyscy, ja i moi chłopci, modlili się o deszcz do boga Gwa Gwa? Co? Hm?

– Boże broń! Pan Barański, pewien jestem, nigdy by podobnej rzeczy nie uczynił!

– Teraz to już sam nie wiem... – poważnie zaniepokoił się stolnik – Bo Baranuś po pierwsze jest stary, a sam na pewno wiesz dobrze, panie Jacku, jak to czasem w leciwym umyśle wszystko potrafi się pokiełbasić, a po drugie bardzo zmartwiony przedłużającą się suszą. – Ligęza stuknął pięścią w blat. – No nic, miejmy nadzieję, że biedy z tego żadnej nie będzie.

– Stolniku dobrodzieju, ja jestem pewien – pan Jacek mocno zaakcentował ostatnie słowo – że pan Barański szykuje ni mniej, ni więcej, tylko uroczystą ucztę połączoną z modlitwami w intencji deszczu. Będą księża, będzie nabożeństwo na dziedzińcu, pewnie zaproszeni zostaną mnisi z klasztoru, którym raczysz się opiekować... A potem dopiero odbędzie się biesiada i wiele wzniesiemy toastów na rzecz zmiany pogody. Czyż nie podobne obyczaje ma również nasz lud, kiedy bardzo chce o coś Boga poprosić? Przynajmniej waćpana chłopci utwierdzą się w mniemaniu, że bardzo o nich dbasz, i jeszcze silniej będą cię kochali.

– Już oni się utwierdzać w niczym nie muszą – odparł zniecierpliwiony stolnik, po czym wbił nieprzychylne spojrzenie w młodego szlachcica. – Ciebie czynię odpowiedzialnym, panie Jacku, za to, by owo przedsięwzięcie nie kłóciło się z chrześcijańską wiarą i dobrym obyczajem. Ja u siebie we dworze nie chcę żadnych pogańskich obrzędów i modłów! – powiedział dobitnie i z ogromną powagą – żadnych modłów do Gwa Gwa, także żadnego wybębniania planetników i nic podobnego...

Podstarości, co oczywiste, nie był zachwycony decyzją pana Hieronima, ale też nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia, bo wiedział, że skoro Ligęza podjął takie, a nie inne postanowienie, to bez wzbudzenia jego gniewu, nic już owego postanowienia nie odmieni.

– Tak jest, proszę waszmości. Zapewniam, że skrupulatnie wypełnię wolę waćpana.

– Mam nadzieję, panie Zarembo, mam nadzieję. A rozmowę z panem Pawłem dokończ już sam, jeśli łaska, choć chyba jedyne, co nam zostało, to wypytać o rodzinę pani Broniewskiej, bo wszystko pozostałe już wiemy.

– Oczywiście, panie stolniku – odparł podstarości, który nawet bez tego przypomnienia na pewno by nie omieszkał Broniewskiego wypytać o rodzinę od strony matki.

*

Ligęza wcześniej dowiedział się, rzecz jasna, jak wielkiej grupy gości ma się spodziewać, by dobrze być przygotowanym i by nikomu niczego nie brakło. Bo gdyby pojawiły się jakiegokolwiek kłopoty, które mogłyby serdeczną gościnność stolnika podać w wątpliwość, to dla pana Hieronima stałyby się powodem wielkiego wstydu. Dlatego już od kilku dni, od kiedy tylko stolnik dowiedział się o pewnym terminie przybycia wojewody,

trwały wielkie przygotowania. Sprzątano i gotowano, ale również budowano. A to w ogrodzie wzniesiono stoły i ławy pod wiatami mającymi chronić od niespodziewanego deszczu, a to zbito drewniany budynek, by służba wojewody i innych gości miała gdzie spać, a to postawiono wysoki płot, ogradzając w ten sposób łąkę tuż za sadem, bo przecież spodziewano się ponad setki wierzchowców należących zarówno do okolicznej szlachty, jak i świty pana Denhoffa, więc trzeba było przygotować dla koni bezpieczne miejsce.

Pan Hieronim rozstawił służących na gościńcu na kilka mil przed dworem, by donosili mu, czy orszak wojewody jest już blisko. Jacek Zaremba nie podzielał entuzjazmu stolnika dla tej wizyty, gdyż uważał, że może ona tylko utrudnić, a w zasadzie nawet uniemożliwić obserwację, a co za tym idzie – samo śledztwo. Poza tym zastanawiał się, czy w tej ludzkiej ciżbie, która przybędzie wraz z wojewodą oraz na powitanie wojewody, nie znajdzie się przypadkiem autor zagadkowych listów. Tak czy inaczej, podstarościeму wszystko to się nie podobało, ale oczywiście nie miał w tym wypadku nic do gadania, gdyż próba namówienia Ligęzy, by nie przyjmował pana wojewody, byłaby pewnie równie udana, jak namawianie szlachty, by zamiast katolicyzmu przyjęła psią, muzułmańską, wiarę. W dodatku pan Jacek był mocno niezadowolony z faktu, że Paweł Broniewski nie mógł czy też nie chciał udzielić mu żadnych wskazówek na temat rodziny matki poza tym, że „w domu się o tym jakoś nie mówiło”, co gniewało Zarembę dodatkowo, gdyż dawało przeczuwać, że kryje się w tym przemilczeniu tajemnica, ale nie dawało w żaden sposób tej tajemnicy wyjaśnić.

– Pan Denhoff dopiero co został wojewodą malborskim, lecz miej waszmość na uwadze, że jego prawdziwe znaczenie ogromnie wyrasta poza tę, i tak ważną, funkcję –

powiedział stolnik, kładąc panu Jackowi dłoń na ramieniu.

– Ja pana Denhoffa widziałem. I pod Wiedniem, i pod Parkanami – przypomniał

Zaremba. – A pod Parkanami zginął przecież jego brat stryjeczny Władysław. – Podstarości pokręcił głową. – Patrz waszmość: taki wielki triumf odniesiony z tak nieznacznymi stratami, a oto w bitwie ginie któryś z wodzów jako jeden z nielicznych żołnierzy, którzy w ogóle w niej zginęli po naszej stronie.

– Co komu pisane, to mu się zdarzy, niezależnie od godności, majątku i pozycji –

rzekł sentencjonalnie Ligęza.

– Prawda, prawda... – pan Jacek westchnął i wznosił oczy ku niebu. – A imaginuj sobie waszmość – ożywił się, wracając myślami do ziemskich spraw – że kiedyś zdarzyło mi się pilnować pojedynku pomiędzy dwoma szlachcicami, z których jeden był sławnym fechtmistrem, a drugi – Zaremba wzruszył ramionami – ot, młokos wywijający szablą niczym cepem, jakich to wielu znajdziemy wśród małej szlachty.

Hieronim Ligęza skrzywił się lekko, gdyż – mimo że sam był wielkim panem, ustosunkowanym i bogatym, na którego łasce oraz kłamce wisiało wielu szaraków – nie lubił

sformułowania „mała szlachta”, uważał bowiem, że naród szlachecki jest jeden i niepodzielny i że ta zasada stanowi o wyjątkowości Rzeczypospolitej, w której nawet zagrodowy szlachetka miał na elekcji tyle samo do powiedzenia co hetmanowie i kasztelanowie. Stolnik wiedział

oczywiście, że prawo to pozostaje jedynie piękną teorią, gdyż szlachecki szaraczek w porównaniu z wielkim magnatem miał mniej więcej tyle samo do gadania i decydowania co wół Ligęzy w porównaniu z samym stolnikiem, ale fakt, że teoria nie była realizowana w praktyce, czy raczej realizowano ją w nikłym zaledwie stopniu, nie oznaczał przecież, że należało rezygnować z samej, szlachetnej w zamyśle, koncepcji.

Jacek Zaremba to skrzywienie pana Hieronima dostrzegł, ale go nie skomentował, tylko kontynuował opowiadaną historię.

– Próbowałem do bezmyślnej zwady nie dopuścić, ale za dużo już padło złych słów, by powstrzymać rozlew krwi. I w drugim złożeniu fechtmistrz padł z rozłupaną głową. Trzy tygodnie chorował i wreszcie umarł...

– A czemuż tak się stało?

– Poślizgnął się na lodzie, proszę waszmości, bo zimą to wszystko się działo. Niby ziemię posypano piaskiem i trocinami, ale akurat trafiło się takie miejsce, gdzie lód prześwitywał i ten szlachcic właśnie w nie musiał wdepnąć. Pech, cóż zrobić...

– Albo nieostrożność i pycha, bo gdyby z równym sobie miał do czynienia, może by przedtem podłoże dokładniej wybadał, tak jak zawsze wypada czynić przed walką.

– Też racja, panie stolniku, zły los zawsze można próbować pokonać albo chociażby okpić.

– Dobrze, dobrze, panie Zarembo, ale ty mnie tu znowu zagadujesz, a ja z waszmością chciałem pogadać o wojewodzie. Pewnie Ernest Denhoff zostanie trzy–cztery dni w mojej gościnie, nie sądzę, by dłużej, bo z tego co wiem, jedzie do Warszawy...

– To trochę nadłożył drogi – zauważył podstarość.

– Prawda. A dlatego, że, jak słyszałem, odwiedza kilku dawnych znajomych, do których grona i ja mam szczęście i zaszczyt się zaliczać. No tak, ale nie o tym chciałem...

Otóż, panie Jacku, wojewoda przybędzie z pewną młodą damą, siostrzenicą czy bratanicą swojej żony, ponoć dziewczęciem nie tylko niezwyklej piękności, lecz również wybitnego rozumu, a to drugie, co jak sam zapewne dobrze wiesz, u wielce urodziwych niewiast jest raczej wyjątkiem niż regułą...

– A czasami wada, nie zaletą – dodał mrukliwie pan Jacek.

– Zdarza się i tak – zgodził się Ligęza. – W każdym razie jestem pewien, że wojewoda myśli o dobrej partii dla krewniaczki i wcale nie byłbym zafrasowany, gdyby ciebie wybrał.

– Pokornie dziękuję waszmości – Zaremba pochylił głowę – waćpan zawstydzasz mnie tym iście ojcowskim myśleniem o mojej skromnej osobie.

– Panie Jacku kochany, przecież ty dla mnie jesteś jak rodzina. A że własnych synów już wyswatałem, to chętnie tobie znajdę odpowiednią partię, zwłaszcza że dobrze widzę –

stolnik żartobliwie pogroził przyjacielowi palcem – iż sam z tym problemem nie potrafiś w żaden sposób dać sobie rady.

Słowa Ligęzy ucieszyły podstarościego z dwóch powodów. Po pierwsze radowało go, iż stolnik tak życzliwie o nim myśli i szuka dla niego korzystnych rozwiązań nawet w kwestii małżeństwa. Po drugie panu Jackowi spadł ciężar z piersi, kiedy dowiedział się, że Ligęza nie będzie usiłował swatać go z własną córką. Bo jeśli chodziłoby o prawowitą córkę stolnika, to byłby to i zaszczyt, i przyjemność. Ale Jacek Zaremba nie zamierzał wchodzić w żadne związki z dziewczęciem pochodzącym z nieprawego łoża. Ze zbyt wielkiego bowiem pochodził rodu, by godzić się na podobne rozwiązanie. I ucieszyło go, że stolnik nie myśli, Bogu dziękować, o takiej koligacji, gdyż odmowa, nawet grzeczna, mogłaby

napsuć krwi pomiędzy nimi, czego Zaremba absolutnie sobie nie życzył. A Hanka? No cóż, miło było się z nią spotkać w cieniu drzew, miło cukrować słodkimi słówkami, miło potrzymać za dłoń, miło skraść nawet całusa z miękkich i ciepłych ust, ale żenić się? Co to, to nie! Podstarości nie

starął się też wcale, by znajomość zaszła zbyt daleko – choć przypuszczał, że dziewczyna pozwoliłaby mu na dużo więcej, niż dopuszczają przykazania oraz panieńska wstydlivość – a to dlatego, iż mógłby takim postępowaniem albo rozeźlić stolnika, albo zmusić Ligęzę do tego, by ten zażądał uwieńczenia związkim małżeńskim daleko posuniętej znajomości.

Teraz panu Jackowi przyszło na myśl, iż niedostępność panny, której ciągle wynajdywano jakieś zajęcia i która trzymana była krótko przez ochmistrzynię, może mieć coś wspólnego z jego i Hanny romantycznymi spotkaniami w jabłoniowym sadzie. „Czemu mi wcześniej do głowy nie wpadło, że najwyraźniej stolnik stoi za tym nagłym zajęciem Hanny?“, pomyślał podstarości. Ale nie był bynajmniej zły na starego przyjaciela rodziny, a wręcz przeciwnie – był zadowolony, iż ten z delikatnością oraz rozumem postanowił wybrnąć z niezręcznej sytuacji. I obiecał sobie, że od tej pory znajomość z piękną córką Ligęzy nie przekroczy granic przyjaznej poufności, jaką może darzyć się dwoje młodych ludzi złączonych dalekimi więzami pokrewieństwa. Ale nic więcej, choćby panna błagała i rozpaczała!

– Co, panie Jacku, o tym sądzisz?

Zaremba otrząsnął się z zamyślenia.

– Jeśli panna piękna, mądra, bogata i z dobrego rodu, to może jakoś uda mi się przeboleć rezygnację ze słodkiego kawalerskiego życia – odparł.

Stolnik poklepał go po ramieniu.

– Bogata i z dobrego rodu na pewno, a czy piękna i mądra, to przekonamy się już niedługo.

– Znałem kiedyś szlachcica, który mówił, że piękna i mądrości szuka się u kochanki, a żona ma być gospodarna. Domem zarządzić, dzieci dobrze wychować, ot i wszystko... Choć jeśli majątna i z dobrym herbem, to oczywiście nie zaszkodzi...

– A ty co tym sądzisz, panie Zarembo? – Ligęza popatrzył na podstarościego nieco uważniej i poważniej, niż ten by sobie tego życzył po wypowiedzeniu tak płochy uwagi.

– Ja wolę, aby w jednej, dodajmy: nadzwyczajnej urody, cielesnej powłóce wszystkie zalety ducha się znalazły, niczym szlachetne kamienie

ulożone w złotej skrzyni. Taka będzie, proszę waszmości, moja żona...

Stolnik nic nie odpowiedział, tylko zaśmiał się, po czym skierował wzrok w górę.

– Z tego, co mi zapowiadano, wywnioskować można, że orszak wojewody dotrze do nas przed zachodem słońca – zmienił temat.

Podstarości również spojrzął w niebo, na którym słońce minęło już co prawda punkt zenitu, ale dużo jeszcze brakowało do tego, by choćby lekko się zaróżowiło.

– Wysłałem już posłańców do sąsiadów, by zawiadomić ich o tym wydarzeniu, bo wszyscy siedzą pewnie jak na szpilkach, czekając przyjazdu pana Denhoffa.

– Wierzę.

– Tak więc, panie Jacku, sądzę, że najazd na mój dwór zacznie się już niedługo i pewnie przez dwa kolejne dni będą się goście zjeżdżać...

Jacek Zaremba usłyszał w głosie stolnika zafrasowanie – bo przyjęcie tylu ludzi nawet dla niego było pewnym kłopotem. I jeszcze ten straszny upał, który nie tylko wyciskał siły z ludzi i zwierząt, ale wszystkie Boże stworzenia czynił bardziej nerwowymi. Nie mówiąc już o tym, że strach gościć tylu ludzi, z których każdy może po pijanemu zaproszyć ogień... A wiadomo, czym to się może skończyć, kiedy wszystko wyschnięte jest na wiór.

– Jeśli waćpanowi nie będę w niczym potrzebny, to wrócę do mojej samotni, jeśli waszmość pozwoli – powiedział pan Jacek pokornie.

– Pozwalam – stolnik wzruszył ramionami, jednak wyraził zgodę nieprzychylnym tonem – lecz szczerze przyznam, że nie pojmuję waćpana. Wszystkim nam, to prawda, mocno nie podoba się ta diabelna spiekota i wszyscy marzymy, aby wreszcie się ona skończyła, ale jedynie ty, panie Zarembo, z igły robisz widły, a niedogodność traktujesz niczym Bóg wie jakie męczeństwo.

– Natura już taka... Co począć? – westchnął podstarości, starając się nie okazać, iż słowa pana Hieronima go uraziły.

– Natura, natura – burknął Ligeza. – Najłatwiej i najprościej tłumaczyć wszystko naturą. Słabości trzeba przetrwać, panie Jacku, a nie ulegać im i poddawać się. Co mają powiedzieć moi chłopkowie, którzy muszą pracować w ten skwar? Co prawda teraz tylko popołudniu i wieczorem wychodzą na pola, ale wać sobie wyobrażasz, ile trudu kosztuje podlanie upraw? Przecież wszystko dawno już by poschło, gdyby nie podlewanie.

Tak samo rzecz się ma z ogrodem czy z sadem – stolnik zawiesił spojrzenie na Zarembie – tym samym sadem, który waćpan tak chętnie odwiedzałeś... Bo teraz jakby rzadziej już tam chodzisz, prawda?

– Za wielki gorąc – odpowiedział spokojnie pan Jacek.

Nagle obaj zobaczyli na drodze pod lasem wznoszącą się kurzawę, która wyraźnie zbliżała się w stronę dworu. Zaraz potem usłyszeli tętent.

– Co za licho, że ktoś konia dręczy w taki upał – zawołał niezadowolony Ligęza.

Wreszcie z obłoku kurzu i piasku wyłonił się pachołek jadący na oklep na zgrzanym srokaczu, z którego boków piana odpadała płatami.

– Jaśnie panie, jaśnie panie! – zakrzyczał chłopak.

Wpadł na dziedziniec, ale zeskoczył z końskiego grzbietu tak niefortunnie, że zwałił

się na ziemię. Zdawał się nawet nie zwracać uwagi na ten wypadek, tylko podrałował w stronę stolnika na czworakach, podniósł się w trakcie biegu niczym cyrkowiec, podbiegł do pana Hieronima, znowu się potknął i wpadłby prosto na swego dziedzica, gdyby Zaremba lewą ręką nie zagroził mu drogi, a prawą nie przytrzymał za ramię.

– A ty co? Zdurniałeś? – zawołał Ligęza nawet nieześlony, tylko zdumiony.

– Jaśnie panie, jaśnie panie, wojewoda już jest we wsi!

– Jak to we wsi?

– Samotrzcę jedzie, jaśnie panie, bo całą resztę ludzi zostawił i dopiero ja żem zobaczył, że to wojewoda...

– Iwajło, szabla, czapka, kontusz! Tylko migiem! – zawołał pan Jacek, bo przecież z uwagi na upał był tylko w samej koszuli i hajdawerach.

– A to ładnie – pokręcił głową stolnik. – Ale pana wojewody zawsze figle się trzymały, wiem coś o tym. No nic, w kwadrans tu będzie. Zrobię mu przyjemność i wcale się nie przebiorę, by myślał, że udało mu się mnie zaskoczyć w środku gospodarskich zajęć –

Ligęza uśmiechnął się. – A ty – spojrzał na pachołka – idź do pana Barańskiego i powiedz, że jestem z ciebie zadowolony. Niech tam ci co da...

– Pokornie dziękuję waszej wielmożności – chłopak pochylił się do kolan stolnika.

– Pozwolisz, stolniku dobrodzieju, że ja się jednak przebiorę, na wypadek gdyby owa krewniaczka wojewody razem z nim do nas jechała?

– Bardzo to nieprawdopodobne, ale... – Ligęza zamyślił się na chwilę – z panem Denhoffem nigdy nic nie wiadomo, więc może lepiej, żebyś się przygotował. Bo jak cię panna pierwszy raz zobaczy w takim stroju, to możesz jej się wydać niezbyt poważnym kandydatem na męża...

Zaraz potem do szlachciców podbiegł Iwajło, niosąc w obu rękach rzeczy podstarościego, i zaczął pomagać swemu panu w zakładaniu kontusza, pasa oraz szabli.

Ledwo co zdążyli zapiąć wszystkie haftki oraz guziki, obwiązać pas jak należy, ledwo pan Jacek przytroczył szablę, a już na dziedziniec wpadły trzy rumaki. Jeden kary i dwa siwe, a wszystkie zapiaszczone, zakurzone, pokryte szarżółtym pyłem od grzyw aż po kopyta. Kary koń zatrzymał się najwyżej dziesięć sążni od Ligęzy, zarżał, zakręcił się, próbował wznieść się na tylnych kopytach, ale silna i doświadczona dłoń jeźdźca natychmiast przyhamowała jego zapędy. I zaraz też Ernest Denhoff, bo to on był tym wprawnym poskromicielem, zeskoczył z siodła.

– A to diabeł wcielony! – krzyknął – Zawsze z nim walczę! – Obrócił wzrok na stolnika. – Ha, zaskoczyłem cię, stary druhu! Wiedziałem, że tak będzie. Nie spodziewałeś się mnie, co?

I zaraz wojewoda szybkim krokiem podszedł do stolnika i padł sobie w ramiona z tak czułym impetem, jak mogą to uczynić tylko najbardziej oddani przyjaciele.

– Tyle lat, panie Hieronimie, tyle lat, kiedy ostatni raz widziałem waszmości!

Stolnik nie odzywał się nawet, tylko sapał wzruszony i miażdżył wojewodę w potężnym uścisku. Denhoff wyrwał się wreszcie z objęć Ligęzy, spojrzał w stronę, gdzie stał

uśmiechnięty Jacek Zaremba z Iwajłem u boku, który ostatnim ruchem poprawiał jeszcze podstarościego troczki u pochwy szabli.

– Jezus Maria! – krzyknął nagle wojewoda.

Krzyk ten był tak przeraźliwy i tak silny, że gdyby Ligęza był lżejszy, to pewnie podskoczyłby z wrażenia – a może nawet nie tylko z wrażenia, lecz nawet ze strachu, gdyż głos gościa zabrzmiał tak przejmująco. Ernest Denhoff cofnął się o krok, jakby postać, którą widział, przeraziła go do głębi serca, jakby zobaczył upiora powstałego z grobu albo ducha, który się wyrwał z zaświatów, by nawiedzić krainę ludzi.

– Jezus Maria! – powtórzył wojewoda już spokojniejszym głosem, w którym tym razem mniej było przerażenia, a więcej zdumienia. Jednak

ramię stolnika ścisnął tak silnie, że Ligeza, choć przecież gruby i mocny, omal nie syknął z bólu. – Jezus Maria! – powiedział po raz trzeci i obrócił się twarzą w stronę pana Hieronima.

Stolnik ze zdumieniem spostrzegł, że czerwone zazwyczaj oblicze pana Ernesta zmieniło się przez tę krótką chwilę nie do poznania i Denhoff był teraz blady niczym śmierć.

– Ja tego człowieka znam – obwieścił gość głuchym, dobiegającym jakby z oddali głosem.

– Słucham?

– Oto Hektor, Achilles i Herakles w jednym – rzekł wojewoda uroczystym tonem. –

Oto człowiek, który króla naszego uratował spod tureckich szabel. Oto człowiek, u którego cała Rzeczpospolita, ba!, cała chrześcijańska Europa, zaciągnęła dług nie do spłacenia...

– Ależ, panie wojewodo, o czym waszmość mówisz? – oszołomiony stolnik wpatrywał się w pana Ernesta.

– Myśleliśmy, że zginął – ciągnął wojewoda, który zdawał się nie zwracać uwagi na słowa stolnika, a raczej nawet ich nie słyszeć. – Na królewski rozkaz dwa dni szukano go na poboju. I ani śladu. Ani trupa, ani żywego. – Denhoff odwrócił wzrok od stolnika – aż do dziś – w jego oczach zalśniły łzy. – Mój Boże, co za szczęście!

– Ależ za przeproszeniem, czy waszmość nie pomyliłeś...

– Nigdy się nie mylę! Każdą twarz, jaką kiedykolwiek widziałem, choćby mi tylko mignęła, rozpoznam bez wahania i bez błędu. To on, na Boga, to on!

Wojewoda puścił stolnika i zaczął wolnym krokiem iść w stronę, gdzie stał Jacek Zaremba.

– Pozwól mi, niech uścisknę bohatera oraz salwatora króla i ojczyzny – poprosił
wzruszony.

KONIEC TOMU II